

Nie chowaj tej książki przed żoną! I tak kupi sobie nową!

Przygadanie



DC
CA GRID

JULIE GARWOOD

JULIA GARWOOD

POŻĄDANIE

Prolog

Anglia, 1788.

Dziewczynka, obudzona podniesionymi głosami, usiadła wyprostowana na łóżeczku. Przetarła piąstkami oczy.

- Nianiu - szepnęła w zapadłej nagle ciszy.

Spojrzała w przeciwległy kąt pokoju, gdzie obok kominka stał pusty bujany fotel. Drżąc z zimna i ze strachu, wśliznęła się z powrotem pod pierzynę. Gdzie była niania?

Żarzący się na kominku popiół, świecąc w ciemności pomarańczowym blaskiem, przywodził dziewczynce na myśl oczy demonów. Postanowiła, że nie będzie na nie patrzeć, i odwróciła się w stronę okna. Jednak przerażające oczy nadal ją śledziły, rzucały na ściany niesamowite cienie olbrzymów i potworów i ożywiały nagie gałęzie stukające o szyby.

- Nianiu - powtórzyła dziewczynka płaczliwie.

I wtedy usłyszała głos papy. Brzmiał obco i ostro, lecz strach natychmiast ją opuścił. Nie była sama. Papa był w pobliżu, więc nic jej nie groziło.

Już ponad miesiąc mieszkali w nowym domu, lecz do tej pory nikt ich nie odwiedzał. A teraz papa krzyczał na kogoś i dziewczynka, już nieco uspokojona, chciała się dowiedzieć, o co chodzi.

Przekręciła się na brzusek, a potem zsunęła na podłogę. Po obu stronach łóżka ułożone były poduszki, więc torując sobie drogę, musiała jedną z nich odepchnąć na bok. Na bosaka przebiegła szybko po drewnianej podłodze, a biała nocna koszulka plątała się wokół jej nóg. Odsunęła z oczu kosmyk czarnych włosów i ostrożnie nacisnęła klamkę.

Gdy dotarła do schodów, zatrzymała się słysząc obcy głos. Jej oczy rozszerzyły się ze strachu i zdziwienia, gdy nieznajomy zaczął wykrzykiwać pełne nienawiści słowa. Dziewczynka wyjrzała ostrożnie zza balustrady i

zobaczyła w hallu ojca stawiającego czoło tajemniczemu mężczyźnie. Ze swojej kryjówki u szczytu schodów dojrzała jeszcze jednego człowieka, częściowo ukrytego w cieniu.

- Ostrzegaliśmy cię, Braxton! - krzyczał nieznajomy. - Dobrze nam zapłacono za dopilnowanie, abyś nie sprawiał więcej kłopotów!

Trzymał w ręku pistolet, podobny do tego, który ojciec zwykł nosić dla obrony. Mierzył prosto w pierś papy! Dziewczynka zaczęła zbiegać po krętych schodach, chcąc przytulić się do ojca. Na ostatnim stopniu zatrzymała się. Zobaczyła, jak papa wytrąca pistolet z ręki napastnika i broń szerokim łukiem spada do jej stóp.

Z mroku wynurzył się drugi mężczyzna.

- Perkins przesyła ci pozdrowienia - powiedział chropawym głosem. - Zawiadamia cię również, że nie musisz się martwić o małą. Dobrze się nią zajmie.

Dziewczynka zaczęła się trząść. Nie była w stanie spojrzeć na mówiącego. Wiedziała, że jeśli to zrobi, zobaczy oczy demona, pomarańczowe i lśniące. Ogarnął ją strach. Wokół siebie wyczuwała zło. Nieomal namacalne.

Mężczyzna, który w oczach dziecka był diabłem wcielonym, zniknął w mroku, a drugi zamachnął się i zadał ojcu potężny cios.

- Z podejrziętym gardłem nie będziesz taki wygadany - zarechotał oprawca i podczas gdy papa usiłował wstać, wyciągnął z pochwy ogromny nóż. Jego przerażający śmiech odbijał się echem od ścian korytarza. Zdawało się, że to upiory skrzeczą na siebie w zażartej kłótni.

Mężczyzna przekładał nóż z ręki do ręki, okrążając swą ofiarę.

- Papo, pomogę ci! - pisnęła dziewczynka sięgając po pistolet. Był ciężki i tak zimny, jakby przeleżał wiele godzin w śniegu. Jeden z pulchnych paluszków wsunął się w metalowy kabłąk.

Zaciskając broń w drżących dłoniach, z wyciągniętymi rączkami zaczęła iść w kierunku zmagających się postaci. Chciała podać papie pistolet Zastygła

jednak w przerażeniu, gdy napastnik wbił ogromny nóż w ramię ojca.

- Papo! Pomogę ci, papo! - krzyknęło dziecko przeraźliwie. Pełen strachu i desperacji szloch przerwał szamotanie. Trzej mężczyźni z niedowierzaniem spojrzeli na czteroletnią dziewczynkę celującą do nich z pistoletu.

- Nie! - zaskrzeczał demon. Śmiech zamarł mu w gardle.

- Uciekaj, Caroline! Uciekaj, kochanie, uciekaj!

Lecz ostrzeżenie przyszło za późno. Spiesząc do ojca, dziewczynka przydeptała brzeg nocnej koszulki i upadając, odruchowo zacisnęła rączki na spuście. Zamknęła oczy, gdy wybuch zatrzęsł ścianami hallu.

Kiedy podniosła powieki, ujrzała, co zrobiła. A potem oczy zaszyły jej mgłą.

1

Anglia, 1802.

Wystrzały rozdarły ciszę, przerywając spokojną podróż przez Anglię.

Caroline Mary Richmond, jej kuzynka Charity i ich czarny towarzysz Benjamin usłyszeli huk w tej samej chwili. Charity pomyślała, że to grzmot, i wyjrzała przez okno. Zmarszczyła brwi ze zdziwieniem, gdyż niebo było czyste i błękitne jak w najpiękniejszy jesienny dzień, a na horyzoncie nie dostrzegła ani jednej burzowej chmury. Już chciała skomentować ten fakt, gdy kuzynka złapała ją za ramiona i pchnęła na podłogę wynajętego powozu.

Zatroszczywszy się o bezpieczeństwo towarzyszkii podróży, Caroline wyciągnęła z sakiewki pistolet wykładany masą perłową, a gdy powóz gwałtownie zatrzymał się na zakręcie, znalazła się nagle na plecach Charity.

- Caroline, co ty wyprawiasz? - W głosie, który dobiegł z podłogi, słychać było wyraźną pretensję.

- To strzały - wyjaśniła Caroline.

Benjamin, siedzący naprzeciw dziewczyny, przygotował broń i ostrożnie wyjrzał przez otwarte okienko.

- Zasadzka przed nami! - zawołał woźnica z mocnym irlandzkim

akcentem. - Lepiej tu poczekać - poradził przemykając ku tyłowi powozu.

- Widzisz cokolwiek? - zapytała Caroline Benjamina.

- Tylko woźnicę chowającego się w krzakach - odparł Murzyn z wyraźnym obrzydzeniem w głosie.

- Ja nic nie widzę - oznajmiła Charity niezadowolonym tonem. - Proszę cię, przesunij nogi. Podepczesz mi sukienkę.

Usiłowała usiąść prosto, lecz w końcu udało jej się tylko uklęknąć. Kapelusz miała na wysokości szyi, zaplątany w bujne blond loki oraz różowe i żółte wstążki. Okulary w drucianych oprawkach siedziały na jej małym nosku dziwacznie przekrzywione. Mrużyła oczy, starając się doprowadzić do porządku.

- Doprawdy, Caroline, wolałabym, abyś mnie chroniła nieco mniej żywiolowo - zbesztła kuzynkę. - O Boże, zgubiłam jedno z moich szkieł - jęknęła. - Pewnie zaplątało mi się gdzieś w sukni. Czy myślicie, że to zbójcy rabujący jakiegoś biednego podróżnego?

Caroline zastanowiła się przez chwilę.

- Sądząc z liczby strzałów, pewnie tak - odparła. Jej głos, łagodny i spokojny, był odruchową reakcją na nerwową paplaninę Charity. - Benjaminie! Zobacz, proszę, co z końmi. Jeżeli są wystarczająco spokojne, pojedziemy i zaproponujemy pomoc.

Benjamin przytaknął z aprobatą i otworzył drzwiczki. Powóz zatrzęsł się pod jego imponującą wagą, gdy tylko Murzyn się poruszył. Musiał nawet skulić ramiona, żeby się zmieścić w drzwiczkach. Jednak zamiast pospieszyć na przód do zaprzęgniętych koni, skierował się ku tyłowi powozu, gdzie przywiązano dwa araby Caroline. Zwierzęta przebyły z nimi całą drogę z Bostonu i stanowiły podarunek dla ojca Caroline - hrabiego Braxton.

Ogier był niespokojny, klacz również, lecz Benjamin szybko opanował zwierzęta, przemawiając do nich w śpiewnym afrykańskim dialekcie, który tylko Caroline w pełni rozumiała. Potem odwiązał je i podprowadził do boku

powozu.

- Poczekaj tu, Charity - poleciła Caroline. - I nie wychylaj głowy!

- Bądź ostrożna! - Charity wdrapała się z powrotem na siedzenie. Nie zważając zupełnie na zakaz, natychmiast wystawiła głowę przez okno i obserwowała, jak Benjamin wsadza Caroline na grzbiet ogiera. - Ty też uważaj na siebie, Benjaminie! - zawołała, gdy ogromny mężczyzna usadowił się na grzbiecie niespokojnej klaczy.

Caroline poprowadziła drogą wśród drzew, zamierzając zaskoczyć bandytów od tyłu. Liczba strzałów sugerowała czterech, może pięciu napastników, a ona nie chciała wjechać w sam środek bandy zbirów przy tak nierównych szansach.

Gałęzie czepiały się jej błękitnego kapelusza, więc szybko go zdjęła i rzuciła na ziemię. Gęste włosy, czarne jak noc, opadły w nieładzie na szczupłe ramiona.

Zatrzymały ich podniesione głosy. Caroline i Benjamin, dobrze ukryci w gęstwinie, mieli niczym niezmacony widok. Dziewczynę aż dreszcz przebiegł po plecach.

Czterech krzepkich mężczyzn na koniach stało z boku pięknego czarnego powozu. Wszyscy oprócz jednego nosili maski. Zwróceni byli w stronę najwyraźniej bogatego mężczyzny, który powoli wysiadał z powozu. Caroline zobaczyła jasnoczerwoną krew spływającą po nogawkach jego spodni i nieomal krzyknęła z oburzenia.

Ranny miał jasne włosy i męską twarz, która teraz była kredowobiała i naznaczona bólem. Caroline obserwowała, jak opierając się o powóz stawia czoło napastnikom. Dostrzegła hardość i pogardę w jego spojrzeniu, gdy stawał do nierównej walki, a potem zobaczyła, jak oczy nieznanego nagle się rozszerzają. Zniknęła buta, zastąpiona czystym przerażeniem. Caroline szybko pojęła powód nagłej zmiany w jego zachowaniu. Napastnik bez maski, zapewne przywódca grupy, powoli podnosił pistolet. Bez wątplenia miał zamiar

zamordować podróżnego z zimną krwią.

- On widział moją twarz - powiedział do swojej bandy. - Nie ma rady. Musi umrzeć.

Dwóch bandytów natychmiast przytaknęło, lecz trzeci się zawahał. Caroline nie traciła czasu. Uważnie wymierzyła i nacisnęła spust. Strzał był pewny i dokładny - lata spędzone z czterema starszymi kuzynami, którzy nalegali, by nauczyć ją samoobrony, nie poszły na marne. Kula dosięgła dłoni przywódcy, a jego ryk bólu był dla Caroline nagrodą.

Benjamin cmoknął z aprobatą i podał jej swoją broń, biorąc w zamian opróżniony pistolet. Caroline wystrzeliła jeszcze raz, raniąc człowieka po lewej stronie przywódcy.

I było po wszystkim. Bandyci, miotając przekleństwa i groźby, umknęli gościńcem.

Caroline odczekała, aż tętent ucichnie, i ponagliła swojego wierzchowca. Kiedy dotarła do nieznanego, zsunęła się szybko na ziemię.

- Myślę, że już nie wrócę - powiedziała miękko głosem.

Nadal trzymała pistolet w dłoni, lecz szybko opuściła go, widząc, że mężczyzna cofa się o krok.

Nieznamy otrząsnął się. Powoli pojmując, co się wydarzyło, patrzył na nią błękitnymi oczyma, tylko odrobinę ciemniejszymi niż jej własne.

- To pani do nich strzelała? To pani strzelała...

Zdawało się, że biedak nie może dokończyć myśli. Wypadki ostatnich chwil najwidoczniej przerosły jego siły.

- Tak, to ja do nich strzelałam. Benjamin - dodała wskazując stojącego za nią olbrzyma - pomógł mi.

Nieznamy oderwał wzrok od Caroline i spojrzał na jej przyjaciela. Wydawało się, że zemdleje na widok Murzyna. Lecz Caroline uznała, że to strach i ból spowodowany raną są przyczyną jego otępienia.

- Gdybym nie użyła swojej broni, już by pan nie żył - stwierdziła krótko.

Odwróciła się do Benjamina i podała mu wodze ogiera. - Wracaj do powozu i powiedz Charity, co się stało. Pewnie zamartwia się na śmierć.

Benjamin kiwnął głową i ruszył.

- Wracając przywieź na wszelki wypadek proch! - zawołała za nim Caroline. - I torbę lekarską Charity - dodała, po czym odwróciła się do nieznajomego. - Czy da pan radę wejść do powozu? Będzie tam panu wygodniej, a ja zajmę się pańską raną.

Mężczyzna przytaknął i powoli wszedł na stopnie. Stracił równowagę i o mało nie upadł, lecz Caroline była tuż za nim i podtrzymała go.

Kiedy już się usadowił na pluszowym siedzeniu w kolorze burgunda, Caroline uklękła na podłodze pomiędzy jego wyciągniętymi nogami. Nagle zdała sobie sprawę ze swojego zmieszania, spowodowanego niefortunnym umiejscowieniem rany, i poczuła gorąco na policzkach. Wahala się, nie wiedząc, co robić, dopóki nowy strumyczek krwi nie pociekł po płowych spodniach z koźlej skóry.

- To jest ogromnie krępujące - szepnął mężczyzna. W jego głosie więcej było bólu niż zażenowania i Caroline zalała fala współczucia.

Rana znajdowała się tuż przy kroczu, po wewnętrznej stronie lewego uda.

- Ma pan dużo szczęścia - szepnęła dziewczyna. - Kula przeszła na wylot. Jeżeli rozerwę trochę materiał, to może uda mi się...

- To zniszczy spodnie! - Mężczyzna był wyraźnie oburzony propozycją. - A moje buty! Niech pani spojrzy na moje buty!

Caroline oceniła, że ranny zbliża się do granic hysterii.

- Wszystko będzie dobrze - nalegała cichym głosem. - Proszę, czy mogę rozedrzeć pańskie spodnie tylko odrobinę?

Nieznajomy wznosił oczy do nieba i głęboko odetchnął.

- No, jeżeli pani musi - zgodził się z rezygnacją. Caroline przytaknęła i szybko wyciągnęła sztylet z pochwy przymocowanej powyżej kostki.

Mężczyzna, obserwując ją, po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Czy zawsze podróżuje pani tak dobrze przygotowana, madame?

- Tam, skąd przybywamy, przed podróżą trzeba przedsięwziąć pewne środki bezpieczeństwa - wyjaśniła Caroline.

Niezwykle trudno było wsunąć koniuszek sztyletu pod obcisłe spodnie. Materiał wydawał się przyklejony do ciała i Caroline przeszło przez myśl, że nawet siedzieć musi być nieznanemu strasznie niewygodne. Pracowała pilnie, aż w końcu była w stanie rozciąć materiał przy kroku mężczyzny. Potem rozerwała go na tyle szeroko, żeby odsłonić ciało.

Podróżny wreszcie rozpoznał bostoński akcent w gardłowym głosie klęczącej przed nim pięknej kobiety.

- Więc pochodzi pani z Bostonu! Mówiono mi, że to barbarzyńskie miejsce. - Gwałtownie wciągnął powietrze, gdy Caroline zaczęła badać brzegi rany, a potem dodał: - Nic dziwnego, że nosi pani ze sobą cały arsenał.

Caroline spojrzała na mężczyznę, a w jej głosie odbiło się zdziwienie, gdy odparła:

- To prawda, że pochodzę z Bostonu, ale to nie dlatego noszę broń, proszę pana. Nie, nie - dorzuciła, żywiłowo potrząsając głową. - Właśnie jadę z Londynu.

- Z Londynu? - Na twarzy nieznanego raz jeszcze zagościło zdziwienie.

- W rzeczy samej. Słyszałam historie o przestępstwach, które się tam zdarzają. Opowieści o niezliczonych morderstwach i kradzieżach dotarły nawet do Bostonu. To siedlisko zepsucia i korupcji, nieprawdaż? Moja kuzynka i ja obiecałyśmy, że będziemy na siebie uważać. I słusznie, biorąc pod uwagę ten napad w pierwszym dniu naszego pobytu w Anglii.

- Ha! Te same historie słyszałem o Bostonie - prychnął mężczyzna. - Londyn jest o wiele bardziej cywilizowany, moja źle poinformowana pani.

Jego ton wydawał się Caroline bardzo protekcyjny, lecz, o dziwo, nie czuła się urażona.

- Bronię pan swojego rodzinnego miasta i myślę, że to honorowo z

pańskiej strony. - Zajęła się znowu jego nogą, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć. - Czy mógłby mi pan podać swój krawat?

- Że co, przepraszam? - zdziwił się nieznajomy. Przygryzał wargę po każdym wypowiedzianym słowie i Caroline uznała, że ból musiał się nasilić.

- Potrzebuję czegoś, by zatamować upływ krwi - wyjaśniła.

- Jeżeli ktokolwiek o tym usłyszy, będę upokorzony do granic... żeby zostać postrzelonym w tak delikatne miejsce... żeby dama mnie opatrywała i żeby jeszcze używała mojego krawata... Boże, tego już za wiele, za wiele!

- Niech się pan nie martwi o krawat - powiedziała Caroline głosem, którym zwykle pocieszała dzieci. - Użyję kawałka halki.

Mężczyzna nadal miał trochę szaleństwa w oczach i nadal bronił swego cennego krawata. Caroline zmusiła się do zachowania współczującego wyrazu twarzy.

- Obiecuję, że nikomu nie powiem o tym niefortunnym incydencie. Przecież nawet nie znam pańskiego nazwiska! Widzi pan, jakie to proste? A jak na razie będę pana nazywała... panem Jerzym, po waszym królu. Czy to panu odpowiada?

Dzikość w jego oczach jeszcze się pogłębiła i Caroline domyśliła się, że wcale mu to nie odpowiada. Zastanowiwszy się chwilę, chyba zrozumiała powód jego irytacji.

- Oczywiście, skoro wasz król niedomaga, być może inne imię będzie lepiej pasowało. Może być Smith? Co pan powie na Harolda Smitha?

Mężczyzna kiwnął głową i westchnął.

- No, to załatwione - stwierdziła Caroline i poklepała go po kolanie. Szybko wyszła z powozu i pochyliwszy się, zaczęła oddzierać skrawek materiału u dołu halki.

Wystraszył ją odgłos szybko zbliżającego się jeźdźca. Zamarła zdając sobie sprawę, że tętent dobiega z północy, podczas gdy jej powóz znajdował się na południu. Czyżby powracał jeden z bandytów?

- Niech mi pan poda mój pistolet, panie Smith - zażądała, szybko chowając sztylet na miejsce i rzucając oderwany pasek przez okno.

- Ależ on jest nie nabity - zaprotestował mężczyzna głosem przepełnionym paniką.

Caroline poczuła, że i ona zaczyna wpadać panikę. Walczyła z gwałtowną chęcią, aby zebrać spódnice i biec po pomoc. Nie mogła jednak poddać się tak tchórzliwej myśli, gdyż oznaczałoby to pozostawienie rannego bez możliwości obrony.

- Pistolet może być nie nabity, ale nikt oprócz nas o tym nie wie - odparła z udawaną odwagą. Wzięła podaną przez okno broń, modląc się w duchu, aby i Benjamin usłyszał zbliżające się niebezpieczeństwo. Boże, jakże pragnęła, aby ręce przestały jej drżeć!

Wreszcie zza zakrętu wyłonił się jeździec na koniu. Caroline skupiła uwagę na zwierzęciu, ogromnej czarnej bestii, przewyższającej o głowę jej araby. Dzika myśl, że zostanie stratowana na śmierć, przebiegła jej przez głowę i Caroline poczuła drżenie ziemi pod stopami. Cofnęła się o krok, lecz pistolet trzymała nieruchomo. I choć było to ryzykowne, musiała przymknąć oczy przed bryzgającym jej w twarz błotem, gdy jeździec osadził wierzchowca tuż przed nią.

Caroline przetarła ręką oczy. Obok łba wspaniałej bestii zobaczyła wycelowany w siebie lśniący pistolet. Przytłoczona widokiem parskającej bestii i broni, zerknęła na jeźdźca.

To był błąd. Ogromny mężczyzna wydał jej się o wiele bardziej przerażający niż koń czy pistolet. Brunatne włosy opadające na czoło nie łagodziły jego ostro rzeźbionych rysów. Szczękę miał zaciśniętą i mocno zarysowaną, nos wydatny, a złotobrzowe oczy pozbawione były cienia łagodności czy zrozumienia.

Teraz próbowały przesyć Caroline na wylot, lekceważąc jej dobre intencje. Wzrok przybysza był tak groźny, że nieomal parzył.

Starając się nie mrugnąć okiem, dziewczyna z trudem wytrzymywała spojrzenie tego aroganckiego mężczyzny.

Jered Marcus Benton, czwarty książę Bradford, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Uspokoił ogiera, patrząc na urocze zjawisko, błękitnooką piękność, trzymającą pistolet wycelowany prosto w jego serce.

- Co tu się stało? - zażądał odpowiedzi z taką mocą, że ogier pod nim zatańczył. Pomagając sobie potężnymi udami, szybko opanował zwierzę. - Spokój, Reliance - warknął. Jednakże gładząc szyję konia, zadawał kłam szorstkim słowom. Bezwiednie okazane uczucie nie pasowało do brutalnego wyrazu jego twarzy.

Nie odrywał wzroku od Caroline, która wolałaby mieć teraz przed sobą jednego z bandytów. Bała się, że ten obcy szybko przejrzy jej bluff.

Gdzie jest Benjamin - myślała z przerażeniem. Z pewnością posłyszał tętent tego ogromnego konia. Cóż to, czyżby ziemia nadal drżała? Czy też jej nogi się trzęsły?

O Boże, musi wziąć się w garść!

- Proszę mi wytłumaczyć, co tu się stało - nieznajomy domagał się odpowiedzi.

Jego szorstki głos przeszył Caroline na wskroś, lecz nie dała tego po sobie poznać. Nie odpowiadała, obawiając się, że strach przebijający z jej głosu da mu przewagę. Zacisnęła palce na pistolecie, starając się uspokoić dziko walące serce.

Bradford rozejrzał się kątem oka. Jego ulubiony powóz, pożyczony przyjacielowi przed czterema dniami, stał na poboczu drogi podziurawiony przez kule. Dostrzegł ruch w jego wnętrzu i natychmiast rozpoznał strzechę jasnych włosów. Nieomal westchnął z ulgą.

Domyślał się, że stojąca przed nim kobieta nie jest odpowiedzialna za to, co ujrzał przed chwilą. Widząc, jak drży, poczuł swoją przewagę.

- Rzuć broń!

To nie była prośba. Książę Bradford rzadko - jeżeli w ogóle - o coś prosił. On rozkazywał i zazwyczaj dostawał to, czego żądał.

Tym razem jednak zrozumiał, że nie pójdzie mu tak łatwo. Panna bowiem stała patrząc mu uparcie w oczy i zupełnie ignorując jego rozkaz.

Caroline starała się powstrzymać drżenie, gdy nieznajomy pochylał się nad nią jak gradowa chmura. Aura władczości spowijała go niczym płaszcz i dziewczyna stwierdziła, że nie jest w stanie nad sobą zapanować. Przecież był tylko człowiekiem! Potrząsnęła głową, starając się zebrać myśli. Nieznajomy wyglądał na aroganckiego i nieustępliwego, jego ubranie zaś pozwalało się domyślać, że jest bardzo bogaty. Ciemnoczerwony płaszcz miał ten sam krój, co jasnozielone okrycie pana Smitha. Modne spodnie nieznajomego były równie opięte, a buty do konnej jazdy lśniły jak świeżo wypastowane.

Caroline przypomniała sobie niepokój mężczyzny z powozu, że ktoś mógłby się dowiedzieć o jego ranie. Ponieważ przybysz wyglądał na takiego, który nie potrafi dochować tajemnicy, doszła do wniosku, że powinna się go jak najszybciej pozbyć.

- Czy ma pani kłopoty ze słuchem? Powiedziałem, żeby rzuciła pani pistolet! - Nie chciał na nią krzyczeć, ale działała mu na nerwy, cały czas celując w niego i przewiercając go na wylot tymi błękitnymi oczami.

- To pan niech rzuci broń - odpowiedziała w końcu Caroline, zadowolona, że głos jej nie drży. Mało tego, brzmiał prawie tak samo gniewnie jak głos nieznajomego. Było to drobne zwycięstwo, niemniej jednak zwycięstwo.

Ponieważ Caroline stała odwrócona plecami do powozu, nie widziała, jak ranny macha radośnie na powitanie obcego, który omal nie wystraszył jej na śmierć.

Bradford odpowiedział przyjacielowi kiwnięciem głowy. Podniósł brwi w niemym pytaniu, a jego twarz straciła cyniczny wyraz. Caroline chciała, aby równie szybko zniknęła jego władczość. Nie miała jednak czasu zastanawiać się nad nagłą zmianą w zachowaniu intruza.

- Zdaje się, że utknęliśmy na martwym punkcie - powiedział nieznajomy niskim głosem. - Czy chce pani, abyśmy pozabijali się nawzajem?

Wcale jej to nie rozbawiło. Widziała, jak kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu, i poczuła złość. Jak on śmie dobrze się bawić, podczas gdy ona umiera ze strachu!

- Niech pan rzuci broń, to pana nie zastrzelę - nalegała spokojnym głosem.

Ignorując zapewnienia dziewczyny, Bradford nadal obserwował ją pełnym podziwu wzrokiem. Cały czas odruchowo gładził szyję konia i ten przejaw nieskrywanej sympatii uświadomił Caroline, że została jej do zagrania jeszcze jedna karta.

On oczywiście nigdy nie podda się kobiecie. Widział, że jego przeciwniczka coraz bardziej się trzęsie, i oczekiwał, że niedługo się załamie. Aczkolwiek z niechęcią, podziwiał jej odwagę, której dotąd nie spotkał u żadnej kobiety. Jednak odważna czy nie, była tylko kobietą, a kobiety wszystkie są takie same. Wszystkie są...

- Nie zastrzelę pana, lecz pańskiego wierzchowca!

To jej się udało. Mężczyzna ze zdziwienia omal nie spadł z konia.

- Nie ośmieli się pani! - ryknął z furją.

W odpowiedzi Caroline zniżyła lufę pistoletu, tak że prawie dotykała szerokiego czoła zwierzęcia.

- Strzelę mu prosto między oczy - obiecała.

- Bradford! - Głos dobiegający z powozu powstrzymał księcia przed uduszeniem stojącej przed nim pięknej kobiety.

- Panie Smith! Czy zna pan tego człowieka? - Caroline nadal nie spuszczała oczu z nieznajomego. Z satysfakcją patrzyła, jak zsiada z konia i wkłada pistolet za pas. Ogarnęła ją ulga. Nie myślała, że tak łatwo to pójdzie. Może jednak Charity miała rację. Może Anglicy to mimo wszystko maminsynki?

Bradford zwrócił się do Caroline, przerywając jej myśli:

- Żaden dżentelmen nie zagroziłby...

Nie dokończył, uświadomiwszy sobie absurdalność swojej wypowiedzi.

- Nigdy nikt nie uważał mnie za dżentelmena - odparła niewinnie Caroline.

Smith wystawił głowę przez okno, ale natychmiast jęknął, gdyż pod wpływem gwałtownego ruchu rana dała znać o sobie.

- Tylko nie dostań apopleksji. Ten pistolet jest nie naładowany. Twojemu koniowi nic nie grozi. - W jego głosie brzmiało rozbawienie, a i Caroline nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

Bradford poczuł nagle, jak pod wpływem tego uśmiechu i przekornych iskierek zapalających się w jej oczach zapomina o wszystkim.

- Właściwie łatwo mi z panem poszło - zauważyła Caroline. W tym samym momencie pożałowała, że nie zachowała swoich myśli dla siebie. Ogromny mężczyzna zbliżał się do niej dużymi krokami i wcale się nie uśmiechał. Najwyraźniej cierpiał na brak poczucia humoru. Grymas stał z jego twarzy resztki urody. Zresztą i tak był zbyt wysoki i zbyt potężny, jak na gust Caroline. Był tak samo ogromny jak Benjamin, który teraz cicho podchodził do niego od tyłu.

- Czy zastrzełaby pani mojego konia, gdyby pistolet był naładowany?

W oczach księcia pojawiły się niebezpieczne błyski i Caroline, opuszczając broń, zdecydowała, że lepiej będzie odpowiedzieć.

- Oczywiście, że nie. On jest zbyt piękny. Ale pan to co innego...

Bradford usłyszał chrzęst ziemi za sobą, odwrócił się i stanął oko w oko z Benjaminem. Podczas gdy obaj mężczyźni obserwowali się nawzajem, Caroline zauważyła, że nieznajomy wcale się nie boi jej przyjaciela. W odróżnieniu od pana Smitha, był raczej zainteresowany.

- Benjaminie, podaj mi torbę. A o tego tu się nie martw, to przyjaciel pana Smitha.

- Pana Smitha? - zapytał Bradford patrząc na swojego przyjaciela pytająco. Ten uśmiechnął się do niego z okienka powozu.

- Dzisiaj to jest Harold Smith - wyjaśniła Caroline. - Nie chciał mi podać swojego prawdziwego nazwiska, ponieważ jest trochę zakłopotany sytuacją. Zasugerowałam, że będę mówiła do niego per Jerzy, po waszym królu, ale się obraził. Zgodziliśmy się więc na Harolda.

Właśnie w tym momencie pojawiła się Charity. Biegła drogą, unosząc różową spódnicę wysoko nad kostki i odsłaniając zgrabne nóżki.

- Caroline, woźnica odmawia wyjścia z krzaków - oznajmiła, gdy tylko złapała oddech. Zatrzymała się gwałtownie obok Benjamina i posłała mu szybki uśmiech, zanim spojrzała na pozostałych. Potem zaczęła wyjaśniać: - Woźnica wysłał mnie, żebym zobaczyła, czy niebezpieczeństwo już minęło. Powiedział, że inaczej nie wyjdzie z krzaków. Caroline, doprawdy powinnyśmy tu zawrócić do Londynu. Wiem, że pomysł, aby odwiedzić twojego ojca w jego letniej rezydencji, był mój, ale dopiero teraz widzę, jaki był głupi. Miałaś rację! Zostańmy w domu wuja w Londynie, a do niego wyślijmy wiadomość.

Stale paplająca Charity wydała się Bradfordowi tajfunem w ludzkiej postaci. Jego oczy wędrowały od jednej dziewczyny do drugiej i trudno mu było zrozumieć, że te dwie tak różne istoty mogą być kuzynkami. Wyglądały i zachowywały się zupełnie inaczej. Charity była drobna, miała złote loki i piwne oczy rzucające przekorne błyski. Caroline, nieco wyższa, miała czarne włosy, a gęste czarne rzęsy ocieniały jej niesamowicie błękitne oczy. Obie były szczupłe. Charity była śliczną dziewczyną, lecz Caroline - piękną.

Różnice między nimi nie kończyły się na wyglądzie. Blondyneczka nie mogła usiedzieć na miejscu, a jej wzrok był równie niespokojny jak ona sama. Bardzo uważała, by nie spojrzeć mężczyźnie w oczy, co sugerowało brak pewności siebie w tej dość niezręcznej sytuacji. Caroline natomiast wydawała się bardzo pewna siebie i patrzyła Bradfordowi prosto w oczy. Dwie kuzynki były samymi przeciwieństwami, ale - co mężczyzna zauważył z podziwem -

czarującymi i fascynującymi przeciwieństwami.

- Panie Smith, to jest Charity - przedstawiła Caroline kuzynkę. Celowo zignorowała Bradforda, który nadal gapił się na nią nieprzyjawnym wzrokiem.

Charity podbiegła do okienka powozu i wspinając się na palce, zajrzała do środka.

- Benjamin powiedział mi, że został pan ranny. To takie straszne! Czy już czuje się pan lepiej? - Z uśmiechem czekała na odpowiedź mężczyzny, który tymczasem usiłował się jakoś okryć. - Jestem kuzynką Caroline i odkąd pamiętam, wychowywałyśmy się razem. Jesteśmy prawie w tym samym wieku, ale ja jestem starsza o pół roku. - Wyjaśniwszy, co było do wyjaśnienia, Charity odwróciła się do Caroline i uśmiechnęła, pokazując dołeczki w policzkach. - A gdzie jest jego woźnica? Myślisz, że też chowa się w krzakach? Może ktoś powinien go poszukać?

- Doskonale - odparła Caroline. - Wy z Benjaminem pójdziecie go szukać, a ja tymczasem zajmę się raną pana Smitha.

- Zupełnie zapomniałam o dobrych manierach - przypomniała sobie Charity. - Pomimo tych dziwacznych okoliczności powinniśmy się sobie nawzajem przedstawić!

- Nie! - Powóz nieomal zatrzęsł się od krzyku.

- Pan Smith woli pozostać anonimowy - wyjaśniła łagodnie Caroline. - Musisz obiecać, podobnie jak ja obiecałam, że zapomnisz o całym zajściu. - Odciągnęła kuzynkę na bok i szepnęła jej do ucha: - On jest bardzo zakłopotany. Wiesz, jacy są ci Anglicy...

Bradford stał dostatecznie blisko, by usłyszeć ostatnią uwagę Caroline, i już miał zaprotestować, gdy Charity powiedziała:

- Jest zakłopotany, ponieważ został ranny? Jakie to dziwne! Czy to poważna rana?

- Niezbyt - zapewniła ją Caroline. - Na początku myślałam, że tak, gdyż było tyle krwi, no i umiejscowiona jest tak dziwnie...

- Ojej! - Charity zareagowała z odruchowym współczuciem. - Co masz na myśli mówiąc „dziwnie”?

Caroline nie odpowiedziała, wiedząc, że kuzynka domagałaby się szczegółowych informacji, a to wydawało się nie w porządku względem pana Smitha.

- Im szybciej z tym skończymy i ruszemy w drogę, tym lepiej.

- Dlaczego?

- Bo on reaguje zbyt dramatycznie - odparła Caroline, po raz pierwszy okazując kuzynce zniecierpliwienie. Nie powiedziała jej jednak całej prawdy. Zataiła, że to nieznośny przyjaciel pana Smitha był powodem tego pośpiechu.

Caroline skinęła głową na Benjaminą i wzięła z jego rąk torbę z lekarstwami. Wdrapując się z powrotem do powozu, powiedziała do pana Smitha:

- Niech się pan nią nie przejmuj. Ona i tak prawie nic nie widzi bez okularów.

Benjamin tymczasem zaofiarował ramię Charity, a widząc, że dziewczyna nadal stoi w miejscu, złapał ją za rękę i poprowadził drogą. Obserwując ich, Bradford zastanawiał się, o co tu chodzi.

- Równie dobrze możesz tu przyjść i zobaczyć, w co się wpakowałem! - zawołał pan Smith do swojego przyjaciela, który przytaknął i przeszedł na drugą stronę powozu. Tymczasem Smith wyjaśnił Caroline: - Niewielu jest ludzi na tym świecie, którym bym zaufał, ale Bradford jest właśnie jednym z nich.

Caroline nie odpowiedziała. Z zadowoleniem zauważyła, że rana przestała krwawić.

- Czy ma pan przy sobie jakiś alkohol? - zapytała, ignorując Bradforda wchodzącego do powozu i siadającego naprzeciw Smitha.

Ten powóz był większy od wynajętego przez nią, lecz i tak, klękając przed panem Smithem, otarła się ramieniem o nogę Bradforda. Bardzo chciała wyprosić go z powozu, ale nie wypadało jej, skoro to Smith go tu zaprosił.

- Mam butelkę brandy - powiedział Smith. - Czy myśli pani, że spory łyk może mi pomóc?

- Jeżeli cokolwiek zostanie, to dlaczego nie? - odparła biorąc od niego butelkę. - Mam zamiar przemyć tym ranę, zanim ją zabandażuję. Mama mówiła, że alkohol zabija zarazki - wyjaśniła. Nie dodała jednak, że mama nie była wcale pewna swojej teorii, lecz stosowała ją uważając, że i tak nie zaszkodzi. - Będzie trochę piekło i jeżeli pan krzyknie, nie przyniesie to panu ujmy.

- Nie wydam żadnego dźwięku! To bardzo nieuprzejmie z pani strony, że posądza mnie pani...

Jego wypowiedź przeszła w ryk bólu, gdy Caroline polała ranę alkoholem. Mężczyzna nieomal spadł z siedzenia, a Bradford tylko skrzywił się ze współczuciem, zdając sobie sprawę z własnej bezsilności.

Caroline posypała ranę żółtym proszkiem, który pachniał jak mokre liście. Następnie wzięła oddarty skrawek halki i zaczęła bandażować nim ranę tak szybko, jak tylko mogła.

- Lekarstwo zmniejszy ból i przyspieszy gojenie - wyjaśniła miękkim głosem.

Ten zmysłowy, gardłowy głos zniewalał Bradforda. Złapawszy się na myśli, że chętnie zamieniłby się na miejsce z przyjacielem, książkę potrząsnął głową. Co się z nim działo? Był zauroczone i zmieszany. Jak to się stało, że ta czarnowłosa pannica pozbawiła go panowania nad sobą i zamieniła w uczniaka, który nie wie, jak się zachować?

- Krzycząc tak, zachowałem się jak tchórz - szepnął pan Smith. Otarł czoło koronkową chusteczką i spuścił oczy. - Pani mama używa barbarzyńskich metod leczenia.

Bradford wiedział, z jakim wysiłkiem przychodzi przyjacielowi przyznawanie się do jakiegokolwiek ułomności, lecz z doświadczenia wiedział również, że wszelki spór pogorszy tylko sprawę.

- Panie Smith, ledwo było pana słyszeć - zareplikowała Caroline tonem

nieznoszącym sprzeciwu. Poklepała go po kolanie. - Był pan bardzo dzielny! A jak pan stawiał czoło tym zbójcom! Nie ma się pan czego wstydić. Nawet wybaczę panu, że wyzywał pan moją mamę od barbarzyńców!

Caroline zauważyła, że pochwały zaczynają robić swoje i panu Smithowi wraca pewność siebie.

- To prawda. Nie dałem się niegodziwcom - przytaknął. - Oczywiście musi pani zrozumieć, że nie miałem szans wobec tak dużej liczby przeciwników.

- Oczywiście - przytaknęła Caroline. - Powinien być pan z siebie dumny. Prawda, panie Bradford?

- Ależ oczywiście - przytaknął tamten natychmiast, zadowolony, że dziewczyna wreszcie zwróciła na niego uwagę.

- Jedynym tchórzem w tym przedstawieniu jest irlandzki woźnica, którego zatrudniłam - zauważyła Caroline zawiązując długi skrawek materiału na udzie pana Smitha.

- Czyżby nie lubiła pani Irlandczyków? - zapytał Bradford, którego zdziwił nagły ostry ton w jej głosie.

Caroline zwróciła na niego gniewne spojrzenie, a Bradford w tym momencie zdał sobie sprawę, że chciałby wiedzieć, czy ta dziewczyna potrafiłaby równie gorąco kochać, jak potrafi nienawidzić. Szybko jednak odpędził tę natrętną myśl.

- Irlandczycy mają opinię niegodziwców - przyznała Caroline. - Mama zawsze mi powtarzała, że powinnam być bardziej wyrozumiała oceniając innych, ale chyba nie potrafię. - Z westchnieniem wróciła do swojego zajęcia. - Kiedyś, gdy byłam jeszcze mała, zaatakowało mnie trzech Irlandczyków i gdyby nie pomoc Benjamina, kto wie, może nie byłoby mnie dziś tutaj.

- Trudno mi sobie wyobrazić panią jako pokonaną - wtrącił pan Smith.

Słowa te zabrzmiały jak komplement i Caroline postanowiła tak je potraktować.

- Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak się bronić. Moi kuzyni bardzo się przejęli tym wypadkiem i od tej pory uczyli mnie podstaw samoobrony.

- Ta dama to chodzący arsenał - powiedział Smith do przyjaciela. - Mówi, że to do obrony w Londynie.

- Czy raz jeszcze mamy się kłócić o różnice między wykształconą Ameryką a pańskim okropnym Londynem, panie Smith? - W głosie Caroline brzmiał śmiech. Drażniła się z nim właściwie bardziej po to, by przestał myśleć o bólu, niż z jakiegokolwiek innego powodu. Delikatnymi, pewnymi ruchami zawiązała prowizoryczny bandaż na supeł.

Wyraz bólu powoli opuszczał twarz pana Smitha.

- Czuję się już o wiele lepiej. Droga pani, zawdzięczam pani życie!

Caroline udała, że nie słyszy tej ostatniej uwagi. Komplementy wprawiały ją w zakłopotanie, chociaż nie wiedziała właściwie dlaczego.

- Do wesela się zagoi - obiecała. - Czy należy pan do wyższych sfer, jak to się mówi?

To niewinne pytanie sprawiło, że pan Smith się zakrztusił, jakby coś utkwilo mu w gardle. Caroline przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, po czym zerknęła na Bradforda i zobaczyła jego rozbawienie. Uśmiech, zapalający iskierki w jego oczach, czynił go przystojnym.

Dziewczyna miała nadzieję, że to on odpowie na jej pytanie, skoro Smith, nękany kaszlem, nie był w stanie tego uczynić.

Musiała przyznać, że ten cały Bradford nie był taki zły, jak wydawał się na początku. Nie był też wcale maminsynkiem jak pan Smith. Caroline pomyślała, że chociaż bardzo podobnie się ubierają, Bradford chyba nie nosi przy sobie koronkowej chusteczki. Nie sądziła także, aby skóra jego ud była w dotyku podobna do skóry niemowlęcia. Nie, pewnie była szorstka i... twarda. Był o wiele bardziej umięśniony niż pan Smith. Przyszło jej do głowy, że mógłby zmiażdżyć każdego przeciwnika. A jaki byłby w stosunku do kobiety? W tym momencie Caroline zdała sobie sprawę z nieprzyzwoitości swoich myśli

i poczuła gorąco na policzkach. Co się z nią działo? Czy naprawdę starała się go sobie wyobrazić nagiego? To było nie do pomyślenia!

Bradford, zobaczywszy jej rumieniec, błędnie zrozumiał, że dziewczyna czuje się zakłopotana kaszlem Smitha. Może myślała, że się z niej śmieje? Odpowiedział więc szybko na jej pytanie.

- Obaj należymy do wyższych sfer, ale pan Smith spędza wśród nich więcej czasu. - Nie dodał, że on sam ostatnio prawie wcale nie obraca się w towarzystwie. Lecz zamiast tego zapytał: - Kuzynka wspomniała, że zamierza pani odwiedzić ojca. Czyżby mieszkała pani z matką w Ameryce?

Nie wiedząc czemu, chciał dowiedzieć się jak najwięcej o Caroline. Sam przed sobą udawał, że to tylko uprzejme zainteresowanie dla podtrzymania rozmowy między dwojgiem nieznajomych.

Caroline wiedziała, że nietaktem będzie nie odpowiedzieć na uprzejmie zadane pytanie, lecz nie miała ochoty opowiadać o sobie. Jeżeli wszystko pójdzie po jej myśli, nie zabawi długo w Londynie, więc nie ma sensu nawiązywać bliższych znajomości z Anglikami. Niestety, sądząc z wyrazu oczekiwania na twarzach obu panów, nie miała wyjścia. Musiała coś powiedzieć.

- Moja matka nie żyje od wielu lat - oznajmiła w końcu. - Przeprowadziłam się do Bostonu, gdy byłam jeszcze bardzo mała. Tam wychowywałam się u wujostwa, a ciotkę zawsze nazywałam mamą.

- Czy długo zamierzają panie pozostać w Londynie? - Zadając to pytanie Bradford pochylił się opierając dłonie na kolanach. Najwyraźniej zależało mu, aby dokładnie usłyszeć odpowiedź.

- Charity chciałaby chodzić na bale - odpowiedziała niejasno Caroline.

Bradford zmarszczył brwi na to jawne zignorowanie jego pytania.

- Niedługo rozpocznie się sezon. Czy nie uważa pani tego za wspaniałą przygodę? - Starł się, by w jego głosie nie zabrzmiała ironia i nie zepsuła nastroju. W końcu była tylko kobietą i miała prawo cieszyć się na myśl o

zabawie.

- Właściwie nigdy nie myślałam o tym jako o przygodzie. Lecz mam nadzieję, że Charity będzie się dobrze bawiła.

Bradford tak bardzo był zdziwiony jej twardym spojrzeniem, że na moment stracił poczucie rzeczywistości. Wmawiał sobie, że już zbyt wiele widział w życiu i zbyt wiele doświadczył, by spojrzenie jednej panienki mogło zbić go z tropu. Coraz bardziej jednak dziwiło go własne zachowanie. Boże, jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by jakakolwiek kobieta wywarła na nim tak piorunujące wrażenie! Co się z nim, do diabła, działo? W chwili gdy ich spojrzenia się spotkały, postanowił, że dowie się wszystkiego o klęczącej przed nim kobiecie. Biła z niej obietnica ciepła dla mężczyzny, który doświadczył już chłódów tego świata.

Magia, która przykuła spojrzenie Caroline do oczu Bradforda, przysła przerwana głosem pana Smitha.

- Czy pani także ma zamiar dobrze się bawić na balach?

- Właściwie nie myślałam o tym zbytnio - odpowiedziała z uśmiechem. - Słyszałyśmy tak niesamowite historie! Podobno angielskie wyższe sfery to bardzo zamknięta grupa i trzeba się zachowywać niezwykle poprawnie, żeby zostać zaakceptowanym. Charity jest przerażona, że już na pierwszym balu zrobi coś nie tak i przyniesie wstyd mojemu ojcu. Ona zawsze stara się być bardzo poprawna.

Głos dziewczyny był dziwnie spięty, co zaintrygowało Bradforda.

- Podejrzewam, że będziecie sensacją tego sezonu w Londynie - powiedział pan Smith, a jego głos zabrzmiał nieuprzejmie i arogancko.

Nie chciał, by wyszło to tak niemiło. Właściwie uważał, że powiedział dziewczętom komplement, i zdziwił się, gdy Caroline zmarszczyła brwi i odparła:

- O to właśnie martwi się Charity. Poza tym martwi ją jeszcze, że ja zrobię coś takiego, o czym dowie się cały Londyn. Rozumieją panowie, ja

rzadko kiedy robię coś poprawnie. Mama zawsze powtarzała, że jestem buntowniczką, i obawiam się, że miała rację.

- Nie, nie - zaproponował pan Smith. - Zupełnie nie zrozumiała pani moich intencji. Chciałem powiedzieć, że wszyscy będą wami oczarowani. Jestem tego pewien.

- Jest pan bardzo uprzejmy - szepnęła Caroline. - Ja też mam taką nadzieję. Zresztą, jak wy, Anglicy, lubicie mówić, to i tak nie ma znaczenia, bo niedługo wracamy do Bostonu. Nie będzie miało znaczenia, nawet jeżeli to Pummer uszyje mi suknię.

- Pummer? - Nazwisko wywarło, nie wiedzieć czemu, ogromne wrażenie na obu mężczyznach.

- Plummer albo Brummer... - Caroline wzruszyła ramionami.

- Panie Smith, niech pan przesunie trochę nogę, żebym mogła dokończyć ten opatrunek. Dziękuję.

- Czy ma pani na myśli Brummella? Może Beau Brummella?

- W głosie Bradforda słychać było tłumiony śmiech.

- Tak, to chyba to nazwisko. Dowiedziałyśmy się od pani Maybury, że ten Brummell jest bardzo modny w tutejszym środowisku. A ponieważ pani Maybury zjawiała się w Bostonie tuż przed naszym wyjazdem, domyślam się, że te wiadomości są nadal aktualne.

- A co właściwie mówiła ta pani?

- Że jeżeli Brummell odszykuje jakąś pannę, to biedaczka równie dobrze może od razu przywdziać habit. Że ma zmarnowany sezon i powinna raczej wracać do domu. Czy to doprawdy możliwe, by jeden człowiek miał taką władzę? Wyobraża pan sobie, co to znaczy mieć taką władzę? - Pytanie skierowane było do Bradforda. Spojrzawszy na niego, Caroline pożałowała, że w ogóle je zadała. Czy wyobrażał sobie taką władzę? Pewnie sam ją wymyślił! Sapnęła z oburzenia i opuściła wzrok. Bliskość Bradforda wyraźnie działała jej na nerwy. - Czy bandaż jest zbyt ciasno zawiązany? - zapytała pana Smidia,

widząc jego dziwne spojrzenie.

- Ależ nie, nie - wyjąkał mężczyzna.

- Musicie panowie zrozumieć, że nie ma dla mnie znaczenia, czy to Brummell uszyje moje suknie, czy kto inny. I tak nie widzę dla siebie przyszłości w Londynie. Ale Charity pewnie będzie rozczarowana i zraniona moim zachowaniem, a ja nie chcę sprawiać jej przykrości. I to jest moim największym zmartwieniem.

- Mam wrażenie, że Beau Brummell nie będzie chciał szyć sukien ani dla pani, ani dla pani kuzynki - ośmielił się wyrazić swoje przypuszczenie Bradford.

- Jest pani zbyt piękna, by zniszczyć to jedną źle uszytą sukienką - dodał Smith.

- To, czy jest się atrakcyjnym, nie ma żadnego związku z tym, czy jest się akceptowanym. To osobowość powinna się uczyć - oświadczyła Caroline.

- Pomijając ten fakt, słyszałem, że on bardzo sobie ceni swoje siwki - powiedział sucho Bradford.

- Siwki? - nie zrozumiała Caroline.

- Swoje konie - wyjaśnił mężczyzna. - Bez wątpienia usiłowałyby je pani zastrzelić, gdyby nieszczęśnik tylko ośmielił się zaproponować uszycie sukni dla pani albo jej kuzynki.

Miał poważny wyraz twarzy, lecz w oczach błyskały mu iskierki przekory i rozbawienia. Zaśmiał się w głos, gdy Caroline z oburzeniem potrząsnęła głową.

- Ależ nigdy bym tego nie zrobiła! Ty błaznie! - dodała widząc, że to z niej się śmieje. A potem powiedziała do pana Smitha: - Już skończyłam. Niech pan weźmie to lekarstwo, a bandaż zmienia codziennie. I, na miłość boską, niech pan dużo wypoczywa. Stracił pan sporo krwi.

- Wypoczywa? Czy to jeszcze jeden ze sposobów pani mamy? - zaśmiał się Smith.

Caroline przytaknęła i wyszła z powozu. Stojąc na zewnątrz, ułożyła nogę

rannego mężczyzny na siedzeniu obok Bradforda i dodała:

- Obawiam się, że miał pan rację, pańskie śliczne buty są zupełnie zniszczone. No i pańskie skarpetki przesiąkły krwią. Może gdy upierze je pan w szampanie, tak jak to robi pan Brummell, jeszcze dadzą się uratować.

- To podobno jest jego najlepiej strzeżony sekret - powiedział Smith.

- Nie wygląda mi to na sekret - odparła Caroline. - Jeżeli pani Maybury o tym wie, a pan chyba również... - Nie czekając na odpowiedź odwróciła się do Bradforda: - Czy teraz już zaopiekuje się pan przyjacielem?

W tym samym momencie, w którym książę przytaknął, rozległ się głos Charity:

- Znaleźliśmy ich woźnicę! Ma co prawda ogromnego guza na głowie, ale oprócz tego nic mu nie jest.

- Cóż, w takim razie życzę panom miłego dnia! Benjaminie, pan Bradford zajmie się panem Smimem, więc możemy już iść.

W odpowiedzi na słowa Caroline Murzyn powiedział coś w języku, którego Bradford nigdy wcześniej nie słyszał. Jednak sądząc po sposobie, w jaki dziewczyna uśmiechnęła się i kiwnęła głową - ona rozumiała go doskonale.

Żaden z mężczyzn nie odezwał się ani słowem, gdy czarnowłosa piękność wraz z kuzynką i Benjaminem znikali pomiędzy drzewami. Książę Bradford wyskoczył z powozu, by móc dłużej ich obserwować, a i jego przyjaciel wystawił głowę przez okno.

Bradford uśmiechał się do siebie, patrząc na znikającą w oddali trójkę. Charity z przejęciem opowiadała coś kuzynce, a ogromny czarny mężczyzna podążał za nimi z bronią w ręku.

- Mój Boże, jestem chyba bardziej szalony od samego króla - powiedział ranny. - Panna przyjechała sobie z Ameryki, a ja jestem nią zauroczony!

- Lepiej o tym zapomnij - poradził mu przyjaciel. - Pragnę jej. I nie obchodzi mnie, czy jest z Ameryki, czy skądkolwiek. - Jego ton nie dopuszczał sprzeciwu.

- I co ci przyjdzie z tego, że ją zdobędziesz? Jej ojciec nie ma tytułu... Tak się po prostu nie robi. Musisz pamiętać o swojej pozycji.

- Żebyś ty mógł się nią zająć? - Bradford zadał to pytanie tonem czystej ciekawości.

- Ależ skąd! Pomogę ci. W końcu ona uratowała mi życie. Bradford podniósł brwi w niemym pytaniu, na które jego przyjaciel odpowiedział pospiesznie:

- Zaskoczyła tych łotrów. Wytrąciła swoim strzałem broń z ręki jednego z nich, który właśnie chciał mnie zastrzelić.

- Nie wątpię, że jest do tego zdolna!

- Zraniła jeszcze drugiego, zanim zdążyli uciec.

- A zauważyłeś, jak unikała odpowiedzi na moje pytania? Smith zachichotał.

- Prawie zapomniałem, że potrafisz się uśmiechać. A dziś robisz to bez przerwy. To da wiele do myślenia towarzystwu w Londynie. I chociaż, moim zdaniem, nie będziesz miał łatwego zadania z tą panną, to jednak zazdroszczę ci wyzwania.

Bradford nic nie odpowiedział, tylko raz jeszcze popatrzył w stronę zakrętu, za którym zniknęła trójka nieznajomych.

- Będzie niezła zabawa, gdy nasze damy ją zobaczą. Zauważyłeś kolor jej oczu? Bradford, przyjacielu, ty musiałeś walczyć jej uwagę. Powiedz, od jak dawna ci się to nie przydarzyło? znowu będziesz musiał walczyć! Mój Boże, spójrz tylko na moje buty!

Księżę Bradford zaśmiał się.

- I co, Brummell? Odważysz się ją odszykować?

2

Wynajęty powóz wjechał powoli z powrotem do Londynu. Benjamin siedział teraz na koźle obok tchórzliwego woźnicy. Tym razem miał zamiar sam wszystkiego dopilnować.

We wnętrzu powozu panowała cisza, odkąd Charity przestała trąkotać. Zazwyczaj nie była taka nerwowa, ale Caroline rozumiała, że mówiąc bez przerwy, kuzynka stara się rozładować własne napięcie. Caroline zawsze ukrywała swoje przeżycia, podczas gdy Charity zawsze się jej z nich zwierzała. Nie było to znowu takim zaszczytem, bo Charity lubiła wszystko wszystkim opowiadać. Jej matka często powtarzała, że roznosi wiadomości szybciej niż „Dziennik Bostoński”.

Caroline była zupełnym przeciwieństwem kuzynki. Wszyscy uważali ją za bardziej nieśmiałą, a ona sama dawno pogodziła się z faktem, że nie lubi się zwierzać.

- Chciałabym, abyśmy ułożyły jakiś plan postępowania, skoro już tu jesteśmy - powiedziała Charity miętosząc w dłoniach koronkową rękawiczkę. - Liczę na ciebie, że powiesz mi, jak mam się zachować.

- Przecież cały czas o tym mówiłyśmy. Wiem, że niełatwo ci to przychodzi, ale przestań się wreszcie martwić! W przeciwnym wypadku pomarszczysz się i zestarzejesz przedwcześnie. - W głosie Caroline nie było słyhać zniecierpliwienia. - Przecież wiesz doskonale, że ci pomogę. Ale musisz mi obiecać, że będziesz rozważna!

- Rozważna! Tak, to chyba jest klucz do wszystkiego. Chciałabym mieć tylko trochę twojej pewności siebie, Lynn - powiedziała Charity, używając zdrobnienia z czasów dzieciństwa! - Ty zawsze jesteś taka spokojna, taka opanowana! Ale co zrobię, jeżeli się okaże, że on już jest żonaty?

Caroline zdecydowała, że najlepiej będzie nie odpowiadać. Nie potrafiłaby ukryć rozdrażnienia w głosie, a to z pewnością znowu doprowadziłoby Charity do łez. Po długiej i męczącej podróży nie miała już na to siły.

Mężczyźni! Wszyscy to łotry niegodne zaufania, z wyjątkiem oczywiście jej ukochanych kuzynków. Caroline nie mogła zrozumieć, dlaczego łagodna i słodka Charity oddała swoje serce Anglikowi. Połowa młodzieńców w Bostonie

dałaby się zabić za choćby jedno jej spojrzenie, ale nie, ona musiała wybrać sobie ukochanego na drugiej półkuli. Angielski wybranek Charity był z krótką wizytą w Bostonie i wtedy młodzi przypadkowo się poznali. A teraz ona upierała się, że to miłość od pierwszego wejrzenia. Caroline uwierzyła jedynie w to, że kuzynka naprawdę się zakochała. Przecież ona nawet nie miała wtedy okularów! Prawda wyglądała tak, że Charity dosłownie wpadła na Paula Bleachleya wychodzącego zza rogu w pobliżu rynku.

Ich znajomość trwała sześć tygodni i była bardzo intensywna. Charity wyznała mu swoją miłość, a Paul - jak potem dowiedziała się Caroline - wyznał swoją. I pomimo że w niedługi czas potem zniknął bez słowa, Charity nadal uważała go za nienagannego dżentelmena.

Było to bardzo naiwne z jej strony, lecz Caroline nie dała się tak łatwo nabrać. Ani ona, ani nikt z rodziny nawet nie widzieli tego człowieka. Za każdym razem, gdy byli umówieni na obiad, Paul Bleachley musiał dopilnować jakiegoś interesu i odwoływał spotkanie w ostatniej chwili.

Obawy Caroline, że Anglik beczelnie bawi się uczuciami jej kuzynki, tylko się wzmogły, gdy rozpoczęła małe prywatne śledztwo w tej sprawie. Charity wspominała, że Paul jest z wizytą u swojej rodziny, a jednak w bostońskim społeczeństwie, gdzie każdy znał każdego, nikt nigdy o nim nie słyszał.

Co dziwniejsze, Bleachley zniknął tej samej nocy, kiedy nastąpił wybuch w porcie. Zostały wówczas zniszczone dwa angielskie i trzy amerykańskie statki. Caroline była pewna, że Paul Bleachley był jakoś zamieszany w tę aferę, nic jednak nie mówiła z braku dowodów.

Cała rodzina odetchnęła z ulgą, gdy Paul zniknął. Założyli, że powrócił do Anglii, i byli przekonani, że Charity szybko o nim zapomni. Jednak mylili się. Gdy dziewczyna zdała sobie sprawę, że ukochany ją opuścił, wpadła w rozpacz. Tak długo obiecywała, że dowie się, co się stało i dlaczego, aż Caroline jej uwierzyła.

- Wstyd mi za siebie - odezwała się nagle Charity. - Cały czas opowiadam o swoich zmartwieniach, a nawet nie zapytałam o twoje.

- Ja nie mam żadnych zmartwień - zaprotestowała Caroline. Charity, wcale nieprzekonana, potrząsnęła głową.

- Nie widziałas własnego ojca od czternastu lat i wcale cię to nie martwi? Nie nabierzesz mnie. Przecież on wyrócił twoje życie do góry nogami! Nie mów mi, że się tym nie przejmujesz!

- Charity, a co ja mogę na to poradzić? - zirytowała się Caroline.

- Odkąd przyszedł ten list, ukrywasz się za maską spokoju, a przecież znam cię nie od dziś. Jestem zła na twojego ojca! Należysz do naszej rodziny, a nie do mężczyzny, którego nawet nie pamiętasz.

Caroline przytaknęła, przypominając sobie nieprzyjemną scenę, która miała miejsce, gdy pewnego ranka wróciły z konnej przejażdżki. Cała rodzina w komplecie czekała na nie.

Matka Charity bardzo długo płakała i mówiła, że zawsze traktowała Caroline jak własną córkę. Wychowywała ją przecież od czwartego roku życia. I czy Caroline nie nazywała jej mamą, odkąd pamięta? Natomiast ojciec Charity był bardziej opanowany, gdy oznajmił jej spokojnym tonem, że powinna wrócić do Anglii.

- Myślisz, że on naprawdę przyjechałby po ciebie do Ameryki, tak jak groził w liście, gdybyś nie chciała sama wrócić? - zapytała Charity.

- Tak, bo skończyły się nam wymówki - westchnęła Caroline. - Czy wiesz, że twoja mama na wszystkie jego listy z prośbą o mój powrót odpisywała wymyślając coraz nową chorobę, na którą rzekomo zapadałam? Chyba jedyną chorobą, której mi nie przypisała, pozostała dżuma, i to też tylko dlatego, że pewnie nie przyszła jej do głowy. Ojciec pewnie sądzi, że jestem najbardziej chorowitym dzieckiem pod słońcem.

- Ale przecież on wcale cię nie chciał. Oddał cię nam!

- To miało być tylko na jakiś czas. Nie wiem, jak to się stało, ale kiedy

umarła moja matka, ojciec najwyraźniej nie mógł się mną zająć...

- Twój ojciec jest hrabią. Na pewno mógł kogoś wynająć, żeby się tobą zajmował - przerwała Charity. - Niby dlaczego masz teraz do niego wrócić? Przecież to nie ma sensu!

- Już niedługo będę znała odpowiedzi na te pytania.

- Caroline, jakie są twoje najwcześniejsze wspomnienia? Bo ja pamiętam, jak spadłam z dachu obory Brewsterów, kiedy miałam sześć lat.

- Wszystkie moje wspomnienia zaczynają się w Bostonie - odparła Caroline. Czują, jak zimna dłoń zaciska się na jej sercu, i chciała jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

- Cóż, zupełnie cię nie rozumiem. Masz podstawy, by go nienawidzić, a jednak... Nie patrz tak na mnie! Wiem, że to źle kogoś nienawidzić, ale najwyraźniej twój papa wcale cię nie chciał, a teraz po czternastu latach zmienił zdanie. Dlaczego on w ogóle nie liczy się z twoimi uczuciami?

- Pozostało mi jedynie wierzyć, że chciał dla mnie jak najlepiej - powiedziała cicho Caroline.

- Widziałaś, jaki Caimen był wściekły, że wyjeżdżasz? - Charity aż wzdrygnęła się na myśl o furii starszego brata.

- Mam dług wdzięczności wobec twoich rodziców i braci i nie wolno mi o tym zapominać. - Zabrzmiało to jak obietnica. - Nienawiść i złość to bardzo niszczące uczucia. Poza tym wcale nie zmieniają faktów.

Charity zmarszczyła brwi.

- Nie mów mi tylko, że tak spokojnie godzisz się z losem. Ty, która zawsze miałaś jakiś plan. Powiedz mi, co zamierzasz zrobić. Siedzenie i czekanie na rozwój wydarzeń niepodobne jest do ciebie. Ty jesteś typem wojującym, a niesiedzącym.

- Siedzącym? - zaśmiała się Caroline.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Nie siedzisz i nie czekasz, tylko atakujesz.

- No cóż, obiecałam sobie, że spędzę z nim cały rok. Tyle jestem mu winna. Postaram się go polubić, a potem oczywiście wrócę do Bostonu.

- A jeżeli on na to nie pozwoli? - Charity znowu zaczęła miętosić rękawiczkę.

Caroline pospieszyła z pociechą.

- Muszę mieć nadzieję, że jeżeli będzie mi tu naprawdę źle, to on pozwoli mi wrócić. Nie martw się, Charity. To moja jedyna nadzieja, więc mi jej nie odbieraj.

- Nic nie mogę na to poradzić. Przecież on może wydać cię za męża, zanim się obejrzysz!

- Tb byłoby okropne i nie wierzę, że zrobiłby coś takiego.

- Mam nadzieję, że słyszałaś, jak Caimen obiecywał Luke'owi i Justinowi, że jeżeli nie wrócisz za pół roku, to on przyjedzie tu osobiście i przywiezie cię do domu!

- Słyszałam - przytaknęła Caroline. - Nawet George, zawsze taki nieśmiały i zamknięty w sobie, powiedział mi to samo. Wszyscy twoi bracia byli wobec mnie bardzo lojalni.

Caroline uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie kuzynów. Miała wiele szczęścia, że mogła spędzić z nimi tak dużo czasu. Niekiedy sądziła, że to oni ukształtowali jej charakter. Była podobna do wszystkich braci po trochu: miała sposób bycia i wybuchowy temperament Caimena, a czasami w swojej nieśmiałości przypominała George'a. Od Justina przejęła poczucie sprawiedliwości, a od Luke'a niezwykle poczucie humoru.

- Powinnyśmy wysłać list do twojego ojca, zanim opuściliśmy Boston - zauważyła poniewczasie Charity.

- Masz doprawdy zadziwiającą pamięć - zaśmiała się Caroline. - Po nadejściu listu od papy, to ty nalegałaś, abyśmy jak najszybciej wyjechały.

- Tylko dlatego, że Caimen usiłował przekonać mamę, że nie powinnam jechać - wyjaśniła dziewczyna. Jej głos brzmiał tak, jak gdyby usiłowała

wytłumaczyć idiotcie coś bardzo skomplikowanego. Westchnęła zirytowana zachowaniem Caroline, po czym zapytała: - Kim był dżentelmen, który pomagał ci opatrywać tego rannego pana? Zauważyłam, że był bardzo przystojny.

- Wcale nie - odparła Caroline walcząc z zakłopotaniem. - Wcale mi się nie podobał.

- Nie mówisz poważnie! Nawet bez okularów widziałam wyraźnie, że był niezwykle.

- Wystarczy! Był niezwykle arogancki i wcale się nie zmartwię, jeżeli już nigdy go nie zobaczymy, co jest zresztą wielce prawdopodobne.

Charity spojrzała na kuzynkę zaskoczona tym wybuchem i dodała niewinnie:

- Taki ogromny mężczyzna! I miał najbardziej błękitne oczy, jakie w życiu widziałam.

- Wcale nie były błękitne, tylko ciemnobrązowe ze złotymi iskierkami - powiedziała Caroline, zanim zdążyła się powstrzymać.

Charity zaśmiała się.

- A więc jednak zwróciłaś na niego uwagę! Dałaś się złapać! Dobrze widziałam, że jego oczy nie były błękitne. Poza tym zauważyłam, że miał trochę za długie włosy, które mu się kręciły.

- Wcale nie tak bardzo - wzruszyła ramionami Caroline.

- Trochę się go wystraszyłam. Wydawał się taki...

- Władczy? - zasugerowała Caroline, a gdy Charity kiwnęła głową, dorzuciła: - Nazywa się Bradford i nie chcę już więcej o nim rozmawiać. Czy udało ci się znaleźć to zgubione szkło z okularów?

- Tak, dałam je Benowi. Obiecał, że mi je naprawi, gdy tylko dojedziemy do domu twojego ojca. Władczy to dobre określenie dla tego Bradforda, prawda? Taki nie da sobą dyrygować.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że nie będziesz mogła wodzić go za nos jak Clarence'a.

- Za nic Clarence'a nie wodzę - zaprotestowała Caroline. - W końcu jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Clarence chodzi za tobą jak pies - stwierdziła Charity. - On jest zbyt słaby dla ciebie. Nawet Caimen tak mówi. Ty potrzebujesz kogoś zdecydowanego, bo w przeciwnym razie zmieciesz go z powierzchni ziemi.

- Bzdury opowiadasz - broniła się Caroline. Spokojnie wypowiedane uwagi Charity raniły ją.

- Poczekaj, poczekaj. Widziałam, w jaki sposób on patrzył na ciebie. Założę się, że pan Bradford będzie chciał cię zdobyć. Ależ tak - stłumiła w zarodku protest Caroline. - Kiedy się zakochasz, kiedy ktoś tak silny jak Bradford zdobędzie twoje serce, wtedy zmienisz zdanie. Ale oczywiście nie powinnaś się zakochiwać w Angliku, skoro masz zamiar wrócić do Bostonu.

Caroline nie odpowiedziała na absurdalne uwagi Charity. Nie miała zamiaru w nikim się zakochiwać. Zmęczenie i brak snu spowodowały, że paplanina kuzynki bardziej niż zwykle działała jej na nerwy.

Podróż z Bostonu do Londynu wydawała się trwać wieki. Caroline bardzo szybko przyzwyczała się do kołysania statku, co zostało docenione przez kapitana i marynarzy, lecz Charity i Benjamin nie mieli tyle szczęścia. W związku z tym przez większą część podróży Caroline leczyła chore brzuchy i złe nastroje, co było bardzo wyczerpującym zajęciem.

Ostatniego wieczoru przed przybyciem do Londynu wysłali depezę do hrabiego Braxton. Została jednak odesłana wraz z wiadomością, że hrabia przebywa obecnie w wiejskiej rezydencji, oddalonej około trzech godzin drogi od miasta. Caroline chciała pozostać w mieście, lecz Charity, czego można się było po niej spodziewać, nalegała, by natychmiast ruszać w drogę.

- Nareszcie jesteśmy na miejscu! - wykrzyknęła teraz radośnie, irytując tym kuzynkę jeszcze bardziej. Jej głos nie zdradzał najmniejszego śladu zmęczenia. Wychylała się przez okienko powozu, patrząc na dom, i Caroline musiała pociągnąć ją za ramię, aby się cofnęła i otworzyła drzwiczki.

- Wiedziałam, że to będzie piękny dom - powiedziała Charity. - W końcu twój ojciec jest hrabią. Czy bardzo jesteś zdenerwowana?

- Oczywiście, że nie. Przecież papy tu nie ma - odparła Caroline dotykając ceglanego muru domu. Musiała przyznać, że sprawiał imponujące wrażenie. Od frontu znajdowały się duże prostokątne okna o framugach pomalowanych na kolor kości słoniowej, co ładnie kontrastowało z odcieniem ceglanej ściany. Kotary, także barwy kości słoniowej, nadawały oknom poważny i uroczysty wygląd.

Do frontowych drzwi wiodły z chodnika cztery stopnie, pomalowane na ten sam kolor co framugi okien. Na drzwiach wisiała rzeźbiona w czarnym drewnie kołatka. Caroline nie zdążyła jednak jej dotknąć, gdy drzwi same się otworzyły.

Oceniła, że mężczyzna przed nią to lokaj. Choć niewiele wyższy od Charity, był równie imponujący jak cały dom. Od stóp do głowy ubrany na czarno, nawet bez białego krawata dla złagodzenia efektu, z nieprzeniknioną twarzą. Dopiero gdy Caroline przedstawiła się jako córka hrabiego Braxton, uśmiechnął się do niej półgębkiem, wydawało się jednak, że uczynił to szczerze.

Zaprosił całą trójkę do środka i przedstawił się jako Deighton, służący hrabiego. Wyjaśnił, że dopiero co przyjechał, by nadzorować służbę przy otwieraniu domu na czas sezonu. Powiedział także, że hrabia powinien zjawić się przed zapadnięciem zmroku. Caroline zdała sobie sprawę, że rozminęłaby się z ojcem, gdyby nie zawróciła w połowie drogi.

Cały dom tętnił podnieceniem i pracą. Bardzo szybko doceniła poważne podejście Deightona do obowiązków. Dowiedział, że zna się na rzeczy, gdy szybko odesłał dwie pokojówki do rozpakowania bagażu gości.

Dom składał się ogromnego salonu i pięciu sypialni na piętrze. Dziewczętom przydzielono pokoje przylegające do siebie.

Caroline poszła z Benjaminem na drugie piętro, by się przekonać, że i jego pokój jest odpowiedni. Potem zostawiła go samego, by spokojnie się

rozpakował, i wróciła do Charity. Pomogła jej znaleźć drugą parę okularów, a potem udała się do swego pokoju, aby sprawdzić, czy jej bagaż został już rozpakowany.

Pomimo zmęczenia czuła się niespokojna i nie mogła usiedzieć na miejscu. Wiedziała, dlaczego tak się dzieje - tego wieczoru miał tu przyjechać jej ojciec. Zastanawiała się, jaki będzie jego stosunek do niej. Czy papa będzie tak czuły jak w listach? Czy będzie zawiedziony, czy zadowolony z jej obecności? Czy spodoba mu się? Czy polubi ją? No i czy ona polubi jego?

Zatrzymała się przed drzwiami imponującej biblioteki i zajrzała do środka. Pokój był dokładnie wysprzątny, lecz nie miał w sobie odrobiny przytulności ani ciepła. Zastanawiała się, czy jej ojciec jest jak ten pokój - idealny i nieprzystępny?

Czuła coraz większy lęk przechodząc przez kolejne pokoje. Wszystko tu było takie porządne! Takie porządne i takie zimne, odpychające. Salon znajdujący się po lewej stronie od wejścia był bardzo elegancki, pięknie udekorowany złotem i kością słoniową, lecz mało zachęcający. Na próżno starała się wyobrazić tu sobie kuzynów. Bogate meble nie pasowały do postawnych chłopców nawykłych do ciężkiej pracy i nigdy niepamiętających, by wycierać buty przed wejściem do domu. Nie, Caimen, Justin, Lukę i George czuliby się tu tak samo nie na miejscu jak ona w tej chwili.

Na prawo od wejścia była ogromna jadalnia. W samym jej centrum stał mahoniowy stół z kompletem dwunastu krzeseł. Jednak uwagę wchodzących musiał przyciągać bufet pod przeciwległą ścianą, na którym ustawione były kryształły. Również i temu pokojowi brakowało przytulności; biło z niego natomiast bogactwo i luksus.

Idąc korytarzem, Caroline natknęła się na drugą bibliotekę, znajdującą się tuż za salonikiem. Odetchnęła z ulgą, gdy otworzywszy drzwi zobaczyła bałagan. Tego pokoju ojciec najwyraźniej często używał. Zanim weszła, przez moment zawahała się, czy przypadkiem nie narusza jakiegoś sanktuarium. Jej

uwagę przyciągnęło piękne biurko i dwa fotele, które z pewnością pamiętały lepsze czasy. Dwie ściany były od sufitu do podłogi zastawione półkami z książkami. Duże okno wychodziło na ogród i gdy Caroline już nacieszyła się pięknym widokiem, odwróciła się, by spojrzeć na przeciwległą ścianę. Jej oczom ukazał się zaskakujący obraz. Cała ściana pokryta była rysunkami. Jej rysunkami. Były tam bardzo nieporadne wizerunki zwierząt, które musiała stworzyć jeszcze we wczesnym dzieciństwie. Były tu też jej rysunki domów i kwiatów. Na środku wisiał obrazek, na którego wspomnienie wybuchnęła śmiechem. Jakby to było wczoraj, pamiętała swoją pierwszą próbę portretu rodzinnego. Namalowała tu wszystkich: Charity i jej braci, swych przybranych rodziców, nawet papę, choć jego postać znajdowała się w pewnej odległości od pozostałych.

Efekt jej wysiłków był doprawdy komiczny. Caroline narysowała wszystkim brzuchy w formie ogromnych kół i bardzo dokładnie zaznaczyła zęby. Uśmiechnięte twarzyczki z ogromnymi wyszczerzonymi zębami! Miała nie więcej niż sześć lat, gdy namalowała ten portret rodzinny, i pamiętała, że była z niego bardzo dumna.

Fakt, że ojciec zachował wszystkie jej rysunki, zadziwił ją. Poczowała bliżej nieokreślone ciepło w okolicy serca. Matka Charity musiała wysyłać mu te rysunki przez lata, nic jej nie mówiąc.

Oparta o biurko, Caroline długo obserwowała układ obrazków na ścianie. Zdała sobie sprawę, że im była starsza, tym rzadziej pojawiał się na nich ojciec. A jednak nadal je zachowywał! To sprawiło, że po raz pierwszy zobaczyła w nim nie hrabiego, lecz ojca. Ze smutkiem zdała sobie sprawę, że w ten sposób starał się dzielić z nią jej dzieciństwo.

Będąc z natury niezwykle oddana i lojalna, poczuła się niepewnie. Kolekcja rysunków dowodziła, że jednak ojciec myślał o niej. Dlaczego w takim razie odesłał ją do Bostonu? Przecież musiał zdawać sobie sprawę, że z czasem zacznie mówić do swojej ciotki i wujka „mamo” i „tato”. Przecież miała tylko

cztery lata, gdy została ich „dzieckiem”! Było naturalne, że bracia Charity staną się jej braćmi. Musiał wiedzieć, że w nowym otoczeniu i wśród nowych postaci zatra się wspomnienia.

Ogarnęło ją poczucie winy. Zdała sobie sprawę, że on się dla niej poświęcił, tak jak mama powtarzała to tysiące razy. Mówiła jej, że hrabia uważał dom rodzinny, stabilny i pełen miłości, dom swego młodszego brata, za bardziej odpowiedni dla dziecka.

Tylko dlaczego nie pomyślał, że jej wystarczyłaby jego miłość?

Boże, przecież ona jako córka nic nigdy dla niego nie zrobiła. Pamiętała, jak starała się wynajdywać wymówki, gdy kazano jej od czasu do czasu napisać do niego parę miłych słów. Przed wyjazdem snuła plany, jak by najszybciej wrócić do Bostonu. Do obcego człowieka mówiła „papo”, zapominając o własnym ojcu. Nigdy w życiu nie czuła się tak podle jak w tej chwili.

Żałowała, że w ogóle zobaczyła te rysunki. Wybiegła z pokoju, czując wzbierające w oczach łzy. Chciała być teraz w Bostonie i sama sobą za to gardziła. Poczowała się jak nic niewart tchórz. Czy będzie w stanie ofiarować ojcu miłość równie łatwo, jak rodzinie w Bostonie?

Wróciła do swojej sypialni i położywszy się na łóżku, starała się zapanować nad zamętem w głowie. Logiczna część jej umysłu mówiła, że była tylko małym dzieckiem pozbawionym rodziny, które pokochałoby każdego, kto by się nim zajął, więc lojalność nie ma tu nic do rzeczy. Ale serce nadal się jej ścisnęło. O ile łatwiej byłoby mieć do czynienia z zimnym i niekochającym hrabią.

Jak miała się zachować? Nie mogąc znaleźć odpowiedzi na to pytanie i wyczerpana podróżą, zapadła w głęboki sen.

Gdzieś w środku nocy obudziło ją skrzypienie otwieranych drzwi. Udając, że nadal śpi, obserwowała spod przymkniętych powiek starszawego mężczyznę, który najpierw zawahał się w progu, a potem powoli podszedł do jej łóżka. Zanim zamknęła oczy, zobaczyła łzy płynące po jego policzkach. Był podobny

do wuja i Caroline od razu wiedziała, że to jej ojciec.

Otulił ją kołdrą i ten czuły gest prawie doprowadził ją do łez. Potem ręka ojca delikatnie pogładziła jej włosy i dziewczyna usłyszała szept przepelniony miłością:

- Witaj w domu, córeczko!

Delikatnie pocałował ją w czoło i wyprostowawszy się, poszedł do drzwi. Zapach tytoniu i wody kolońskiej unosił się za nim i oczy Caroline rozwarły się szeroko. Znała tę woń, pamiętała ją. Próbowala ją połączyć z jakimś konkretnym obrazem albo uczuciem, lecz wydawały się równie nieuchwytnie jak robaczki świętojańskie. Wspomnienie było w zasięgu ręki, ale cały czas jej się wymykało.

Jednak zapach na razie wystarczał, otulał ją niby poranna mgła, wypełniał zadowoleniem i miłością. Nagle poczuła ogarniający ją spokój.

Czekała, aż papa położy rękę na klamce. Gdy już niemal zamknął drzwi za sobą, nie mogła się powstrzymać i wypowiedziała dawno zapomniane słowa:

- Dobranoc, papo.

Zdawało się, że powtarza cowieczorny, dobrze znany rytuał, i choć nie mogła przypomnieć sobie szczegółów, wiedziała, że powinna jeszcze coś dodać. Zmagala się ze sobą, by wyrazić to, co czuła, lecz słowa przysły do niej same:

- Kocham cię, papo.

Rytuał został dopełniony. Caroline zamknęła oczy i pozwoliła ulecieć wspomnieniom jak nieuchwytnym robaczkom świętojańskim.

Nareszcie wróciła do domu.

3

Księżę Bradford nie mógł zapomnieć o pięknej, błękitnookiej nieznajomej. Jej niewinność pociągała go, uśmiech oczarował, lecz przede wszystkim zachwyił go jej cięty język. Księżę był cynikiem i sam przed sobą przyznawał, że mało która kobieta jest w stanie go zachwyić. Jednak za każdym razem, gdy przypomniiał sobie jej bezczelną groźbę, że zastrzeli jego

ulubionego konia, musiał się uśmiechnąć. Ta dama odznaczała się niespotykaną odwagą i podziwiał ją za to.

Pod koniec dnia, w którym zdarzył się wypadek, Bradford odwiózł przyjaciela do domu i powierzywszy go troskliwej opiece służby, powrócił do swojego mieszkania w Londynie. Bez względu na koszty chciał odnaleźć Caroline. Wiedział o niej tylko to, że przyjechała do Anglii, by odwiedzić ojca. Sposób, w jaki mówiła o londyńskim towarzystwie, nasunął mu myśl, że jej ojciec także należy do elity. Może nawet miał tytuł. Ta mała, zabawna kuzyneczka wspominała także coś o powrocie do domu w Londynie i czekaniu na ojca Caroline. Bradford domyślał się, że zapewne odpoczywał on w swojej wiejskiej rezydencji aż do rozpoczęcia sezonu.

Nie wiedzieć czemu, był pewien, że odpowiesi na nurtujące go pytania zdobędzie jeszcze przed zapadnięciem nocy. Jednak pod koniec czwartego dnia cała pewność go opuściła. Nie znalazł nawet cienia tropu i jego irytacja sięgnęła zenitu.

Stawał się coraz bardziej zgorzkniały, a uśmiechy, które tak dziwiły i cieszyły służbę w pierwszych dniach po jego powrocie, zniknęły bez śladu. Księżę wrócił do swego dawnego stanu - był zły i nieprzystępny. Kucharka mówiła wszystkim, że tak jest dobrze, ale ona nikomu nie była życzliwa. Natomiast Henderson, osobisty służący Bradforda, zdawał sobie sprawę, że coś ważnego przytrafiło się jego panu, i martwił się tym.

Toteż bardzo ucieszyła Hendersona niezapowiedziana wizyta przyjaciela księcia, Williama Franklina Summersa, hrabiego Milfordhurst. Służący nie posiadał się z radości, prowadząc gościa krętymi schodami do biblioteki. Miał nadzieję, że może hrabia będzie w stanie przywrócić jego panu dobry nastrój.

Ponad dziesięć lat Henderson służył u ojca Bradforda, a gdy tragiczny wypadek zabrał nagle księcia i jego pierworodnego syna, z równą lojalnością zaoferował swoją służbę nowemu księciu Bradford. Tylko Henderson i najstarszy przyjaciel Bradforda, Milford, pamiętali, jaki był księżę, zanim na

jego barki spadł tytuł, a wraz z nim i obowiązki.

Spoglądając na Milforda, służący przypomniał sobie, że kiedyś obaj młodzieńcy byli bardzo do siebie podobni. Bradford był wówczas równie wielkim szelmą, co jego ciemnowłosy przyjaciel, i równie chętnie płatał psie figle damom z towarzystwa. Jednak w ciągu pięciu lat służby Henderson porzucił nadzieję, że jego pan kiedykolwiek powróci do dawno zapomnianego nastroju sprzed lat. Zbyt wiele wody upłynęło. Zbyt wiele zdrad się zdarzyło.

- Brad nie daje ci spokoju, co, Henderson? Całą drogę się smucisz - zauważył hrabia z typowym dla niego uśmiechem. Wyglądał dokładnie na takiego szelmę, jakim był w istocie.

- Musiało się zdarzyć coś, czym jego wysokość bardzo się martwi - odpowiedział stary służący. - Ja oczywiście nie śmiem pytać, co to takiego. Jestem jednak przekonany, że i wy, panie, dostrzeżecie zmianę w jego zachowaniu.

Chociaż Henderson nic więcej nie powiedział, Milford bardzo się zdziwił.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie na przyjaciela, by zrozumieć niepokój służącego. Zmian w wyglądzie Bradforda nie dałoby się nazwać „delikatnymi”, nawet przy najlepszych chęciach. Można by pomyśleć, że dopiero co wrócił z bardzo długiej podróży, i to spędziwszy całą drogę pod powozem.

Bradford siedział za masywnym biurkiem i właśnie adresował białą kopertę, podobną do tych, które zalegały na blacie. Biurko wyglądało, jakby przeszedł po nim huragan, lecz - co Milford ocenił na pierwszy rzut oka - jego przyjaciel sam też nie wyglądał lepiej. Po pierwsze, przydałoby mu się ogolić, a po drugie, jak długo już chodził w tym ubraniu?

- Witaj, Milford - rzekł do przyjaciela. - Zaraz tu skończę. Nalej sobie wina, dobrze?

Milford nie chciał pić, więc tylko usiadł w fotelu naprzeciw biurka. Bez skrępowania oparł nogi w wysokich butach o blat i zapytał:

- Co się dzieje, Brad? Wysyłasz listy do wszystkich ludzi w Anglii?

- Jesteś bliżej prawdy, niż ci się zdaje - mruknął Bradford nie podnosząc wzroku znad roboty.

- Wyglądasz, jakbyś nie spał od kilku dni - skomentował Milford. Nadal się uśmiechał, lecz w jego wzroku krył się niepokój. Im dłużej obserwował przyjaciela, tym bardziej był niespokojny.

- Bo nie spałem - odpowiedział wreszcie Bradford. Odłożył pióro i rozparł się wygodnie w fotelu. Biorąc przykład z gościa, oparł nogi na biurku i westchnął.

A potem bez chwili wahania opowiedział przyjacielowi o spotkaniu z kobietą imieniem Caroline, pomijając jedynie udział Brummella w całym wydarzeniu. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że za bardzo się rozwodzi opisując urodę nieznaną, dokładnie przywołując na pamięć kolor jej oczu i włosów. Zły na siebie, szybko dokończył historię, z furią mówiąc o bezowocnych poszukiwaniach ostatnich dni.

- Szukasz nie tam, gdzie trzeba - powiedział Milford, gdy już skończył się śmiać z Bradforda i jego opowieści, krążącej wciąż wokół jednego motywu. Po czym dodał: - Czy ona naprawdę twierdziła, że Ameryka jest bardziej cywilizowana niż Londyn?

Bradford zignorował uwagę.

- Co miałeś na myśli mówiąc, że szukam nie tam, gdzie trzeba? Przyjechała w odwiedziny do ojca, więc podążam tym tropem.

- Większość londyńczyków jeszcze nie zdążyła wrócić do miasta i dlatego nie słyszałeś żadnych plotek. Weź się w garść! Ona na pewno zjawi się na balu u Ashfordów. Wszyscy tam będą, więc Uczyłbym na to, że i ona przyjdzie.

- Balać dla niej nie znaczą - Bradford powtórzył słowa Caroline i złapawszy się na tym, potrząsnął głową. - Tak mówiła.

- To doprawdy dziwne. - Milford bardzo się starał, by nie wybuchnąć śmiechem. Już od dawna nie widział przyjaciela tak poruszonego, a to, że powód okazał się błahy, przyniosło mu ulgę. Miał też nadzieję, że uda mu się go

namówić na wspólną wyprawę na podbój Londynu, jak za dawnych czasów.

- Nie takie znowu dziwne - wzruszył ramionami Bradford. - Ja też nie chadzam na bale.

- Nie zrozumiałeś mnie. To twoje zachowanie jest dziwne. Nie widziałem cię w takim stanie od lat. Doprawdy, to trzeba uczcić! Na dodatek całe zamieszanie z powodu damy, która przyплыnęła z Ameryki! - Śmiech odebrał Milfordowi mowę, co bardzo zirytowało księcia.

- Dobrze się bawisz, co? - warknął, gdy tylko Milford na tyle się uspokoił, że był w stanie go usłyszeć.

- Jasne, że tak! Doskonale pamiętam pewną przysięgę, którą złożyłeś kilka lat temu. Mam wrażenie, że jej istota polegała na tym, iż z kobiet jest tylko jeden pożytek, a oddanie serca którejkolwiek z nich byłoby czystą głupotą.

- A czy ja wspominałem cokolwiek o oddawaniu serca komukolwiek?! - ryknął Bradford, po czym dodał już spokojnym tonem: - Jestem tylko zainteresowany. Nie irytuj mnie, Milford!

- Nie masz co się złościć. Chcę ci pomóc. - Młody mężczyzna zmusił się do zachowania powagi. - Jeżeli przybyły z Bostonu, to pewno zupełnie nie znają się na modzie. Powinieneś popytać krawców w tym pięknym mieście. Założę się, że rodzina z miejsca wyśle je właśnie do nich, nie chcąc, by przyniosły jej wstyd.

- Twoja logika mnie zdumiewa. Dlaczego ja na to nie wpadłem? - Cień nadziei pojawił się w głosie Bradforda.

- Bo ty w odróżnieniu ode mnie nie masz trzech młodszych sióstr.

- Zupełnie o nich zapomniałem. Co u nich słychać?

- Chowają się przed tobą. Przecież wszystkie boją się ciebie śmiertelnie - zachichotał Milford. -. Ale ja mogę ci przysiąc, że o modzie rozmawiają wszystkie kobiety, nie wyłączając moich sióstr. Powiedz mi, tylko prawdę, czy to jedynie zauroczenie, czy coś więcej? Przez ostatnie pięć lat zabawiałeś się tylko z kurtyzanami tego miasta. Nie wiesz, jak postępować z dobrze

wychowanymi panienkami, Brad. To może się źle skończyć.

Bradford nie odpowiedział od razu. Wydawało mu się, że zamiast myśli ma tylko uczucia.

- Sądzę, że to tylko chwilowe szaleństwo - odparł w końcu. - Mam wrażenie, że gdy znowu ją zobaczę, szybko mi przejdzie.

Milford przytaknął, choć ani na jotę nie uwierzył przyjacielowi. Bradford był tak pewny siebie, że hrabia nie śmiał mu przeczyć. Zostawił więc księcia przy pisaniu listów, a wychodząc czuł taką ulgę, że aby się nią z kimś podzielić, poklepał Hendersona po ramieniu.

Idąc ulicą pomyślał, że bardzo chciałby poznać dziewczynę z Ameryki, która podbiła serce Bradforda, co dotąd nie udało się jeszcze żadnej. I chociaż sam książę Bradford nie zdawał sobie z tego sprawy, dama o imieniu Caroline przywracała mu życie.

Milford poczuł, że już ją lubi.

Nadszedł poranek, a wraz z nim nowe pomysły i plany. Caroline Richmond, która zawsze wcześniej wstawała, bez względu na to, jak późno położyła się spać, powitała wschód słońca z dużym zadowoleniem.

Ubrała się szybko w prostą fioletową sukienkę, a niesforne włosy związała na karku białą wstążką.

Charity jeszcze spała, a sądząc ze stłumionych odgłosów dobiegających z góry, Benjamin właśnie wstawał. Caroline zeszła na dół z zamiarem poczekania na ojca w jadalni. Już go tam zastała, siedzącego przy długim mahoniowym stole. W dłoni trzymał filiżankę, a przed nim leżała gazeta. Nie widział Caroline stojącej w drzwiach, a ona starała się nie zwracać na siebie jego uwagi. Obserwowała go z równą uwagą, co on czytał gazetę.

Miał okrągłą twarz o wystających kościach policzkowych. Tak, był naprawdę bardzo podobny do swojego brata i Caroline uważała, że ma dużo szczęścia posiadając dwóch ojców. Wuj Henry ją wychował i za to go kochała. Nie miało to jednak nic wspólnego z miłością do człowieka, który dał jej życie.

Był ojcem, a obowiązkiem córki było go kochać.

Hrabia wreszcie wyczuł, że ktoś go obserwuje, i podniósł wzrok. Właśnie miał zamiar napić się herbaty, lecz zastygł w pół gestu. W jego piwnych oczach odbiło się zdziwienie. Caroline uśmiechnęła się, mając nadzieję, że on zobaczy w tym uśmiechu uczucie i że nie dostrzeże jej niepewności.

- Dzień dobry, ojczy. Czy dobrze spałeś?

Była tak zdenerwowana, że głos jej drżał. Nareszcie spotkała swojego ojca!

Filizanka z głośnym brzękiem spadła na stół. Herbata rozprysła się na wszystkie strony, lecz on nie zwracał na to uwagi. Chciał wstać, ale zmienił zdanie i opadł z powrotem na fotel. Łzy napłynęły mu do oczu i wytarł je jedwabną serwetką.

Był równie zdenerwowany i pozbawiony pewności siebie, co ona. Dostrzegłszy to, Caroline poczuła się lepiej. Zdała sobie sprawę, że on nie wie, jak ma się zachować. Obserwowała, jak wypuszcza z dłoni gazetę, i zrozumiała, że wszystko leży w jej rękach.

Podeszła doń z uśmiechem na twarzy, choć jego reakcja zaniepokoiła ją. Nie zatrzymała się, dopóki nie znalazła się tuż obok niego, i bez zastanowienia pocałowała go w policzek. Jej dotyk wyrwał go z transu. Wstał gwałtownie, przewracając do tyłu krzesło, i przyciągnął ją do siebie.

- Nie zawiodłeś się? - wyszeptwała Caroline w jego surduty - Czy jestem taka, jaką mnie sobie wyobrażałeś?

- Jak mógłbym być zawiedziony?! Jak mogłaś tak pomyśleć? Byłem tylko przez moment zaskoczony - wyjaśniał jej w pośpiechu między jednym uściskiem a drugim. - Jesteś bardzo podobna do swojej biednej matki, niech spoczywa w pokoju. Nie mógłbym być bardziej dumny z ciebie.

- Naprawdę jestem do niej podobna, ojczy? - zapytała Caroline, gdy tylko zwolnił trochę swój niedźwiedzi uścisk.

- Ależ oczywiście. Niech no jeszcze na ciebie spojrzę - poprosił, a ona

posłusznie odstepiła o krok i obróciła się dokoła. - Ale z ciebie ślicznotka! - pochwalił ją ojciec, po czym dodał, lekko marszcząc brwi: - Usiądź. Nie chcę, żebyś się nazbyt zmęczyła i mi tu jeszcze zemdląła.

Dziewczyna usiadła na podstawionym jej krześle. Czowała, że powinna się wytłumaczyć.

- Muszę ci coś powiedzieć, ojcze. Nie bardzo wiem, jak to wyrazić, ale chciałabym być z tobą od początku szczerą. Tak postanowiłam, gdy zobaczyłam twoją kolekcję moich dziecięcych rysunków... Więc chciałam ci powiedzieć... - nie mogła dokończyć zdania pod jego przenikliwym spojrzeniem.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że jesteś zdrowa jak ryba? - zapytał z błyskiem w oczach.

Caroline poderwała głowę słysząc te słowa.

- Tak. Nie przechorowałam ani jednego dnia w życiu. Przepraszam, papo. Jej ojciec zaśmiał się ze szczerym rozbawieniem.

- Jest ci przykro, że nigdy nie chorowałaś czy że razem z ciotką Mary usiłowałyście mnie nabrać?

- Tak mi wstyd! - Jednak to przyznanie się do winy wcale nie poprawiło jej nastroju. - Byłam tak bardzo...

- Szczęśliwa? - zapytał kiwając głową. Postawił z powrotem swoje krzesło i usiadł.

- Tak, byłam szczęśliwa. Tak długo mieszkałam z rodziną twojego brata! Muszę ci się przyznać, że cały czas traktowałam ciotkę Mary jak własną matkę i nawet mówiłam do niej „mamo”. Moi kuzyni stali się moimi braćmi, a Charity siostrą. Ale nigdy nie zapominałam o tobie, ojcze. Być może trochę zmieniałam twój wizerunek w swoich myślach, lecz zawsze pamiętałam, że to ty jesteś moim papą. Po prostu nigdy nie przypuszczałam, że będziesz chciał, bym do ciebie wróciła. Myślałam, że odpowiada ci taki układ, jaki jest.

- Rozumiem, Caroline. - Poklepał ją po ręce: - Zbyt długo zwlekałem z żądaniem, byś do mnie wróciła. Miałem jednak swoje powody, o których wolę

teraz nie mówić. Teraz dla mnie liczysz się tylko ty i dom.

- Czy myślisz, że będziemy potrafił się dogadać? Pytanie Caroline zdziwiło ojca.

- Wierzę, że tak. Musisz mi opowiedzieć, co słychać u mojego brata i jego rodziny. Rozumiem, że Charity także tu z tobą przyjechała. Powiedz, czy ona jest naprawdę taką kuleczką, jak pisała mi jej matka? - W jego głosie było tyle czułości, że Caroline musiała się uśmiechnąć.

- Jeżeli pytasz, czy nadal jest gruba, to wiedz, że ostatnio więcej mówi, niż je - odparła. - Charity jest teraz bardzo szczupła i właściwie nawet piękna. Myślę, że jej pojawienie się wywołała niemalą sensację. Jest naprawdę drobnutką blondyneczką, a te są podobno bardzo pożądane w tutejszym towarzystwie.

- Obawiam się, że ostatnio nie nadążałem za modą - przyznał się ojciec. Jego uśmiech zastąpiła nagła konsternacja. - Powiedziałaś, że musimy być ze sobą szczerzy, córeczko. Uważam, że masz rację. Widzisz, ja też nie byłem szczerzy w listach do ciebie.

- Nie byłeś szczerzy? - zdziwiła się Caroline.

- Nie, ale teraz powiem ci całą prawdę. Od twojego wyjazdu z wujem do Bostonu nie brałem udziału w ani jednym balu i uważany jestem powszechnie za dziwaka.

- Naprawdę? - zdziwiła się Caroline, a gdy potwierdził skinieniem głowy, powiedziała: - Przecież w twoich Ustach było tyle barwnych opisów przyjęć i balów, tyle plotek! Jakim cudem zdołałeś wymyślić wszystkie te szczegóły?

- Dzięki mojemu przyjacielowi Ludmanowi - odpowiedział ojciec. - On chodzi na wszystkie bale i zawsze wszystko mi opowiada. To za jego sprawą mogłem pisywać do ciebie te bajki.

- Czyżbyś nie lubił przyjęć, ojczu?

- Jest wiele powodów, którymi nie będę cię zanudzał - odrzekł krótko. - Brat twojej matki, markiz Aimsmond, i ja od czternastu lat nie zamieniliśmy ani słowa. Ponieważ on chodzi na pewne przyjęcia, ja na nich nie bywam. To dość

proste wytłumaczenie, lecz zupełnie wystarczające.

Caroline była zbyt zaciekawiona, by pozwolić mu na zmianę tematu.

- Od czternastu lat? Przecież to bardzo długo! Ojciec przytaknął.

- Markiz był wściekły, że wysłałem cię do Bostonu, i publicznie zapowiedział, że nie odezwie się do mnie, dopóki nie wrócisz do Anglii. Nie rozumiał powodów mojej decyzji, a ja ich nie wyjaśniałem.

- Rozumiem - powiedziała. Ale w rzeczywistości nic nie rozumiała. Im dłużej zastanawiała się nad jego słowami, tym mniej rozumiała. - Ojczy, czy mogę zadać ci jedno, ostatnie już pytanie, zanim powrócimy do innych tematów?

- Oczywiście. - Uśmiechnął się znowu, a Caroline poczuła się jeszcze bardziej onieśmielona.

- Co spowodowało, że mnie odesłałeś? Mama, to znaczy ciocia Mary, mówiła, że zrobiłeś to powodowany żalem po śmierci mamy. Że nie mogłeś dać sobie ze mną rady. Że uważałeś, iż będzie mi z nimi lepiej, i że miałeś na względzie jedynie moje dobro. Ale jeżeli to prawda, to dlaczego musiałam pozostać z nimi aż tak długo? - Nie zadała jednak pytania, na którym najbardziej jej zależało. Wszystko wskazywało na to, że on jej nie chciał. Czy tak było naprawdę? Czy była przedmiotem rodzinnej kłótni? Czy ojciec ją odesłał, by ukarać za coś markiza?

Czy nie kochał jej... wystarczająco mocno, by pozwolić jej zostać?

Caroline zmarszczyła brwi rozważając wszystkie te możliwości. Wyjaśnienia ciotki były zbyt proste. Już jej nie wystarczały, odkąd przestała być dzieckiem wierzącym we wszystkie słowa dorosłych. Przecież zachowane przez niego rysunki o czymś świadczyły. Dlaczego je zatrzymał?

- Musisz mi zaufać, Caroline - powiedział ojciec tonem zamykającym dyskusję. - Zrobiłem wtedy to, co uważałem za najszuszniesze. Obiecuję, że wytłumaczę ci wszystko w odpowiednim czasie. - Odkasznął, zanim zmienił temat. - Pewno jesteś głodna jak wilk. Marie, przynieś coś do jedzenia i więcej

herbaty! - zawołał przez ramię i starał się wytrzeć serwetką rozlaną herbatę.

- Właściwie to nie jestem głodna - zaprotestowała Caroline. - Podniecenie odebrało mi cały apetyt - przyznała się nieśmiało.

- To nawet dobrze - stwierdził ojciec. - Marie to moja nowa kucharka, a jej umiejętności pozostawiają wiele do życzenia. Jest zresztą trzecią kucharką w tym roku. Jak sama wiesz, problemy domowe zawsze są bardzo dokuczliwe.

Caroline uśmiechała się myśląc o wszystkich pytaniach, które miała ochotę mu zadać. Nie mogła jednak robić nic więcej niż potakiwać lub potrząsać głową w odpowiedzi, podczas gdy to on prowadził całą rozmowę przy śniadaniu.

Caroline prawie nie tknęła posiłku - rzeczywiście, jego jakość pozostawiała wiele do życzenia. Na bułeczkach można było połamać sobie zęby, ryba była niedopieczona, a dzem stanowczo za stary. Podążając za ojcem do biblioteki zastanawiała się, czyby nie poprosić Benjamina, żeby pomógł w kuchni. Wszakże on uwielbiał gotować i często pomagał w przygotowywaniu posiłków w domu w Bostonie.

Na powrót skupiła uwagę na ojcu. Stał, szczerząc zęby w uśmiechu, przed jej dziełami i z dumą pokazywał, że pozaznaczał daty na odwrocie każdego z rysunków. Wyjaśnił, że w ten sposób mógł obserwować jej rozwój.

- Zarzuciłam rysowanie - powiedziała Caroline ze śmiechem. - Jak widzisz, brak mi talentu.

- To nie ma znaczenia. Henry natomiast pisał mi, że bardzo szybko uczysz się języków.

- To prawda - przyznała. - Niestety mam okropny akcent.

Poza tym uczyłam się śpiewu i gry na fortepianie. Nie wychodzi mi to najgorzej, ale pochwał doczekałam się tylko od rodziny. Ojciec roześmiał się.

- Widzę, że na szczęście nie lubisz się chwalić. Caroline. Ale nie powinnaś także nie doceniać swoich talentów. - Usiadł w fotelu i poprosił córkę gestem, by zajęła drugi. - Powiedz, dlaczego Henry pozwolił Charity przyjechać

z tobą? Jestem z tego bardzo zadowolony, niemniej jednak również bardzo zaskoczony.

Caroline natychmiast opowiedziała ojcu o tym, jak Charity zakochała się w Paulu Bleachleyu i jak w tajemniczy sposób zniknął on potem z pola widzenia. Zakończywszy historię, zapytała ojca, czy słyszał coś o młodym mężczyźnie.

- Nie słyszałem - odpowiedział. - Ale to nic nadzwyczajnego, biorąc pod uwagę fakt, że nie bywałem ostatnio w towarzystwie.

- Ojczy, Deighton, twój służący, powiedział, że na sezon wracasz do Londynu. Czyżbyś w takim razie miał zamiar w tym roku udzielać się towarzysko?

- Ależ skąd! Zawsze wracam do Londynu o tej porze roku. Moja wiejska rezydencja jest zbyt chłodna, aby mieszkać tam zimą. A Deighton, który jest bardzo uparty, nalegał, by przygotować dom w mieście. Teraz, mając u boku swoją piękną córkę, wcale nie żałuję powrotu do miasta. Z chęcią powrócę także do życia towarzyskiego. - Zaśmiał się wesoło. - Caroline, wywołasz niezły szum!

- Masz na myśli reakcję markiza?

- Nie, to twoja uroda zwróci powszechną uwagę. Markiz oczywiście będzie zadowolony, mając w pobliżu córkę swojej zmarłej siostry. Ja jednak myślałem raczej o młodych byczkach i ich minach, kiedy cię zobaczą. Mama byłaby z ciebie taka dumna!

- Powiedz, jak ją poznałeś, ojczy? Ciocia Mary zawsze powtarzała, że ona była bardzo łagodna i bardzo dobra.

Hrabia Braxton uśmiechnął się czule, w zamyśleniu.

- Tak, to była bardzo dobra i kochająca kobieta, Caroline. I ujawszy dłoń córki, opowiedział jej, jak poznał i pokochał tę piękną czarnowłosą istotę.

- Ona była z ciebie bardzo dumna. Ja zawsze chciałem mieć syna i nawet nie myślałem o imieniu dla córki. Kiedy się urodziłaś, twoja matka śmiała się ze

mnie, aż łzy ciekły jej po policzkach. O, tak, bardzo była z ciebie dumna.

- *A czy ty byłeś zawiedziony?* - zapytała z uśmiechem Caroline. Ze sposobu, w jaki o tym mówił, wiedziała, że nie, lecz chciała to od niego usłyszeć. Czuła się jak mała dziewczynka, której opowiada się bajkę na dobranoc.

- Byłem tak samo zadowolony jak twoja matka - przyznał z uśmiechem. Ścisnął jej dłoń i wygrzebał z kieszeni chusteczkę. Osuszywszy oczy powiedział prawie spokojnym głosem: - Musimy teraz dopilnować, żebyście z Charity miały nowe suknie. Bal u księcia Ashford jest już za dwa tygodnie i wtedy was wprowadzę. Stary łotr co roku przysyła mi zaproszenie i chyba padnie, gdy tym razem się zjawię. - Zaśmiał się na myśl o minie Ashforda, gdy ujrzy go w swym salonie z piękną córką u boku.

Obserwując podniecenie ojca, Caroline pomyślała, że wcale jej nie zdziwi, jeśli zaraz zacznie zacierać ręce. Błyski humoru w jego oczach przypominały jej iskierki w oczach Luke'a, gdy przyszedł mu do głowy wyjątkowo dobry dowcip. Ojciec wydawał jej się podobny do chłopca obmyślającego nową psotę. Miała ochotę ostrzec go, by nie obiecywał sobie za dużo, lecz nie chciała burzyć jego dobrego nastroju. Przysięgała sobie, że zrobi wszystko, by go nie zawieść. Z Bożą pomocą może nawet jej się to uda. Może w ciągu dwóch tygodni nauczy się poprawności?

Przez cały ranek siedziała u boku ojca, słuchając opowieści o jego życiu w Anglii. Zauważyła, że częściej mówił o narastających problemach kraju niż o sobie, i zrozumiała, jak bardzo był samotny. Pomyślała, że gdyby tylko chciał, mógłby ją mieć przy sobie przez ostatnie czternaście lat. Jednak nie potrafiła go za to winić.

Za jej wyjazdem do Bostonu coś się kryło, była tego pewna. Wierzyła, że gdy zdobędzie pełne zaufanie ojca - pozna prawdę.

Caroline zdała sobie sprawę, że będzie zmuszona złamać obietnicę daną kuzynom w Bostonie. Dziecinną obietnicę, u której podstaw leżały gniew i

zagubienie. Teraz zaakceptowała fakt, że jej miejsce było tu, u boku ojca. Nigdy nie wróci do Bostonu. To tu była jej przyszłość.

Tylko poczucie humoru ratowało Caroline przed desperacją. Poczucie humoru i wieczna paplanina Charity. Kuzynka uwielbiała być w centrum uwagi i szybko zaprzyjaźniła się z madame Newcott, krawcową, która miała dość niezwykle pomysły dotyczące materiałów i wykrojów. Charity była zachwycona każdą chwilą tego, co Caroline nazywała ciężkim obowiązkiem.

Hojność hrabiego Braxton wcale się nie zakończyła na jednej sukni dla każdej z dziewcząt. Szczęśliwy, że ma je przy sobie, najwyraźniej chciał przepełnić ich szafy garderobą na każdą okazję.

Madame Newcott zasugerowała różowe i żółte tkaniny na suknie dla Charity, z koronkami tu i ówdzie dla podkreślenia jej drobnej figurki. Nie chciała też, by bufki i fałdy zbyt przytłaczały szczupłą postać dziewczyny.

Natomiast dla Caroline zaproponowała materiały błękitne, lawendowe albo w kolorze kości słoniowej. W tej kolekcji znajdowała się suknia tak obcisła i z tak mocno wyciętym dekoltem, że Caroline była przekonana, iż nigdy jej nie włoży. Czułaby się w niej bardzo nieswojo i powiedziała o tym Charity.

- Mama poradziłaby ci narzucić szal na ramiona, a papa nie wypuściłby cię w niej z domu. Wuj będzie musiał laską odpędzać od ciebie konkurentów, gdy się w niej pokażesz publicznie.

- Od tego przymierzania, przypinania i upinania już dawno porobiły mi się sińce - zauważyła Caroline.

Kłęcząca na podłodze madame Newcott, robiąca ostatnie poprawki w tym, co nazywała piękną kreacją, puściła tę uwagę mimo uszu.

- Kiedy wraca twój ojciec? - zmieniła temat Charity.

- Jutro rano. Markiz mieszka dość daleko od Londynu i ojciec ma zamiar spędzić u niego noc.

- Markiz jest młodszym czy starszym bratem twojej matki?

- Starszym - odparła Caroline. - Mam jeszcze jednego wuja. Franklina,

który byłby młodszy o dwa lata od mojej mamy, gdyby żyła.

- Dlaczego twój papa nie wysłał markizowi wiadomości, że jesteś już w Londynie? Po co sam do niego jechał? Po co tyle zachodu?

- Ojciec powiedział, że chce mu wszystko wyjaśnić osobiście - Caroline zmarszczyła brwi. - Wiesz, dopiero gdy on mi o tym powiedział, dotarło do mnie, że mam dwóch wujów ze strony mamy. Czy to nie dziwne, że ojciec nagle tak bardzo się zmienił?

Charity przez moment się nad tym zastanawiała, po czym wzruszyła ramionami na znak, że temat został wyczerpany.

- Szkoda, że nie mam twojego wzrostu i kształtów - westchnęła, ostrożnie wkładając suknię, tak by nie podrzeć delikatnego materiału, który się trzymał tylko na szpilkach.

- Lepiej mieć za mało niż za dużo - powiedziała Caroline. - Ty masz idealne kształty.

- Madame Newcott, czy wie pani, że Caroline uważa, iż ma za długie nogi i zbyt pełne piersi, by być piękna?

- Nigdy tak nie mówiłam! - zaprotestowała dziewczyna. - Jestem po prostu praktyczna. Długie nogi przynoszą wiele pożytku, gdy jeżdżę konno, ale jakoś do tej pory nie mogę znaleźć zastosowania dla... - urwała kładąc rękę na piersiach.

Charity wybuchnęła śmiechem.

- Dałby nam Caimen za takie mówienie!

- Ależ to prawda - powiedziała Caroline spoglądając w lustro. - Moje włosy są takie nieposłuszne. Nigdy nie potrafię dojść z nimi do ładu. Czy myślisz, że powinnam je obciąć?

- Ani się waż!

- No, dobrze. Może rzeczywiście wyglądałabym wtedy trochę dziwnie.

- Mogłabym ci je trochę podciąć i wyrównać. Odrośną ci, zanim wrócimy do Bostonu.

Caroline wiedziała, że musi powiedzieć kuzynce o swojej decyzji, i uśmiech zniknął z jej twarzy. Potrząsnęła głową.

- Nie jestem pewna, czy wrócę do Bostonu, Charity. Dziewczyna chciała zaprotestować, ale powstrzymał ją wzrok Caroline. Nie chciała rozmawiać o tym przy madame Newcott i Charity na szczęście to rozumiała.

Jednak gdy tylko drzwi zamknęły się za krawcową, Charity znowu wróciła do tematu.

- Mam nadzieję, że nie wyciągasz pochopnych wniosków. Jesteśmy tu dopiero od dwóch tygodni. Poczekaj trochę z podjęciem decyzji. Wielkie nieba, nasi bracia padną, gdy się o tym dowiedzą!

- Obiecuję ci, że nie podejmę żadnych pochopnych decyzji - westchnęła Caroline. - Nie mogę jednak opuścić ojca. Po prostu nie mogę. Tu jest teraz mój dom. I pozostanę tu, dopóki żyje mój ojciec.

- Więc nie chcesz opuścić swojego ojca, mimo że on opuścił ciebie? - Policzki Charity zaczynały pałać i Caroline wiedziała, że kuzynka wpada w coraz większą irytację. - Przez czternaście lat cię ignorował! Jak możesz o tym tak szybko zapominać?

- Nie zapominam - odparła Caroline. - Wiem, że miał swoje powody. O wiele poważniejsze niż te wszystkie, o których tyle razy mi mówiono. Wiem też, że któregoś dnia je poznam.

- Nie będę się z tobą kłóciła, siostrzyczko - rzekła z uśmiechem Charity. - Za parę dni pójdziemy na nasz pierwszy bal. Twój ojciec jest tym bardzo podniecony, a ja nie chcę pozbawiać go entuzjazmu. Obiecuj mi tylko, że poczekaś z podjęciem decyzji. Nie poruszę tego tematu przez... dwa tygodnie. Zresztą, Caroline, przecież ty nawet nie lubisz Anglików!

- Nie miałam okazji poznać zbyt wielu - odpowiedziała dziewczyna.

Ta rozmowa przypomniła jej o podobnej, którą przeprowadziła z rannym mężczyzną na drodze. Potem jej myśli powędrowały do Bradforda i wrażenia, jakie na niej wywarł. Zdała sobie sprawę, że myśli o nim częściej, niżby sobie

tego życzyła. Miała wrażenie, że w jakiś dziwny sposób on jej zagraża. Oczywiście przesadzam - powiedziała sobie - przecież w końcu to tylko mężczyzna.

Wreszcie nadszedł wieczór ich pierwszego balu. Przyjęcie u Ashfordów - jak wyjaśnił ojciec Caroline - było traktowane przez wszystkich jako sygnał otwarcia sezonu. Każdy, kto się liczy, musiał tam być.

Dużo czasu zajęły Caroline przygotowania do balu. Pokojówka starała się upiąć jej włosy według najnowszej mody, ale te wysiłki poszły na marne. Caroline wyczesła wszystkie spinki i pozwoliła włosom swobodnie opadać na ramiona.

Jej fioletowo-srebrzysta suknia miała bardzo nisko wycięty dekolt, który odsłaniał, więcej niż trochę, pełne piersi. Odpowiednio dobrane pantofelki i srebrzyste rękawiczki dopełniały stroju. Stojąc przed lustrem, Caroline pomyślała, że wygląda całkiem nieźle.

Mary Margaret, nowa pokojówka zatrudniona przez Deightona, nie mogła się nadziwić, jaka jej nowa pani jest piękna.

- Pani oczy odebrały blask sukni - powtarzała. - To doprawdy cudowne. Och, jakżebym chciała móc zamienić się w małą myszkę i pójść z panią na bal. Wywoła panią ogromne zamieszanie.

- Jeżeli zamienisz się w myszkę i pójdziesz ze mną na bal, to ty wywołasz zamieszanie - zaśmiała się Caroline. - Ale jeżeli na mnie zaczekasz, to opowiem ci wszystko ze szczegółami.

Sądząc z wyrazu nieziemskiego uwielbienia na twarzy pokojówki, Caroline nie zdziwiłaby się, gdyby ta padła w podziękę na kolana. Zachwyty dziewczyny ją speszył.

- Jestem bardzo zdenerwowana. Mary Margaret. To mój pierwszy bal.

- Ależ co za nonsens, lady Caroline - zaprotestowała dziewczyna. - Jest pani przepiękna, a pani pozycja była pewna od dzieciństwa.

- Jestem tylko prostą wiejską dziewczyną - odparła Caroline. Pokojówka

wyglądała, jakby miała zamiar podjąć wyzwanie, więc Caroline szybko podziękowała jej za pomoc i poszła poszukać ojca i Charity.

Oboje czekali na nią u stóp schodów. Charity wyglądała uroczo z włosami skręconymi w burzę loczków i upiętymi za pomocą różowej wstążki. Jej suknia była w tym samym kolorze co wstążka, o bardzo prostym kroju, odsłaniająca szczupłe ramiona. Caroline nie miała wątpliwości, że kuzynka zostanie gorąco przyjęta przez tutejsze towarzystwo.

Hrabia Braxton obserwował córkę schodzącą po schodach.

Jego uśmiech i łzy w oczach mówiły, że jest z niej bardzo dumny. Kiedy przetarł oczy chusteczką wyjętą z kieszonki kamizelki, zapytała, czy długo na nią czekał.

- Czternaście lat - odparł bez namysłu. Caroline uśmiechnęła się słysząc tak szczerą odpowiedź. Ojciec dodał szybko: - Wyglądasz cudownie. Będę musiał odpędzać od ciebie adoratorów.

Gdy już siedzieli w powozie w drodze na bal, Charity zapytała:

- Czy wuj widuje się z kimś szczególnym?

- Że co, przepraszam? - nie zrozumiał hrabia.

- Charity chciałaby wiedzieć, czy w twoim życiu jest jakaś wyjątkowa kobieta - wytłumaczyła Caroline. Nie powiedziała kuzynce, jakim odludkiem przez ostatnie lata był ojciec.

- Jeżeli o to ci chodzi, to nie, nie ma nikogo szczególnego. Wieki temu, co prawda, widywałem dość często lady Tillman.

- Być może i ona będzie dzisiaj na balu - powiedziała Caroline.

- Jej mąż zmarł niedługo po tym, jak poślubiłem twoją matkę. Przypominam sobie, że miała córkę. Ciekaw jestem, co z niej wyrosło.

- Ależ, wuju, musisz być bardzo samotny. Nie wyobrażam sobie, że możesz żyć zupełnie sam! - wykrzyknęła Charity.

- Nie rozumiesz - odrzekł - bo wychowywałaś się wśród braci.

- No i zawsze była też Caroline - dodała Charity. - Ona jest moją siostrą,

odkąd tylko pamiętam.

Wszyscy troje zamilkli, gdy powóz zajechał przed dom zbudowany z kamienia. Caroline tak właśnie zawsze wyobrażała sobie pałace i teraz poczuła ogromną treść.

- Jest bardzo ciepło jak na tę porę roku - zauważył ojciec pomagając dziewczętom wysiąść z powozu. Szedł między nimi trzymając łokieć córki prawą ręką, a Charity lewą.

Charity potknęła się o stopień i Caroline poczuła się w obowiązku przypomnieć jej, że powinna założyć okulary.

- Gdy tylko wejdziemy do środka - odpowiedziała kuzynka. - Tak, jestem niemożliwie próżna, ale sama wiesz, jak okropnie w nich wyglądam.

- Nonsens - powiedział wuj, ale oczywiście nie uwierzyła mu, nawet gdy dodał: - Wyglądasz w nich bardzo dystyngowanie.

- Czy mówiłam ci, wuju, jaki dziś jesteś przystojny? - zapytała Charity zmieniając temat.

Hrabia odpowiedział komplementem na komplement, ale Caroline nie zwracała już na to uwagi. Bardzo starała się nie robić z siebie widowiska, ale i tak wiedziała, że gapi się w nieprzyzwoity sposób na otaczający ją splendor.

Hrabia Braxton przedstawił córkę i bratanicę gospodarzowi witającemu gości w końcu długiego hallu. Książę Ashford był starszawym mężczyzną o ogromnej grzywie siwych włosów. Mówił głębokim, nosowym głosem. Caroline pomyślała, że wygląda na bardzo zadowolonego z siebie, ale i tak go polubiła, gdy na powitanie uścisnął jej ojca z widoczną sympatią.

Wydawało się, że książę nie może oderwać od niej wzroku; użył nawet cwikieru, by lepiej się jej przyjrzeć. Starając się nie zwracać uwagi na jego zachowanie, Caroline jednak dostrzegła, że Charity nie wywiera na nim podobnego wrażenia. Była bardzo wdzięczna ojcu, gdy ujął ją pod ramię i poprowadził do sali balowej.

Dla Charity wszystko tu było pięknym snem. Pozwoliła ponieść się

emocjom wspaniałego wieczoru. Tej nocy zostanie zaakceptowana przez wyższe sfery Londynu! Z pewnością ktoś z uczestników balu słyszał o Paulu Bleachleyu. Może już wkrótce odnajdzie swą utraconą miłość.

Hrabia Braxton stał na progu sali balowej, mając po prawej stronie córkę, po lewej zaś bratanicę. Z wysokości czterech stopni obserwowali mim gości.

Ojciec i córka nie dotykali się, lecz Charity kurczowo uczepliła się ramienia wuja, bojąc się, że za chwilę znowu się potknie o jakiś schodek. Oczy jej błyszczały, a twarz pałała rumieńcem.

Natomiast Caroline wyglądała na zupełnie opanowaną. Dorównywała ojcu wzrostem i z powagą, spokojnie przyjmowała spojrzenia zaciekawionych gości.

Hrabia nie ruszył się z miejsca, dopóki się nie upewnił, że oczy wszystkich zwrócone są na jego piękną córkę i bratanicę. Zapadła cisza, która wzmogła zdenerwowanie Charity i dumę hrabiego.

Orkiestra znowu zagrała i kilku godnie wyglądających młodych mężczyzn zaczęło się zbliżać do dziewcząt.

- Oto nadchodzą - zaanonsował z tłumionym śmiechem hrabia.

Więc to jest ta długo oczekiwana przygoda - pomyślała Caroline. Lecz im szybciej zawierała nowe znajomości, tym bardziej traciła pewność siebie. Stojąc u boku ojca, wyglądała na opanowaną i szczęśliwą, lecz w środku aż skręcała się ze zdenerwowania. Z zazdrością patrzyła na Charity, która swobodnie rozmawiała z otaczającymi ją młodzieńcami. Kuzynka wyglądała jak rozkwitły kwiat, cieszący oczy wszystkich wokół. Caroline natomiast czuła się tu zupełnie nie na miejscu i nie mogła dociec przyczyn takiego stanu rzeczy.

Karnecik Charity szybko się wypełnił i dziewczyna została poprowadzona na parkiet. Jednak hrabia Braxton nie pozwolił młodzieńcom odebrać sobie córki, mówiąc, że najpierw musi ją przedstawić swoim przyjaciółom.

Uwagę hrabiego przyciągnął ktoś po drugiej stronie pokoju i Caroline także spojrzała w innym kierunku.

Starszawy mężczyzna oderwał się od grupy rozmawiających i teraz szedł powoli brzegiem parkietu. Był trochę przygarbiony, łysawy, podpierał się laską.

- Kto to jest, ojczy? - zapytała Caroline.

- Markiz Aimsmond, starszy brat twojej matki.

- To jego pojechałeś odwiedzić?

- Tak, Caroline, musiałem mu wyjaśnić to i owo - odparł hrabia. Uśmiechając się poklepał ją po ręce i dodał: - Nie zamierza się ciebie wyprzeć. Dopilnowałem tego.

Caroline zdziwiły jego słowa. Co ojciec musiał wyjaśniać? I dlaczego wuj miałby się jej wyprzeć? Wiedziała, że teraz nie może się domagać od niego odpowiedzi, lecz postanowiła, że dowie się wszystkiego, gdy tylko znajdą się w domu.

Odwróciwszy się obserwowała markiza. Od razu nasunęło jej się na myśl, że wygląda bardzo krucho.

- Myślę, że powinnam wyjść mu naprzeciw - powiedziała i nie czekając na odpowiedź, ruszyła na spotkanie człowieka, który od czternastu lat nie chciał rozmawiać z jej ojcem. Markiz uśmiechał się do niej i Caroline wiedziała, że rodzinna kłótnia nareszcie została zażegnana. Wizyta papy najwyraźniej naprawiła wszelkie szkody.

Spotkali się na środku parkietu. Caroline bez chwili wahania obdarzyła wuja promiennym uśmiechem i pocałowała go w policzek.

Radość zagościła na twarzy markiza. Ujął siostrzenicę za obie ręce, lecz musiał szybko wypuścić jedną z nich, by oprzeć się na lasce.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Caroline nie wiedziała, jak zacząć rozmowę. W końcu to markiz przerwał ciszę.

- Będę zaszczycony, jeżeli będziesz mówiła do mnie „wuju”. - Jego głos był trochę szorstki, lecz niewątpliwie przepełniony uczuciem. - Z całej rodziny został mi tylko młodszy brat. Franklin, i jego żona, Loretta. Od śmierci twojej matki są dla mnie wszystkim.

- Nie - odpowiedziała miękko Caroline. - Masz jeszcze mnie i mojego ojca.

Uradowały go te słowa. Caroline usłyszała, jak ojciec odkaszlnął. Markiz spojrział na niego marszcząc brwi.

- Nie powiedziałeś mi, że aż tak jest podobna do matki. Omal nie padłem, gdy ją zobaczyłem.

- Ależ mówiłem ci - odparł hrabia. - Po prostu masz już sklerozę i nic nie pamiętasz!

- Ha! Moja pamięć jest równie dobra jak twoja, Brax! Ojciec Caroline uśmiechnął się.

- Czy Franklin i Loretta są tu dzisiaj? Chciałbym, żeby Caroline poznała także drugiego wuja.

- Są tu gdzieś - odparł markiz wzruszając ramionami, a potem, patrząc na Caroline, dodał: - Ona ma moje oczy, Brax! Tak, tak, ta dziewczyna to idealny portret mojej rodziny.

Caroline musiała przyznać, że mówił prawdę. Widziała iskiereki zapalające się w oczach wuja i nie mogła zrozumieć, czemu prowokuje on jej ojca.

- Ale włosy ma po mnie. Temu nie możesz zaprzeczyć, Aimsmond!

Caroline roześmiała się głośno - nie mogła uwierzyć, że oni naprawdę kłócą się z jej powodu.

- Wszyscy więc wiedzą, że jestem spokrewniona z wami obydwojma! - Ujęła mężczyznę pod ramię i powiedziała: - Chodźmy poszukać jakiegoś spokojnego miejsca, gdzie moglibyśmy porozmawiać. Podejrzewam, że choć widzieliście się całkiem niedawno, macie sobie jeszcze dużo do powiedzenia.

Podeszli do najbliższej alkowy i wkrótce przyłączyła się do nich Charity. Rozmowa szybko zeszła na temat balu i mężczyzn, starających się zwrócić na siebie uwagę dziewcząt.

- Czy ja także mogę nazywać pana wujem? - zapytała Charity. - Bardzo bym chciała, jeżeli to dopuszczalne. Zresztą i tak jesteśmy spokrewnieni, choć w

bardzo dalekiej linii.

Markiza bardzo ucieszyła otwartość dziewczyny i zgodził się skinieniem głowy.

- Jesteśmy spowinowaceni, jak sędzę. Będzie mi niezmiernie miło, jeżeli będziesz nazywała mnie wujem. Gdy Caroline była małą dziewczynką, miała zwyczaj nazywać mnie wujem Milo.

- Zastanawiam się, skąd to zamieszanie - powiedział nagle hrabia Braxton. Stał tuż obok krzesła, na którym siedział markiz trzymając dłoń Caroline w swojej. Dziewczyna myślała, że w ten sposób upewnia się, że siostrzenica zaraz nie zniknie.

Ojciec patrzył w kierunku wejścia na salę balową, więc i ona się odwróciła. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia, gdy zobaczyła, kto wzbudza takie poruszenie tłumu. Był to mężczyzna, któremu owego pamiętnego dnia pomogła na drodze. Pan Smith! Ale oczywiście to nie był pan Smith. Pan Smith nie istniał. Było to tylko nazwisko nadane przez nią nieznanemu, by zaoszczędzić mu zakłopotania.

Obserwowała go z uśmiechem igrającym w kącikach ust. Puszył się w drzwiach niczym paw, a sądząc z zaintrygowanych spojrzeń, musiał być dość popularną postacią. Był ubrany, podobnie jak wszyscy mężczyźni w salonie, w czarny strój, lecz ozdobił go niewiarygodnym białym kołnierzem, który sięgał uszu. Caroline zastanawiała się, czy nie ma trudności z obracaniem głowy.

- Więc Brummell wreszcie się pojawił - zauważył wuj z satysfakcją. - Bal u księcia doczekał się w końcu znaku aprobaty.

- Brummell? - zapytała Caroline czując, że grunt usuwa się spod jej stóp. - Czy powiedział wuj, Brummell? - powtórzyła wiedząc doskonale, że się nie przesłyszała. A to dopiero - pomyślała wspominając, co mówiła o Brummellu mężczyźnie, którego nazywała panem Smithem. Rozpaczliwie usiłowała przypomnieć sobie szczegóły rozmowy, mając nadzieję, że nie powiedziała nic, co mogłoby go poważnie obrazić. Boże, czyż nie nazwała go przypadkiem

„Plummerem”?

Brummell stał samotnie, rozglądając się po sali. Miał bardzo znudzoną minę, nawet wtedy, gdy odpowiadał na czyjeś pozdrowienie kiwnięciem głowy. Zaczął się przedzierać przez ustępujący przed nim tłum gości. Caroline zdała sobie sprawę, że w tym świecie naprawdę jest kimś ważnym. Zauważyła również nie bez satysfakcji, że w ogóle nie kuleje. Rana musiała się dobrze zagoić.

Caroline patrzyła za nim, chcąc się przekonać, w którym kierunku zmierza.

I wtedy go zobaczyła. Bradford! Stał w gronie kilku mężczyzn, opierając się niedbale o ścianę. Charity przesłaniała jej widok i Caroline musiała przekrzywić trochę głowę, by lepiej widzieć. Mężczyźni rozmawiający z Bradfodem zabiegali o jego uwagę, lecz on ich ignorował. Patrzył na nią!

Ojciec mówił coś do niej, podobnie jak Charity, a wuj Milo ciągnął ją za ramię, ona jednak ich nie widziała i nie słyszała. Nie mogła oderwać wzroku od mężczyzny, który patrzył na nią z takim natężeniem.

Był o wiele przystojniejszy, niż zapamiętała, i o dobrą głowę wyższy od swoich towarzyszy. Jego włosy, choć porządnie uczesane, zdawały się lekko potargane wiatrem, co dawało mu prawie niewinny wygląd. Jednak jego usta wcale nie wyglądały tak niewinnie. Można nawet powiedzieć, że były zbyt mocno zaciśnięte. Caroline zastanawiała się, jak często się uśmiechają.

Dlaczego nie pamiętała, jaki był ogromny, jak szerokie miał ramiona? Nagle przyszedł jej do głowy obraz spartańskiego wojownika, być może króla Leonidasa, i pomyślała, że w innym czasie i w innym miejscu Bradford mógłby być wspaniałym rycerzem.

Książę obserwował ją przez cały wieczór. Gdy tylko stanęła w drzwiach u boku hrabiego Braxton, taka piękna i opanowana, wprost go oczarowała. Była niezwykle piękna i jej przybycie wywołało ogromne wrażenie. Wiedział, że nie jest osamotniony w podziwie dla jej urody, i niesamowicie go to irytowało. Przecież każdy młodziak na sali gapił się na nią!

Boże, jak on jej pragnął! Musi do niego należeć! Był zaskoczony własną żądzą posiadania tej dziewczyny. Znudzenie głupotą całego towarzystwa zniknęło w tym samym momencie, w którym ona weszła do sali. Poczł nagłą radość życia, którą - jak mu się wydawało - utracił w momencie śmierci ojca i brata.

Przyjął zaproszenie na tę uroczystość tylko dlatego, iż miał nadzieję, że i ona tu przyjdzie. Każdy, kto coś znaczył w Londynie, był zaproszony na ten bal i Bradford miał nadzieję, że ojciec Caroline nie będzie wyjątkiem.

Pod spojrzeniem Bradforda Caroline zaczęła się czerwienić. Odczuwała coraz większe skrępowanie i zdenerwowanie. Wiedziała, że za moment wybuchnie nerwowym śmiechem. I jak to potem wytłumaczy?

Myśli przebiegały jej przez głowę jak gnane wiatrem. Żadnej z nich nie mogła złapać i choć na chwilę zatrzymać.

Czy on wiedział, jaki ma na nią wpływ? Pocieszała się, że nie. Ręce jej się trzęsły, myśli rozbiegały, nie mogła zapanować nad własnymi emocjami.

Denerwowała się coraz bardziej. Gorzej - zaczęła się martwić, czy aby nie zrobi czegoś niepoprawnego. On zapewne bardzo by się cieszył z jej wpadki. Jeżeli do tego dojdzie, będzie to winą Bradforda, i tylko jego - zdecydowała. To ją trochę uspokoiło.

Usiłowała przybrać obojętny i znudzony wyraz twarzy, naśladowając mimikę pań obecnych na balu, lecz nie udało jej się w tym wytrwać. W końcu uśmiechnęła się akceptując fakt, że skoro nigdy w życiu nie była znudzona, to po prostu nie wie, jak ma udawać znudzoną.

Bradford, widząc jej uśmiech, także się do niej uśmiechnął, zaskoczony łatwością, z jaką przyszło mu okazać uczucia. Rzadko kiedy to czynił i teraz poczuł, że zachowuje się jak uczeń na swoim pierwszym balu.

Caroline, usiłując zachować resztki godności, tylko kiwnęła głową w odpowiedzi na jego uśmiech. Gdy w końcu się zorientowała, że nie jest w stanie zmusić go do opuszczenia wzroku, powoli zaczęła się odwracać do swoich

towarzyszy. Przekorne spojrzenie Bradforda zatrzymało ją w pół obrotu. Powoli, znacząco przymknął oko w porozumiewawczym mrugnięciu.

Caroline potrząsnęła głową i usiłowała wyglądać na zirytowaną, lecz zepsuła efekt wybuchem śmiechu. Przyznając się do porażki, odwróciła się do niego plecami, wiedząc, że i tak widział jej reakcję. Czując się jak mała dziewczynka przyłapana na nieodpowiednim zachowaniu, usiłowała skupić uwagę na toczonej obok rozmowie.

Markiz i hrabia pochłonięci byli dyskusją, komu dziewczęta mają zostać przedstawione i - co ważniejsze - kto ma je przedstawić. Caroline wykorzystała to, by odciągnąć kuzynkę na stronę i wyszeptać jej do ucha:

- Oni tu są, Charity. Tam, pod ścianą. Tylko tam nie patrz!

- Kto? - Charity usiłowała zobaczyć ponad ramieniem kuzynki.

- Nie patrz! I tak są za daleko, byś mogła ich zobaczyć.

- Lynn timer, weź się w garść. Kto tam jest? - Charity dała wyraz zniecierpliwieniu, opierając dłoń na biodrze.

- Mężczyzna, któremu pomogliśmy pierwszego dnia naszego pobytu w Anglii - wyjaśniła Caroline zdając sobie sprawę, że kuzynka ma rację. Musi wziąć się w garść. Co się z nią działo? Zachowywała się bardzo dziwnie, jakby nie była sobą. Nie potrafiła tego zrozumieć. - Bradford też tu jest - szepnęła. - Obaj tu są.

- To bardzo miło - uśmiechnęła się Charity. - Musimy podejść i się przywitać.

- To nie jest miłe! - ofuknęła ją Caroline. - Wcale nie uważam, żeby to było miłe!

- Caroline, posłuchaj, co ty mówisz! Co się z tobą dzieje? Wyglądasz prawie, jakbyś się bała. - Charity zmarszczyła brwi. Była co najmniej zaniepokojona. Odkąd znała Caroline, ta nigdy niczego się nie bała. Poczute nagłą przewagę nad kuzynką. Tym razem to ona była spokojna i opanowana, a Caroline rozgorączkowana. Charity nie posiadała się ze zdumienia.

Nie miały więcej czasu na rozważania, bo Charity znowu została porwana na parkiet. Wicehrabia Claymere pokłonił się natomiast przed Caroline.

Podążając za nim na parkiet, zauważyła, że dłoń, którą ujmował jej łokieć, jest nieprzyjemnie spocona. Doszedłszy do wniosku, że biedak po prostu bardzo się denerwuje, postanowiła dodać mu trochę odwagi i uśmiechnęła się do niego. Natychmiast zrozumiała, że za bardzo się pospieszyła. Wicehrabiemu poplątały się nogi i przewróciłby się niechybnie, gdyby nie złapała go za łokieć i nie podtrzymała.

Od tej pory pilnowała się, by nie patrzeć mu w oczy i zachować obojętny wyraz twarzy, bo gdy tylko spojrzała na niego, znowu się potykał. Caroline dziękowała w myśli Caimenowi, że poświęcał tyle czasu ucząc ją tańczyć. Wiedziała, że Bradford ją obserwuje, lecz obiecała sobie, że nie będzie patrzyła w jego stronę. Naprawdę wyglądał jak spartański wojownik, a ona wcale nie przepadała za cywilizacją Sparty.

Bradford doczekał do końca tańca, zanim wykonał swój ruch. Gdy Brummell zapytał, co go tak odmieniło, skinął głową w stronę Caroline. Od tej chwili już obaj obserwowali dziewczynę.

Gdy orkiestra wreszcie przestała grać, Caroline odetchnęła z ulgą. Wicehrabia nadepnął jej na palce niejeden raz i teraz całe stopy promieniowały bólem.

Zanim niezdarny młodzieniec zdążył narobić więcej szkód, zjawił się ojciec Caroline. Wtedy dopiero wicehrabia, wykonując jeszcze jeden zamaszty ukłon, opuścił ich. Przedtem jednak porwał dłoń dziewczyny i złożył na niej bardzo głośny pocałunek.

- Nie przyjmij tego jako zniewagi, ojcze, ale Anglicy wydają mi się bardzo niezdarnym narodem - powiedziała Caroline, obserwując oddalającego się wicehrabiego.

I wtedy stanął przed nią on. Z Brummellem u boku. Tym razem dziewczyna nie mogła ich zignorować, jako że zagradzali jej przejście. Długą

chwilę przyglądała się kamizelce na piersi Bradforda, zanim ośmieliła się podnieść wzrok.

- Uprzejmie prosimy, aby nas przedstawiono - powiedział Bradford głębokim głosem. Słowa kierował do ojca Caroline, ale oczu nie odrywał od dziewczyny. Zauważyła, że przygląda się jej ustom, i nerwowo zwilżyła wargi koniuszkiem języka.

Hrabia Braxton był bardzo zadowolony.

- Ależ oczywiście. Proszę mi pozwolić przedstawić moją córkę, Caroline Mary Richmond. Caroline, kochanie, mam zaszczyt ci przedstawić księcia Bradford i pana Jerzego Brummella.

- Tym razem ty pierwszy. - Bradford uśmiechnął się do Brummella.

- Naturalnie - odparł ten odwróciwszy się do Caroline. Odgłosy w sali ucichły i dziewczynie zdawało się, że wszyscy próbują usłyszeć to, co zaraz zostanie powiedziane.

- To doprawdy ogromna przyjemność - oznajmił Brummell bardzo formalnie. Skłonił się tak nisko, że koniuszkami palców niemal dotknął podłogi.

- Czy pochodzi pani z Ameryki? - zapytał, powoli podnosząc jej dłoń do ust. Można było usłyszeć wyraźny pomruk otoczenia, spowodowany tym pełnym szacunku gestem, a oczy Caroline zaśniły z zadowolenia. Czuła, że i ojciec jest zachwycony.

- Jakie to niezwykle, że domyślił się pan mojego pochodzenia, panie Brummell - odpowiedziała.

- Proszę, musi mnie pani nazywać Beau. Chociaż wielu uważa, że powinienem używać imienia, którym zostałem ochrzczony, ja wolę swoje przezwisko.

- Czy naprawdę ma pan na imię Jerzy? - zapytała Caroline powstrzymując śmiech.

- Tak, a pewna bardzo piękna kobieta całkiem niedawno zaproponowała mi, abym znowu zaczął go używać. Ja niestety odrzuciłem jej propozycję -

dodał wzdychając.

Nieźle się bawił, prowokując ją do śmiechu. Caroline poczuła, że nie może pozostać mu dłużna.

- Sądzę, że mamy wspólnych przyjaciół, Beau. Brummell zawahał się na moment.

- Ależ tak - rzekła z uśmiechem. - Harold Smith bardzo często o tobie mówił. Być może nie przypominasz go sobie, bo jakiś czas temu sprzedał swój majątek i przeprowadził się do Bostonu. Mówił, że Londyn jest zbyt... barbarzyńskim miejscem. To są chyba jego słowa.

Brummell i Bradford popatrzyli na siebie skonsternowani, potem znów spojrzeli na nią i zaczęli się śmiać. Łzy pociekły z oczu Brummella i musiał sięgnąć po chusteczkę.

- A jak się wie dzie panu Smithowi? - zapytał Bradford, gdy tylko odzyskał powagę.

Caroline uśmiechnęła się do niego, a potem odwróciła się do Brummella.

- Cóż, według mnie powodzi mu się całkiem nieźle. Miał co prawda kłopoty z nogą, ale sądząc ze sposobu, w jaki sobie radzi, chyba zagoiła się pomyślnie.

- A co biedakowi dolegało?

- Podagra - bez namysłu palnęła Caroline.

Brummell zaczął się krztusić i Bradford był zmuszony klepnąć go solidnie w plecy.

- Od lat tak dobrze się nie bawiłem - przyznał Beau. - To była prawdziwa przyjemność poznać panią, madame. Mam nadzieję, że wkrótce znowu się spotkamy. Spodziewam się także, że przed końcem wieczoru będę miał zaszczyt poznać pani kuzynkę.

Caroline obserwowała go, jak odchodzi, i żałowała, że nie ma dość odwagi, by zapytać Bradforda, czy przypadkiem także nie musi już iść.

Kiedy rozległy się pierwsze takty walca, ojciec oznajmił, że pójdzie po

szampana dla markiza. Wówczas Bradford poprosił hrabiego, by pozwolił mu zatańczyć z jego córką. Hrabia chętnie się zgodził, choć Caroline usiłowała protestować potrząsając energicznie głową.

Bradford udał, że tego nie widzi, i ujął ją za rękę. Ciągnął ją za sobą, aż dotarli prawie do drzwi wejściowych. Tu dopiero przystanął i wziął ją w ramiona.

- Nie umiem tańczyć walca - wyszeptała Caroline, cały czas patrząc na jego czarny surdut.

Bradford wypuścił ją z objęć tylko po to, aby unieść jej podbródek i zmusić do spojrzenia mu w oczy.

- Moje guziki nic ci w tym nie pomogą - zażartował.

- Powiedziałaam, że nie umiem tańczyć walca - powtórzyła Caroline. Dłoń Bradforda dotykała wrażliwego miejsca na jej szyi i przyprawiała ją o drżenie.

- Obejmij mnie - szepnął łagodnym głosem. Pochylił się tak, że ich twarze nieomal się stykały.

Caroline potrząsnęła głową, ale on znowu to zignorował i położył jej dłoń na swoim ramieniu. Gdyby choć trochę ją przesunęła, dotykałaby jego włosów. A potem już wirowali w tańcu i tylko jedno miało dla niej znaczenie: że znajduje się w jego objęciach.

Nie zamienili ani słowa i Caroline była mu za to wdzięczna. Czowała się dziwnie niepewnie, a jego dłoń zdawała się parzyć przez suknię.

Wykorzystując nadarżającą się okazję, Caroline przesunęła nieco dłoń i dotknęła jego jedwabistych brązowych włosów. Zdziwiło ją, jakie były miękkie. Cofnęła jednak palce, zanim Bradford zdał sobie sprawę z jej śmiałości.

Ale delikatny dotyk palców na karku oszołomił go. Miał ochotę porwać dziewczynę w ramiona i całować tak długo, aż poczułaby takie samo pożądanie, jakie on czuł w tej chwili.

Tańcząc, Caroline rozglądała się dokoła i bardzo szybko zauważyła, że inne damy nie obejmują tak mocno swoich partnerów. Natychmiast cofnęła dłoń

i rzuciła Bradfordowi złe spojrzenie.

- Tańczymy zbyt blisko siebie - powiedziała. - Nie mam zamiaru przynieść wstydu mojemu ojcu.

Bradford niechętnie rozluźnił uścisk i pozwolił jej cofnąć się o krok. Wyszczrzył zęby w łobuzerskim uśmiechu.

- Czy to jedyny powód, dla którego nie chcesz być blisko mnie?

- Oczywiście - odparła Caroline. Serce waliło jej niemiłosiernie i czuła drżenie kolan, lecz nie chciała przyznać się do tego. Nie chciała też patrzeć mu w oczy i dopiero wtedy zauważyła, że wiele kobiet przygląda im się z wyraźną dezaprobatą. - Bradford, dlaczego te kobiety tak dziwnie na nas patrzą? - Odważyła się spojrzeć mu w oczy zadając to pytanie.

Bradford rozejrzał się, po czym znów utkwiał wzrok w jej twarzy.

- Czy robimy coś niestosownego? - domagała się odpowiedzi.

- Niestety, zachowujemy się bardzo poprawnie - zaśmiał się Bradford. - Niektóre z tych dam nie pochwalają nowoczesnych tańców. Walca nie potrafią jakoś pogodzić z tradycją.

- Rozumiem - przytaknęła Caroline, po czym zapytała, znowu spoglądając na niego: - A ty jesteś tradycjonalistą czy radykałem?

- A jak sądzisz?

- Moim zdaniem jak najbardziej radykałem - odparła bez chwili wahania.

- Założę się, że sprawiasz same kłopoty w Izbie Lordów. Prawda, że mam rację?

- Znany jestem z uporu. - Bradford wzruszył ramionami. - Ale tylko wtedy, gdy sprawa, której bronię, znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie.

- A jednak cieszysz się szacunkiem - powiedziała Caroline. - Czy to z powodu tytułu, który odziedziczyłeś, czy też sam na to zapracowałeś?

- Pytasz, czy osiągnąłem w życiu coś, co przysporzyłoby mi sławy? - zaśmiał się Bradford. - Skąd wiesz, że cieszę się szacunkiem?

- Widzę, w jaki sposób ludzie na ciebie patrzą - odpowiedziała. - Mój ojciec jest typowym tradycjonalistą. Gdyby nadal udzielał się politycznie, na

pewno bylibyście wrogami w niejednej sprawie. Bradford, proszę, przestań wreszcie wirować. Kręci mi się od tego w głowie.

Natychmiast przerwał taniec i ująwszy ją za łokieć, poprowadził w stronę balkonu.

- Twój ojciec jest większym radykałem, niż ja kiedykolwiek będę - powiedział, a gdy wyraziła zdziwienie, dodał: - Ależ to prawda. Znany był jako obrońca dążeń Irlandczyków.

- Jakich dążeń Irlandczyków?

- Do niepodległości - wyjaśnił. - Twój ojciec nie wierzył, że oni są w stanie sami sobą kierować, ale i tak walczył, by zyskać dla nich poparcie rządu i ustalić lepsze warunki porozumienia.

Caroline była zaskoczona wypowiedzią Bradforda. Wyobraziła sobie ojca, walczącego w młodości o sprawę, którą uważał za słuszną.

- On jest teraz takim spokojnym, łagodnym człowiekiem - powiedziała. - Trudno mi uwierzyć w to, co mówisz. Ale wierzę ci - zapewniła pospiesznie w obawie, że mogła go urazić.

Bradford nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, gdy tak szybko starała się naprawić swój nietakt. Czy zawsze tak bardzo zważała na uczucia innych?

Caroline nie widziała, że ją obserwuje. Myślała o ojcu. Zastanawiała się, co sprawiło, że wycofał się z polityki. Dlaczego wycofał się ze wszystkiego... z życia?

Bradford zauważył kilku młodzieńców torujących sobie drogę w ich kierunku. Gdy tylko znowu zagrała muzyka, pociągnął dziewczynę na parkiet. Nie chciał jej jeszcze wypuszczać. Przypomniawszy sobie, co powiedział Milfordowi. Że chce jeszcze raz zobaczyć Caroline, by pozbyć się jej z myśli na zawsze. Jakież to mu się teraz wydało absurdalne!

Caroline nie protestowała, gdy znowu wziął ją w ramiona. Nic jej też nie obchodziły zgorzone twarze dokoła. W jego objęciach czuła się zniewolona i zauroczona, drżała, gdy jego palce dotykały jej pleców. Podobnych uczuć nie

żywiła nigdy wobec żadnego mężczyzny. Wiedziała, że musi się zachowywać odpowiednio, jednak chemie zostałyby w jego ramionach do końca wieczoru. Gdy zaczęła się zastanawiać, jakie to doznanie być przez niego całowaną, postanowiła, że czas już to przerwać.

- Nie podoba mi się...

Chciała powiedzieć „...ten taniec”, ale on nie pozwoli! jej dokończyć zdania. Zapytał arogancko:

- Nie podoba ci się to, co czujesz?

Oczy Caroline rozszerzyły się i nieomal mu przytaknęła. Potem zmarszczyła brwi.

- O co ci chodzi?

- Nie zaprzeczaj, Caroline. Ja też to czuję.

- Ja nic nie czuję - odpowiedziała dziewczyna spiętym głosem. - Oprócz tego, że kręci mi się w głowie od ciągłego wirowania. No i jest tu bardzo gorąco. Czy nie uważasz, że dość już tego tańczenia? - dodała z nadzieją w głosie.

- Masz rację, tu doprawdy zrobiło się bardzo gorąco - odparł Bradford.

Właśnie kończyli kolejne okrążenie i zbliżali się do drzwi. Caroline uśmiechnęła się, sądząc, że wreszcie uwolni się od niego. Lecz on nie wypuścił jej z objęć, gdy się zatrzymali. Poprowadził ją za ramię przez otwarte drzwi w noc.

5

Puść moje ramię. Nie możemy tu pozostać sami - próbowała go przekonać rozpaczliwym szeptem.

Jej irytacja nie robiła na Bradfordzie najmniejszego wrażenia. Uparcie ciągnął ją za sobą, odprowadzany zdziwionymi spojrzeniami innych par, które także wyszły odetchnąć świeżym powietrzem.

Gdy tylko Caroline zobaczyła, że ludzie na nich patrzą, starała się przybrać obojętną minę i wyglądać na zadowoloną. Było to o tyle trudne, że w

tej chwili niczego bardziej nie pragnęła niż powalić księcia Bradford na ziemię i dać mu parę potężnych kopniaków. Chociaż były to myśli niegodne damy, dały jej sporo satysfakcji. Wiedziała, że byłaby w stanie to zrobić, gdyż kuzyni pokazali jej wiele sposobów obezwładniania przeciwnika.

Poczucie bezpieczeństwa szybko ją opuściło, kiedy się przekonała, że nie może nawet wyswobodzić ręki z jego uchwytu. Czyżby zostawiła pewność siebie w Bostonie? - zastanawiała się, potulnie podążając za Bradfordem. Balkon ciągnął się wzdłuż trzech ścian domu i księżę prowadził ją tak długo, aż zostali zupełnie sami. Kilka świeczek ustawionych na balustradzie i osłoniętych od wiatru szklanymi kloszami przydawało nocy romantycznej poświaty.

Na końcu balkonu Bradford zatrzymał się i odwrócił do Caroline.

- Mam nadzieję, że teraz poświęcisz mi całą swoją uwagę - powiedział. - Nie mam nastroju dzielić się tobą z połową Londynu.

- Skoro więc masz mnie już tylko dla siebie, co zamierzasz ze mną zrobić?

Bradford uśmiechnął się, słysząc wyzwanie w jej głosie. W oczach dziewczyny widział strach i zmieszanie, ale spokojny głos zaprzeczał jej prawdziwym uczuciom. Ta udawana odwaga cieszyła go. Caroline nie była typem, który dałby się zastraszyć. Nie zamierzała też mdleć. Zdecydował, że była dlań godnym przeciwnikiem.

Już chciał powiedzieć, że zdobędzie ją bez względu na przeszkody, jakie mogłaby postawić mu na drodze. Lecz Caroline musiała to wyczuć w jego natarczywym spojrzeniu, gdyż zaczęła się powolutku cofać.

Bradford szybko pojął jej zamiar i złapał ją za ramiona. Czując jedwabistą gładkość pod palcami, zapomniał na moment, po co ją chwycił, dopóki nie zaczęła mu się wyrywać.

- O, nie, nie uciekniesz mi - szepnął. Przyciągnął ją do siebie tak, że poczuła się jak kukielka w rękach lalkarza, zamknięta pomiędzy jego ramionami a ścianą. Teraz nie miała już żadnej drogi ucieczki i Bradford uśmiechnął się.

- Czy będziesz tak miły i pozwolisz mi przejść? - zapytała Caroline.

- Nie, dopóki nie porozmawiamy - odparł. Zachowywał się tak, jakby mieli dla siebie cały czas do końca świata. Caroline okazała zniecierpliwienie.

- Jesteś potwornie uparty! Zupełnie cię nie obchodzi, że nie mam ochoty z tobą rozmawiać.

- Oczywiście, że masz ochotę - odparł Bradford. - Coś jest między nami. Czuję to i wiem, że ty także to czujesz. Im szybciej zdamy sobie z tego sprawę, tym lepiej. Nie mam czasu na głupie amory. Jeżeli czegoś pragnę, biorę to.

Caroline wcale nie kłamała - nie chciała pozostawać z nim sam na sam. Gdy przebywała w jego towarzystwie, czuła, że nie panuje nad sytuacją. Była z nim bardzo szczera, lecz zaskoczyło ją, że on odpowiedział jej z równą szczerością.

- I postanowiłeś, że właśnie mnie pragniesz?

Głos ją zawiódł i Bradford musiał się nachylić, żeby usłyszeć. Nie odpowiedział na jej pytanie. Wcale nie musiał. W jego spojrzeniu wyczytała wszystko.

Myślała, że uda się go usadzić jakąś ciętą uwagą, lecz z przerażeniem zdała sobie sprawę, że nie może wydobyć z siebie głosu.

- Czy moja szczerość cię przeraża? - Bradford przerwał wreszcie ciszę łagodnym głosem. - Jeżeli tak, to bardzo mi przykro.

Powiedział to z tak ogromną szczerością, że Caroline nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

- Przeraża mnie, gdy tak na mnie patrzysz - przyznała. Westchnęła i dodała potrząsając głową: - Równie dobrze mogę cię teraz ostrzec. Jeżeli zanedbujesz się zdenerwuję, to zacznę się histerycznie śmiać, a wtedy, obawiam się, możesz poczuć się urażony...

- Caroline - przerwał jej - po prostu przyznaj, że jest coś między nami.

- Ależ my się wcale nie znamy - zaprotestowała dziewczyna.

- Znam cię lepiej, niż ci się wydaje - odpowiedział. - Jesteś lojalna,

szczera, godna zaufania i pełna miłości do ludzi, na których ci zależy. - Ujrzawszy rumieńce na jej policzkach, wiedział, że wprawił ją w zakłopotanie, jednak wcale się tym nie przejął. Chciał ją zmusić do wyznania skrywanych uczuć. Nic innego nie miało dla niego znaczenia.

- Skąd wiesz o mnie to wszystko? - zapytała.

- Pamiętasz dzień, w którym się poznaliśmy? Byłaś wtedy przerażona, a jednak stawiałaś mi czoło. Twoim jedynym zmartwieniem było chronić nieznanego. Bardzo cenię sobie odwagę - dodał. Już się nie uśmiechał. Jego ton był poważny. - Gdy potem rozmawialiśmy, powiedziałaś, że nie chcesz skompromitować rodziny. Również mówiąc o rodzinie w Bostonie, dałaś wyraz ogromnej lojalności. I wreszcie opowiadając o swojej ciotce, nazywałaś ją mamą, a w twoich oczach widać było miłość do niej.

- Nawet pies jest lojalny i przywiązany do właściciela. Kiepski żart Caroline wywołał wymuszony uśmiech na twarzy górującego nad nią mężczyzny.

- Tańcząc w moich ramionach dzisiejszego wieczoru drżałaś. Czy chcesz mi powiedzieć, że było ci zimno? - Drażnił się z nią, a jednak odpowiedziała mu uśmiechem. - Czy możesz być ze mną szczerą?

- Szczerść jest cechą, którą najbardziej podziwiam u innych, ponieważ mi jej brakuje - rzekła Caroline z westchnieniem. - Nie dotrzymuję słów ani obietnic. Dlatego gdybym nawet przyznała, że łączy nas coś szczególnego, nigdy byś nie wiedział, czy mówię prawdę, czy nie.

Bradford wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- W takim razie powinniśmy się postarać o jakiś dowód - zasugerował. W jego oczach migotało rozbawienie i Caroline wiedziała doskonale, że nie uwierzył w ani jedno jej słowo. Kłamała, a on o tym wiedział.

- A jak zamierzasz sprawdzić, czy czuję coś do ciebie, czy nie? - zapytała.

Zmarszczyła brwi na moment, a potem drobne iskierki zamigotały w jej oczach i Bradford natychmiast zdał sobie sprawę, że Caroline coś zamyśla.

Takie same błyski zauważył już w jej oczach na moment przed tym, jak złapała w pułapkę Brummella. Czekał na jej następny ruch.

- Może jednak jest na to jakiś sposób. Skocz z tego balkonu. Jeżeli nie zawołam, żeby cię powstrzymać, będziesz wiedział, że nic do ciebie nie czuję.

- A jeżeli jednak zawołasz, by mnie powstrzymać? - zachichotał Bradford.

- Wtedy będziesz wiedział, że rzeczywiście coś do ciebie czuję. Połamiesz sobie wszystkie kości, ale poznasz odpowiedź na nurtujące cię pytanie.

Uśmiechnęła się do niego uroczo i Bradford zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem ta dziewczyna nie znajduje przyjemności w obrazku, który mu dopiero co odmalowała.

- Jest jeszcze jedna możliwość - powiedział grobowym głosem. - I to taka, która nie zniszczy mojego ciała, o co tak się martwisz.

- Zupełnie się nie martwię o twoje ciało - wyrzuciła z siebie Caroline. - Cała ta rozmowa robi się niesmaczna. Co będzie, jeżeli ktoś nas usłyszy?

- Czy zawsze tak bardzo się przejmujesz tym, co myślą inni?

- Nigdy nawet nie przyszło mi to do głowy, dopóki nie zjawiłam się w Anglii - przyznała Caroline. - Nieustanne staranie, aby być poprawnym, może być wyczerpujące.

Bradford znów się uśmiechnął, podziwiając jej szczerość.

- Caroline, chciałbym cię pocałować i mieć to już za sobą.

Nie odpowiedziała. Czowała się jak zwierzątko, które zaraz zostanie pochwycone w wielką sieć. Bradford oparł obie dłonie o ścianę za jej plecami i pochylił się ku niej.

- Jakież ty jesteś romantyczny - wyszeptała dziewczyna. - Mieć to za sobą! Czyżby to był tak ciężki obowiązek?

Dlaczego nadal go drażniła, nie wiedziała. To mogło tylko pogorszyć sprawę.

- Upierasz się, że nic między nami nie ma, a jednak omijasz mój wzrok, gdy tylko możesz, i drżysz w moich ramionach. Twoje ciało przeczy twoim

słowom.

I wtedy go zaskoczyła.

- Wiem o tym - przyznała szeptem.

Nie mógł już dłużej czekać, lecz obiecał sobie, że nie będzie się spieszył. Jego usta delikatnie dotknęły jej kuszących, różowych warg. Caroline usiłowała się wyrwać, lecz on nie wypuszczał jej z objęć. Całował ją, coraz mocniej, z coraz większą siłą, i chociaż obiecywał sobie, że będzie to tylko jeden niewinny pocałunek, zdał sobie nagle sprawę, że pragnie od niej coraz więcej i więcej. Jego usta rozchyliły się ponad jej wargami, a gdy usiłowała zapobiec naporowi jego języka, pewnie przytrzymał jej podbródek.

Była zaszokowana bezczelnością tego pocałunku. Nie wiedziała, że mężczyzna może całować kobietę w taki sposób. Była bardzo zawstydzona, a jednak nie mogła powstrzymać jęku rozkoszy. Nie mogła także powstrzymać własnego języka, który dotykał jego, z początku nieśmiało, potem ze wzrastającym pożądaniem. Usłyszała zachęcający pomruk i objęła mężczyznę za szyję, by przyciągnąć go bliżej.

Ku jej zaskoczeniu pocałunek stawał się coraz głębszy i bardziej namiętny. Obejmowała Bradforda, dając i przyjmując rozkosz, która przepływała pomiędzy nimi niczym dojrzałe wino.

Im dłużej trwał pocałunek, tym więcej Bradford żądał. Był nieomal szorstki w swojej namiętności, gdy trzymał jej twarz w swoich dłoniach, jakby w obawie, że może mu się wymknąć. Jeszcze nigdy żaden pocałunek tak na niego nie podziałał, nigdy żaden go tak nie podniecił. Jego rozpaczliwego pragnienia żadna inna kobieta nie byłaby w stanie zaspokoić. Im więcej od niej brał, tym więcej chciał wziąć.

Jego język nieustannie penetrował i pieścił jej usta, nie dawał ani chwili spokoju. Caroline pochłaniał ocean namiętności. Zaczęła drzeć, czując przepływające przez nią fale gorąca. Intensywność tego, co się między nimi działo, przerażała ją, i gdy w końcu oderwała się od niego, musiała oprzeć się o

ścianę, by nie upaść. Z trudem łapała oddech, nie mogła zebrać myśli.

Minęła cała minuta, zanim Bradford odzyskał panowanie nad sobą.

Caroline nie podnosiła oczu w obawie, że ujawnią jej zakłopotanie. Wiedziała, że zachowała się nieprzyzwoicie, i bała się, że on będzie ją uważał za kobietę upadłą.

- Teraz mi powiedz, że nic między nami nie ma - zażądał Bradford. Jego głos był mocno przytłumiony, lecz Caroline dosłyszała w nim z irytacją triumfalną nutę.

- Nie mogę zaprzeczyć, że twój pocałunek był bardzo przyjemny - powiedziała po prostu. Gdy spojrzała mu w oczy, uległ jej czarowi.

- Pragnę cię, Caroline - powiedział. Czas skończyć z tymi uprzejmościami - pomyślał z wewnętrznym grymasem, lecz przeklął się w momencie, w którym zobaczył wyraz jej twarzy.

Cisza się przeciągała, podczas gdy Caroline zastanawiała się, jak mu odpowiedzieć. Była wściekła, lecz sama przecież zawiniła. Odpowiedziała na jego pocałunek jak pierwsza lepsza ulicznica.

- Pragniesz mnie? Czy to dlatego, że przyjąłem twój pocałunek? - Łzy zaczynały zbierać się w jej oczach. - Nic mnie nie obchodzi, że mnie pragniesz. - Nie dała mu czasu na odpowiedź. - Czy myślisz, że dzięki swojemu tytułowi i pozycji możesz mieć wszystko, czego zapragniesz? Cóż, mylisz się sądząc, że możesz mieć mnie, mój panie. Nie należę do tutejszego towarzystwa i nic mnie nie obchodzą dobra materialne.

- Każda kobieta jest zainteresowana dobrami materialnymi - mruknął Bradford używając jej własnego określenia.

- Czyżbyś sugerował, że za odpowiednią cenę możesz mieć każdą? - Caroline wyprostowała się, gdy on tylko wzruszył na to ramionami. Odpowiadała spojrzeniem na jego spojrzenie. - Obrażasz mnie!

- Dlatego że jestem z tobą szczerzy?

- Nie. Dlatego że naprawdę wierzysz w to, co mówisz - odrzekła. - Z nie

większą przyjemnością oddałabym się tobie niż waszemu królowi Jerzemu.

- Ponieważ powiedziałem, że cię pragnę, ty od razu założyłaś, że zamierzam uczynić z ciebie kochankę. Jesteś obrażona, pod czas gdy moim zdaniem powinno ci to pochwalić. - Był wściekły i dał jej w pełni odczuć siłę swego gniewu. - A jeżeli będę cię adorował, a potem poproszę o twoją rękę, co wtedy? Zmienisz śpiewkę?! - Trzymał głowę Caroline w dłoniach zaledwie parę centymetrów od swojej. Wiedział doskonale, o co jej chodziło. I choć bardzo tego nie chciał, musiał przyznać, że pragnie jej na tyle mocno, by jej to dać.

Caroline nie mogła uwierzyć, że był aż tak próżny.

- Ładny mi komplement! Mówisz, że coś jest między nami, ale to tylko fizyczny pociąg, nic więcej. Czy naprawdę uważasz, że mogłabym być twoją z tak marnego powodu? I nie mam najmniejszego zamiaru wychodzić za ciebie za mąż - dodała z gniewem. - Mówisz, że pragniesz wiernej, kochającej, godnej zaufania kobiety, a sam nie posiadasz żadnej z tych cech!

- Skąd możesz to wiedzieć?

Caroline była zbyt zdenerwowana, by czuć się onieśmielona pod jego spojrzeniem.

- Po pierwsze, dlatego że chciałeś, abym została twoją kochanką. I to wszystko tylko z tego powodu, że czujemy do siebie nawzajem pociąg.

- A niby z jakiego innego powodu mógłbym chcieć, żebyś została moją kochanką? - zapytał Bradford, starając się podążać za jej tokiem myślenia. - Poza tym wcale tego nie powiedziałem! - Krzyczał teraz, lecz nic go nie obchodziło, czy ktoś usłyszy.

- Ale miałeś zamiar powiedzieć. Po drugie, jesteś stanowczo zbyt wielkim egoistą jak na mój gust Dla mnie liczą się nie tylko pozory. Chciałabym poślubić człowieka, który widzi dalej niż czubek własnego nosa. I na pewno nie będzie to Anglik.

- A co, do diabła, jest złego w Anglikach? - ryknął Bradford. Poczł, jak cały jego gniew gdzieś się ulatnia, i roześmiał się. Ona wszystko pomieszała. To

Anglicy nie lubią Amerykanów, a nie na odwrót. - Czyżbyś zapomniała, że sama jesteś Angielką?

- Większość Anglików nie wie, co to jest lojalność - odpowiedziała mu Caroline. Chciała go zdenerwować, lecz widziała, że jej to nie wychodzi. Wściekłość, którą okazał przed chwilą, była o wiele bardziej na miejscu, a jego nagła zmiana nastroju nie miała sensu. Caroline znowu poczuła się wytrącona z równowagi. - Większość Anglików wydałaby swojego króla, gdyby zaistniała taka potrzeba. Własny syn próbował go zdradzić i pewno znowu spróbuje. No i dlaczego się śmiejesz? Czy nie wiesz nawet, kiedy cię ktoś obraża? - zakończyła swoją tyradę, czując nagle zmęczenie.

- Teraz chyba moja kolej, żeby coś powiedzieć - odezwał się Bradford zdecydowanym tonem. - Po pierwsze więc, powiem ci, dlaczego cię pragnę.

- Wcale mnie to nie interesuje - ucięła Caroline. Obejrzała się przez ramię, żeby zobaczyć, czy ktoś nie podsłuchuje ich rozmowy, a potem z powrotem odwróciła się do Bradforda. - Ze sposobu, w jaki mnie całowałeś, domyślałam się, że pociąga cię... że pragniesz mojego ciała. - Zaczerwieniła się, ale nic nie mogła na to poradzić.

- Przyznaję, że chętnie widziałbym cię w moim łóżku. Jesteś bardzo piękną kobietą.

- To nie ma znaczenia. - Powiedziała to w taki sposób, że Bradford doszedł do wniosku, iż ona naprawdę nie zdaje sobie sprawy, jaka jest śliczna. Była to niezwykła myśl. Większość kobiet używała swej urody jako środka do osiągnięcia celu.

- Czy wiesz, że mnie śmieszysz? - zapytał.

Caroline czekała na jego dalsze słowa, a gdy milczał, okazała zniecierpliwienie.

- Oczywiście, że o tym wiem - powiedziała. - Dopiero co przestałeś się ze mnie śmiać, a ja nie jestem głucha. Mam wrażenie, że większość gości w pałacu też słyszała twój śmiech.

- Ależ ja nie śmiałem się z ciebie. - Bradford starał się przybrać poważną minę, lecz mu się to nie udało. - Śmiałem się razem z tobą.

- Tak? To dlaczego ja się nie śmiałam? - prowokowała go Caroline. - Nie sil się na dyplomację ze mną, bo to próżny trud. A skoro domagasz się szczerości, to dam ci jej sporą porcję. Nie życzę sobie być pod twoim wrażeniem. Lubię panować nad sytuacją i nie chcę być zastraszona ani zdominowana przez kogokolwiek. Ponieważ jesteś niemożliwy, irytujący, arogancki i nie do wytrzymania, wcale by się nam razem dobrze nie układało. Obawiam się, że będziesz musiał zaprzagnąć kogoś innego. Kogoś potulnego, komu nie będzie przeszkadzało, że się nim pomiata. Czy mam pomóc ci znaleźć kogoś odpowiedniego?

Już znam niektóre twoje upodobania! - Jej oczy znowu zaczęły rzucać iskry i Bradford poczuł, że bardzo jest ciekaw jej następnej uwagi. - Pragniesz kogoś lojalnego, oddanego, kochającego i... no właśnie... kogoś, z kogo mógłbyś się pośmiać.

- Zapomniałaś o szczerości - dorzucił Bradford z uśmiechem. Chcąc nie chcąc, Caroline sama dała mu nadzieję. Przyznała, że się go boi. W jego odczuciu bała się wrażenia, które na niej wywierał. Uświadomiwszy to sobie, znowu poczuł się pewnie.

- Oczywiście, że powinna być szczerą - zgodziła się Caroline. - A teraz powiedz mi, czy twoja wybranka powinna mieć jasne czy ciemne włosy? Czy ma być wysoka, czy niska? Jej oczy mają być niebieskie czy piwne? Powiedz mi tylko, a już zaraz wejdę do środka i rozejrzę się!

- Czarnowłosa, o wściekłych fioletowych oczach - zdecydował Bradford.
- No i powinna być wzrostu ani niskiego, ani zbyt wysokiego.

- Opisałeś mnie - poinformowała go Caroline. - A ja nie jestem idealna, mój panie. Mam swoje wady.

- Wiem już o paru - odparł. Nie mógł się już dłużej jej opierać i szybko się pochyliwszy, pocałował ją.

Caroline nie miała nawet czasu zaprotestować, bo pocałunek trwał mgnienie oka. Odepchnęła go.

- Czyżbyś rzeczywiście był świadom moich wad? - zapytała udając, że pocałunek w ogóle się nie zdarzył.

- Nie lubisz Irlandczyków i Anglików, drwisz z ludzi, wyciągasz pochopne wnioski, nie zawsze słuszne, masz wybuchowy temperament - wyliczał Bradford. - Czy mam kontynuować?

- Wcale nie musisz - odparła Caroline. - Ale popełniłeś kilka nieścistości. Nieprawdą jest, że nie lubię wszystkich Anglików czy wszystkich Irlandczyków. Nie lubię tych nieuprzejmych. Wiem, że mam trudności z panowaniem nad sobą i że śmieję się z ludzi, gdy nie powinnam; ale staram się z tym walczyć. Rzadko kiedy wyciągam niesłuszne wnioski. Jednak ty jesteś zbyt dumny, by przyznać się do jakichkolwiek wad, i to raczej nad tobą należałoby się uzalać.

- Jestem zachwycony twoją szczerością, a twoja pokora nieomal powala mnie na kolana. - Jego śmiech, głośny i szczery, nie został dobrze przyjęty przez dziewczynę. Rozumiał, że w ten sposób z pewnością w niczym sobie nie pomoże, a jednak nie mógł się powstrzymać. Tak wspaniale nie bawił się od lat.

- Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek mógł powalić cię na kolana - powiedziała Caroline. Uśmiechała się potrząsając głową.

- Podobałoby ci się to, prawda?

- Oczywiście - odrzekła. - Powinniśmy już wracać, zanim ktoś zauważy, że nas nie ma.

Bradford pozwolił jej zachować złudzenie, iż nie byli bacznie obserwowani, kiedy opuszczali salę. Wiedział doskonale, że wszyscy teraz o nich plotkują i opowiadają niestworzone historie. Nic nie uchodziło uwagi starych dewotek siedzących w salonie, a Bradford, nauczony wieloletnim doświadczeniem, rozumiał, że wszystko, co robił, było pretekstem do plotek.

Gdyby powiedział o tym Caroline, dziewczyna nalegałaby na

natychmiastowy powrót do ojca, a on chciał spędzić z nią choć jeszcze jedną chwilę sam na sam.

- Nie powinno było dojść do tych pocałunków i nie powinniśmy rozmawiać na tak osobiste tematy. Nie znamy się wystarczająco - oznajmiła Caroline. Już miała zamiar mu powiedzieć, że lepiej zapomnieć o całej sprawie, lecz jego następna uwaga ponownie wytrąciła ją z równowagi.

- Ależ ja wiem o tobie wszystko - zapewnił ją. - Wiem, że przez ostatnie czternaście lat mieszkałaś z wujostwem na farmie niedaleko Bostonu. Twój wuj, odkąd opuścił Londyn, nawet nie wspomina o Anglii. Charity jest dla ciebie jak siostra i chociaż jesteś młodsza o pół roku, zawsze cię słucha. Twój ojciec, hrabia Braxton, uchodzi za dziwaka, żył bowiem samotnie przez wiele lat. Doskonale posługujesz się pistoletem, chociaż kiedyś bardzo się tego bałaś. Uważałaś to za wadę i długo z nią walczyłaś. Czy to ci wystarczy? Czy już jesteś przekonana, że wiem o tobie wystarczająco dużo? Czy mam mówić dalej?

Caroline była zaskoczona.

- Skąd to wszystko wiesz?

- To nie jest żadną tajemnicą - odpowiedział spokojnie.

- Ale dlaczego ty...

- Bo się tobą interesuję - przerwał jej cichym głosem. Miał bardzo poważny wyraz twarzy i dziewczyna znowu poczuła się onieśmielona. - Caroline, ja zawsze dostaję to, czego pragnę. Kiedy mnie lepiej poznasz, zaakceptujesz to.

- Nie chcę tego słuchać! - zaprotestowała. - Zachowujesz się jak rozpieszczone dziecko.

Bradford nie poczuł się obrażony jej porównaniem. Wzruszył potężnymi ramionami.

- Myślę, że będziesz musiała się do mnie przyzwyczaić - powiedział. - W końcu to zaakceptujesz. Nie pokrzyżujesz moich zamierzeń, Caroline, najwyżej trochę opóźnisz ich spełnienie.

- Słyszałam, że wiele mężatek w Anglii ma kochanków. Czy to dlatego chciałeś...

- Wcale nie chciałem, żebyś została moją kochanką - przerwał jej Bradford. - Cały czas wyciągasz pochopne wnioski, Caroline. Ale tak, to prawda, że wiele kobiet po ślubie sypia z innymi mężczyznami.

- Więc należy im podwójnie współczuć - powiedziała Caroline z gniewem w głosie. - Nie tylko zdradzają swoich mężów, ale także łamią przysięgę małżeńską.

To oświadczenie sprawiło Bradfordowi przyjemność, lecz nie okazał tego. Czekał na dalsze jej słowa.

- Mówisz, że mnie znasz, a jednak obrażasz mnie posądzeniem, że jestem jak wasze angielskie damy. To ty w tej właśnie chwili doszedłeś do pochopnego wniosku.

Twarz księcia zdradzała, że nie nadała za jej tokiem myślenia. Caroline okazała zniecierpliwienie.

- Czekam na przeprosiny, Bradford!

W odpowiedzi pocałował ją w czubek głowy.

- Ostrzegam cię, Caroline, że nie dam się wodzić za nos. I będziesz moja.

Dziewczyna przez moment chciała oponować, lecz zdała sobie sprawę, że to daremny trud. On wiedział swoje, a ona nie była w stanie go przekonać.

- W twoich ustach brzmi to jak wyzwanie.

- To fakt - powiedział, a w jego głosie nie było cienia wątpliwości.

- A jeżeli to wyzwanie, jesteś moim przeciwnikiem. - Szept Caroline był ledwie słyszalny. - Ostrzegam cię, panie. Nie grywam w gry, w które nie mogę wygrać.

- Myślę, Caroline, że oboje wygramy - szepnął Bradford głosem, który poruszył jej serce. Przypieczętował obietnicę długim, gorącym pocałunkiem.

- Lynn, co ty wyprawiasz?! - wdarł się między nich głos Charity. - A, to pan, książę. Wiedziałałam, że będzie się pan starał wykorzystać moją kuzynkę, ale

naprawdę nie powinniście być tu tak długo sami. Mam wrażenie, że to niestosowne.

Charity uśmiechnęła się do Bradforda, gdy ten wypuszczał Caroline z objęć.

- Czyż nie mówiłam ci, moja droga, że on na pewno jest tobą oczarowany?

Bradford uśmiechnął się na to, a Caroline, poddając się, wzniosła oczy do nieba. Właśnie została przyłapana na gorącym uczynku i nie było sposobu, by przekonać Charity, że wcale tego nie chciała. Dobry Boże, przecież to ona go obejmowała!

- Przestań się uśmiechać i wytłumacz się mojej kuzynce - ponagliła Bradforda, trąc go łokciem.

- Oczywiście. Ale najpierw proszę mi pozwolić się przedstawić - powiedział Bradford z udawaną powagą.

Wyczytawszy z jego oczu niepoprawną wesołość, Caroline postanowiła interweniować.

- Charity, to jest Bradford. Książę Bradford - dodała, jakby przypomniawszy sobie o tym w ostatniej chwili. - A to, co widziałas, to był nasz pożegnalny pocałunek. Na wieki. Nieprawdaż, panie?

- Raczej do jutra - odparł Bradford. Zignorował kolejne, tym razem mocniejsze już trącenie łokciem i ujął dłoń Charity. - To dla mnie zaszczyt, Charity.

Wymienili okolicznościowe uprzejmości i dziewczyna z miejsca zapytała:

- Czy może przypadkiem zna pan człowieka o nazwisku Paul Bleachley?

Zerknęła na kuzynkę z niepokojem, a ta skinęła jej głową, dodając odwagi. Wiedziała, jak ważna jest ta wiadomość dla Charity, i poczuła się winna, że nie może jej więcej pomóc.

- Znam.

Spokojnie wypowiedziane słowo wywołało duże poruszenie. Caroline,

złapawszy Bradforda za ramię, usiłowała odwrócić go w swoją stronę, lecz z równym powodzeniem mogłaby poruszyć dąb.

Charity także doskoczyła do księcia, chwytając go za drugie ramię.

- Czy widział go pan ostatnio? - zapytała bez tchu. Bradford przyciągnął Caroline do siebie, po czym całą swoją uwagę skupił na Charity. Delikatnie tuląc do siebie Caroline, słuchał opowieści jej kuzynki o tym, jak poznała Paula.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, czy Paul jest żonaty? Wyjechał z Bostonu tak nagle... Nie powiedział mi ani słowa...

- Nie, Paul nie jest żonaty - poinformował ją Bradford. - Wrócił z Bostonu parę miesięcy temu i mieszka w swoim domu na przedmieściach Londynu.

Jeszcze tyle chciały się dowiedzieć, lecz Bradford niechętnie udzielał informacji. Ze sposobu, w jaki Charity mówiła o Bleachleyu, wywnioskował, że musiało coś między nimi zajść w Bostonie. Łzy wzbierały w oczach dziewczyny i Caroline chciała wyrwać się Bradfordowi, by pocieszyć kuzynkę. Nie puścił jej, lecz wyjąwszy z kieszeni chusteczkę, podał ją Charity. Zaproponował, by wróciła do wuja, i dodał, że wraz z Caroline zaraz do nich dołączy.

Caroline nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok chusteczki Bradforda. Nie miała ani odrobiny koronki. Kolejna różnica między nim a Brummellem.

- Czy ona kocha Paula?

Caroline wiedziała, że musi odpowiedzieć na to pytanie.

- Złożył obietnicę, której nie dotrzymał. Złamał jej serce.

- Paul jest również załamany - powiedział Bradford. - Na pewno ją kochał, w przeciwnym razie nic by jej nie obiecywał. To człowiek honoru.

- Mylisz się - zaprzeczyła Caroline. - Poprosił ją o rękę, a gdy się zgodziła, zniknął.

Bradford cały czas trzymał dłoń Caroline w swojej, gdy szli w stronę drzwi.

- Powiem ci wszystko, co wiem, ale ty zastanów się dobrze i długo, zanim

cokolwiek przekażesz swojej kuzynce. To, co ci powiem, może tylko zadać jej jeszcze większy ból i dlatego sądzę, że nie powinna znać prawdy.

Caroline zatrzymała się.

- Powiedz mi i pozwól samej zdecydować.

- Paul został ranny w Bostonie. Nastąpił wybuch i jego statek rozleciał się w drzazgi. O mało wtedy nie zginął, a blizny pozostaną mu do końca życia. Mieszka jak pustelnik w małym domku, godzinę drogi stąd. Nawet swoim krewnym nie pozwala się odwiedzać”.

- Czy ty go odwiedzałeś? - zapytała Caroline. Serce jej się krajało ze współczucia dla kuzynki i Paula Bleachleya.

- Tak, niedługo po tym, jak wrócił z Bostonu. Stracił władzę w jednej ręce i całą twarz ma w bliznach.

- Myślałam o nim wiele złego, gdy tak zniknął, lecz Charity nigdy nie uwierzyła, że opuścił ją z własnej woli. - Dziewczyna wzięła głęboki oddech. - Powiedz mi, proszę, jak wygląda jego twarz. Muszę wiedzieć, co mam przekazać Charity.

- Dlaczego mnie nie słuchasz? - Bradford potrząsnął głową. - On nie chce nikogo widywać. A przecież znam go od dziecka. Jedna strona jego twarzy jest bardzo poparzona, a lewe oko zrobiło się wylupiate i nic nim nie widzi. On już nie jest przystojny.

- Charity nie kochała go za urodę - powiedziała z przekonaniem Caroline. - My, Richmondowie, nie jesteśmy tacy przyziemni, panie Bradford. To właśnie usiłowałam ci wcześniej powiedzieć. Charity ma solidniejsze zasady, niż się domyślasz.

Ujęła rękę Bradforda, nie zdając sobie sprawy z intymności swojego gestu. Wiedział, że nie była świadoma tego, co robi, i że myśli tylko o tym, co przed chwilą od niego usłyszała. A jednak odebrał jej dotknięcie jako swoje zwycięstwo. To był początek i on o tym wiedział.

- W rodzinie nadano Charity przezwisko „Motylek”. Jest niezwykle

ruchliwa, jak motyl, i równie piękna, lecz ma także bardzo silną wolę. Nie sądzę, by obrażenia Paula odmieniły jej serce.

- Więc masz zamiar jej powiedzieć? - Bradford wydawał się zmartwiony.

- Paul jest moim przyjacielem i nie chcę, by jeszcze bardziej cierpiał. On już przeszedł wystarczająco dużo.

Caroline przytaknęła ze zrozumieniem. Gdyby była na jego miejscu, też by się pewnie niepokoiła.

- Będziesz musiał mi zaufać - odparła.

Byłoby o wiele prościej, gdyby poprosiła go o cały jego majątek albo o prawą rękę. Zaufać! To było niemożliwe. Twarz Bradforda przybrała zwykły, twarde i cyniczny wyraz. Caroline zauważyła nagle zaciśnięcie ust, które jeszcze przed chwilą ją całowały. Wiedziała, że pod tą granitową maską kryją się prawdziwe uczucia.

- Ze sposobu, w jaki na mnie patrzysz, domyślam się, że mój pomysł wcale nie przypadł ci do gustu. Dlaczego nie chcesz mi zaufać?

Nie odpowiedział, a Caroline zmarszczyła brwi w zdumieniu. Zdecydowała, że najlepiej będzie zakończyć rozmowę, i puściła jego dłoń.

- Dziękuję, że powiedziałeś mi o Bleachleyu - rzekła i zanim zdążył ją powstrzymać, pospieszyła w kierunku drzwi. W progu przystanęła i obejrzała się na niego. - Dziękuję za przeprosiny. Wiem, jakie to musiało być dla ciebie trudne.

Bradford był wściekły, że potraktowała go w taki sposób, lecz szybko zdał sobie sprawę z komizmu tej sytuacji. On był księciem Bradford, a jej ani trochę to nie imponowało. Dogonił ją i złapał za łokieć.

- Wcale cię nie przeprosiłem - powiedział. Caroline spojrzała na niego z uśmiechem.

- Ale przeprosiłbyś, gdybym ci dała na to czas. Odwróciła się od niego, a Bradford zaczął się śmiać. Już od dawna tak się nie śmiał. Poza tym miała rację. Gdyby dała mu wystarczająco dużo czasu, pewnie by ją przeprosił. Miała też

rację co do jego planów wobec niej. Bez względu na konsekwencje na pewno uczyniłby ją swą kochanką, gdyby tylko zechciała. Zbyt pospiesznie osądził, że jest podobna do wszystkich kobiet, które znał, i chyba teraz będzie musiał zmienić zdanie.

Caroline Richmond wprawiała go w zakłopotanie, co przyznawał z niechęcią. Odtrąciła jego majątek i tytuł, a on prawie jej uwierzył. Czyżby nie zdawała sobie sprawy, co mógł jej zaoferować? Nie mieściło mu się w głowie, że dobra materialne nie miały dla niej żadnego znaczenia. Przecież była kobietą! Najwyraźniej bardziej przebiegłą w swojej grze niż większość. No i bardziej zdecydowaną. A jednak on nie pozwoli jej się pokonać, to on zwycięży! Zastanawiał się, czy ona zdaje sobie sprawę, na co się porywa. Postarał się przybrać obojętny wyraz twarzy, aby nie okazać targających nim emocji.

Caroline powiedziała, że chce kogoś, kto widzi dalej niż czubek własnego nosa. Nawet nie wiedział dokładnie, co to znaczy. Będzie się musiał tego dowiedzieć. Skoro ona chce takiego mężczyzny, to go dostanie.

- Tu jesteś, córeczko - przerwał jego myśli głos ojca Caroline. Dziewczyna właśnie wchodziła do sali balowej, gdy hrabia stanął na jej drodze.
- Nie powinnaś znikać w ten sposób.

- Przepraszam, ojcze - odparła Caroline i szybko pocałowała go w policzek. - Poniosło mnie - dodała patrząc na Bradforda.

- No tak, to całkiem zrozumiałe. W końcu to twój pierwszy bal - zgodził się ojciec, po czym zapytał z niepokojem: - Czy dobrze się bawisz?

Dziewczyna wiedziała, jakiej odpowiedzi oczekuje, więc odparła natychmiast:

- Wszystko jest takie cudowne! I poznałam tylu interesujących ludzi!

W jej tklwym spojrzeniu nietrudno było się domyślić ogromnego uczucia dla ojca i Bradford poczuł zazdrość o tę serdeczną więź łączącą ojca i córkę. Było to o tyle zaskakujące, że z tego, co wiedział, hrabia Braxton odesłał córkę do Ameryki i nie oglądał jej od czternastu lat. Ta długa rozłąka najwyraźniej nie

osłabiła miłości Caroline i Bradfordowi wydało się to niezwykle.

- Wiedziałem, że ci się tu spodoba. A ty, Bradford? - zwrócił się z ukłonem do księcia. - Jak znajdujesz dzisiejszy wieczór? Zanim ten zdążył odpowiedzieć, hrabia dodał: - Byłeś dziś powodem niemałego zamieszania. Zazwyczaj nie uczestniczysz w tego rodzaju imprezach.

- Trochę zaniedbywałem obowiązki - odrzekł Bradford. - Lecz mam zamiar zmienić zwyczaje. Dzisiejszy wieczór okazał się bardzo ciekawy i muszę przyznać, że znakomicie się bawię.

- Oto nadchodzi markiz wraz z Charity. - Hrabia poczekał, aż bratanica i szwagier do nich dołączą, i powiedział do Bradforda: - Pamiętasz oczywiście markiza Aimsmonda?

Caroline zauważyła, że teraz głos ojca zabrzmiał bardzo formalnie. Pomyślała, że Bradford musi być tu jednym z najważniejszych utytułowanych dżentelmenów. Wydało jej się to zabawne, skoro był o tyle młodszy od jej ojca i wuja.

Bradford przytaknął, że rzeczywiście pamięta markiza. Był to gest księcia, przyzwyczajonego do swojej pozycji. Z całą pewnością potrafił zachować się poprawnie. Caroline uśmiechnęła się, choć nie wiedziała dlaczego. Podobała się jej jego poprawność, nowy rys charakteru, którego dotąd nie знаła.

- Miło pana widzieć, Aimsmond.

- I ciebie, Bradford - odpowiedział markiz z uśmiechem.

Następnie odwrócił się do ojca Caroline i rzekł: - Nasz gospodarz chciałby zamienić z nami słowo.

- Oczywiście - odpowiedział hrabia. - Zaraz wrócę, Caroline.

- Za pańskim pozwoleniem - wtrącił Bradford. - Chciałbym przedstawić Caroline hrabiemu Milfordhurst, a potem obiecuję ją panu zwrócić.

Braxton zgodził się skinieniem głowy i ująwszy Charity pod ramię, podążył za markizem.

Bradford natomiast poprowadził Caroline w przeciwnym kierunku, w

odległy kąt sali.

Milford, zobaczywszy Bradforda zbliżającego się z piękną kobietą u boku, natychmiast oderwał się od grupki znajomych, z którymi rozmawiał, i wyszedł naprzeciw urodziwej parze.

- Caroline, pozwól, że ci przedstawię mojego przyjaciela, Williama Summersa, hrabiego Milfordhurst - zaanonsował Bradford. - Milford, to jest lady Caroline Mary Richmond, córka hrabiego Braxton.

- Bardzo miło mi pana poznać - rzekła Caroline. Ukłoniła się wdzięcznie, patrząc na przystojnego mężczyznę ujmującego jej dłoń. Iskierki płonące w jego zielonych oczach i łobuzerski uśmiech powiedziały jej, że był równie wielkim szelmą, co jego przyjaciel.

- Cała przyjemność po mojej stronie - ukłonił się formalnie Milford. A potem zwrócił się do Bradforda: - Więc to jest owa tajemnicza dama z Bostonu? Czy suknia, którą ma pani na sobie, jest nowo uszyta? - zapytał Caroline.

- Tak, według projektu madame Newcott - przytaknęła dziewczyna.

Milford posłał Bradfordowi porozumiewawcze spojrzenie i zachichotał. Caroline nie miała pojęcia, o co im chodzi, ale zabrakło jej czasu, aby się nad tym zastanawiać, bo w tej właśnie chwili podeszła do nich Charity. Posłała ujmujący uśmiech księciu i jego przyjacielowi.

Bradford natychmiast dokonał prezentacji. Podczas gdy Charity opowiadała o wrażeniach wieczoru, zbliżył się Braxton. Książę, ignorując coraz szerszy uśmiech przyjaciela, poprosił hrabiego o chwilę rozmowy.

Gdy tylko się oddalili, Milford postarał się o napoje dla pań.

Charity nadal sterowała rozmową, a Caroline z uśmiechem słuchała pełnych podniecenia opowieści kuzynki. Uznała, że Milford jest miłym człowiekiem, którego łatwo jej będzie polubić.

- Jak długo zna pan Bradforda? - spytała, gdy Charity na moment zatrzymała potok wymowy.

- Od dzieciństwa - odpowiedział Milford. - Zawsze byliśmy jak bracia.

- A my zawsze byliśmy jak siostry - wtrąciła Charity. - Mój Boże, czyżby to nasz gospodarz mnie szukał? Mam wrażenie, że obiecałam mu ten taniec. Czyż on nie jest zadziwiająco zwawy jak na swój wiek? Wybaczycie mi? - zapytała zbierając spódnice. Zdażyła jeszcze wyszeptać do Caroline: - Módl się, żeby moje nogi to wytrzymały - i oddaliła się szeleszcząc różowym jedwabiem.

- Mam u pani dług - powiedział Milford, gdy zostali z Caroline sami. Dziewczyna popatrzyła na niego nie rozumiejąc. Czekala na wyjaśnienie. - Brad dawno już zapomniiał, co to znaczy się śmiać. Pani pomogła mu to sobie przypomnieć.

- Nie należy do ludzi łatwych we współżyciu, prawda? - uśmiechnęła się Caroline.

- Bardzo trafne spostrzeżenie - odparł Milford. - Od razu wiedziałem, że panią polubię.

Oczy Caroline rozszerzyły się ze zdziwienia. Dzisiejszy wieczór pełen był niespodzianek. Najpierw Bradford wyrecytował jej historię, a teraz jego przyjaciel sugerował, że też ją zna. Czy dla kogokolwiek była obca?

- Słyszałam tajemnicze komentarze dotyczące Bradforda. Dlaczego to takie dziwne, że się uśmiecha?

- Nie miał wielu powodów do śmiechu przez ostatnie lata. - Milford wzruszył ramionami, lecz jego odpowiedź była zbyt ogólnikowa, by zaspokoić ciekawość Caroline.

- Uważam, że jest pan miłym człowiekiem - powiedziała.

- On jest miły, a ja nie? - odezwał się Bradford zza jej pleców. Odwróciła się, równocześnie zaskoczona i ucieszona.

- Oczywiście - odparła. - Wiele mógłbyś się nauczyć od swojego przyjaciela.

Skrzywił się, a Milford, obserwując ich, zdał sobie sprawę, że dziewczyna ani trochę się tym nie przejmuje.

Caroline przypomniała sobie, że mówiła wcześniej Bradfordowi, iż

chciałaby poślubić kogoś miłego. Zobaczywszy jego reakcję, uśmiechnęła się.

Ogłoszono, iż podano do stołów, i Caroline zmartwiła się trochę, gdyż nie miałyby nic przeciwko temu, aby jeszcze podrażnić się z księciem. Obaj panowie w tym samym czasie zaoferowali jej ramię, lecz ona odmówiła obu, gdyż - jak powiedziała - musiała usiąść przy stole ojca. Rozejrzawszy się, zobaczyła hrabiego w otoczeniu kilku młodych ludzi. Bradford popatrzył w tym samym kierunku i jeszcze bardziej się zasępił.

- Mają nadzieję dotrzeć do ciebie przez ojca - powiedział Bradford. W jego głosie zabrzmiało obrzydzenie i Caroline odwróciła się, by nań spojrzeć.

- Czyżbyś miał zamiar dotrzymać towarzystwa Caroline przez resztę wieczoru? - zapytał Milford z niewinnym uśmiechem.

- Nie - odpowiedział Bradford, wiedząc, że przyjaciel kpi sobie z niego. - Mam za to zamiar porozmawiać sobie z paroma co bardziej ochoczymi panami, zanim ten wieczór dobiegnie końca.

Milford zachichotał i ukłoniwszy się Caroline, opuścił ich. Bradford ujął ramię dziewczyny gestem, który mógł zostać zinterpretowany jedynie jako władczy, i poprowadził ją w kierunku stołów.

- Czy to nie przypadkiem hrabia Stanton rozmawia z Charity? - zapytała Caroline. Pamiętała młodego człowieka, który został jej przedstawiony na początku tego wieczora.

- Nie - odpowiedział jej Bradford. - To jeden z hrabiów Stanton.

Dziewczyna spojrzała na niego, by się upewnić, czy znowu z niej nie kpi. Miał się jednak na baczności i nie była w stanie nic wyczytać z jego twarzy.

- Czy powiedziałam coś innego?

Bradford zorientował się, że Caroline nie zrozumiała jego uwagi, i uśmiechnął się. Był to niezwykle czuły uśmiech i zaskoczył Caroline kompletnie.

- Jest różnica między hrabią a jednym z hrabiów - wyjaśnił. - Jeżeli powiem, że to hrabia Stanton, będzie to znaczyło, że jest on najwyżej

utytułowany w rodzinie. Ale jeżeli powiem, że jest jednym z hrabiów Stanton, wtedy dam do zrozumienia, że jest w jego rodzinie ktoś o wyższym tytule.

- Dziękuję za informację. - Jej głos potwierdzał to, co mówiły słowa. - Ponieważ ty masz tytuł księcia Bradford, czy mam stąd wnosić, że jesteś najwyżej utytułowany w rodzinie?

- Tak - przyznał Bradford. - Ale jestem także hrabią Cantonu hrabią Whelburne markizem Summertonham i wicehrabią Benton.

Uśmiechnął się na widok zaskoczonej miny Caroline.

- Czy jesteś także rycerzem? - zapytała potrząsając głową.

- Jeszcze nie - odparł. - Honor zostania rycerzem musi być poświadczony przez króla i nie może być dziedziczny.

- Rozumiem - powiedziała Caroline. - Na pewno uważasz, że moja edukacja pozostawia wiele do życzenia. Ale do tej pory mieszkałam w Bostonie, gdzie tytuły nie mają żadnego znaczenia. Poza tym mój wuj Henry nie wierzył, że kiedykolwiek wrócę do Anglii. Uważał, że człowiek jest tyle wart, ile sam osiągnął, a nie tyle, ile odziedziczył po ojcu. Chyba z tego powodu nie zostałam odpowiednio wychowana - westchnęła Caroline. - Po prostu ani wuj, ani ja nie uważaliśmy tego za konieczne czy potrzebne.

Dołączył do nich hrabia Braxton i Bradford był zmuszony odejść.

- Dokończymy naszej rozmowy jutro - powiedział, zanim odszedł. Puściwszy jej ramię, natychmiast odczuł brak miękkości jej skóry. - Mam pozwolenie twego ojca, by złożyć ci wizytę.

Gdy życzył jej dobrej nocy, wyraz jego twarzy był jak najbardziej poprawny, lecz w oczach migotały mu wesołe ogniki. Zastanawiała się, co go tak rozbawiło.

Podczas kolacji Caroline siedziała obok wuja i naprzeciwko ojca. Kiedy zaczęli rozmawiać o jej matce, którą obaj bardzo kochali, dziewczyna zrozumiała, że wszelkie lody zostały przełamane.

- Jakie to było żenujące - powiedziała Charity, gdy tylko usiadła. -

Myślałam, że rozmawiam z naszym gospodarzem „lecz on tymczasem musiał się odsunąć. Nie patrzyłam w jego kierunku, tylko obserwowałam, co się dzieje na sali, i gdy Bradford do mnie podszedł, musiał pomyśleć, że rozmawiam z drzewkiem ozdobnym w doniczce.

W Caroline nieomal zakrztusiła się szampanem. Bardzo starała się nie roześmiać, wiedząc, że urazi tym Charity. Kuzynka bowiem wyglądała na przerażoną.

- Co on na to powiedział?

- Nic. Ani słowa - szepnęła Charity. - Po prostu ujął mnie za łokieć i przyprowadził tu. To prawdziwy dżentelmen.

Caroline tylko przytaknęła. Pochyliwszy się do ojca, poprosiła, aby podał jej okulary Charity. Potem przekazała je kuzynce, dając jej do zrozumienia, że zrobi najlepiej, jeżeli natychmiast je założy.

- Czy słyszałaś te wszystkie komentarze na temat twojego Bradforda? - zapytała Charity szeptem. Pod żadnym pozorem nie chciała przeszkadzać ojcu Caroline w rozmowie z wujem.

- On wcale nie jest moim Bradfordem - zaprotestowała dziewczyna, lecz jednocześnie nie mogła się powstrzymać od zapytania: - Jakich komentarzy?

- On nigdy nigdzie nie bywa. To dlatego wszyscy są dziś tak zaskoczeni. Zresztą on też wydaje się dobrze bawić. Nasz gospodarz jest tym bardzo uradowany. Caroline, czy zdajesz sobie sprawę, że twój ojciec nie pokazywał się publicznie od lat? Wszyscy uważają, że to ty dokonałaś obu tych cudów.

Caroline przypomniała sobie, co powiedział jej Milford. Że ma u niej dług za to, iż przypomniała jego przyjacielowi, co znaczy się śmiać.

- On po prostu zapomniał, jak się to robi - wyszeptała do siebie Caroline.

Podniósłszy wzrok, zobaczyła Bradforda otoczonego wianuszkiem ślicznych kobiet. Wszystkie chichotały i Caroline nagle poczuła złość na te głupie kokietki, nieomal uwieszone na Bradfordzie. Zupełnie nie rozumiała swojej reakcji i powiedziała sobie, że powinna poczuć ulgę. Co się z nią działo?

Nie miała więcej czasu na roztrząsanie swoich uczuć i była za to wdzięczna losowi. Następną godzinę spędziła poznając przyjaciół i znajomych ojca i wuja. Niektórzy byli utytułowani, inni nie. Caroline odzywała się tak mało, jak to tylko było możliwe, obawiając się, że niestosownie zwróci się do kogoś ważnego i tym samym okaże swą ignorancję.

Dygając przed coraz to nowymi postaciami świątka londyńskiej arystokracji, coraz bardziej czuła się prostą wiejską dziewczyną, którą w istocie była.

Została przedstawiona lady Tillman, kobiecie, którą niegdyś adorował jej ojciec. Usłyszała komentarz wuja, że i ona miała wtedy na niego oko.

Lady Tillman okazała się podobna do wszystkich kobiet obecnych na balu. Była może tylko nieco bardziej okrągła. Caroline doszła do wniosku, że lady Tillman musiała ćwiczyć mimikę przed lustrem. Było coś nienaturalnego w sposobie, w jaki okazywała kolejno zainteresowanie, przyjemność i zachwyty. Wydawała się sztuczna i nudna i Caroline była nią szczerze rozczarowana, tym bardziej że dostrzegła nieklamany podziw ojca dla tej kobiety.

Poczuła wyrzuty sumienia, gdy uświadomiła sobie nagle, jak bardzo samotny musiał czuć się jej ojciec. Dla jego dobra postanowiła ją polubić, lecz bardzo szybko zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie tego dokonać. Tym bardziej że zażywna siwowłosa i brązowooka dama dostała właśnie napadu chichotu, wywołanego niezbyt śmieszną uwagą.

Córka lady Tillman była dokładną kopią mamusi, zarówno w wyglądzie, jak i sposobie bycia. Wydawała się zupełnie pozbawiona własnej woli.

Lady Tillman poinformowała Caroline i Charity, że Rachel jest już zaręczona, i wysłała hrabiego, by odszukał przyszłego męża córki. Gdy tylko obaj panowie się zjawili, Caroline inaczej spojrzała na Rachel. Poczuła, że jej współczuje.

Nigel Crestwall miał oczy podstępного lisa. Nie patrzył na Caroline, lecz rozbierał ją wzrokiem. Dziewczyna czuła się bardzo niepewnie w jego

obecności i była wdzięczna, gdy Rachel uprosiła go, by z nią zatańczył.

Markiz zaczynał zdradzać oznaki zmęczenia i Caroline zasugerowała, by wrócili do stołu na deser. Gdy tylko usiedli, wicehrabia Claymere zaczął ich błagać, by pozwolili mu się przysiąc, a zaraz potem w jego ślady podążył Terrence St. James.

Caroline szybko znudziły się zabiegi obu panów, mające na celu zdobycie jej uwagi. Rozejrzawszy się po sali, zobaczyła Bradforda, który się jej natarczywie przyglądał. Kobieta, którą mogła opisać tylko jako uderzająco piękną, uczepona była jego ramienia, a w jej oczach malował się zachwyt.

Bradford uniósł trzymany w dłoni kieliszek, zapewne w geście pozdrowienia. Skinęła głową i właśnie podnosiła swój kieliszek w odpowiedzi, gdy wicehrabia pochylił się i wytrącił kryształ z jej ręki. Jedwabny obrus zalała powódź szampana, lecz Caroline nie zwróciła na to uwagi, starając się uspokoić wicehrabiego. Odegrał niesamowitą scenę przeprosin i Caroline musiała zacisnąć zęby, by go do końca wysłuchać.

Gdy się już wreszcie uspokoił, jeszcze raz spojrzała na Bradforda i zobaczyła, że całe zajście dostarczyło mu wiele radości. Uśmiechał się od ucha do ucha.

Caroline także się uśmiechnęła i potrząsając głową, wróciła do rozmowy, która toczyła się obok. St. James cały czas łapał ją za rękę i była zmuszona ciągle mu ją wyrywać.

Noc wreszcie miała się ku końcowi. Caroline objęła wuja na pożegnanie i po raz dziesiąty obiecała, że przyjdzie do niego na herbatę za dwa dni. Wraz z Charity pożegnały się ze wszystkimi i podziękowały księciu Ashford za wspaniały wieczór.

- O czym tak rozmawialiście z Bradfordem? - zapytała ojca, gdy ten cierpliwie wysłuchał relacji Charity z wrażeń tego wieczoru.

- On bardzo chciałby cię jutro odwiedzić - poinformował hrabia córkę. - Powiedziałem, że jest już piątym, który mnie o to prosi, i wcale mu się to nie

spodobało - zachichotał.

- Bradford ma poważne zamiary wobec Caroline - zauważyła Charity.

- Podobnie jak połowa mężczyzn w Londynie - odparł hrabia. - Ale twoja kuzynka nie jest jedyną, która otrzymała takie propozycje. Miałem równie dużo podobnych próśb związanych z tobą, Charity.

- Naprawdę? - zapytała, lecz w jej głosie nie było zbytniego entuzjazmu.

- Ależ tak! I musimy się nimi wszystkimi jutro zająć. Chociaż formy zalotów zmieniły się w ciągu ostatnich lat, podejrzewam, że dostaniecie rano masę kwiatów i bilecików.

Przerażony wyraz twarzy Charity pogłębiał się z każdym słowem wuja. Caroline złapała jej spojrzenie i potrząsnęła głową na znak, by nic nie mówiła. Nie chciała psuć radości ojca i wiedziała, że odbędzie z kuzynką długą rozmowę, gdy tylko zostaną same.

Charity zrozumiała znak i kiwnęła głową. Caroline usiłowała skupić uwagę na słowa ojca, lecz stale przeszkadzała jej w tym twarz Bradforda. Nagle pomyślała o Clarensie, swoim bostońskim adoratorze. W pewnej chwili obaj stanęli jej przed oczami i Caroline westchnęła. Clarence był jeszcze chłopcem, a Bradford mężczyzną. Clarence zawsze przypominał jej żrebaka z farmy, niezgrabnego i chwiejnego. Z drugiej strony Bradford przypominał jej ulubionego ogiera, był silny i zdecydowany. Caroline zastanawiała się, czy był równie wytrzymały jak jej ogier. Ta myśl zatrzymała ją na chwilę. Czy Bradford będzie równie wytrzymały w swoim pożądaniu? Było to doprawdy dziwne porównanie. Jednak Caroline winiła zmęczenie za tak dziwaczne myśli.

Caroline postanowiła, że porozmawia z Charity o Paulu Bleachleyu rano, gdy ta już dobrze się wyśpi.

Jednak wszedłszy do sypialni kuzynki, aby życzyć jej dobrej nocy, zastała dziewczynę siedzącą na łóżku, przytuloną do puchowej poduszki i płaczącą rozpaczliwie.

- Od samego początku miałaś rację - powiedziała Charity między jednym

szlochom a drugim. - Nie było w nim ani krzty honoru. Mam doprawdy bardzo podle myśli, Caroline. Chciała bym, abyśmy go wspólnie odnalazły i żebyś go zastrzeliła.

Caroline uśmiechnęła się i usiadła na łóżku obok Charity.

- To naprawdę bardzo podła myśl - zgodziła się z kuzynką. - Ale to ja się myliłam co do Paula, a nie ty. Od dziś będę się ciebie słuchała w każdej sprawie dotyczącej mężczyzn. Masz dobry instynkt.

- Czy drażnisz się ze mną? - Charity wytarła łzy w poduszkę i usiadła prosto. - Ty coś wiesz, prawda? Powiedz mi!

- Bleachley został ranny w czasie tego wybuchu w Bostonie. Pamiętasz tę noc, Charity, gdy cały port stanął w płomieniach i widziałyśmy pomarańczową poświatę z okien naszej sypialni?

- Oczywiście, że pamiętam. O Boże, powiedz, co się z nim stało!

Ból w jej głosie sprawił, że Caroline, jak mogła najszybciej, opowiedziała całą historię.

- Co ja mam zrobić? - zapytała Charity wysłuchawszy wszystkiego. - Bradford powiedział, że on nie chce widywać nawet swoich przyjaciół. Mój biedny Paul! Jak on musi cierpieć!

- Znowu zaczęła płakać, a Caroline poczuła się zupełnie bezradna.

Charity łkała przez dobrych parę minut, dopóki poduszka całkiem nie przemokła. Caroline słuchała jej szlochów z bólem w sercu. W panice odrzucała jeden szalony plan po drugim, nie mogąc nic wymyślić. Gdybyż tylko Charity tak głośno nie płakała!

I wtedy wszystko połączyło się w jedną całość. Uśmiechając się do kuzynki, powiedziała:

- Jeżeli już skończyłaś płakać, myślę, że mam pomysł. Będę musiała poprosić Bradforda o przysługę, ale cóż, bez niego sobie nie poradzę.

- Powiedz! - Charity ujęła dłoń kuzynki i ścisnęła z całej siły. Chociaż była malutka, jej uścisk o mało nie połamał Caroline kości.

- Chodzi o to, żeby dopaść Paula na osobności i przekonać, że go naprawdę kochasz, mam rację?

Charity przytaknęła tak energicznie, że rozpadł się kok na czubku jej głowy i włosy rozsypały się w nieładzie.

- Bradford będzie gwarancją, że Paul w ogóle nas wpuści - zaczęła wyjaśniać swój plan Caroline. - Tym ja się zajmę, ale reszta będzie zależeć od ciebie. Mój plan wymaga od ciebie zagrania trudnej roli. Nie możesz być miła! To by wszystko zniszczyło.

- Nie rozumiem - zmarszczyła brwi Charity.

- Pamiętasz ten ranek, gdy przyprowadziłam Benjamina do domu?

- Pamiętam. Okropnie się wystraszyłam, gdy weszłam do kuchni i zobaczyłam go tam siedzącego z nożem w ręce.

- Ale nie okazałaś, że się boisz. Ani ty, ani twoi bracia. Pamiętasz, jak Caimen koniecznie chciał uścisnąć mu dłoń?

- Pamiętam to wszystko, ale co to ma wspólnego z Paulem?

- Daj mi skończyć - poprosiła Caroline. - Benjamin był bardzo nieufny, lecz wszyscy zachowywali się tak, jakby jego obecność była najbardziej oczywista pod słońcem. Gdy mama weszła i spojrzała na niego, od razu powiedziała, że zajmie się jego ranami. Biedny Ben był bez szans. Zanim się obejrzał, już leżał w łóżku zabandażowany po czubek nosa. O ile pamiętasz, ani na chwilę nie wypuścił z ręki tego swojego noża. Mam wrażenie, że nawet z nim spał tej pierwszej nocy. - Caroline uśmiechnęła się na wspomnienie, jak bardzo wyrozumiała okazała się wtedy jej ciotka. - Jeżeli okażesz Paulowi, jak bardzo... to znaczy, jeżeli okażesz mu choć odrobinę współczucia czy litości, wszystko pójdzie na marne. - Wyjaśniając wszystko po kolei, coraz bardziej była pewna, że jej plan się powiedzie.

Rozmawiały jeszcze ponad godzinę i w końcu Caroline postanowiła, że muszą trochę odpocząć.

- Ależ nie rozmawialiśmy jeszcze o dzisiejszym wieczorze! Muszę ci

powtórzyć wszystkie komplementy, jakie słyszałam pod twoim adresem. Wywołałaś niezły zamęt! Każda obecna na balu kobieta ci zazdrościła. A każdy mężczyzna koniecznie chciał cię poznać przez twego ojca. Czy wiedziałaś o tym? Jest tyle do opowiadania! Czy zdajesz sobie sprawę, że na balu był twój wuj Franklin i nawet nie próbował cię poznać? Ależ tak, był tam - mówiła z pośpiechem Charity. - Nasz drugi wuj, markiz, co za kochany staruszek! Cóż, on pokazał mi w tłumie Franklina i pomachał do niego, by go przywołać. Jednak tamten odwrócił się do nas plecami i po prostu odszedł.

- Może was nie widział - powiedziała Caroline.

- Cóż, chociaż byłam bez okularów, to i tak zauważyłam jego grymas. Nie był aż tak daleko. To było bardzo dziwne, a ponieważ wiele razy powtarzałaś, że Anglicy to dziwny naród, użyję tego wytłumaczenia dla jego obraźliwego zachowania.

- To naprawdę jest dziwne...

- Czy mówiłam ci, że Bradford podobno nigdy nie chodzi na bale? Myślę, że byłaś jedynym powodem, dla którego pojawił się na dzisiejszym. I nie kręć głową! Mówiłam ci, że on się tobą interesuje! Poza tym przed chwilą powiedziałaś, że masz zamiar ufać mojemu instynktowi. Pamiętasz? Teraz musisz przyznać, że i on ci się podoba. Na miłość boską, Caroline, przecież widziałam, jak całowaliście się na balkonie. Poza tym zauważyłam, jak go obserwowałaś, gdy myślałaś, że nikt tego nie widzi.

- Czy to było aż tak widać? - zapytała przerażona Caroline.

- Ja to zauważyłam tylko dlatego, że znam cię dobrze, i to od wielu lat - uspokoiła ją Charity.

- On mi się podoba, ale to wprawia mnie w zakłopotanie - przyznała Caroline, a Charity poklepała ją po ręce matczynym gestem. - Czy wiesz, że odkąd przybyłyśmy do Anglii, wszystko, w co wierzyłam, zostało wywrócone do góry nogami? Pamiętasz, jak powtarzałam, że wrócę do Bostonu? Byłam o tym święcie przekonana. A teraz pokornie godzę się z myślą, że pozostanę w

Londynie. Gdy poznałam Bradforda, myślałam, że nigdy do tej pory nie spotkałam równie okropnego, nieznośnego mężczyzny, a teraz sama przyznaję, że go lubię. Co się ze mną dzieje?

- Myślę, kochana siostrzyczko, że uczysz się ulegać innym. To wszystko. Nigdy nie wiedziałaś, co to jest kompromis, a mam wrażenie, że to właśnie jeden z elementów życia kobiety. - Caroline westchnęła ze zniecierpliwieniem, a Charity zaśmiała się w odpowiedzi. - Wiem, że wydaję się okropnie przemądrzała, ale mam wrażenie, kochanie, że zaczynasz się zakochiwać. I nie wyglądasz na tak przerażoną. To nie koniec świata.

- Tu można się nie zgodzić - odparła Caroline. Wstała z łóżka i przeciągnęła się. - Śpij dobrze, Charity.

Było już po trzeciej nad ranem, gdy Caroline wreszcie znalazła się we własnym łóżku. Wszystkie jej myśli krążyły dokoła Bradforda. Dlaczego tak niezwykle było to, że się uśmiechał? Musi pamiętać, by kogoś o to zapytać. I w końcu zasnęła z uśmiechem na ustach.

Karolinę obudziła się jak zwykle o świcie i była z tego bardzo niezadowolona. Spała tylko cztery godziny, sińce pod oczami były niezbitym dowodem przemęczenia.

Ubrała się w prostą beżową sukienkę i uczesawszy włosy, zeszła na dół po filiżankę herbaty.

Jadalnia była pusta. Caroline poszła więc długim korytarzem i w końcu znalazła kuchnię. Kucharka siedziała na krześle obok paleniska.

Caroline przedstawiła się i rozejrzała po dużym pomieszczeniu. Zobaczyła grubą warstwę kurzu na podłodze, brud na ścianach i poczuła, jak ogarnia ją złość.

- Mam na imię Marie - powiedziała kucharka. - To mój pierwszy tydzień tutaj. Widzę, że nie podoba się pani bałagan, ale nie miałam jeszcze czasu go posprzątać. - Jej głos zabrzmiał wyzywająco. Caroline popatrzyła na nią ostro i kucharka szybko zmieniła temat - Od razu mogę pani powiedzieć, że znowu

mięso się nie udało. - W jej głosie nie było skruchy, co zmartwiło Caroline.

- Tu jest okropnie brudno - powiedziała dziewczyna.

- Chleb też nie nadaje się do jedzenia - odparła kucharka, jakby nie słysząc. - Teraz zostanę zwolniona i co zrobię? - Zaczęła płakać ocierając oczy skrawkiem brudnego fartucha.

Caroline nie była pewna, jak ma zareagować. Kucharka wyglądała raczej żałośnie.

- Czy nie powiedziano ci, jakie są twoje obowiązki? - Pytanie tylko wzmogło zdenerwowanie kobiety. - Uspokój się! - Głos Caroline miał w sobie ostrą nutę, co natychmiast podziałało. Kucharka z wysiłkiem się uspokoiła.

- Skłamałam, a Tobie pomógł mi sfalszować referencje - przyznała się. - Wiem, że to było bardzo nieuczciwe, panienko, ale potrzebowałam pracy i tylko to przyszło mi do głowy. Zarobki Toby'ego nie wystarczają nam na życie, więc muszę zarobić parę dodatkowych szylingów, by nakarmić moją małą Kirby.

- Kim są Toby i Kirby? - zapytała Caroline. Jej głos był już łagodniejszy i zaczynało pobrzmiwać w nim współczucie. Skoro Marie przyznała się do błędów, to pewnie była uczciwa. Caroline poczuła, że żal jej kobiety.

- To mój chłop i moje dziecko - odparła Marie. - Gotuję dla nich i nigdy nie narzekali, więc myślałam, że potrafię zadowolić i hrabiego. Teraz on mnie zwolni i nie wiem, co ze sobą pocznę!

Caroline obserwowała Marie. Wyglądała na twardą kobietę, choć była bardzo chuda, co należało przypisać temu, że zapewne nie dojadła.

- Czy powie panienka ojcu? - Marie nerwowo miętoszyła fartuch.

- Może dojdziemy do porozumienia - powiedziała jej Caroline. - Jak bardzo zależy ci na tej pracy?

- Zrobię wszystko, panienko, wszystko - odparła z pośpiechem kucharka. Po wyrazie niespokojnych oczu Caroline poznała, że kobieta jest niewiele starsza od niej. Jej skóra nie była jeszcze pomarszczona, natomiast oczy były bardzo stare. Stare i zmęczone.

- Poznałaś mojego przyjaciela, Benjamin, prawda?

- Powiedziano mi, że on troszczy się o bezpieczeństwo panienki - przytaknęła Marie.

Najwyraźniej albo ojciec, albo Benjamin mówili coś o łączącej ich więzi.

- To prawda - powiedziała Caroline, po czym dodała: - Ale on świetnie sobie radzi także w kuchni. Poproszę go, by przygotowywał posiłki, a ty się od niego ucz.

Marie znowu przytaknęła i obiecała robić wszystko, co Benjamin jej poleci.

Gdy Caroline wyjaśniła Benowi sytuację, on tylko się uśmiechnął. Był to jedyny wyraźny znak, że chętnie pomoże. Caroline nigdy by go nie poprosiła o tymczasowe przejęcie obowiązków w kuchni, gdyby nie wiedziała, ile przyjemności da mu wymyślanie nowych potraw.

Gdy Benjamin i Marie określili zakres swoich obowiązków, sytuacja została opanowana. Marie była bardzo pokorna i wdzięczna, a Benjamin udawał, że w ogóle jej nie zauważa. Caroline pozostawiła ich samych i wzięwszy filiżankę herbaty, poszła do jadalni, aby tam poczekać na ojca.

Hrabia Braxton zjawił się godzinę później. Siedziała z nim, podczas gdy jadł - jak to sam określił - najlepsze śniadanie swojego życia. Potem przejrzeni stos bilecików, które nadeszły rano. Caroline była zaskoczona powodzią kwiatów i liczbą próśb o spotkanie.

- Czy ci mówiłem, że księżę Bradford ma zamiar odwiedzić cię dziś o drugiej po południu?

- O drugiej! - wykrzyknęła Caroline. Podskoczyła na równe nogi, odruchowo przyglądając włosy. - To za niecałe dwie godziny! Muszę się natychmiast przebrać!

Ojciec przytaknął i zawołał za nią:

- Idziemy dziś na przyjęcie wydawane przez wicehrabiego Claymere i jego rodzinę!

- Czy Claymere to ten dziwny młody człowiek, którego poznałam wczoraj? - Caroline zatrzymała się w drzwiach.

Gdy ojciec kiwnął głową, wzniosła oczy do nieba.

- Nie mogę w takim razie włożyć dziś tej pięknej sukni w kolorze kości słoniowej, bo on z pewnością coś na nią wyleje. Szkoda, że czerń nie jest w modzie.

Bradford spóźnił się piętnaście minut. A Caroline, czekając na niego, nerwowo przechadzała się po głównym hallu. Usłyszała, jak Deighton wita gościa tytułując go „jego wysokość”, a potem drzwi się otworzyły i on sam wszedł do środka.

Prezentował się niezwykle korzystnie w stroju do konnej jazdy. Jego spodnie były równie modne jak te, w których widziała go podczas pierwszego spotkania, i Caroline uśmiechnęła się. Miał na sobie ciemnoczekoladowy żakiet, co powodowało, że krawat wydawał się lśnić bielą. Buty do konnej jazdy zostały dokładnie wypolerowane i Caroline była przekonana, że gdyby się pochyliła, mogłaby się w nich przejrzeć.

Najwyraźniej bardzo starannie się ubierał, lecz Caroline również zadbała o swój wygląd. Miała na sobie lawendową suknię o rozszerzanych rękawach i głęboko wyciętym ciemnoniebieskim staniku. Mary Margaret ułożyła jej włosy w niezwykle misterną konstrukcję, tak że opadały na plecy, podczas gdy kilka loczków okalało twarz.

Caroline zdała sobie sprawę, że gapi się na Bradforda tak samo jak on na nią. Podniosła spódnicę, ukazując niebieskie skórzane pantofelki, i dygnęła oficjalnie.

- Spóźniłeś się, książę. Cóż cię zatrzymało? - Jej bezpośredni sposób bycia rozbawił go.

- A ty jesteś za wcześnie. Czyżbyś nie wiedziała, że dama powinna kazać czekać swojemu konkurentowi, żeby nie okazać się nazbyt chętną?

- Czyżbyś był moim konkurentem? - zapytała Caroline podchodząc do

niego.

Bradford zauważył, że jej oczy błyszczą wesoło i przytaknął.

- A czy ty nie jesteś nazbyt chętna?

- Ależ oczywiście - odpowiedziała Caroline. - Dowiedziałam się, jak jesteś bogaty i wpływowy, więc naturalnie jestem chętna. Czy nie tak przypadkiem to sobie wyobrażasz? - Roześmiała się na widok jego okropnie nieszczęśliwej miny.

- Jeszcze nie zdążyłem cię odpowiednio powitać, a ty już się ze mną drażnisz - powiedział z wyrzutem.

- Ależ właśnie się powitaliśmy - zaprzeczyła Caroline. Jednak nastrój do żartów szybko jej minął, gdy Bradford, z dziwnym wyrazem twarzy, zaczął się ku niej zbliżać. Caroline wycofywała się, aż wpadła na kanapę i musiała się zatrzymać.

Bradford złapał dziewczynę za ramiona i powoli przyciągnął ją do siebie. Jego zamiar był oczywisty i Caroline usiłowała go odepchnąć w panice. Drzwi do pokoju były szeroko otwarte i ojciec mógł wejść w każdej chwili. Wiedziała, że Deighton poszedł zawiadomić go o przybyciu Bradforda, i bardzo nie chciała, aby zastano ją w tak krępującej sytuacji.

- Mój ojciec... - zaczęła, lecz nie było jej dane dokończyć. Bradford zaczął ją całować długo i gorąco, niwecząc jej dobre chęci. Odpowiedziała niemal natychmiast, ujmując jego twarz w obie dłonie. Ten pocałunek pozbawił ją wszelkiej chęci oporu i Caroline była zawiedziona, gdy Bradford wypuścił ją z objęć. Wyraz jej twarzy musiał mu o tym aż nadto wyraźnie powiedzieć, bo zaczął się śmiać.

- Dlaczego nie całowałeś mnie tak jak wczoraj? - zapytała Caroline. Zdała sobie sprawę, że nadal dotyka jego twarzy, i opuściła dłonie.

- Dlatego, że gdy już raz zacznę cię tak całować, nie mam ochoty przestać. - Żartobliwie naśladował jej sposób mówienia, lecz w oczach miał czułość. - Wiem, jak daleko mogę się posunąć.

- Czyżbyś sugerował, że z mojego powodu możesz stracić panowanie nad sobą? - zapytała.

Bradford wyczytał rozbawienie w fioletowych oczach i raz jeszcze zadziwił się jej niewinnością. Powiedziała to w żartach i nie miała pojęcia, jak bliska jest prawdy. Mogła łatwo sprawić, że straciłby panowanie nad sobą.

- Skoro mi nie odpowiadasz, wnoszę, że tak - zaśmiała się Caroline. Złożyła razem ręce jak dobrze wychowana panienska i usiadła w bujanym fotelu, stojącym obok marmurowego ko minka. - To daje mi nad tobą władzę, prawda, książę? A jestem o połowę mniejsza od ciebie.

Bradford usiadł w fotelu naprzeciw niej i wyciągnął przed siebie długie, dobrze umięśnione nogi. Skrzyżował kostki w wyjątkowo odprężonej pozycji, zastanawiając się nad odpowiedzią. Gdy tak się jej przyglądał, Caroline pomyślała, że wygląda prawie na zadumanego.

- No dobrze - westchnęła w końcu. - Nie masz nastroju do żartów, a poza tym chciałabym cię o coś poprosić, zanim przyjdzie tu mój ojciec. Jeżeli się zgodzisz, wyświadczyć mi pewną przysługę, do końca życia pozostanę twoim dłużnikiem. - Położyła dłonie na kolanach i czekała na jego odpowiedź.

- Do końca życia? - zapytał Bradford unosząc brwi. - Czy nie za długo chcesz być dłużnikiem?

- No dobrze, trochę przesadziłam - zgodziła się Caroline. - Chciałabym, abyś zaprowadził mnie i Charity do domu Paula Bleachleya i pomógł nam go przekonać, by nas wysłuchał.

Bradford potrząsnął głową, zmartwiony, że musi jej odmówić.

- Paul nigdy się na to nie zgodzi.

- Nic nie rozumiesz - powiedziała mu z wyrzutem Caroline. Wstała i zaczęła chodzić nerwowo po pokoju. - Jest więcej niż prawdopodobne, że Paul nic nie wie o naszym przybyciu. Nawet gdyby wiedział, to i tak nie chciałby się z nami widzieć. Mam zamiar zaskoczyć go. To naprawdę jest bardzo proste - powiedziała, gdy zobaczyła minę Bradforda. Znowu marszczył brwi. - Ja

naprawdę myślę tylko o szczęściu mojej kuzynki... i Paula. Robię to, co dla nich najlepsze.

Bradford roześmiał się.

- A ty oczywiście jedyna wiesz, co jest dla nich najlepsze? - zapytał, gdy odzyskał panowanie nad sobą.

- Zawsze się ze mnie śmiejesz - mruknęła Caroline ze zniecierpliwieniem w głosie. Usłyszała ojca schodzącego po schodach i dorzuciła z pośpiechem: - Proszę, zgódź się. Zaufaj mi, Bradford, naprawdę wiem, co robię. To byłoby takie miłe z twojej strony.

Zdała sobie sprawę, że zaczyna go błagać, więc wyprostowała się i spojrzała dumnie na Bradforda. I jeszcze raz go poprosiła.

Gdy hrabia Braxton wszedł do pokoju, uśmiechnął się. Bradford śmiał się głośno, a Caroline wyglądała na zadowoloną z siebie.

Następną godzinę spędzili na uprzejmej rozmowie towarzyskiej. Ojciec najwyraźniej nie miał zamiaru zostawić ich samych i Caroline nie mogła nic wymyślić, aby zostać z księciem sam na sam.

W końcu ojciec i córka odprowadzili Bradforda do drzwi.

- Czekam na bilecik od ciebie - powiedziała Caroline znacząco. - I to nie później niż jutro rano. W przeciwnym razie będę zmuszona zmienić plan.

- Czy wybierasz się do Claymere'ów dziś wieczorem? - zapytał hrabia Bradforda. - Zapowiada się interesująco. Mała Clarissa ma grać na fortepianie, a jej siostra śpiewać.

Bradford nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Zamierzam pożyczyć fartuch od kucharki, żeby wicehrabia nie zniszczył mi sukni - wtrąciła Caroline.

Hrabia posłał jej wymowne spojrzenie, świadczące, że uwaga była nie na miejscu, i dziewczyna opuściła wzrok w zakłopotaniu. Pomyślała, że naprawdę powinna się nauczyć trzymać buzię na kłódkę. Dobry Boże, czyżby stawała się taką gadułą jak Charity?

Bradford docenił jej żart.

- Milford i ja też tam będziemy.

W chwili gdy to mówił, zastanawiał się, jak zdobędzie zaproszenie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Claymere chce adorować Caroline, i poprzysiągł sobie nie dopuścić do tego. Nikt poza Jeredem Marcusem Bentonem nie będzie miał Caroline Richmond.

Ozy wszystkie przyjęcia zaczynają się tak późno? - zapytała Caroline. Łagodny ruch powozu kołysał ją do snu.

- To ty zbyt wcześnie wstajesz - zauważyła Charity. - Ja spałam dziś do południa i czuję się znakomicie. Może powinnaś przyszczytać trochę policzki? Wyglądasz bardzo blado.

Caroline odpowiedziała jej coś nieuprzejmie, znowu ziewając.

- Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić - powiedział hrabia. - Claymere'owie to bardzo dobra rodzina. Czy mówiłem wam, że młodsze siostry wicehrabiego będą nas dziś zabawiać?

Caroline przytaknęła. Zamknęła oczy i do końca jazdy przysłuchiwała się tylko rozmowie ojca z Charity. Kuzynka była w doskonałym nastroju; po południu bowiem pojawił się bilecik od Bradforda. Notka była krótka i treściwa. Bradford pisał, że zjawi się u nich o dziesiątej rano i zawiezie je do domu Paula Bleachleya. W ostatniej linijce napisał: „Czy to jest wystarczająco miłe jak na twój gust?”

Uzyskawszy pomoc Bradforda, Caroline opowiedziała wszystko ojcu. Zgodził się, by pojechały, ale oznajmił, że muszą być w domu przed pierwszą po południu, gdyż w przeciwnym razie nie zdążą na herbatę do wuja Milo.

Kiedy się zjawili na przyjęciu, Bradforda jeszcze nie było i Caroline odczuła zawód. Wicehrabia zabawiał ją cały czas i nie pozwalał zasnąć. Kilka razy nadeptywał jej na palce, a jego przeprosiny były jeszcze żałośniejsze.

Nie wiedział, kiedy przestać, co doprowadzało Caroline do rozpacz.

Bradford pojawił się na moment przed rozpoczęciem recitalu. Caroline

siedziała w jednym z tylnych rzędów pomiędzy Charity i ojcem i nie było to przypadkowe. Właściwie zmusiła ich, by usiedli po obu jej stronach. Bardzo nie chciała, by wicehrabia siedział obok niej.

Okazało się, że mała Clarissa ma dobre pięćdziesiąt funtów nadwagi. Bardzo długo się przygotowywała do występu, po czym spróbowała zagrać... i znowu, i znowu, i znowu... aż Caroline straciła rachubę nieudanych prób. Biedne dziecko bardzo się starało, ale nic mu nie wychodziło.

Bradford opierał się o przeciwległą ścianę, starając się zachować kamienną twarz. Przysięgał sobie, że jeżeli ta mała zacznie jeszcze raz od początku, to on przebiegnie przez salę, złapie Caroline za rękę i porwie ją stąd.

Milford wszedł do pokoju i przywitawszy się ze wszystkimi, podszedł do przyjaciela.

- Co się tak uśmiechasz? - zapytał szeptem, by nie przeszkadzać małej Claymere'ównie.

- No cóż, siedzę tu i słucham tej żalösnej parodii Mozarta tylko po to, by być blisko Caroline - przyznał się Bradford.

- A gdzie ona jest? - Milford rozejrzał się po pokoju. Bradford zerknął w kierunku ostatnich rzędów i zaczął się śmiać. Kilkoro gości obejrzało się na niego, a on, pozdrawiając ich kiwnięciem głowy, usiłował zapanować nad sobą.

- Jest mniej więcej w połowie ostatniego rzędu. Śpi.

- Faktycznie - szepnął Milford ze stłumionym chichotem. - Mądra dziewczyna.

Caroline przespała recital małej Clarissy. Potem była krótka przerwa, gdy dziecko czekało, aż siostra przygotuje swoje nuty.

Hrabia Braxton wykorzystał okazję, by zmienić miejsce, bo bardzo chciał posłuchać Catherine Claymere. Wicehrabia mówił mu, że jest obdarzona pięknym sopranem.

Gdy Charity podążyła za wujem, Bradford i Milford zajęli ich krzesła. Bradford usiadł po prawej stronie Caroline, a Milford po lewej.

- Czy masz zamiar ją budzić? - zapytał leniwie Milford.

- Tylko jeżeli zacznie chrapać - odparł ze śmiechem Bradford. - Boże, jaka ona jest piękna, gdy śpi.

- Czy nadal usiłujesz przestać o niej myśleć? - W znudzonym głosie Milforda zabrzmiało zainteresowanie.

Bradford nie odpowiedział. Na początku myślał, że weźmie to, na czym mu zależy, i rzuci ją dla innej. Ale ten plan już mu się nie podobał. Od odpowiedzi wybawiła go Clarissa, dobywając z fortepianu pierwsze takty akompaniamentu.

Było to nawet miłe, dopóki Catherine nie otworzyła ust i nie zaczęła śpiewać. Dźwięk był przeraźliwy. Jedynie Bradfordowi sprawił on przyjemność, obudził bowiem Caroline. Podskoczyła nerwowo, złapała księcia za kolano i głośno wciągnęła powietrze.

Potem przypomniała sobie, gdzie się znajduje, i zaczerwieniła się zażenowana, ale tylko z tego powodu, że zasnęła, a nie że tak gwałtownie zareagowała na dziewczęcy śpiew, przypominający głos kota obdzieranego ze skóry.

Bradford przykrył jej dłoń swoją i wtedy dopiero zdała sobie sprawę, gdzie ją położyła. Wyrwała mu ją szybko, obdarzając go gniewnym spojrzeniem, po czym odwróciła się do Milforda i uroczo się do niego uśmiechnęła.

- Zdradź mi swoją tajemnicę, żebym i ja mógł przespać te okropności - szepnął Milford.

Caroline musiała się pochylić w jego kierunku, by w ogóle go usłyszeć, lecz poczuła, że Bradford ciągnie ją w swoją stronę.

Zignorowała go i złożonywszy dłonie na kolanach, patrzyła prosto przed siebie. Bradford wyciągnął rękę i zanim mogła go powstrzymać, objął jej ramiona. Starła się wyswobodzić, lecz był to próżny wysiłek.

- Jak ty się zachowujesz? - mruknęła. - Co ludzie pomyślą?

- Że wreszcie się zdecydowałem - odpowiedział, delikatnie masując jej kark.

Caroline usiłowała ignorować przyjemne uczucie.

- Twojemu przyjacielowi brak ogłady - poinformowała uśmiechniętego Milforda.

- Zawsze mu to powtarzam - odszepnęła.

Ujrzawszy jego niezbyt mądry wyraz jego twarzy, zorientowała się, że nie należy oczekiwać od niego pomocy, i westchnęła ze zniecierpliwieniem. Usiłowała wstać i poszukać innego krzesła. Na miłość boską, jeżeli będzie trzeba, to usiądzie nawet w pierwszym rzędzie!

Jednak Bradford nie pozwolił na to, stanowczo przytrzymując ją za ramiona.

- Naprawdę chcę już iść - szepnęła Caroline. Patrzyła mu w oczy chcąc go zawstydzić, lecz on nic sobie z tego nie robił i tylko patrzył na nią z beczelnym wyrazem twarzy.

Gdy wreszcie Catherine skończyła śpiewać, rozległy się uprzejme brawa. Kilka osób, w tym Bradford i Caroline, zaczęło się podnosić, ale niestety młoda artystka uszczęśliwiła ich jeszcze jedną piosenką. Wszyscy zmuszeni byli opaść z powrotem na krzesła, co wykorzystała Caroline, szybko wymijając Bradforda. Bezradność, która się odmalowała na jego twarzy, rozbawiła dziewczynę.

Zapytawszy pokojówkę, gdzie mogłaby się odświeżyć, Caroline pospieszyła schodami na piętro. Na półpiętrze przebywało sporo ludzi, lecz wyżej było zadziwiająco pusto. Na końcu długiego korytarza znalazła łazienkę. Wewnątrz znajdowało się ogromne, sięgające podłogi lustro i Caroline spędziła przed nim dużo czasu.

Teraz już nie musiała przyszczypywać sobie policzków, aby były bardziej różowe. Sama obecność Bradforda usunęła z nich bladość. Przez niego czerwieniła się cały czas.

Caroline otworzyła drzwi i zastała długi hall ciemny i pusty. Ktoś

zdmuchnął świece, które znaczyły drogę. Pomyślała, że to bardzo dziwne, i powoli, ostrożnie ruszyła w stronę schodów. Gdy już dotarła do ich szczytu, usłyszała za sobą stłumiony dźwięk. Niefrasobliwie oparłszy dłoń o poręcz, zaczęła się odwracać, gdy niespodziewanie ktoś pchnął ją w dół.

Nie zdążyła nawet krzyknąć. Dosłownie pofrunęła w powietrzu, rozpaczliwie usiłując czegoś się złapać.

Z trudem udało jej się odwrócić w powietrzu i odbijając się łokciem od balustrady, usiadła z impetem u stóp schodów. Jeden z butów zahaczył o suknię i rozdarł ją, co i tak nie było jeszcze największym zmartwieniem. O wiele gorsze było rozdarcie na staniku. Zdała sobie sprawę, że sama podarła sobie suknię, gdy odruchowo złapała się za łokieć, który przyjął na siebie cały ciężar ciała podczas upadku. Palcami musiała zaczepić o wstążki sukienki i podrzeć ją.

Caroline siedziała u podnóża schodów, z włosami w dzikim nieładzie. Masowała nieszczęsny łokieć i czuła się obolała od stóp do głowy. Zmusiła się, by stanąć na nogi, choć drżały niemiłosiernie. Chwyliła się balustrady jedną ręką, podczas gdy drugą przytrzymała rozdartą suknię.

Szczęście w nieszczęściu, że przynajmniej nikt jej nie widział. Ból stopniowo ustępował, ale Caroline nadal się czuła, jakby została pobita przez bandę oprawców. A potem poczuła, że ogarnia ją wściekłość. Obróciła się jęcząc, gdyż każdy ruch sprawiał ból, i popatrzyła ku szczytowi schodów. Były naprawdę bardzo wysokie i strome. Z łatwością mogła skrócić sobie kark. I wtedy wszystko zrozumiała. Ktoś chciał, żeby skróciła kark!

To Bradford ją znalazł. Gdy Caroline długo nie wracała do salonu, zaczął się wiercić ku niezadowoleniu Milforda.

- Co ją zatrzymało? - mrucał do siebie. Myśl, że mogła zostać zatrzymana przez jakiegoś natrętnego adoratora, sprawiła, że poderwał się z krzesła. Nadepnął na nogę Milfordowi, ale nawet się nie zatrzymał, by go przeprosić.

Z trudem powstrzymując drzenie, gdy Catherine Claymere wyciągnęła

wysoką nutę, Milford podążył za przyjacielem.

- Co, na miłość boską... - zaczął Bradford, gdy stanął u podnóża schodów. Jego twarz wyrażała bezgraniczne zdziwienie. Caroline wyglądała, jakby właśnie wróciła z żywiołowej schadzki w stogu siana. Brakowało tylko źdźbeł słomy we włosach. I - co Bradford skonstatował z niejakim cynizmem - brakowało też mężczyzny, z którym się spotkała.

Wiedział, że zbyt pospiesznie wyciąga wnioski, ale jak miał zareagować, gdy stała przed nim bardziej rozebrana niż ubrana? Rozdarcie sukni świadczyło jednak o czymś więcej niż tylko niewinnych igraszkach. Im dłużej o tym myślał, tym mniej widział w tym sensu. A jednak...

Caroline obserwowała grę uczuć na twarzy Bradforda. W końcu zdecydowała, że i on, i Milford napatrzyli się na nią wystarczająco długo. Otarła łzy z oczu i zobaczyła, że Milford trzyma dłoń na ramieniu Bradforda, jakby chciał powstrzymać przyjaciela.

- Prawdziwi dżentelmeni nie gapiliby się tak, tylko zaoferowali kobiecie swoją pomoc - powiedziała z wyrzutem.

Bradford pierwszy otrząsnął się ze zdziwienia. Wyszarpnął ramię z uchwytu Milforda i pospieszył schodami w górę.

- Daj jej wyjaśnić, Bradford - nalegał wściekłym szeptem Milford, podążając za przyjacielem. Schylił się po but, który zgubiła Caroline.

Bradford starał się zapanować nad emocjami, ale nadaremnie. Był zbyt wściekły. Pragnął tylko dostać w swoje ręce człowieka, który to zrobił! Wrócił jednak na dół, zdjął zakiet i okrył nim Caroline.

- Kto tam był z tobą? - zapytał niebezpiecznie spokojnym głosem.

Caroline spojrzała na Milforda z nadzieją, że może on jej wytłumaczy dziwne zachowanie przyjaciela, lecz napotkała tylko jego zaniepokojony wzrok.

Bradford złapał Caroline za ramiona, a z jego oczu biła furia. Przez otwarte drzwi dobiegał ich głos Catherine.

- Chodźmy stąd, zanim ta mała Claymere'ówna skończy popisy. W

salonie jest mnóstwo zdesperowanych ludzi, tylko szukających okazji do ucieczki. - Milford starał się rozładować napięcie przyjaciela i uznał, że najlepiej będzie wyprowadzić tych dwoje z domu, zanim Bradford straci panowanie nad sobą.

Caroline zwróciła się do Milforda, ignorując uścisk księcia.

- Co według niego tam zaszło?

Zapytany tylko wzruszył ramionami, a Bradford wziął dziewczynę na rękę.

- Powiedz Braxtonowi, że Caroline podarła sobie suknię i że odprowadzam ją do domu. - Jego głos był mało uprzejmy. Nie bawił się w wyjaśnienia.

Spojrzał na Caroline i powiedział:

- Gdy już będziemy na zewnątrz, powiesz mi nazwisko mężczyzny, który to zrobił, a ja...

- Czyżbyś myślał, że spotkałam się tam z mężczyzną? - Oczywiście Caroline rozszerzyły się i wreszcie dziewczyna zrozumiała, o co mu chodzi. - Czyżbyś naprawdę myślał, że... - Bradford bardzo szybko schodził po schodach i Caroline musiała objąć go za szyję w obawie, żeby ponownie nie stoczyć się w dół. Jednocześnie usiłowała odwrócić jego twarz ku sobie. - Bradford, ja spadłam ze schodów - powiedziała, lecz uznawszy, że się przed nim tłumaczy, dodała ze złością: - Oczywiście po tajemnej schadzce. Ten mężczyzna był doprawdy niesamowity i... szybki. Miał też zupełnie nieprawdopodobne pomysły. Z rozkoszą rozdarł mi suknię, po czym przypuścił atak na pantofle. To doprawdy niezwykły sposób okazywania uczuć, nie sądzisz? - Usłyszała, jak podążający za nimi Milford parsknął śmiechem, ale zignorowała go.

- Czy możesz mówić trochę ciszej? - powiedział Bradford. Złość zniknęła z jego głosu, a rysy złagodniały. - Zaczynasz się wydzierać jak ta mała Claymere'ówna.

Dotarli do frontowych drzwi i Milford otworzył je przed nimi.

Powiedział, że przekaże wiadomość Braxtonowi, lecz nie wcześniej, niż dopilnuje ich odjazdu. Nie chciał nic stracić z tej scenki. Miał pewne przeczucia i pragnął się przekonać, czy się nie myli.

- Mogłaś zrobić sobie krzywdę - zamruczał Bradford, dotykając ustami włosów dziewczyny i ocierając się policzkiem o jej policzek.

Milford uśmiechnął się z satysfakcją. Rzadko mylił się w przeczuciach. Zastanawiał się, kiedy Bradford zrozumie, co się z nim dzieje.

Księżę usłyszał chichot przyjaciela za plecami i odwrócił się do niego z gniewem.

- Ona mogła zrobić sobie krzywdę, bracie!

- Zrobiłam - wtrąciła Caroline, spragniona odrobiny współczucia. - Uderzyłam się w łokieć i upadłam na...

- Co się stało, kochanie? Czyżbyś miała słaby wzrok, jak Charity? - W głosie Bradforda było wystarczająco dużo ciepła, by poczuła się lepiej.

- To było okropne - zwierzyła się, myśląc jednocześnie, że musi to brzmieć bardzo głupio. Oczy wypełniły się jej łzami na wspomnienie własnego strachu. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak czule się do niej odezwał. - Nie przypominam sobie, żebym pozwoliła ci zwracać się do mnie w ten sposób.

Wreszcie zjawił się powóz Bradforda i Milford otworzył przed nimi drzwi.

- Uważaj na jej głowę - powiedział i dziewczyna zdążyła jeszcze gwałtownie się pochylić. Musiała przy rym oprzeć policzek na ramieniu Bradforda i pomyślała, że to bardzo przyjemne. Intensywny zapach, który poczuła, wydał jej się całkiem miły i Caroline uśmiechnęła się do swoich myśli.

Bradford usiadł trzymając ją na kolanach i przypomniawszy Milfordowi, by zawiadomił ojca dziewczyny, oparł się o siedzenie, zadowolony, że ma ją tak blisko. Wdychał zapach jej włosów i myślał, że to całkiem naturalne, iż tak ją trzyma. Tyle że to mu już nie wystarczało. Chciał więcej, znacznie więcej...

Powóz ruszył i Caroline usiadła niechętnie. Bradford patrzył na nią, nie

kryjąc swoich uczuć, i dziewczyna znowu zaczęła drżeć.

- Myślę, że nie powinieneś tak na mnie patrzeć - szepnęła.

Ich twarze prawie się dotykały, ale Caroline nie była w stanie odsunąć się od niego. W duchu przyznała, że wcale tego nie chce.

- Nigdy nie zważałem na to, co powinienem - odparł Bradford dziwnie tkliwym głosem. - A to przecież jedna z pożądanych cech twojego wymarzonego adoratora.

- I nie jesteś też miły - dodała Caroline, bezskutecznie stawiając opór magicznej sile, która ją do niego przyciągała.

- A to skąd ci przyszło do głowy? - Bradford uniósł brwi.

- Bo uwierzyłeś, że robiłam coś niestosownego - odpowiedziała. A widząc jego niemądrą minę, dorzuciła: - I nie próbuj odgrywać niewiniątka, Bradford!

- Tylko na moment przyszło mi do głowy, że mogłaś zrobić coś niestosownego - tłumaczył się żarliwie. - Myślałem, że może ktoś usiłował cię wykorzystać - dodał gładząc jej włosy bardzo czułym gestem.

- Czy ty zawsze podejrzewasz ludzi o najgorsze? To też wcale nie jest miłe!

Bradford udał, że bardzo się przejął jej słowami, i westchnął przeciągle.

- Czy jest we mnie coś, co ci się podoba? - zapytał, gładząc koniuszkiem palca jej policzek. Caroline poczuła, że cała pokrywa się gęsią skórą, i usiłowała go odepchnąć.

Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła, by ją pocałował.

- Podoba mi się sposób, w jaki mnie całujesz - szepnęła. - Czy to bardzo nieprzyzwoicie z mojej strony?

Zamiast odpowiedzieć, Bradford ujął jej twarz w obie dłonie i przyciągnął do siebie. Pocałował ją bardzo delikatnie i z ogromną czułością.

Caroline rozchyliła wargi i przytuliła się do niego z całej mocy. Takiej właśnie zachęty potrzebował. Przesunął jedną rękę na jej plecy, a drugą objął w pasie. Rozchyliwszy usta, przycisnął je do jej warg. Już nie był czuły. Brał bez

wahania to, co ona mu dawała z taką ochotą i ufnością.

Caroline czuła, jak serce wali jej coraz mocniej, i nie mogła złapać oddechu. Jego pocałunki sprawiały, że zatraciła poczucie przyzwoitości. Językiem pieściła jego język, mając palce wplątane w jego włosy. Czuła się zniewolona jego zapachem, jego dotykiem. Nie chciała, by ten pocałunek się skończył, i zaprotestowała jękiem, gdy Bradford oderwał usta od jej warg.

Wziął głęboki oddech, mając nadzieję, że to go choć trochę uspokoi. Jednak było to tylko pobożne życzenie. Jej dotyk był tak niesamowicie przyjemny. Postanowił, że zachowa się jak prawdziwy dżentelmen, posadzi ją na siedzeniu obok i będzie chronił jej cnoty, jak przystało na przyzwoitego szlachcica. A potem spojrzał jej w oczy. Były nieprzytomne i jak gdyby zdziwione odkryciem rozkoszy, która może połączyć kobietę i mężczyznę.

Bradford poczuł, że musi ją jeszcze raz pocałować. Obiecywał sobie, że to będzie już ostatni pocałunek tego wieczoru, lecz gdy tylko jego język dotknął jej języka, wiedział, że nie będzie mógł przestać. Powiódł dłońmi wzdłuż szczupłej szyi i zawahawszy się chwilę, przesunął je w dół, na piersi dziewczyny. Wszystkie myśli, by zachowywać się jak dżentelmen, rozwiały się w jednej chwili.

Caroline usiłowała zaprotestować przeciwko tej zażyłości, lecz jednocześnie nie potrafiła zwalczyć nowego uczucia. Bradford wędrował wargami po jej szyi. Jego ciepły oddech i język przesuwający się po skórze wyzwały w dziewczynie nieznane wcześniej doznania.

Usta Bradforda odnalazły jej pierś i Caroline już nie miała siły go powstrzymać. Czuła, że unosi się w jego ramionach, szczęśliwa i bezpieczna, posłuszna emocjom. Była tak niewinna, że każdy dotyk, każdy pocałunek otwierał przed nią nowy świat. Instynktownie zdała się na Bradforda. To on ją prowadził do krainy zmysłowości i była przekonana, że zatrzyma się w porę. Ufała jego doświadczeniu.

- Caroline, jesteś taka cudowna - wyszeptał namiętnie. - Taka delikatna.

Stworzona do miłości...

Jego język okręzał jeden sutek dziewczyny, podczas gdy dłoń pieściła drugi. Caroline poruszała się w jego ramionach, usiłując uciec słodkiej torturze, lecz jednocześnie zaciskała kurczowo palce na jego plecach w niemym błaganiu, by nie przerywał. Bradford trzymał ją mocno i w końcu wziął nabrzmiały sutek do ust. Gdy ssał go delikatnie, drażniąc językiem wrażliwą skórę jej piersi, Caroline myślała, że postrada zmysły.

Zaczęła wzbierać w niej potrzeba, której nie potrafiła nazwać ani zrozumieć. To ją przeraziło i zaczęła naprawdę się wyrywać.

- Bradford, nie! Musimy przestać!

Uciszył jej protesty długim, gorącym pocałunkiem i przesunął ją w ramionach tak, że poczuła na swoim ciele jego twardą męskość. Uświadomiła sobie z przerażeniem, że on wcale nie ma zamiaru przestać.

- Pragnę cię, Caroline. Pragnę cię, jak jeszcze nigdy nie pragnąłem żadnej kobiety.

Uniósł jej suknię i pieścił teraz udo. Caroline czuła parzący dotyk i oderwała się od niego. Oddech jej się rwał tak samo jak jemu, lecz to gniew zastąpił w niej pożądanie.

- Miałeś przestać, zanim posuniesz się za daleko!

Oświadczenie Caroline nieprędko dotarło do jego zamroczonego pożądaniem umysłu. Gdy odzyskał panowanie nad sobą, Caroline już siedziała naprzeciw i owijała się szczelnie jego żakietem, usiłując zasłonić rozdartą suknię.

Nagle poczuła okropne zakłopotanie. Zdała sobie sprawę, jak bardzo pragnęła Bradforda, i to ją przeraziło. Należy najwyraźniej do kobiet upadłych - stwierdziła. Trzęsąc się z zimna i ze wstydu, upokorzona do reszty, zaczęła płakać. O Boże, przecież nie płakała od lat! I to wszystko przez niego! To on powinien był wiedzieć, co robi!

Bradford widział łzy ciekące po policzkach Caroline, lecz nie miał

nastroju, aby ją pocieszać. Cały płonął i ona była temu winna. Czyżby nie zdawała sobie sprawy z wpływu, jaki na niego wywierała? Czyżby nie wiedziała, jak bardzo go kusiła? Kto ją wychował? Czy nikt nigdy nie zdradził jej tajników flirtu? Przyjmowała go z taką pasją, że był przekonany, iż jej pożądanie dorównuje jego. Naprawdę miał nadzieję, że tak było. Boże, miał nadzieję, że cierpi teraz równie mocno jak on.

Caroline patrzyła na Bradforda, ocierając łzy połą jego żakietu. Oczekiwała, że ją skrytykuje, i gotowała się odplącić mu pięknym za nadobne. Usiłowała wygładzić suknię i przesunąć się trochę. Jęknęła, gdy drobne poruszenie wywołało nieproporcjonalnie wielki ból. Jej plecy były zapewne czarnosine po upadku ze schodów. Jednak jakaś przekorna część umysłu powiedziała jej, że gdy Bradford ją całował, wcale jej nie bolało.

Powóz podskoczył na wyboju i Caroline zacisnęła zęby, opadając boleśnie na siedzenie. Pomyślała, że nie wytrzyma tego ani chwili dłużej.

- No i dlaczego, do diabła, tak jęczysz?! - Bradford prawie wykrzyczał to pytanie. Wyciągnął swoje długie nogi, jak tylko miejsce w powozie na to pozwalało. Zaczepił przy tym o rozerwaną suknię dziewczyny, lecz wcale się tym nie przejął.

- Bo mnie boli - warknęła Caroline.

- I dobrze. Mnie też boli - odpowiedział Bradford.

Jego głos był nadal ostry, ale przynajmniej już nie krzyczał. Caroline bardzo tego żałowała, gdyż tak naprawdę chętnie by się z nim teraz pokłóciła.

- A dlaczegoż to cię boli? - zapytała.

- Czy ty sobie ze mnie żartujesz? Boli mnie dlatego, że pożadam cię. To ty do tego doprowadziłaś. Czyżbyś naprawdę była aż tak niewinna? - Jego głos znowu zaczął wznosić się do krzyku. Bradford nachylił się i uważnie patrzył jej w oczy.

- Byłam niewinna, dopóki tego nie wykorzystałeś. Wierzyłam, że jesteś dżentelmenem i że przzerwiesz, zanim... zanim zdarzy się coś takiego.

Dżentelmen! - W jej głosie słyhać było upokorzenie. - Pragniesz mnie, ha! Właściwie o czym ty myślałeś, Bradford?! - Teraz to ona krzyczała i pomyślała, że prawdopodobnie zachowuje się jak dziecko. Jednak nic jej to nie obchodziło, tym bardziej że gniew pomagał pozbyć się strachu. Nawet nogi przestały jej drżeć.

- Wysoko się cenisz - odparł Bradford. - Wątpię, czy byłabyś w stanie na długo mnie zatrzymać. Podejrzewam, że jedna noc by wystarczyła, abym przestał o tobie myśleć.

Jego słowa zraniły ją, lecz raczej umarłaby, niż dała to po sobie poznać.

- I co teraz zamierzasz? - zapytała cichym, spiętym głosem. - Posiąść mnie i potem znaleźć sobie inną? A ja naprawdę ci ufałam! Ależ ze mnie idiotka!

Bradford dostrzegł ból w jej oczach i cały gniew go opuścił. To on był powodem jej zmartwienia. Postąpił jak niegodny zaufania rozpustnik i po raz pierwszy w życiu żałował tego.

- Zachowywałem się jak dżentelmen, dopóki nie pozbawiłaś mnie zdrowego rozsądku, Caroline - wyszeptał słowa skruchy, mając nadzieję, że ona zrozumie, jak bardzo jest mu przykro. Na więcej nie było go stać; i tak zanadto się ukorzył.

- Chcesz powiedzieć, że to moja wina? - Caroline nie wierzyła własnym uszom.

- Przestań się zachowywać, jakbym właśnie pozbawił cię cnoty - przerwał jej Bradford. - Mówiłem unoszony pasją.

- Więc mam nie słyhać tego, co mówisz? - Zmarszczyła brwi. - Mam ci nie ufać?

- Między kobietą a mężczyzną nie ma miejsca na zaufanie - powiedział szorstkim głosem.

- Nie można kochać kogoś, nie ufając mu jednocześnie - odparła Caroline. Złość już jej przeszła, lecz słowa Bradforda wprowadziły ją w zakłopotanie.

Nie odezwał się i dziewczyna zrozumiała, że naprawdę wierzy w to, co powiedział. Poczwała nagły smutek.

- Nie mogłabym poślubić mężczyzny, który by mi nie ufał.

- A czy ja proponowałem ci małżeństwo? - zapytał cicho Bradford.

- Nie proponowałeś - odparła. - Nie widzę powodu, dla którego nasza znajomość miałaby trwać dłużej. Chcę czegoś, czego ty, Bradford, nie jesteś w stanie mi dać. Skoro zgodziliśmy się co do faktu, że nie ma dla nas żadnej wspólnej przyszłości, najlepiej byłoby się pożegnać.

- Dobrze - rzekł Bradford naśladowując jej ton. Ale nawet gdy przytakiwał, wiedział, że nie ma zamiaru pozwolić jej odejść. Boże, co ona z nim robiła! - Chcesz mieć głupca - dodał.

Nie odpowiedziała. Powóz zatrzymał się przed domem i Caroline pospiesznie otworzyła drzwiczki, nie czekając na jego pomoc.

Bradford wysiadł z powozu i wziął ją na ręce. Nie stawiała oporu, lecz na jej twarzy widać było zakłopotanie.

- Jutro nie będziesz mogła się ruszyć - orzekł.

Caroline przez moment chciała mu powiedzieć, że chyba została zepchnięta ze schodów, lecz zastanowiwszy się nad tym ponownie, zdecydowała, że lepiej będzie nie ujawniać swoich podejrzeń. Chwilami powątpiewała, czy rzeczywiście słyszała za sobą jakiś dźwięk. Była bardzo zmęczona i nie miała ochoty roztrząsać z Bradfordem domysłów, że być może ktoś jej źle życzy.

Deighton otworzył drzwi w odpowiedzi na natarczywe pukanie. Wykazał się niezwykłym w jego wieku refleksem, w ostatniej chwili usuwając się spod nóg rozpędzonego Bradforda.

- Jak najszybciej powinnaś sprawić sobie okulary. Albo niańkę - powiedział Bradford podążając za Deightonem po schodach. Trzymał ją w objęciach tak mocno, że nieomal sprawiał jej ból.

- Bądź tak miły i nie mów tak głośno - poprosiła Caroline. - Poza tym nie

potrzebuję niańki.

- Ależ oczywiście, że potrzebujesz. Potrzebny jest ci ktoś, kto by cię strzegł przed samą sobą.

- Czyżbyś miał ochotę objąć tę posadę? - zapytała Caroline, a widząc jego zmarszczone brwi, dodała szybko: - Chętniej przyjąłabym opiekę stada wilków niż twoją. Miałabym wtedy większą szansę na przetrwanie.

- Stada wilków? - W oczach Bradforda znowu pojawił się cień uśmiechu.

- Wiesz, o co mi chodzi - mruknęła dziewczyna. - Jeżeli podróż do domu była przykładem twojej opieki...

- Caroline, chyba za dużo podnosisz głos. - Bradford skinął głową w stronę Deightona.

Na twarzy Caroline pojawiło się przerażenie i szybko dodała już ciszej:

- Dobrze mnie posłuchaj, Bradford. Wszystko między nami skończone. Benjamin zatroszczy się o moje bezpieczeństwo.

Deighton otworzył drzwi do jej sypialni i odsunął się na bok. Mary Margaret siedziała w bujanym fotelu obok okna, lecz skoczyła na równe nogi widząc swoją panią.

- Wyjdź - warknął Bradford.

To krótkie polecenie spowodowało, że Mary Margaret nieomal wyleciała przez drzwi. Ani na chwilę się nie zawahała, co bardzo rozgniewało Caroline.

- Nie masz prawa rozkazywać mojej pokojówce - zaprotestowała, obserwując, jak Mary Margaret zamyka drzwi za sobą. - Wystarczy, że zawołam, a Benjamin zjawi się tu w mgnieniu twojego cynicznego oka i rozerwie cię na strzępy. Nie będzie nawet zadawał żadnych pytań.

- To go zawołaj. - Wyzwanie w jego głosie było aż nadto wyraźne i Caroline natychmiast się wycofała. Bradford podszedł do łóżka i posadził ją na kołdrze. Może i starał się zrobić to delikatnie, ale i tak dziewczyna poderwała się parę razy, zanim usiadła. - Powiedziałem, zawołaj go!

- Nie mam takiego zamiaru - stwierdziła Caroline. Zdjęła jego żakiet, nie

przejmując się podartą suknią, która odsłaniała więcej, niż nakazywała przyzwoitość. Cisnęła nim prosto w ręce stojącego nad nią mężczyzny. - Zejdź z moich oczu. Mam nadzieję, że już nigdy cię nie zobaczę.

Bradford niespodziewanie się pochylił i z łatwością złapał zaskoczoną Caroline w ramiona.

- Teraz posłuchaj mnie, moja mała przeciwniczko. To, co jest między nami, jeszcze nie zostało skończone. Tak czy inaczej, będziesz moja. Jeżeli to oznacza ślub, to się pobierzemy. Bo gramy według moich zasad, Caroline Richmond, a nie według twoich. Czy mnie rozumiesz?

- Kiedy w piekle spadnie śnieg, księżę - odpowiedziała zuchwale dziewczyna. - Kiedy Ameryka zaanektuje Anglię. Kiedy wasz król Jerzy abdykuje, a przede wszystkim, kiedy pyszałkowaci łotrzykowie staną się dżentelmenami. Gdy wstrętny księżę Bradford stanie się miły. Jednym słowem, Jeredzie Marcusie Benton - nigdy. Czy mnie rozumiesz?

Zamknęła oczy, czekając na wybuch jego wściekłości. Zaskoczyło ją dziwne burczenie. Gdy uniosła powieki, zobaczyła, że Bradford z trudem stara się zachować powagę.

- Z całą pewnością ktoś powinien cię wziąć na stronę i wyjaśnić, jak powinienes się zachować, gdy jesteś obrażany. Może Milford mógłby być preceptorem. Wydaje się twoim przeciwieństwem. Zastanawiam się, jak to możliwe, że on uważa cię za przyjaciela. Jesteś takim okropnym, nieznośnym człowiekiem. Nie potrafisz do nikogo się dostosować. Nie potrafisz się ugiąć.

- Nie potrafię się ugiąć? Właśnie złamałem przyrzeczenie złożone wiele lat temu, i to z powodu fioletowookiej kobiety, która doprowadza mnie do szału. W ciągu dwóch tygodni wywróciłaś mój świat do góry nogami.

Caroline zmarszczyła brwi próbując zrozumieć, co miał na myśli mówiąc o przyrzeczeniu złożonym przed wielu laty. Co ona ma z tym wspólnego? Nie miała jednak okazji go o to zapytać. Bradford nagle pocałunkiem zamknął jej usta. Ze wszystkich sił starała się go odepchnąć, ale nie na wiele to się zdało.

Została uwięziona w jego uścisku.

To tylko ostatni pocałunek - pomyślała obejmując go i przyciągając do siebie - tylko jeden pożegnalny pocałunek. Bez wahania oddała się we władanie Bradforda. Pozwoliła, by jego język pieścił delikatnie wewnątrz jej ust, a potem sama powtórzyła ten rytuał, co przyjął z namiętnym westchnieniem.

- To był pożegnalny pocałunek, Bradford - oznajmiła, gdy wreszcie oderwał się od jej ust i wstawał powoli. Wargi miała jak zmiażdżone, a w oczach migotały jej łzy. Była po prostu zmęczona po długim dniu - stwierdziła patrząc, jak idzie w stronę drzwi. Z całą pewnością nie dlatego płakała, że on ją opuszczał.

- Tak, kochanie! - zawołał Bradford, nawet się nie odwracając. Podniósł z podłogi żakiet i przewiesił go sobie przez ramię. - Do widzenia do jutra - dodał zamykając za sobą drzwi.

Boże, jakież to był uparty mężczyzna! Czyż nie zgodzili się, że zakończą swoją znajomość? Że nie było dla nich wspólnej przyszłości? Caroline starała się odtworzyć tę rozmowę w myślach i przypomniała sobie, jak mu powiedziała, że nigdy nie poślubi człowieka, który by jej nie ufał. Czy może powiedziała, że nie poślubi człowieka, któremu ona nie zaufa? Zmarszczyła brwi nie mogąc sobie przypomnieć", co mówiła, i od razu obwiniła o to Bradforda. To on ją tak zdenerwował, że ledwo była w stanie myśleć, a co dopiero logicznie argumentować. Natomiast dokładnie pamiętała, co mówił o małżeństwie. Dał jej bardzo wyraźnie do zrozumienia, że nie ma zamiaru jej poślubić, czyż nie?

- Ten człowiek doprowadzi mnie do rozpacz - mruknęła do siebie.

Wstała i szybko się rozebrała. Mary Margaret była na tyle miła, że zostawiła w nogach łóżka błękitny szlafrok, i Caroline włożyła go teraz, myśląc, gdzie też mogła się podziąć rudowłosa pokojóweczka. Zapewne trzęsie się gdzieś w kącie, a wszystko dlatego, że Bradford na nią warknął. Westchnęła z irytacją, położyła na krześle dopiero co zdjętą suknię i podeszła do okna, by wyjrzeć w noc.

Stała w oknie bardzo długo, usiłując znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania. Zawsze uważała się za uczciwą osobę, a ostatnio nie była szczerą nawet sama ze sobą. Udawała gniew, a jednak uśmiechała się do siebie. Gdy tylko uświadomiła sobie ten okropny fakt, zaczęła się śmiać. O Boże, prawda mogła zwalić z nóg! Zakochała się w aroganckim Angliku!

Jak bardzo się musiała zmienić od przyjazdu do Anglii! Nawet teraz, gdy się śmiała, łyzy melancholii popłynęły jej po policzkach.

Był wstrętnym oszustem, a ona niefrasobliwie pozwoliła sobie zakochać się w nim. Bezczelnie powtarzał, że ją zdobędzie, a czy choć raz wspomniał o miłości? W dodatku twierdził, że w związku kobiety i mężczyzny nie ma miejsca na zaufanie.

Nigdy dotąd Caroline nie przypuszczała, że miłość może przynieść tyle cierpienia. A jeżeli afekt do Jereda Marcusa Bentona miał być dla niej powodem do smutku, to będzie i dla niego.

Wiedziała, że przystępuje do bardzo trudnej gry, lecz nie potrafiła oprzeć się wyzwaniu. W końcu i nagroda będzie wspaniała!

Tak jak on przed chwilą oświadczył, że z niej nie zrezygnuje, i ona nie miała zamiaru rezygnować z niego. Oczywiście on chciał ją jedynie posiadać, lecz jej zależało na czymś o wiele ważniejszym.

Biedak! Prawie mu współczuła. Prawie... Ale nie mogła mu tego okazać, jeżeli chciała wygrać. Nie mogła, jeżeli chciała go zmienić. I może, z Bożą pomocą, jej się to uda?

Radosny śmiech odbił się echem w pustej sypialni.

Był wstrętnym oszustem, ale - musiała się pogodzić z faktem - jej ukochanym wstrętnym oszustem. Zdobędzie go, i to na swoich warunkach, nie jego. To prawda, że go kochała i choćby musiała poruszyć niebo i ziemię - dokona tego. A Jered Marcus Benton pokocha ją.

O, jak bardzo biedak się mylił! Mówił o grach według jego reguł! Caroline uśmiechnęła się i naprawdę nieomal mu współczuła. To on był tu

ofiara! Tylko że nie wiedział o tym... jeszcze. I to wcale nie była gra!

7

Punktualnie o dziesiątej następnego ranka zjawił się Bradford, by zabrać Caroline i Charity do Paula Bleachleya. Nie mógł zasnąć w nocy, gdyż jego myśli, granicząc z furją, cały czas błądziły wokół Caroline. Wcale nie ufał jej planom co do Bleachleya.

- Musisz mi powiedzieć, co masz zamiar zrobić - zażądał, gdy już siedzieli w powozie.

Ale to Charity mu odpowiedziała:

- Jestem taka zdenerwowana, Bradford! Ale Caroline kazała mi powtarzać wszystko do znudzenia i teraz jestem przynajmniej pewna, że wiem, co robić.

To nie była odpowiedź, której oczekiwał. Chciał usłyszeć, jak dokładnie wygląda plan. Spojrzał więc na Caroline, ale ona tylko się do niego uśmiechnęła, najwyraźniej zdając sobie sprawę z jego frustracji.

Bradford doszedł do wniosku, że wygląda dziś bardzo ponętnie. Miała na sobie niebieską suknię z białymi wykończeniami. Płaszcz, zarzucony niedbale na ramiona, był w tym samym kolorze co suknia. Wyglądała, jakby miała zamiar stawić czoło całemu światu. Uniósł brwi zirytowany uśmiechem przyklejonym do jej warg, a dziewczyna natychmiast go przedrzeźniła. Była od rana w doskonałym humorze i najwyraźniej zapomniała o wszystkich złych słowach, które wczoraj padły między nimi.

Jej dobry humor wpłynął na poprawę jego nastroju i Bradford także zaczął się uśmiechać. Jakie to dziwne - przebiegło mu przez myśl - że ona potrafi tak mocno na niego działać, tak łatwo i szybko go odmieniać.

Caroline chciała się roześmiać na widok nagłej zmiany na twarzy Bradforda. Jeszcze przed chwilą był zaszępioty, a teraz uśmiechał się. Pomyślała, że wyglądał bardzo atrakcyjnie tego poranka i nie tak przytłaczająco jak w wieczorowej czerni. Co prawda jego spodnie znowu były zbyt opięte, ale brązowy surdut bardzo ładnie harmonizował z kolorem jego oczu.

Gdy dotarli do domu Paula, Bradford uprzejmie i bez pośpiechu pomógł Charity wysiąść z powozu, gdyż już brzęczało mu w uszach od jej ciągłej paplaniny. Potem zwrócił się do Caroline, lecz zignorował jej wyciągniętą rękę i objął w pasie. Zanim postawił ją na ziemi, pocałował delikatnie w czubek głowy.

- Nie masz prawa tak wykorzystywać sytuacji - oznajmiła Caroline. Jej głos brzmiał pewnie, lecz ponieważ patrzyła w stronę kuzynki, Bradford nie mógł zobaczyć wyrazu jej twarzy. Charity już stała na schodach domku Paula, czekając na nich.

Bradford zmusił Caroline, by się do niego odwróciła, i wtedy zobaczył jej zmarszczone brwi. Już miał zamiar powiedzieć jej, że jeden mały pocałunek to jeszcze nie wykorzystywanie sytuacji, gdy dziewczyna odezwała się:

- Myślę, że będzie najlepiej, gdy poczekaasz na zewnątrz, Bradford. W przeciwnym razie możesz wszystko zepsuć.

- O co... - Bradford zdał sobie sprawę, że jej oświadczenie odebrało mu mowę.

- Nie bądź taki wściekły - powiedziała mu Caroline. W jej głosie pobrzmiewała irytacja, lecz nic nie mogła na to poradzić. Teraz, gdy już tu byli, zdawała się równie zdenerwowana jak Charity. Jeżeli coś pójdzie nie tak, Charity się załamie, a Bleachley pewnie wpadnie w szal, i wszystko to będzie jej wina. To ona to wymyśliła. Więc i ona poniesie odpowiedzialność za jakiegokolwiek niepowodzenie.

- Na miłość boską, coś ty wymyśliła, dziewczyno? - Bradford złapał ją za ramiona i potrząsnął.

Caroline wyrwała się z jego uścisku.

- Teraz jest już za późno. Poza tym obiecałeś mi zaufać. Pobiegnę dróżką w kierunku kuzynki i wzięwszy ją za rękę, zapukała do drzwi. Wiedziała, że Bradford stoi tuż za nią, i usłyszała, jak mówi cicho:

- Nigdy nie powiedziałem, że ci ufam. Caroline odwróciła głowę.

- Ale zaufasz!

Drzwi otworzyła surowo wyglądająca kobieta w białym fartuchu.

- Spóźniliście się - szepnęła. Patrzyła na Bradforda, zupełnie nie zwracając uwagi na obie dziewczyny. - On jest w bibliotece - dodała i odwróciwszy się na pięcie, szybko odeszła.

Caroline i Charity popatrzyły po sobie niepewnie. Bradford pociągnął Caroline za ramię, a ta pociągnęła za sobą kuzynkę. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, wskazał na wejście do następnego pokoju.

- On tam jest, Charity. Wejść z tobą. - Jego głos był tak łagodny, że Charity nieomal straciła panowanie nad sobą. Jej oczy wypełniły się łzami i nadal ścisnęła rękę kuzynki.

- To nic nie da - szepnęła Caroline. - W tej chwili weź się w garść! Musisz to zrobić tak, jak planowałyśmy. Musisz to zrobić teraz, bo już nie będziesz miała drugiej szansy. - Otworzywszy drzwi do biblioteki, popchnęła kuzynkę do środka.

Bradford miał zamiar wejść za nią, ale Caroline nie pozwoliła mu na to. Oparła się o dębowe drzwi i uśmiechnęła się do niego.

- Teraz wszystko zależy od Charity. I przestań się marszczyć, Bradford, przez ciebie się denerwuję.

- Caroline, naprawdę byłoby lepiej, gdybym tam wszedł i pomógł jakoś Charity. Paul bardzo się zmienił.

- Zaufaj mi w tej kwestii - poprosiła dziewczyna. Bradford nic nie odpowiedział. Skrzywił się słysząc wściekły ryk Paula, a ramiona opadły mu w geście bezsilności. I wtedy dobiegł go głos Charity, zaskakując go kompletnie. Łagodna kuzyneczka wrzeszczała jak ostatnia sekutnica na mężczyznę, którego podobno kochała.

Bradford, z bardzo niemądrym wyrazem twarzy, już chciał podzielić się z Caroline swoim zdumieniem, gdy ona uciszyła go szybkim skinieniem głowy.

- Jak śmiesz być cały i zdrowy?! - wrzeszczała Charity wystarczająco

głośno, by obudzić umarłego. Bradford i Caroline słyszeli każde jej słowo. - Wierzyłam, że jesteś człowiekiem honoru, ty podły oszuście!

Bradford nie usłyszał odpowiedzi Paula. W głosie Charity było zaś tyle mocy, że dziwił się, dlaczego drzwi jeszcze nie drżą.

- Nie mam najmniejszego zamiaru wyjść! Nie, dopóki ci nie powiem, jakim okropnym jesteś człowiekiem! Obiecałeś, że mnie poślubisz, Bleachley! Zabawiłeś się moim kosztem! Igrałeś z moimi uczuciami! Mówiłeś, że mnie kochasz!

- Spójrz na mnie! - Ten ryk z pewnością musiał się wyrwać z gardła Bleachleya.

- Patrzę na ciebie! - odwrzasnęła mu Charity. - Nareszcie, po bardzo długim czasie, jeżeli wolno mi dodać! Minęło zbyt wiele dni, Paul, dni wypełnionych bólem i łzami. Myślałam, że nie żyjesz! Och, jaka ja byłam głupia! Wierzyłam w twoją uczciwość!

Bradford czekał z niepokojem na odpowiedź Paula, ale zamiast niej usłyszał brzęk tłuczonego szkła.

- Co się tam dzieje? - Usiłował usunąć Caroline z drogi. Dziewczyna szarpała się z nim, lecz szybko się przekonała, że jest od niej o wiele silniejszy. Natychmiast zmieniła więc plan działania i zarzuciwszy mu ramiona na szyję, przyciągnęła go do siebie. Pocałowała go tak głęboko i namiętnie, jak ją tego nauczył. Podstęp się udał i Bradford szybko zapomniał o swoim zmartwieniu. Zanim pograżył się w pocałunku, zdążył jeszcze pomyśleć, że gdy tylko przestanie całować tę kobietę, która mu stanęła na drodze, wejdzie do biblioteki i wywlecze stamtąd Charity.

Tymczasem Charity nadal grała rolę porzuconej. Złapała następną wazę i rzuciła nią nad biurkiem w stronę Paula. W głębi serca była śmiertelnie przerażona swoim zachowaniem. Chciało jej się płakać za każdym razem, gdy spoglądała na ukochanego i widziała ból w jego oczach.

Paul musiał prawie wejść pod biurko, gdy nadlatująca waza nieomal

rozbiła się na jego głowie. Potem wstał i łapiąc się brzegu biurka, pochylił się do przodu. Już nawet nie starał się zasłaniać twarzy rękami.

- Na miłość boską! Czy nie widzisz, co się stało? Załóż okulary, Charity, i spójrz na mnie!

Charity nie sprzeczała się z nim. Otworzyła torebkę i wyrzuciwszy na biurko całą jej zawartość, znalazła wreszcie okulary i założyła je na nos. Odwróciła się w stronę Paula i popatrzyła na niego przeciągle.

- I cóż? - zapytała.

- Czy ty jesteś zupełnie ślepa? - Złość nagle opuściła Paula.

Był zdezorientowany jej dziwną reakcją. - Już nie jestem przystojny, Charity. Czy mam ci pokazać palcem każdą bliznę? W jego głosie słyhać było rozpacz, lecz Charity nie pozwoliła sobie roztkliwiać się nad nim.

- Ty próżna istoto! Więc tak chcesz się z tego wywinąć? Czyżbyś zamierzał mi wmówić, że porzuciłeś mnie z powodu kilku nic nieznaczących blizn? Ha! Nie jestem aż taką idiotką! Z pewnością stać cię na coś więcej, Paul. Czyżbyś się mną znudził? Powiedz mi szczerze, dlaczego mnie porzuciłeś, to może ci wybaczę.

- Nie ma żadnego innego powodu! - odparł Paul, znowu zaczynając krzyczeć. - Nie widzę na jedno oko, Charity. Popatrz tylko, jakie jest teraz wylupiaście. Jak ci się to podoba?

Charity złapała bukiet kwiatów, stojący w bogato zdobionym wazonie.

- Jeżeli ci to tak przeszkadza, zacznij nosić przepaskę!

- A blizny, Charity? Co powiesz o bliznach? Co z nimi mam zrobić?

- Na miłość boską, Paul, zapuść brodę. I przestań wreszcie zmieniać temat! Mówiliśmy o twojej złamanej obietnicy. Obiecywałeś się ze mną ożenić, pamiętasz? Twoja próżność nic mnie w tym momencie nie obchodzi!

Charity poprawiła sobie włosy. Zacerpnęła oddechu i zaczęła z powrotem wkładać swoje rzeczy do torebki. Nie spieszyła się z tym zbytnio, wiedząc, że Paul obserwuje każdy jej ruch.

- Mam nową fryzurę, a ty nawet tego nie zauważyłeś - powiedziała z wyrzutem. - Myślisz wyłącznie o sobie. Jedno tylko mnie cieszy. Że przekonałam się, jak próżnym jesteś człowiekiem, zanim cię poślubiłam. Będę cię musiała zmienić, Paul. Przecież to rozumiesz, prawda? Czy może jesteś równie głupi, jak uparty?

- Zmienić mnie?

Charity usłyszała ten szept i spojrzała na niego. Zobaczyła w oczach Paula iskierkę nadziei i zrozumiała, że wygrała.

- Zanim sobie pójdę, dam ci ultimatum - poinformowała go. Jej głos zabrzmiał raźnie i bardzo się z tego powodu ucieszyła. Włożyła białe koronkowe rękawiczki i zaczęła się przechadzać przed jego biurkiem. - Albo zjawisz się u mojego wuja przed upływem czterech dni i zadeklarujesz mi swe zamiary, albo uznam, że mnie już nie kochasz.

- Nigdy nie przestałem cię kochać, Charity, ale...

- A ja nigdy nie przestałam kochać ciebie, Paul - przerwała mu. Podeszła do niego powoli, patrząc mu w oczy. Paul delikatnie ujął jej twarz w dłonie, a ona wspięła się na palce i zaczęła okrywać jego policzki drobnymi pocałunkami. - Proszę, nie zrozum mnie źle. Bardzo mi przykro, że zostałeś ranny. Nie mogę naprawić tego, co już się stało, lecz możemy razem zmienić przyszłość, naszą przyszłość.

Pozwoliła Paulowi na długi pocałunek, po czym oderwała się od niego. Na powrót zaczęła grać energiczną kobietę.

- I niech ci się nawet nie śni znowu uciekać. Znajdę cię bez względu na to, gdzie się ukryjesz. Jeżeli cię nie zobaczę niedługo w domu mojego wuja, stanę się naprawdę gwałtowna, co będzie tylko pańską winą, panie Bleachley.

Z tym ostrzeżeniem na ustach Charity otworzyła drzwi. Przeszła obok Bradforda i kuzynki, zupełnie lekceważąc wyraz zdumienia na ich twarzach. Nie zauważyła nawet, jak speszona Caroline usiłuje się uwolnić z ramion Bradforda.

Caroline była bardziej poruszona pocałunkami Bradforda, niż chciała się

przyznać. Zarumieniona pobiegła za kuzynką, mrużąc coś pod nosem, że Bradford doprawdy nie potrafi się zachować w obecności damy.

A Bradford tylko stał, słuchając potulnie jej wyrzutów. Odwrócił się dopiero, gdy usłyszał za sobą kroki Paula. Ze zdziwieniem stwierdził, że przyjaciel się uśmiecha. Czyżbym coś przegapił? - zapytał sam siebie, patrząc, jak Paul wstępuje powoli na schody.

- Dokąd idziesz? - zapytał zdenerwowany tym, że Caroline mu uciekła i że nie wiedział, co zaszło między Paulem a Charity.

- Idę zapuścić brodę! - zawołał przyjaciel przez ramię, wybuchając głośnym śmiechem.

Przez całą drogę do domu Charity nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Caroline trzymała ją za rękę i cierpliwie słuchała wyznań kuzynki, jak bardzo kocha Paula i jak bardzo on cierpiał. Bradford usiłował się wtrącić choć na moment, chcąc zrozumieć, co się właściwie wydarzyło, i w końcu Caroline zlitowała się nad nim.

- Wiedziałam, że jeżeli Charity okaże Paulowi choć odrobinę współczucia, to on się od niej odwróci - wyjaśniła, po czym dodała: - To dzięki tobie to pojęłam.

- Dzięki mnie? - zdziwił się Bradford. Próbował sobie przypomnieć, co mógł powiedzieć takiego, że wpadła na ten szatański pomysł.

- Ależ oczywiście - odparła Caroline. - Litość byłaby ostatnią rzeczą, którą Paul by przyjął. Jego ucieczka do świata właśnie to sugerowała - dodała, jakby tłumaczyła coś idiotcie. Zwróciła się do kuzynki: - Czy powiedziałaś mu, kochanie, że go zastrzelisz, jeżeli jeszcze raz będzie usiłował uciec?

- Tak mi się wydaje - przytaknęła Charity. - Czy może raczej powiedziałam, że pozwę go do sądu za złamanie przysięgi. Chyba mogłabym to zrobić?

- Nie będzie takiej potrzeby - rzekła Caroline. - Dopiero co powiedziałaś, że całował cię i mówił, że nadal cię kocha. Myślę, że nie będziesz musiała go

zastrzelić.

Bradford z rozpaczą wzniosł oczy do nieba.

- Na miłość boską, przecież Charity i tak nie zastrzeliłaby nikogo!

- Wiem, że nie byłabym w stanie - przytaknęła dziewczyna.

- Ale Caroline potrafi trafić muchę, jeśli tylko zechce. I zastrzeliłaby Paula, gdybym ją o to poprosiła.

Bradford wyglądał na tak zaszokowanego, że obie dziewczyny się roześmiały.

- Caroline, spełnię każde twoje życzenie. Obiecuję. Ocaliłaś mi życie i nigdy o tym nie zapomnę.

- Więc jej plan się powiódł zgodnie z twoimi oczekiwaniami?

- zapytał Bradford. - Teraz już wszystko rozumiem. Nawet to, że musiałaś zakrzyczeć biednego Paula - dodał zerkając na Caroline.

Ta nie dostrzegła w tym nic śmiesznego, lecz Charity roześmiała się i powiedziała do kuzynki:

- A mówiłaś mi, że on nie ma poczucia humoru. Mam wrażenie, że teraz próbował żartować.

- A tak przy okazji, Caroline - dodał Bradford. - Charity obiecała, że nie powie o naszym pocałunku twojemu ojcu, ale ja nic takiego nie obiecywałem.

- Cóż ty sugerujesz? - Oczy dziewczyny rozszerzyły się ze strachu.

- Już niedługo się przekonasz - zachichotał Bradford, a widząc jej przerażenie, dodał bezdusznie: - Nie martw się tak. Musisz mi zaufać.

- Zaufam ci tak samo, jak ty zaufałeś mnie - odpowiedziała z irytacją dziewczyna. Odwróciła się do kuzynki i poinformowała ją: - Jeżeli chcesz wiedzieć, znaczy to tyle, że w ogóle nie mam zamiaru mu ufać. Bradford nie ufa żadnej kobiecie.

Charity nie odpowiadała, popatrzyła tylko to na nią, to na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi. Poczowała zmieszanie, zauważywszy nagłą zmianę

atmosfery.

- O niczym nie będziesz rozmawiał z moim ojcem - rzekła Caroline tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Ależ oczywiście, że z nim porozmawiam - oświadczył z równym przekonaniem.

- I tak nic z tego nie będzie - poinformowała go Caroline.

- Sama siebie zwodzisz. Mam zamiar...

- Nawet nie chcę tego słuchać - fuknęła Caroline, gdyż doskonale wiedziała, co zaraz usłyszy. Czy nie mówił już tego dostatecznie często? A teraz jeszcze chciał wypaplać to w obecności jej delikatnej kuzynki.

- Czego nie chcesz słuchać? - zapytała Charity.

Ani Caroline, ani Bradford nie odpowiedzieli. Spojrzeli tylko na nią tak, że wycofała się w najdalszy kąt powozu. Cóż ona takiego powiedziała? - zastanawiała się. Po raz pierwszy w życiu postanowiła zachować swoje myśli i pytania dla siebie.

8

Następne tygodnie wypełnione były przyjęciami i balami oraz ciągłymi wizytami. Caroline odwiedzała wuja Milo, który nalegał, by przychodziła do niego codziennie, i bardzo go polubiła. Wuj Franklin, młodszy brat matki, też często tam gościł. Był bardzo podobny do brata, lecz jego oczom brakowało ciepła. On sam również nie był tak przyjazny jak wuj Milo. Caroline, chociaż nie wiedziała dlaczego, wyczuwała pewne napięcie między obydwoma wujami. Byli dla siebie bardzo uprzejmi, ale coś ich dzieliło.

Franklin był przystojny, miał brązowe włosy i piwne oczy, lecz emanował z niego dziwny chłód, który sprawiał, że Caroline czuła się nieswojo w jego towarzystwie. Żona Franklina, Loretta, rzadko odwiedzała markiza, co jej mąż tłumaczył licznymi obowiązkami towarzyskimi. Chwalił się nawet, że o jej obecność zabiega większość londyńskiego światka. Caroline zastanawiała się, kto właściwie zabiegał tak bardzo o Lorette, bo mimo że sama bywała na wielu

przyjęciach, nigdy jej nie widziała.

Hrabia Braxton zaczął asystować lady Tillman, co bardzo cieszyło Caroline, choć sama zbyt nie przepadała za zażywną damą. Miło było jej widzieć, że ojciec dobrze się bawi. Należała mu się odrobina szczęścia i jeżeli lady Tillman okaże się dla niego właściwą kobietą, to ona nie będzie się niczemu sprzeciwiać.

Zajście u Claymerek z czasem odeszło w niepamięć. Caroline cieszyła się, że nikomu nie powiedziała o swoich podejrzeniach, gdyż obecnie była przekonana, że wszystko jej się przywidziało. Była po prostu zmęczona i nieuważna.

I o ile już nie czuła strachu przed nieznanym napastnikiem, o tyle czuła zagrożenie za strony Bradforda. Ten człowiek doprowadzał ją na skraj szaleństwa.

Towarzyszył jej na wszystkich balach i dawał jasno do zrozumienia każdemu mężczyźnie, który pojawił się w zasięgu wzroku, że Caroline należy wyłącznie do niego. Nie miała nic przeciw jego zaborczości ani też temu, że gdy tylko nadarzała się okazja, całował ją do utraty tchu. Natomiast wyprowadzała ją z równowagi własna wzrastająca namiętność. Niepohamowane reakcje przerażały ją. Wystarczyło, że na nią popatrzył, a już miękły jej kolana.

Kiedy Bradford powiedział, że jej pragnie, oburzyła się na niego. Ale teraz, gdy spędzała z nim tyle czasu, zaczęła zdawać sobie sprawę, że i ona go pragnie. Zawsze, gdy go przy niej nie było, czuła się nieszczęśliwa, co jeszcze bardziej ją denerwowało. Co się stało z jej opanowaniem i niezależnością?

Przynajmniej - przyznawała sama przed sobą - kochała go. Lecz on nigdy nie wspominał o miłości. Gdy nie byli razem, traciła tylko jego pożądanie. Z całą pewnością Bradford miał swoje wady, ale miał też zalety. Był miły i hojny, łatwo wybaczał i odznaczał się nieugiętością charakteru.

Ale cóż był z niego za szatan! O, wiedziała doskonale, jakie miał zamiary i w co grał. Za każdym razem, gdy ją całował, w jego oczach pojawiał się wyraz

triumfu. Za każdym razem, gdy ją obejmował, widziała uśmiech na jego ustach. Czyżby czekał, aż przyzna, że go pożąda równie mocno, jak on jej?

Już samo myślenie o tym ją irytowało. Nie powie mu, że go pragnie, dopóki on nie wyzna jej miłości. I jeżeli księcia Bradforda bawią gry, to ona zaproponuje mu własną.

Charity natomiast nie mogłaby być szczęśliwsza. Paul Bleachley posłusznie przybył do ojca Caroline, przedstawił się i już oficjalnie adorował Charity. Zaczął nosić czarną atlasową przepaskę na oko, która sprawiła, że wyglądał bardzo interesująco. Zaczął też zapuszczać brodę.

Caroline szybko go polubiła. Był spokojnym mężczyzną, skorym do uśmiechu, a jego uwielbienie dla Charity uwidaczniało się w każdym geście i spojrzeniu. Caroline zastanawiała się, dlaczego nie zainteresowała się kimś podobnym do Paula, cichym i potulnym. Zazdrościła Charity, że zakochała się w tak łagodnie usposobionym Angliku, i żałowała, że Bradford nigdy nie patrzy na nią tak, jak Paul na jej kuzynkę. Oczywiście Bradford też jej się przyglądał, lecz Caroline zdawała sobie doskonale sprawę, że to nie uwielbienie błyszczało w jego oczach.

Hrabia Braxton postanowił wydać przyjęcie na dwadzieścia osób. Na liście zaproszonych byli dwaj wujowie Caroline, markiz i Franklin, żona Franklina - Loretta, lady Tillman z córką Rachel i - ku rozpaczy Caroline - obrzydliwy adorator Rachel, Nigel Crestwall. Zaproszeni byli również Bradford i Milford, a także Paul Bleachley. Miał to być wcześniejszy obiad, gdyż markiz ostatnio łatwo się męczył. Po przyjęciu całe towarzystwo wybierało się do opery.

Benjamin, przytłoczony perspektywą przygotowania posiłku dla tylu osób, już przed południem oskubał gołąbki, oczyścił ryby z ości i umieścił kurczaki na roznach. Deighton stał się okropnie władczy, gdy wydawał ostatnie polecenia przed przyjęciem. Caroline i Charity słuchały go we wszystkim, jako że z pewnością miał więcej doświadczenia w kwestii, co jest odpowiednie, a co

nie. Charity posunęła się nawet do tego, że poradziła się go przy wyborze sukni.

Caroline już postanowiła, że włoży wyzywającą suknię w kolorze kości słoniowej. Niezwykle nisko wyciętą i - jak miała nadzieję - bardzo kuszącą. Zamierzała wyglądać uwodzicielsko tego wieczoru, specjalnie z myślą o Bradfordzie. Jeżeli on wiecznie wytrącał ją z równowagi, to dziś na nią przyszła kolej, by odpłacić mu pięknym za nadobne.

Ubrała się bardzo starannie, z każdą minutą coraz bardziej się denerwując. Obiecała sobie, że będzie to idealny wieczór. Jej plan był bardzo prosty. Postanowiła doprowadzić Bradforda do szaleństwa z pożądania, potem zwabić go w jakieś ustronne miejsce i w końcu zmusić do wyznania swoich uczuć.

Charity zastała ją przed lustrem i westchnęła z głębi piersi, gdy lepiej przyjrzała się kuzynce.

- Bradford oniemieje, gdy cię zobaczy - zapewniła ją. - Wyglądasz jak Wenus, królowa miłości.

- A ty wyglądasz równie pięknie - odpowiedziała z uśmiechem Caroline.

Charity zawirowała pokazując wszystkie odcienie żółci na swojej sukni.

- Czuję się cudownie, Caroline. A wszystko to zasługa miłości. To ona sprawia, że chce się żyć!

Caroline nie zgadzała się z kuzynką, lecz nie powiedziała tego, nie chcąc jej psuć dobrego humoru. Właśnie w tej chwili za sprawą miłości czuła się bardzo nieszczęśliwa. Usiłowała choć trochę podnieść stanik sukni i zrezygnowała dopiero wówczas, gdy Charity zauważyła, że za chwilę materiał pęknie i będzie musiała znowu się przebierać.

Caroline westchnęła i pospieszyła z kuzynką na dół, by czekać na pierwszych gości.

- Zdecydowaliśmy z Paulem, że pobierzemy się w Anglii - powiedziała nagle Charity.

- No, oczywiście - odparła Caroline. - Bo niby gdzie indziej?

- W Bostonie. - Charity zmarszczyła brwi. - Ale my nie chcemy czekać.

Poza tym nie moglibyśmy podróżować razem, nie będąc małżeństwem.

Oczy Caroline rozszerzyły się ze zdumienia.

- Przecież będziecie mieszkać tu, w Londynie. Tu jest dom Paula. Chcecie tylko odwiedzić rodziców, prawda?

Charity, obserwując Deightona nerwowo przechadzającego się po hallu, nie widziała miny kuzynki.

- Paul chce zacząć wszystko od nowa. Nie jest utytułowany, więc niczego nie straci. Nie jest też biedny i ma wspaniałe plany. Myślę, że papa zapewni mu dobrą pozycję.

- Oczywiście - przytaknęła Caroline. - Ale co on będzie robił? Starła się sprawiać wrażenie zainteresowanej, lecz czuła ogarniający ją smutek. Nie była jeszcze gotowa na rozstanie z Charity, która była ostatnim ogniwem łączącym ją z rodziną w Bostonie.

- Paul bardzo dużo rozmawiał z Benjaminem - odpowiedziała kuzynka. - Chciałby kupić ziemię i zostać dżentelmenem farmerem. Benjamin zgodził się mu pomóc.

- Dżentelmenem farmerem? Nie ma takich - zaprzeczyła Caroline. - Nie w Ameryce. Praca farmera to harówka przez siedem dni w tygodniu.

- Paul zdaje sobie z tego sprawę. Powoli odzyskuje władzę w ręce, a dobrze wiesz, że może też liczyć na moich braci.

- Wiem - powiedziała Caroline z westchnieniem. Wciąż myślała o tym, co przed chwilą usłyszała od Charity. Skoro Benjamin obiecał im pomóc, to również jego utraci. Nie miała prawa wymagać, by pozostał z nią w Anglii. Dlaczego więc nagle poczuła się przez wszystkich opuszczona?

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi, sygnał, że pierwszy gość się pojawił, i Caroline przywołała na twarz uśmiech. Tuż przed drzwiami Deighton odwrócił się, po raz ostatni sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Kiwnął głową z uznaniem, przybrał znudzony wyraz twarzy i otworzył drzwi. Wieczór się rozpoczął.

Bradford zjawił się ostatni. Caroline, ledwie go przywitała, wymamrotała słowa nagany pod adresem jego manier. Potem uświadomiła sobie, że nie jest to zbyt dobry początek jej wymarzonego idealnego wieczoru. Z drugiej strony jego reakcja też nie należała do uprzejmych. Zamiast powiedzieć jej, jak pięknie wygląda, kazał jej wrócić na górę i dokończyć ubierania.

- Jestem ubrana - zaprotestowała wściekłym szeptem. Podszedł do nich Milford, który z pewnością usłyszał ostatnią uwagę Bradforda.

- Moim zdaniem, Brad, Caroline wygląda znakomicie - powiedział patrząc na dziewczynę z podziwem.

- Ta suknia nie ma góry - rzekł Bradford tonem nieznoszącym sprzeciwu.
- Idź do swego pokoju i przebierz się w coś bardziej stosownego.

- Nie mam zamiaru - odpowiedziała mu natychmiast.

- Wyglądasz nieprzyzwoicie - warknął Bradford.

Na to oświadczenie Milford zachichotał, a jego przyjaciel i dziewczyna uciszyli go wściekłymi spojrzeniami. Caroline odwróciła się do Bradforda.

- Moja suknia jest równie przyzwoita, jak twoje spodnie.

- A co jest złego w moich spodniach? - jęknął Bradford, zaskoczony jej absurdalną uwagą.

- Są stanowczo zbyt obcisłe. Zastanawiam się nawet, jak możesz w nich usiąść, nie robiąc sobie krzywdy. - Obejrzała go ostentacyjnie od stóp do głowy, starając się ukryć podziw. Boże, jakież on był przystojny! Poza tym bardzo dystyngowanie się prezentował w czarnym wieczorowym ubraniu.

Milford znowu się zaśmiał.

- Czy mogę odprowadzić cię do stołu? - zapytał Caroline, proponując jej ramię.

- Z przyjemnością - odparła Caroline. Położyła dłoń na jego ramieniu i posłała Bradfordowi lodowate spojrzenie. - Kiedy sobie przypomnisz, jak należy się zachowywać, przyłącz się do nas.

Bradford pozostał tam, gdzie stał, zupełnie oszołomiony. Jak to się stało,

że tak szybko zepchnęła go do defensywy? - pytał sam siebie. Czy zdawała sobie sprawę, jakie wrażenie wywołuje w tej sukni? Podejrzewał, że wszyscy mężczyźni w salonie są podnieceni nie mniej od niego.

Podczas obiadu Caroline ignorowała Bradforda. Rozmawiała z Pauliem Bleachleyem, który siedział z lewej, i z Milfordem, siedzącym naprzeciw. Bradford zajął miejsce po jej prawej stronie, czego wydawała się nie zauważać.

Książę nie lubił być ignorowany. Prawie nie tknął jedzenia, choć wszyscy wokół je wychwalali. Z pewną satysfakcją zauważył, że Caroline też niewiele je.

W połowie deseru Bradford doszedł do wniosku, że był już wystarczająco długo cierpliwy. Na początku chciał dać jej więcej czasu, by go poznała i pogodziła się z faktem, że będzie do niego należała. Teraz jednak uznał, że nadszedł czas, by porozmawiać z nią poważnie, a im szybciej to uczyni, tym lepiej.

Caroline usiłowała skupić się na słowach Milforda, mówiącego o operze, na którą wybierali się tuż po obiedzie, ale jej uwagę cały czas odwracała Loretta Kendall, żona Franklina. Rudowłosa dama robiła z siebie przedstawienie, ostentacyjnie flirtując z Bradfordem. Caroline pomyślała, że jeżeli ta okropna kobieta za chwilę się nie uspokoi, to ona sama zrobi coś potwornego. Zastanawiała się, czy aby nie obrzucić jej kremem truskawkowym. Chociaż dobry Bóg i tak nie pozwoliłby na zniszczenie sukni Loretty - była tak głęboko wycięta, że cała zawartość salaterki niechybnie wylądowałaby w dekolcie.

Wreszcie obiad dobiegł końca i panie powstały, aby szykować się do wyjścia. Mężczyźni zamierzali jeszcze pogawędzić przy kieliszku, lecz Bradford nie miał ochoty na konwersację z kimkolwiek oprócz Caroline. Podążył za nią do drzwi i złapawszy ją za łokieć, poprosił o chwilę rozmowy. Zachowywał się bardzo oficjalnie, gdyż zdawał sobie sprawę z tego, że obserwują ich lady Tillman i Loretta Kendall.

Caroline przytaknęła.

- Jeżeli to coś pilnego... - powiedziała na użytek ciekawskich dam.

Poprowadziła go do gabinetu ojca, z niesmakiem myśląc o zachowaniu Loretty, która nieomal śliniła się na widok Bradforda.

- Proszę, zostaw drzwi otwarte - poprosiła cicho.

- To, co mam ci do powiedzenia, przeznaczone jest wyłącznie dla nas - odrzekł Bradford grobowym głosem. Zamknął z hukiem drzwi i oparłszy się o nie, skinął na Caroline. - Chodź tu.

Dziewczyna zmarszczyła brwi na to mało uprzejme żądanie. Czyżby ośmielił się jej rozkazywać? Czyżby w jego oczach nie była lepsza od służącej? Najwyraźniej nie! Starła się nie wybuchnąć. Doprawdy dotarła już do kresu wytrzymałości!

Miała nadzieję na idealny wieczór. Idealnie zmarnowany - byłoby chyba lepszym określeniem. Mimo że zbliżał się dopiero do połowy. Jeszcze będzie musiała przebrnąć jakoś przez operę. Jeżeli straci teraz panowanie nad sobą, to tylko z jego winy. Najpierw spóźnił się ponad godzinę, skrytykował jej piękną suknię, potem bezwstydnie flirtował przy stole, a teraz ośmielał się jej rozkazywać!

W odpowiedzi na jego żądanie oparła się o biurko ojca i skrzyżowała ramiona na piersi.

- Raczej nie skorzystam, dziękuję.

Bradford wziął głęboki oddech. Uśmiechnął się, co jednak wcale nie złagodziło jego spojrzenia.

- Caroline, kochanie. Czy pamiętasz, jak mi kiedyś powie działaś, że nie wiem, kiedy jestem obrażany?

Dziewczyna przytaknęła, wytrącona z równowagi pytaniem i dziwnym brzmieniem jego głosu.

- Pamiętam - odparła z uśmiechem.

- Więc teraz ja ci powiem, że nie wiesz, kiedy powinnaś się bać. Uśmiech zamarł jej na ustach, a oczy rozszerzyły się, gdy Bradford zaczął iść w jej

kierunku.

- Wcale się nie boję - skłamała.

- A powinnaś - szepnął Bradford.

Caroline nie miała szansy. Nim zdążyła się zdecydować, w którą stronę uciekać, już złapał ją wpół i przyciągnął do siebie. Ani na chwilę nie spuszczał z niej oczu. Gdy już trzymał ją przy sobie tak, że nie mogła się ruszyć, powiedział:

- Ostentacyjnie wdziękowałaś się dziś do wszystkich, ubrałaś się tak, że każdy z obecnych tu mężczyzn mógł podziwiać twoje ciało, ignorowałaś mnie, a teraz jeszcze mnie nie słuchasz. Tak, moja miła, tym razem naprawdę powinnaś się bać.

Przez jego policzek przebiegał nerwowy tik i Caroline wiedziała, że Bradford ledwo nad sobą panuje. Była zaskoczona tym, co powiedział. Wprost nie wierzyła własnym uszom. Jak mógł zwać na nią winę, podczas gdy to on cały wieczór zachowywał się tak okropnie?

- Do nikogo się nie wdziękowałam - zaczęła się bronić. - Poza tym suknia Loretty jest o wiele bardziej... Przecież ty z nią flirtowałeś! I nawet nie śmiejesz się na mnie patrzeć! Flirtowałeś z zamężną kobietą. Czy może zapomniałeś, że ona ma męża? - Nie czekając na jego odpowiedź, cicho mówiła dalej: - To prawda, że cię ignorowałam, ale dopiero po tym, jak mnie obraziłeś. Możliwe, że to było dziecinne z mojej strony, ale tak bardzo chciałam, aby ten wieczór był idealny. Być może rzeczywiście trochę przesadnie zareagowałam na twój okropny komentarz dotyczący mojej sukni.

- Dlaczego? Dlaczego tak bardzo chciałaś, by ten wieczór był idealny? - Bradford powiedział to bardzo ostrożnie i Caroline już wiedziała, że zaczyna ulegać jej argumentom.

- Bo miałam nadzieję, że ty... to znaczy... wierzyłam, że ty...

- Nie mogła mówić dalej. Utkwiła wzrok w krawat Bradforda. On natomiast poczuł się nieswojo, odnajdując ból w jej głosie.

Rozluźnił uścisk i zaczął delikatnie gładzić jej plecy.

- Jeżeli będzie trzeba, zostaniemy tu całą noc - powiedział.

- Zostaniemy tu tak długo, dopóki mi nie wyznasz, co ci chodzi po głowie.

Caroline wiedziała, że mówi poważnie. Kiwnęła głową.

- Miałam nadzieję, że powiesz mi coś... miłego! No, to już znasz prawdę i będę ci wdzięczna, jeżeli nie będziesz się ze mnie śmiał. Miałam nadzieję, że powiesz mi coś innego niż zwykle, coś innego niż to, że mnie pragniesz. Czy chciałam zbyt wiele, Bradford?

On tylko potrząsnął głową. Unosząc jej podbródek zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

- To nie miłe słowa chodzą mi teraz po głowie. Mam wrażenie, że o wiele chętniej bym cię udusił. Przez ostatnie miesiące zmuszałaś mnie, bym skakał dokoła ciebie. A co gorsza, ja na to pozwalałem! - Jego spojrzenie przyprawiło ją o dreszcz. - Teraz to się skończyło. Również nasza gra jest skończona. Moja cierpliwość się wyczerpała.

- Czyżbyś był cierpliwy, bo chciałeś, abym się przyznała, że cię pragnę? - szepnęła Caroline, a w jej głosie słychać było rozpacz. - Tak, pragnę cię. No i co, zadowolony jesteś? Lecz za nim zaczniesz triumfować, zrozum jedno. Mnie to nie wystarcza. Tak się składa, że również cię kocham. I dlatego mogę zaakceptować i to, że cię pragnę.

Na to oświadczenie znikła cała jego złość. Zdał sobie sprawę, że się uśmiecha, i ogarnęła go pewność zwycięstwa. Nareszcie był szczęśliwy. Pochylił się, by ją pocałować, lecz Caroline wymknęła się, potrząsając głową.

- Nie pusz się tak bardzo, Bradford. Wcale nie chciałam się w tobie zakochać. Wcale nie nadajesz się do miłości. To, dlaczego nie zakochałam się w kimś podobnym do Paula, przekracza możliwości mojego pojmowania. Mam wrażenie, że po prostu przyzwyczyłam się do ciebie - powiedziała wzdychając. - Lecz z drugiej strony człowiek może przyzwyczyać się do wszystkiego. To nie

jest więc zbyt dobre wytłumaczenie. A teraz zapewne masz zamiar całować mnie do utraty tchu, co? - W jej głosie słychać było rezygnację.

Bradford uśmiechnął się i lekko pocałował ją w czubek głowy. Przez moment rozkoszował się delikatnym zapachem jej włosów.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił.

- Czy naprawdę wierzyłaś, że możesz włożyć tę suknię i uniknąć pocałunków?

- Tak - szepnęła Caroline cicho, tuż przy jego ustach.

A potem zaczęli się całować. Delikatnym dotykiem warg doprowadzał ją do szału. Spleciona z nim w uścisku, poddała się fali pożądania, które w niej budził.

Gdy pocałunek się skończył, Bradford musiał ją podtrzymać. Opierając się policzkiem o jego pierś, czekała na płynące z głębi serca wyznanie.

- Czy miłość do mnie jest aż tak uciążliwa? - zapytał w końcu. Na dnie jego głosu czaił się śmiech.

- Zupełnie jak ból brzucha - odparła. - Bardzo długo powtarzałam sobie, że cię nie znoszę, i gdy już się do tego przyzwyczaiłam, nagle przydarzyło mi się coś takiego.

- Ból brzucha czy świadomość, że mnie kochasz? - Bradford zachichotał z jej porównania. - I to ty oskarżałaś mnie o brak romantyzmu!

Dyskretne pukanie do drzwi przerwało ich rozmowę. Zirykowało Caroline, która była przekonana, że Bradford za chwilę wyzna jej miłość.

- Brad? Aimsmond chciałby z tobą porozmawiać. - To był głos Milforda, lecz wcale nie brzmiał tak radośnie jak zwykle.

- Pewno zdenerwowałaś mojego wuja zaciągając mnie tutaj - powiedziała Caroline. - Pójdę i poszukam go. I nie myśl sobie, że to koniec naszej rozmowy - dodała idąc już w kierunku wyjścia.

Spodziewała się spotkać przy drzwiach Milforda, ale go tam nie było. Chwilę zajęło jej wygładzenie sukni i doprowadzenie włosów do ładu. Potem

szybko zbiegła po schodach. Nie wiedziała, że w mroku krył się Nigel Crestwall. Gdy przechodziła obok niego, złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Przyparł do ściany, zanim zdążyła powiedzieć słowo. Zaczął całować ją po szyi wilgotnymi, budzącymi odrazę ustami, jednocześnie szepecząc nieprzyzwoite propozycje. Caroline tak była zaskoczona nieoczekiwanym atakiem, że nie od razu przystąpiła do obrony.

Gdy w końcu zaczęła się z nim szamotać, zza rogu wyszedł Bradford i zobaczył, co się dzieje.

Nigel nawet nie wiedział, co go uderzyło. Po prostu nagle oderwał się od ziemi i pofrunął nad podłogą, lądując z hukiem w przeciwległych drzwiach. Waza ze stolika, obok którego upadł, zakołysała się i spadła mu na głowę, rozbijając się w drobny mak.

Dobłą chwilę Caroline patrzyła nań z obrzydzeniem.

- To wszystko twoja wina - mruknął Bradford.

Caroline była tym oświadczeniem tak zaskoczona, że tylko popatrzyła na niego, nie wierząc własnym uszom.

A potem naprawdę zaczęła się bać, gdyż jeszcze nigdy dotąd nie widziała go w takiej furii. Z trudem opanowała strach i zmusiła się, by patrzeć mu w oczy.

- Ten człowiek mnie zaatakował. I to ma być moja wina? - zapytała zdumionym szeptem.

Nigel właśnie się podnosił i sądząc z rozbieganego spojrzenia, szukał drogi ucieczki. Bradford też go obserwował, lecz odezwał się jeszcze do Caroline:

- Gdybyś nie ubierała się jak pierwsza lepsza ulicznica, to nie byłabyś tak traktowana.

To stwierdzenie zawisło pomiędzy nimi. Caroline poczuła, jak jej strach zamienia się w złość.

- Czy ty też się tak usprawiedliwiasz, ilekroć mnie dotykasz? Że nie

zachowuję się jak dama i dlatego ci to uchodzi?

Nie odpowiedział. Nigel przemykał się obok, śmiertelnie przerażony. Bradford wyciągnął ku niemu ręką i znowu uderzył nim o ścianę. Przytrzymał go przy niej tak wysoko, że nogi Nigela dyndały w powietrzu.

- Jeżeli jeszcze raz dotkniesz tej dziewczyny, zabiję cię. Rozumiesz, co mówię?

Nigel nie był w stanie odpowiedzieć, gdyż Bradford przygniatając go do ściany, wbijał mu palce w gardło. Mógł jedynie kiwnąć głową. Bradford wypuścił go i obserwował aż do chwili, gdy tamten otworzył gwałtownie drzwi i przepadł w mroku nocy. Caroline przez chwilę zastanawiała się, co pomyśli Rachel o nagłym zniknięciu narzeczonego, lecz szybko przestała się tym przejmować.

Bradford całą furię skierował na Caroline. Stał spoglądając na nią z góry i blokując jej przejście.

Dziewczyna wyprostowała się i powiedziała patrząc mu w oczy:

- Nie zrobiłam nic, co mogłoby go zachęcić. I powinienes mi zaufać. Przecież nawet nie widziałeś, co się stało!

- Nigdy więcej nie mów mi o zaufaniu, albo cię uderzę! I mam nadzieję, że tym razem mnie rozumiesz!

- O, tu jesteś, Bradford!

Głos markiza przerwał napięcie pomiędzy nimi. Pierwsza poruszyła się Caroline, odwracając się do wuja z wymuszonym uśmiechem.

- Muszę już jechać do domu - wyjaśnił markiz, powoli się do nich zbliżając. - Czy odwiedzisz mnie jutro? - Gdy ujmował dłoń dziewczyny, w jego głosie zabrzmiała prośba.

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała.

- To dobrze! Bradford, oczekuję, że wkrótce ujrzę cię w moim domu, drogi chłopcze!

- Gdy tylko pan sobie zażyczy - odparł Bradford. Caroline ze zdziwieniem

zauważyła, że w jego głosie nie dało się wyczuć ani odrobiny gniewu. Doszła do wniosku, że powinna się od niego uczyć panowania nad emocjami. Nadal chciało się jej wyć ze złości i żywiła tylko nadzieję, że nie ma wypisanych na twarzy targających nią uczuć.

- Wszyscy już zbierają się do odjazdu - powiedział markiz. - Loretta podrzuci mnie do domu w drodze na następne przyjęcie. Nie mam za to pojęcia, gdzie jest Franklin. Gdy tylko Brax powiedział, kto z kim jedzie. Franklin podniósł się i wyszedł.

Caroline nieomal czuła wzrok Bradforda na swoich plecach.

- Pojadę z ojcem - powiedziała.

- Nie - zaprzeczył wuj. - On eskortuje lady Tillman i małą Rachel, bo nikt jakoś nie może odnaleźć Nigela. Milford zaproponował, byś pojechała z nim i Bradfordem.

Caroline poczuła, że ramiona jej opadają. Nie chciała nigdzie jechać w towarzystwie Bradforda. Aby pozbyć się złości, powinna gdzieś usiąść i spokojnie pomyśleć. A to było niemożliwe, jeśli w pobliżu kręcił się Bradford. Ponadto wiedziała, że aby się z nim zmierzyć, musi być w jak najlepszej formie, a teraz po prostu nie czuła się na siłach.

Caroline zastanawiała się, czyby nie wykręcić się bólem głowy. Przyłożyła dłoń do czoła w wyćwiczonym geście i doskonale zdając sobie sprawę z własnego tchórzostwa, powiedziała:

- Nie czuję się...

Jednak nawet nie dokończyła zdania, gdyż za markizem zamknęły się drzwi, ona zaś została brutalnie odwrócona, a na jej ramiona narzucono płaszcz.

- Czyżby brzuch cię bolał? - zapytał od niechcienia Bradford.

Nie odpowiedziała na zaczepkę. Wiedziała, do czego nawiązuje, i wcale nie uważała tego za zabawne. Zaryzykowała szybkie spojrzenie w górę i zobaczyła ponurą twarz. Najwyraźniej jego też to nie bawiło.

Zjawił się Milford, pozwolił, by Deighton otworzył przed nim drzwi, i

podążył za nimi. Wesóło rozprawiał o operze, wychwalając włoską solistkę, lecz Caroline nie słuchała go. Wdrapała się na skórzane siedzenie, zdecydowana nie dopaść do tego, by Bradford usiadł obok niej. Milford zajął miejsce naprzeciwko, lecz księżę nie zamierzał się bawić w uprzejmości i prosić o pozwolenie. Dziewczyna zmuszona była zebrać w pośpiechu swoją suknię, by nie pogniótl jej siadając. Starala się odsunąć od niego jak najdalej.

Przez większą część drogi do opery panowała cisza. Caroline zdawała sobie sprawę, że Milford musi się czuć bardzo nieswojo, lecz nic jej to nie obchodziło. W końcu to on wpadł na pomysł, by jechali razem.

Bradford wydawał się coraz bardziej odprężony. Ignorował Caroline, tak samo jak ona jego. Ale mimo to siedzieli tak blisko, że jego ramię cały czas ocierało się o nią.

- Caroline, nic dziś nie mówisz - zauważył w końcu Milford.

- Czyżbyś się źle czuła?

- Brzuch ją boli - odpowiedział w imieniu dziewczyny Bradford. - I nie ma zamiaru przestać. Gdy tylko to zaakceptuje, z pewnością poczuje się lepiej.

Milford, nic nie rozumiejąc, patrzył to na jedno, to na drugie.

- Nawet najgorszy, najbardziej nieznośny ból da się wyleczyć - odparła na to Caroline spiętym głosem.

Bradford nic nie powiedział. Milford popatrzył na nią, jakby mówiła w obcym języku.

I wtedy się uśmiechnęła. Więcej, zaczęła się głośno śmiać. Bradford znowu wyprowadził ją z równowagi i znowu z jego powodu dała się ponieść nerwom. Ten śmiech trwał tak długo, że Milford podniósł brwi w niemym pytaniu, lecz tylko potrząsnęła głową w odpowiedzi.

Opera była naprawdę cudowna i Caroline świetnie się bawiła. Bradford stale jej towarzyszył i przedstawił ją licznym znajomym. Obecny był także Brummell, który na jej powitanie mrugnął wesóło.

Caroline i Bradford prawie wcale ze sobą nie rozmawiali. Przed teatrem

panował ogromny tłok, gdy wszyscy czekali na swoje powozy. Zaczęło padać i kilka kobiet zapiszczało żałośnie. Caroline stała pomiędzy oboma panami, zupełnie ignorując deszcz i czekając, aż zajedzie powóz Bradforda.

Gdy wreszcie podjechał, książę otworzył drzwiczki i pomógł jej wsiąść. Wydawał się czymś zaprzątnięty i poszedł nawet porozmawiać z woźnicą. Kiedy wrócił, miał zmarszczone brwi.

- Chodzą plotki, że twój ojciec ma zamiar ożenić się z lady Tillman - powiedział Milford do Caroline, gdy powóz ruszył.

Caroline wyglądała przez okno i nagle pomyślała, że coś musiało się jej przywidzieć. Chyba powinni byli skręcić w prawo, a tymczasem jechali prosto.

Poprosiła Milforda, by powtórzył to, co powiedział, a jednocześnie spojrzała szybko na Bradforda. Siedział zapatrzonej przed siebie, najwyraźniej zamyślony.

- To prawda, że ojciec interesuje się lady Tillman - odrzekła. Wyjrzała znowu przez okienko i stwierdziła, że mijają nieznane jej okolice.

- Zasuń zasłonki - polecił Bradford tak gwałtownie, że wystraszył dziewczynę. Wydawał się wściekły. - Do diabła! Zupełnie przestałem myśleć!

Caroline nie pojmowała, co chciał przez to powiedzieć. Zrozumiała dopiero, gdy obaj mężczyźni wyciągnęli pistolety.

Powóz nabierał prędkości i Caroline z trudem utrzymywała się na siedzeniu. Bradford objął ją za ramiona, tworząc oparcie, którego potrzebowała.

- Co ten Harry knuje? - zapytał Milford.

- To nie jest Harry! - Głos Bradforda był zadziwiająco spokojny i Caroline pomyślała, że usiłuje się opanowywać z myślą o niej, nie chcąc, by wpadła w panikę.

W głowie Bradforda panował zamęt. Był wściekły na siebie, że spokojnie przyjął wyjaśnienia woźnicy, jakoby Harry był chory i on go zastępował. Ale najbardziej niepokoiło go to, że coś może się stać Caroline. Tajemniczy wróg najwyraźniej chciał go dopaść, lecz popełnił fatalny błąd. Naraził na

niebezpieczeństwo Caroline i umrze za to.

Milford wyjrzał przez okienko i zobaczył wyskakującego woźnicę.

- Nikt nie powozi - oznajmił.

Bradford zacieśnił uścisk na ramionach Caroline i wtedy właśnie odpadło koło.

Hałas był ogłuszający. Odsunęła się zasłonka i dziewczyna zobaczyła iskry sypiące się spod powozu, gdy metal tarł o bruk. Milford zaparł się nogami o przeciwległe siedzenie, a Bradford poszedł za jego przykładem. Caroline wylądowała na jego kolanach i ukryła twarz na jego piersi.

Powóz wywrócił się, a siła uderzenia pozbawiła Caroline oddechu. Usłyszała oddalający się tętent kopyt i zrozumiała, że uprzęż musiała pęknąć. Dziękowała Bogu, że biedne zwierzęta nie zostały przygniecione przez upadający powóz.

To Bradford przyjął na siebie cały impet uderzenia. Był na samym spodzie, Caroline leżała na nim, natomiast Milford znajdował się na samej górze.

Powoli otworzyła oczy i tuż przed swoim nosem zobaczyła pistolet Milforda. Starając się odzyskać oddech, jednocześnie pomału odsuwała od siebie lufę. Jęknęła głośno, bardziej z powodu wagi Milforda niż niewygodnego położenia, w którym się znalazła. Ten natychmiast podjął wysiłek, by wstać i uwolnić dziewczynę. Caroline zdała sobie sprawę, że obejmuje nogami biodra Bradforda i w zmieszaniu próbowała rozluźnić uścisk. Chcąc przenieść jedną nogę ponad nim, straciła równowagę i w końcu udało jej się tylko umieścić kolano między jego nogami.

Bradford jęknął i złapał dziewczynę wpół.

- Widzę, że nic ci się nie stało - powiedział z grymasem, który ją zaniepokoił. Wyciągnęła rękę i powiodła dłonią po jego twarzy.

- A czy z tobą wszystko w porządku? - zapytała. W jej głosie słychać było strach i Bradford zdał sobie sprawę, że dziewczynę bardziej przeraża

możliwość, że on został ranny, niż to, co się przed chwilą stało. Odsunął pasemko włosów z jej twarzy, by lepiej ją widzieć.

- Jeżeli nie przesuniesz kolana, to wkrótce zostanę eunuchem - powiedział szeptem.

Milford usłyszał to i zaśmiał się cicho, a Caroline oblała się rumieńcem.

Podczas gdy Milford usiłował wydostać się z powozu, Bradford osłaniał głowę dziewczyny przed jego butami. Następnie, gdy znalazł się wreszcie na zewnątrz, książkę podniósł ją do góry i podał wprost w ramiona przyjaciela, po czym sam wyskoczył na bruk.

Powóz leżał na boku i Caroline obeszła go, by ocenić straty.

Bradford rozejrzył się i stwierdził, że byli w jednej z najbiedniejszych dzielnic Londynu. Tłum już się zbierał, ale wszyscy patrzyli nie na powóz, tylko na Caroline, i Bradford mruknął coś gniewnie pod nosem. Razem z Milfordem podeszli do dziewczyny, starając się zasłonić ją przed oczami gapiów.

Caroline zauważyła, że obaj panowie nadal trzymają w dłoniach pistolety. Powoli dotarło do niej, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

Bradford wypatrzył obskurną gospodę i poprosił Milforda, by zabrał tam Caroline, podczas gdy on postara się znaleźć pomoc.

Przyjaciel bez słowa przytaknął i nagle Caroline poczuła, że jest wleczone w stronę podejrzanego szynku. Obejrzawszy się na Bradforda, chciała mu powiedzieć, by uważał na siebie, ale zmieniła zdanie. Otaczający ich ludzie nie wyglądali na przyjaźnie nastawionych. A nuż podsunęłyby im jakiś pomysł.

- „Swawolnik” - przeczytała przekrzywiony szyld nad wejściem. - Cóż za dziwna nazwa. Czyżbyśmy tu przyszli swawolić? - Usiłowała się uśmiechnąć do Milforda, ale nic z tego nie wyszło. Wiedziała, że głos jej drży i trzęsą się nogi. Zaczynała odczuwać skutki wypadku.

Milford jednak w cudowny sposób potrafił ukoić jej nerwy. Uśmiechnął się do niej, po przyjacielsku otoczył ramieniem i otworzył drzwi do szynku.

- Lady Caroline - oznajmił oficjalnym tonem. - Mam za szczyt zapoznać

panią z poezją ryszotku. Czy jest pani przygotowana na pierwszą lekcję? - Posłał jej ten swój szelmowski uśmiech, który tak bardzo lubiła.

- Ależ oczywiście - odparła, też się do niego uśmiechając. Weszła do zadymionego pomieszczenia i od razu poczuła się nieswojo. Jej piękna suknia i płaszcz obszyty futrem ostro kontrastowały z szarymi i brązowymi ubraniami lumpów okupujących szynk.

Izba była tylko w połowie zapełniona i Caroline ujrzała kilkanaście par oczu wlepionych w nią bez najmniejszego zażenowania. Milford popychał ją, aż znaleźli się na końcu długiego baru. Umieścił dziewczynę w rogu, opartą plecami o ścianę, tak by nikt nie mógł zaatakować jej od tyłu, sam zaś stanął przed nią.

Gospodarz wreszcie przestał się na nich gapić i zapytał, co zamawiają. Milford odrzekł mu, że na razie wystarczą dwie szklaneczki brandy, a ponieważ jest w dobrym nastroju, to stawia kolejkę wszystkim obecnym.

Oświadczenie Milforda przerwało denerwującą ciszę i zewsząd zaczęły się rozlegać wołania o whisky i piwo.

- To było sprytne posunięcie, Milford - pochwaliła go dziewczyna. - W jednej chwili z potencjalnych wrogów zrobiłeś sobie przyjaciół. Naprawdę cię podziwiam. - Niestety, kierowała te komplementy do pleców Milforda, gdyż on sam najwyraźniej nie miał zamiaru spuszczać mima z oczu. Odłożył co prawda pistolet, lecz przyjął pozę świadczącą o gotowości do walki.

- Prawie tego żałuję - przyznał ze śmiechem w głosie. - Boże, już tak dawno nie miałem okazji wziąć udziału w porządnej bijatyce!

Uśmiech zamarł na twarzy Caroline, gdy zobaczyła, jak drzwi do szynku się otwierają i stają w nich czterech oprychów.

- Może jeszcze zdążysz nabić parę guzów - szepnęła obserwując obcych, którzy bezczelnie się na nią gapili.

Nagła cisza zapadła w izbie, gdy jeden z nowo przybyłych, osiłek, który wyglądał, jakby nie mył się od lat, zaczął iść w ich kierunku.

- Obejrzymy no se te ślicznotkę, co ją tam tak chowasz - powiedział do Milforda i sięgnął wielkim łapskiem, by odepchnąć go z drogi. Jednak okazało się, że Milforda wcale nie tak łatwo ruszyć.

- Zostań tu - polecił Caroline i bez uprzedzenia uderzył napastnika w szczękę. Efekt był natychmiastowy. Ogromny mężczyzna poleciał do tyłu, odrzucony z niewiarygodną siłą. Jednak jego kompani zaraz włączyli się do bójki.

Caroline patrzyła na to przerażona, raz po raz schylając się to przed nadlatującą butelką, to przed czyimś ciałem. Siły były nierówne i dziewczyna obawiała się, że Milfordowi może stać się coś naprawdę złego.

Właściciel szynku postanowił widać skorzystać z zamieszania i wystawiwszy rękę, złapał Caroline za włosy. Najprawdopodobniej chciał wciągnąć dziewczynę za bar. Krzyknęła zaskoczona i zaraz tego pożałowała, gdyż Milford natychmiast odwrócił się w jej stronę, zapominając o tym, co miał przed sobą.

- Uważaj! - wrzasnęła Caroline, łapiąc z baru pełną butelkę whisky i rozbijając ją na głowie właściciela. Ohydny typ z wielkim łoskotem padł na podłogę, a dziewczyna szybko wskoczyła za bar. Zdecydowawszy, że Milfordowi przydałaby się pomoc, zaczęła rzucać butelkami w atakujących go mężczyzn.

Niestety, celowała nie dość dokładnie i jednemu z napastników udało się już prawie dotrzeć do baru, gdy mocnym ciosem powściągnęła jego zamiary. Z głośnym jękiem zwałił się na podłogę.

Kilku innych mężczyzn przyłączyło się do walki i Caroline już nie wiedziała, kto jest po czyjej stronie. Ponieważ opróżniła z butelek wszystkie półki, musiała schylić się pod bar po nową amunicję. Odsunawszy na bok pudełko z pieniędzmi, znalazła to, czego szukała. Szynek najwyraźniej musiał mieć podobne problemy w przeszłości, bo pod barem leżało kilka długich zakrzywionych noży, dwa załadowane pistolety i pałka, tak ciężka, że ledwo

mogłaby ją podnieść, a co dopiero zamachnąć się nią.

Caroline wybrała pistolety. Jeden położyła na barze, a drugi uniosła. Szanse Milforda znacznie wzrosły, lecz on chyba o tym nie wiedział, gdyż starał się pokonać trzech przeciwników naraz.

Uwagę Caroline przyciągnął błysk stali. Jeden z mężczyzn trzymał w dłoni nóż i najwyraźniej miał zamiar rzucić nim w plecy Milforda. Caroline szybko wystrzeliła i broń wypadła z ręki opryszka.

To nagle przerwało bójkę i wszyscy, nie wyłączając Milforda, popatrzyli na wrzeszczącego wniebogłosy mężczyznę. Potem przenieśli wzrok na dziewczynę i Caroline poczuła, że powinna to jakoś wyjaśnić.

- Noże są niedozwolone w tej bijatyce - obwieściła czystym, pewnym siebie głosem. Jej zamiary stały się oczywiste, gdy podniosła drugi pistolet i zapytała spokojnie Milforda, który nadal gapił się na nią z niedowierzaniem: - No co? Masz zamiar to ciągnąć czy już wychodzimy?

Milford wydał potężny ryk i złapawszy dwóch mężczyzn za kark, zderzył ich głowami. Gdy tylko padli na ziemię, okazało się, że został jeszcze trzeci. Caroline czekała cierpliwie, kiedy to wszystko się skończy.

Skończyło się szybciej, niż się spodziewała. Drzwi szynku huknęły o ścianę, wypadając z zawiasów. Może i hałas nie był dostatecznie głośny, by zwrócić uwagę walczących, lecz ryk dobywający się z gardła mężczyzny, który przez nie wchodził, nawet głuchy by usłyszał.

Bradford wyglądał tak, jakby właśnie się decydował, kogo ma zabić najpierw. Caroline cieszyła się, że ten przerażający wojownik jest po ich stronie.

- Nie spiesz się zbytnio! - zawołał do niego Milford, rozdając ciosy na prawo i lewo.

Bradford zobaczył Caroline i gdy dziewczyna uśmiechnęła się do niego uspokajająco, wściekłość na jego twarzy ustąpiła skupieniu. Caroline obserwowała, jak uważnie zdejmuje surdut, składa go i wiesza na oparciu krzesła. Naprawdę zbytnio się nie spieszył! Milford jeszcze raz go ponaglił i

Bradford ruszył wreszcie do ataku.

Nie patyczkował się długo i choć Caroline już wcześniej poznała jego siłę, znowu była nią zaskoczona. Nie widać było po nim wysiłku nawet wtedy, gdy podniósł mężczyznę dwa razy od siebie większego i spokojnie wyrzucił przez drzwi. Za pierwszym poleciał drugi, potem trzeci, i jeszcze jeden, dopóki ulica przed gospodą nie była dosłownie zasłana jęczącymi ciałami. Bradford odciągnął ostatniego napastnika od Milforda i potężnym kopnięciem posłał go za drzwi.

Nadal prezentował się nienagannie, choć włosy trochę mu się potargały. Milford za to nie wyglądał najlepiej. Surdut miał porwany, a spodnie brudne. Ręce drżały mu lekko, gdy usiłował doprowadzić do porządku swój krawat.

- Pijemy na koszt firmy! - ogłosiła Caroline. - O ile znajdę jeszcze jakąś butelkę.

- Mam wrażenie, moja droga, że wyrzuciłaś już wszystkie - skomentował Milford.

- Miałaś jej bronić - mruczał Bradford z irytacją w głosie. - Caroline, wychodź już stamtąd. Udało mi się wynająć dla nas powóz.

Dziewczyna kiwnęła głową i ostrożnie zaczęła przechodzić nad leżącymi ciałami.

Bradford tylko potrząsnął głową.

- Nawet nie będę pytał, co tu się działo - powiedział do Milforda, który właśnie stanął obok.

- To będzie najrozsądniejsze z twojej strony - zgodziła się Caroline. - Według ciebie powinnam teraz mdleć albo histeryzować, prawda? Milford! Rynsztokowa poezja naprawdę ma przyszłość, a bijatyki są rzeczywiście podniecające. Dlaczego z nich zrezygnowałeś?

Milford wybuchnął śmiechem, a Bradford zmarszczył brwi. Wziął Caroline za rękę i pociągnął przez drzwi.

W wynajętym powozie było bardzo ciasno i Caroline musiała siedzieć na

kolanach Bradforda. Cały czas marszczył czoło i dziewczyna była przekonana, że nawet nie słucha ich rozmowy.

Wiedziała, że nie jest na nią zły, gdyż wyglądając przez okno, pieszczotliwie gładził jej policzek.

Gdy wóz zatrzymał się przed domem hrabiego, zwróciła się do Milforda:

- Dziękuję za wspaniały wieczór, panie! Najpierw opera, a potem bijatyka! I pomyśleć, że ani jednego, ani drugiego wcześniej nie doświadczyłam.

Bradford wysiadł z powozu, by odprowadzić dziewczynę do domu. Milford na pożegnanie podniósł jej dłoń do ust.

- Do następnej przygody, lady Caroline! - Oczy mu błyszczały i Caroline doceniła jego dowcip.

- Nie będzie żadnych przygód - powiedział Bradford z determinacją.

Caroline posłusznie podążyła za nim po schodkach do domu.

- Bradford, czy naprawdę jesteś na mnie zły? - szepnęła.

- Nie pozwolę, byś przeze mnie narażała się na niebezpieczeństwa - odpowiedział wyjątkowo spokojnie. Objął ją i przytulił. - Nie pozwolę, by coś ci się stało.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

Deighton otworzył drzwi i Caroline, ociągając się, weszła do środka. Była zawiedziona, że Bradford nie wszedł za nią.

Pomyślała, że ich rozmowa będzie musiała poczekać do jutra. Jutro on przyzna, że ją kocha. I wszystko będzie już dobrze.

Ktoś majstrował przy kole - poinformował Bradford przyjaciela, gdy zostali sami. - Ono miało odpaść.

- Czyżbyś znowu narobił sobie wrogów, Brad? - zapytał Milford. Uśmiech zniknął z jego oczu. Caroline była już bezpieczna we własnym domu i wreszcie mógł okazać gniew. - Mogliśmy zginąć!

- Ktokolwiek chce mnie dopaść, nie bawi się w subtelności i nie zawraca

sobie głowy szczegółami. Nie dopuszczę do tego, by coś się stało Caroline.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytał go przyjaciel. Wydawał się równie zdeterminowany jak Bradford.

- Odnajdę łotra i rozprawię się z nim - odparł książę bez wahania. - Dopóki się wszystkiego nie dowiem, nie będę widywał się z Caroline. Najlepiej będzie, jeżeli rozejdzie się wieść, że już się nie spotykamy.

- Ale jej to wytłumaczysz, prawda? - Milford zgadzał się z przyjacielem, że powinni trzymać się z dala od Caroline, dopóki niebezpieczeństwo nie minie. Ale miał też na względzie uczucia dziewczyny.

- Nie. Lepiej będzie, jeśli i ona uwierzy, że przestałem się nią interesować. W przeciwnym razie nie będzie dostatecznie przekonująca. Wszyscy muszą być pewni, że ona nic dla mnie nie znaczy, albo ktoś wykorzysta ją przeciwko mnie.

- A Braxton? Czy z nim porozmawiasz?

- Nie. Mógłby się załamać i opowiedzieć wszystko Caroline. - Bradford potrząsnął głową.

- Od czego zaczniemy? - zapytał Milford. - Bo im szybciej znajdziemy winnego, tym lepiej. Podejrzewam, że najpierw zechcesz wypytać Harry'ego?

Bradford przytaknął.

- Mam zamiar porozmawiać także z moimi znajomymi w Ministerstwie Obrony.

- Gdy to się skończy, czeka cię nowa wojna - przepowiedział Milford.

Obaj jednocześnie wypowiedzieli jej imię.

Następne dwa tygodnie były dla Caroline nie do zniesienia. Na początku nie chciała uwierzyć w to, że Bradford ją porzucił. Tłumaczyła sobie jego zachowanie na różne sposoby, dopóki na balu u Almacków nie stanęła z nim twarzą w twarz, a on omiół ją wzrokiem, jakby w ogóle nie istniała. Wtedy postanowiła, że musi zaakceptować prawdę. Że wszystko skończone.

Bardziej od niej wydawała się tym załamana Charity. Cały czas

powtarzała z furią w głosie, że Bradfordowi przydałaby się porządna chłosta. Nieświadomie powiększała tylko ból kuzynki, opowiadając jej najnowsze ploteczki. Podobno Bradford wrócił do życia towarzyskiego i sypiał z połową kobiet w Londynie. Widywano go co wieczór z inną w ramionach. Znowu, powróciwszy do dawnych zwyczajów, pił co noc i uprawiał hazard do białego rana. Wszyscy, nie wyłączając Charity, wierzyli, że księżę Bradford bawi się jak nigdy w życiu.

Po owym nieszczęsnym spotkaniu u Almacków Caroline odmówiła chodzenia na bale. Co noc zostawała w domu i pisała długie listy do Caimena, wylewając w nich swoje żale.

Hrabia Braxton nic nie wiedział o zmartwieniach córki. Zawsze witała go uśmiechem i zawsze wydawała mu się zadowolona. Uwierzył w jej wyjaśnienia, że jest zmęczona ciągłymi przyjęciami i że chce zostawać w domu, by zająć się przygotowaniami do wesela Charity.

Caroline bardzo się pilnowała, żeby nie okazać ojcu swojego bólu i tym samym go nie martwić. Zdawała sobie sprawę z tego, że ich stosunki stają się coraz bardziej sztuczne, lecz powtarzała sobie, że to wszystko dla jego dobra. Hrabia często pytał o Bradforda i Caroline za każdym razem mówiła mu bardzo spokojnie, że to już dawno się skończyło.

W poniedziałek przyszedł list z Bostonu, pełen najświeższych nowinek. Wuj Henry udzielał pozwolenia na ślub Charity i prosił jednocześnie, by Benjamin wrócił do Bostonu możliwie jak najprędzej. Bardzo potrzebowali jego pomocy w gospodarstwie, zwłaszcza że na wiosnę urodziło się sporo źrebiąt.

Benjamin także chciał już wracać. Caroline wiedziała o tym, choć nie zdradził się ani słowem. Wyczytała to w jego oczach.

- Tęsknisz do domu, co? - pytała go żartobliwym tonem.

- Nie mam pojęcia, Benjaminie, jak sobie bez ciebie poradzimy - powiedział hrabia. - Chyba wszyscy pomrzemy z głodu - dodał i poszedł zarządzić przygotowania do podróży.

Caroline też nie miała pojęcia, jak da sobie radę bez Benjamin, lecz nie mówiła tego głośno.

- Dużo razem przeszliśmy, prawda? - zapytał Benjamin.

- Prawda - uśmiechnęła się dziewczyna. Nie potrafiła oprzeć się pokusie, by go nie przytulić. - Nigdy o tobie nie zapomnę, przyjacielu. Zawsze mi pomagałeś, kiedy najbardziej cię potrzebowałam.

Tydzień później, w poniedziałek, Caroline odprowadziła go na przystań. Hrabia zatroszczył się o odpowiednią garderobę i załatwił dobrą kajutę.

- Czy pamiętasz dzień, w którym znalazłaś mnie w tej szopie? - zapytał Benjamin, gdy już się pożegnali.

- Wydaje się, jakby to było wieki temu - odpowiedziała Caroline.

- Teraz zostajesz sama, dziecino. Wiesz, że jeżeli mnie tylko poprosisz, to zostanę - dodał. - Zawdzięczam ci życie.

- A ja zawdzięczam ci swoje - odparła dziewczyna. - Tu nie ma dla ciebie przyszłości. Twoje szczęście jest w Bostonie. Nie martw się o mnie, Benjaminie.

- Jeżeli kiedykolwiek... - zaczął, lecz Caroline przerwała mu.

- Wiem. I naprawdę dam sobie radę.

Wiedziała, rzecz jasna, że nie da sobie rady bez niego, i płakała całą drogę do domu.

Bardzo trudno było zachować dobry nastrój, lecz przynajmniej udało jej się nie użalać nad sobą. Już pierwsze śniegi spadły na Londyn, a ona nadal nie miała żadnej wiadomości od Bradforda.

W końcu przyjęła zaproszenie Thomasa Ivesa i poszła z nim na przyjęcie wydawane przez lady Tillman. Był to bardzo nudny wieczór, lecz biorąc w nim udział, Caroline sprawiła przyjemność ojcu.

Następnego dnia odwiedziła wuja Milo. Franklin jeszcze się nie pojawił i dziewczynie bardzo miło rozmawiało się z markizem. Słyszał on o wyjeździe Benjamin do Bostonu i zapytał Caroline, jak właściwie go poznała.

- Pewnego poranka znalazłam go w szopie - wyjaśniła. - Był zbiegłym niewolnikiem i przybył aż z Wirginii.

Nie chciała powiedzieć nic więcej i wuj musiał ją wypytywać.

- Brax mówił, że Benjamin stał się twoją prywatną ochroną. Czyżby Boston był aż tak dziki i barbarzyński?

- Mam wrażenie, że to raczej ja taka byłam, a nie Boston - zaśmiała się Caroline. - Zawsze pakowałam się w kłopoty i Benjamin mnie z nich wyciągał. Niejeden raz uratował mi życie.

Milo zachichotał.

- Jesteś bardzo podobna do swojej matki - powiedział. - Ale wracając do Benjamin... Słyszałem o ludziach, którzy łapią zbiegłych niewolników i zabierają ich z powrotem na Południe.

Caroline zmarszczyła brwi.

- To prawda, że niektórzy w ten sposób zarabiają na życie, ale Benjamin jest teraz wolnym człowiekiem. Papa, to znaczy wujek Henry, posłał Caimena, żeby wykupił Benjamin.

W tej chwili zjawiał się Franklin i od razu zaczął rozmowę o Bradfordzie. Caroline, siląc się na obojętność, powiedziała mu, że już nie widuje się z księciem.

- Czy planujesz w takim razie powrót do Bostonu? - dopytywał się Franklin.

Caroline była zaskoczona pytaniem i zastanawiała się, co przywiodło wuja do takiego wniosku. Natomiast Milla pytanie brata doprowadziło do furii. Jeszcze nigdy Caroline nie widziała go tak zdenerwowanego. Ponad godzinę zabrało jej uspokajanie staruszka i wytłumaczenie, że nie ma zamiaru wyjeżdżać z Anglii.

Franklin tłumaczył się, że słyszał plotki o tym, jakoby Caroline wracała do Bostonu, a jej ojciec zenił się z lady Tillman. Według tego, co mówiła plotka, hrabia miał zamiar wybrać się ze swoją nową żoną w podróż po Europie.

Caroline rozzłościło nowe wyzwanie rzucone przez Franklina. Powiedziała, że jego słowa nie mają sensu. Sytuacja we Francji jest niepewna i jej ojciec z całą pewnością nigdzie się nie wybiera.

- A nawet jeśli się wybiera, to ty zamieszkasz ze mną - oświadczył Milo tak, jakby spodziewał się protestu ze strony brata.

- To doskonały pomysł - odparł Franklin i temat został wyczerpany.

Gdy Caroline wróciła do domu, znalazła list z jej nazwiskiem na kopercie. Podniosła go z tacy i poszła do salonu. Potem dziękowała Bogu, że była sama, gdy czytała te potworności. Pierwsza strona listu wypełniona była czczymi, nienawistnymi słowami pod jej adresem, ale druga była już o wiele ciekawsza. Wypadek u Claymere'ów nie miał na celu zamordowania jej, tylko przestraszenie. Podobnie wypadek z powozem. Ale ona i tak umrze, obiecywał nadawca. Wszystko w swoim czasie. Dopełni się przeznaczenie, dokona zemsta! List kończył się paroma okropnymi przepowiedniami, jaka śmierć może ją czekać.

Caroline nie wiedziała, co ma robić. Włożyła list z powrotem do koperty i schowała go w swojej szafie. Z całego serca życzyła sobie, by był z nią Benjamin! Potem wzięła się w garść i zapytała Deightona, jak wyglądała osoba, która dostarczyła list.

Jednak ani Deighton, ani nikt ze służby nic o liście nie wiedział. Caroline ukryła swoje przerażenie, tłumacząc, że na stoliku w hallu znalazła niepodpisany list i była ciekawa, od kogo mógł być.

Deighton bardzo się zmartwił całym zajściem. Do jego obowiązków należało otwieranie drzwi, a ktoś najwyraźniej naruszył jego terytorium! Upierał się, że drzwi są zawsze zamykane i że to na pewno któraś z pokojówek otworzyła je bez jego pozwolenia. A teraz to on będzie musiał wziąć całą winę na siebie.

Caroline pozostawiła Deightona mruczącego wściekle i poszła na górę.

- Założę się, że to Marie przyjęła ten list i teraz boi się przyznać -

burknęła pod nosem Mary Margaret. - Nigdy w życiu nie zrobiła niczego uczciwie. Gdy tylko Benjamin wyjechał, jedzenie znowu zrobiło się okropne. Głupia baba nic się nie nauczyła. Myślę, że Deighton powinien ją zwolnić.

- Nie bądź taka surowa - zganiała ją Caroline myśląc o rodzi nie kucharki, o Tobym i Kirby. Wiedziała, że kobieta robi co w jej mocy. - Okaż jej trochę więcej cierpliwości. Mary Margaret. Marie potrzebuje tej pracy, a ja i tak zamierzam z nią niedługo porozmawiać.

Caroline poczuła się rozdrażniona mało ważnymi problemami, które przyszło jej rozwiązywać. Ktoś chciał ją zabić, a ona nawet nie wiedziała dlaczego, gdy tymczasem domowe problemy wydawały się wszystkim najważniejsze.

Zdecydowała, że nic nie powie ojcu o Uście. Jeszcze nie teraz. Gdyby tylko uświadomił sobie, w jakim niebezpieczeństwie znajduje się jego ukochana córka, na pewno odesłałby ją do Bostonu pierwszym statkiem. A Caroline nie chciała uciekać. Ponadto wyjazd oznaczałby, że już nigdy w życiu nie ujrzy Bradforda. I na nic zdało się tłumaczenie, że przecież i tak dał on wyraźnie do zrozumienia, że nie chce z nią mieć nic wspólnego.

Caroline nie mogła powiedzieć o liście Charity, gdyż kuzynka na pewno opowiedziałaby o nim każdemu, kto tylko zechciałby jej wysłuchać. No i poza tym byłaby równie przerażona jak ojciec.

Przez cały tydzień Caroline sama zmagала się ze swoim problemem. Nie mogła spać i z dnia na dzień była coraz bardziej wyczerpana. Najłżejszy szmer przyprawiał ją o bicie serca.

Odrzuciła mnóstwo zaproszeń. Wizyty u wuja Milo stały się jej jedyną rozrywką. Hrabia co prawda wypytywał córkę o przyczyny tego dziwnego zachowania, lecz bez rezultatu. Dlatego też w jej imieniu przyjął od Milforda zaproszenie do teatru. I tak długo przekonywał swą upartą córkę, by poszła, że w końcu się zgodziła.

Caroline postanowiła, że przebrnie jakoś przez ten wieczór, by zadowolić

ojca. Z równym smutkiem co niecierpliwością czekała na spotkanie z Milfordem. Bardzo go lubiła, ceniła jego poczucie humoru i cięty język, ale zbyt boleśnie przypominał jej o Bradfordzie.

Ubrała się bardzo starannie w suknię wieczorową w kolorze miętowym, a Mary Margaret upięła jej włosy w misterną konstrukcję. Jednak te długotrwałe zabiegi doprowadzały wycieńczoną dziewczynę do szału.

- Mary Margaret, mamy jeszcze ponad godzinę do przyjazdu Milforda. Przynieś nożyczki - poleciła tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Widziałam, co zrobiłaś z włosami Charity, i chcę, byś obcięła moje. Natychmiast. - Caroline usiłowała wyswobodzić się z sukni i powyjmować spinki z włosów w tym samym momencie. - Pospiesz się. Mary Margaret, już się zdecydowałam. Mam już dość dźwigania tego ciężaru.

Pokojówka zebrała spódnice i wybiegła. Caroline nie zwracała uwagi na gniewne pomruki dziewczyny. Wyprostowała plecy i spojrzała swojemu odbiciu prosto w oczy:

- Już dostatecznie długo użalałaś się nad sobą, Caroline Richmond.

W tym momencie do pokoju weszła Charity.

- Co ty robisz, Caroline? - zapytała.

- Właśnie ruszam do ataku - odpowiedziała jej kuzynka. - Pamiętasz, jak mi kiedyś powiedziałaś, że nie należę do tych, którzy siedzą i czekają?

Charity przytaknęła z szerokim uśmiechem.

- Więc zamierzasz zapolować na Bradforda?

- Nie - potrząsnęła głową Caroline. - Ale zdecydowałam się co do paru innych spraw. Wytlumaczę ci wszystko w przyszłym tygodniu. Będziesz mi musiała zaufać i uwierzyć, że nie postradałam zmysłów.

Charity pokiwała głową, choć po jej minie było widać, że nic nie rozumie. Mary Margaret właśnie wpadła z powrotem do pokoju i Caroline zaczęła wypychać kuzynkę za drzwi.

- Mary Margaret i ja mamy coś do zrobienia. Poczekaj na mnie na dole.

Pokojówka stanowczo odmówiła skrócenia włosów Caroline o więcej niż centymetr i zniecierpliwiona dziewczyna wyrwała jej w końcu nożyczki. Gdy zaczęła sama obcinać sobie włosy, Mary Margaret wpadła w panikę.

Szybko odebrała nożyczki swojej pani i wzięła się do roboty. Gdy już skończyła, uśmiechnęła się niezbyt mądrze i przyznała, że Caroline wygląda niesamowicie. Zniknęła ciężka masa falujących włosów; zastąpiły ją drobne loczki, które kończyły się tuż poniżej uszu. Gdy Caroline potrząsnęła głową, poczuła taką swobodę, że roześmiała się na całe gardło.

- Czuję się wyśmienicie - poinformowała pokojówkę.

- Wygląda pani cudownie, bardzo kobieco - odpowiedziała Mary Margaret. - Oczy wydają się teraz dwa razy większe. Jestem pewna, że wywoła pani niezłe zamieszanie.

- Jeżeli tylko dam radę przebrnąć przez ten wieczór, wszystko inne też uda mi się przetrwać.

Mary Margaret zmarszczyła brwi słysząc tę dziwną uwagę, lecz Caroline nie wyjaśniła, o co jej chodzi.

Milford zjawił się wcześniej, niż zapowiadał, i zanim Caroline się przebrała, zrobiła nową fryzurę i zeszła na dół, przechadzał się po salonie już od jakiegoś czasu.

Obserwował dziewczynę, jak zstępuje po schodach. Od razu dostrzegł zmianę i powiedział parę komplementów. Pomyślał, że wygląda piękniej niż kiedykolwiek, ale zauważył również, że jest wyczerpana. Najwyraźniej nie sypiała zbyt dobrze.

Gdy już siedzieli w powozie i jechali do Drury Lane, uśmiechnął się do niej.

- Dawnośmy się nie widzieli, prawda, Pączuszkule?

- Pączuszkule? Tak jeszcze nigdy mnie nie nazywałeś - odparła zdziwiona, a on tylko wzruszył ramionami.

- Dajesz sobie jakoś radę? - zapytał.

Jego wzrok pełen był współczucia i Caroline zeszywniała. Czyżby się nad nią litował? Poczula zniecierpliwienie na samą myśl o tym.

- Nikt nie umarł, Milford, więc czemu tak się niepokoisz? Zupełnie nieźle daję sobie radę.

- Bradford też nie sypia za dobrze - powiedział cicho Milford.

- Nie wspominaj nawet jego imienia! - zażądała Caroline. Zdała sobie sprawę, że krzyczy, i natychmiast zniżyła głos. - Obiecuj, Milford, albo zaraz wysiądę z tego powozu!

- Obiecuję - odparł pospiesznie. - Nie powiem już ani słowa o... wiesz o kim. Pomyślałem tylko, że powinnaś wiedzieć...

- Milford! - Głos dziewczyny drżał. - Nic nie chcę o nim słyszeć. Skończyłam już z tym. - A potem dodała: - Opowiedz mi, co ostatnio porabiałeś. Brałeś może udział w jakiejś bójce?

Wiele wysiłku kosztowało ich utrzymanie rozmowy w lekkim tonie. Wyczerpanie Caroline zbliżało się do punktu krytycznego, tym bardziej że cały czas udawała dobry nastrój. Przedstawienie było dość marne, a podczas przerw w tłumie aż się gotowało.

Caroline rozciągała usta w uśmiechu. Myślała, że za moment jej twarz rozpadnie się jak lustro na tysiąc kawałeczków. W pewnym momencie była pewna, że widzi Bradforda, i serce zaczęło jej walić, lecz gdy mężczyzna się odwrócił, okazało się, że to jakiś nieznajomy. Jednak serce nadal biło w szalonym rytmie i coraz trudniej było jej zachować spokój.

Gdy Caroline stała tak pośrodku tłumu obok Milforda, zdała sobie nagle sprawę, że popełniła właśnie bardzo głupi błąd. W tej chwili stanowiła wyjątkowo łatwy cel. Pomyślała o tym okropnym liście i zadygotała. Właśnie wtedy ktoś ją potracił i dziewczyna zawirowała, z przerażeniem wypisanym na twarzy. Szybko się opanowała, lecz Milford zauważył jej dziwne zachowanie.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał odciągając ją na bok. Kiedy Caroline oparła się plecami o ścianę, wyraźnie się rozluźniła. Potrząsnęła głową, sama

przed sobą przyznając, że ani chwili dłużej nie wytrzyma w tłumie.

- Tu nie jest bezpiecznie - odpowiedziała. - Wolałabym już wrócić do domu.

Milford ukrył przerażenie. Caroline była tak blada, jakby zaraz miała zemdleć.

Wyszli z teatru i wsiedli do powozu. Dopiero wtedy ośmielił się zadać jej pytanie. Dziewczyna siedziała naprzeciw niego z dłońmi złożonymi na kolanach.

- Caroline, powiedz mi, co miałaś na myśli mówiąc, że nie jest bezpiecznie?

- Nic takiego - odparła. Wyglądała przez okno, starając się ukryć twarz. - Czy zamierzasz iść do Stantonów za tydzień? - zapytała mając nadzieję, że uda jej się zmienić temat.

Ale Milford nie dał się zwieść. Ujął jej dłonie i pochylił się ku niej.

- Spójrz mi w oczy, Caroline. Dlaczego nie było bezpiecznie? Wiedziała, że kłamstwa na nic się nie zdadzą.

- Dlatego, że ktoś usiłuje mnie zabić - wyszeptała wreszcie. Milford aż otworzył usta ze zdumienia i wypuściwszy jej dłonie, oparł się o podglówek.

- Opowiedz mi wszystko po kolei - polecił kategorycznym tonem, jaki znała u Bradforda.

- Powiem, ale musisz mi obiecać, że nikomu tego nie powtórzysz. - Gdy przytaknął, mówiła dalej: - Nie spadłam ze schodów, wtedy u Claymere'ów. Ktoś mnie zepchnął. A ta historia z powozem to też wcale nie był wypadek. - Milford wyglądał na tak zaskoczonego, że Caroline mówiła pośpiesznie dalej, chcąc go przekonać, że wcale nie zwariowała. - Jakiś tydzień temu dostałam okropny Ust. Ktoś bardzo mnie nienawidzi i przysięga, że mnie zabije. Nie wiem nawet kto i dlaczego - zakończyła.

Milford był zaszokowany, ale jego umysł już pracował ze zdwojoną prędkością.

- Czy nadal masz ten list? Komu o nim mówiłaś? - Nie czekając na odpowiedź, pytał dalej: - Co myśli o tym twój ojciec? I dlaczego, na miłość boską, pozwolił ci wyjść z domu?

Caroline postanowiła odpowiedzieć na ostatnie pytanie.

- Mój ojciec nic nie wie o tych pogroźkach. - Milford popatrzył na nią niedowierzająco, więc mu wytłumaczyła. - Myślę, że odesłał mnie do Ameryki czternaście lat temu, bo się bał. Nie pozwolę, by to się powtórzyło! Ostatnie lata powinien spędzić w ciszy i spokoju. Ma do tego prawo!

- Nie wierzę własnym uszom - mruzczał Milford. - Ktoś chce cię zabić, a ty się martwisz, czy twój ojciec będzie miał spokojną starość! Caroline, musisz pomyśleć teraz o sobie.

- Proszę, uspokój się - błagała go dziewczyna. - Już wszystko przemyślałam i wiem, co mam robić. Nie martw się o mnie, wiem, jak się o siebie troszczyć.

- Wiesz, co masz robić? To znaczy co? - zapytał wybiegając myślami naprzód. Nie mógł się doczekać, aby odstawić dziewczynę do domu, odszukać Bradforda i powtórzyć mu to, co przed chwilą usłyszał. Już zapomniał o danej Caroline obietnicy milczenia. Wielki Boże! A oni myśleli, że to Bradford miał być ofiarą zamachu! Potrząsał głową coraz gwałtowniej, w miarę jak zdziwienie i złość w nim narastały. Zdawał sobie sprawę, jak samotna i bezbronna była Caroline i jak bardzo Bradfordem wstrząsną te nowiny.

- Cóż, myślałam o wynajęciu prywatnego detektywa - powiedziała Caroline tłumacząc mu swój plan. - Jutro rano podejmę pierwsze kroki. A potem...

- Nie mów mi nic więcej - przerwał jej Milford. W jego głowie myśli kotłowały się jak szalone, a on chciał jedynie chwili ciszy, by je jakoś poukładać.

Caroline natychmiast poczuła się odtrącona. Ale prawdę mówiąc, jak mogła obarczać go swoimi problemami? Nie miała wszak do tego

najmniejszego prawa.

- Rozumiem - zapewniła go. - I nie mam ci tego za złe. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. Przepraszam, że chciałam zrzucić na ciebie swoje problemy. Myślę, że powinieneś trzymać się z dala ode mnie, dopóki to zamieszanie nie minie.

Milfordowi rozszerzyły się oczy i prawie wybuchnął śmiechem.

- A to niby dlaczego?

- No cóż - odparła Caroline. - Mogłoby się coś złego i tobie przydarzyć. Dlaczego patrzysz na mnie tak dziwnie?

- Nie jestem pewien, ale mam wrażenie, że właśnie mnie obraziłaś. - Wcale nie wydawał się tym zmartwiony. Nawet uśmiechał się do dziewczyny. - Nareszcie jesteśmy w domu. Do zobaczenia jutro, Caroline.

- Przecież właśnie ci wytłumaczyłam, że to bardzo zły pomysł. Nie możesz się ze mną spotykać.

Milford przewrócił oczami, odprowadził Caroline do domu i odjechał w pośpiechu.

Ponad godzinę zajęło mu odnalezienie Bradforda. Ledwo panował nad sobą, gdy wreszcie wpadł do kasyna i zobaczył przyjaciela siedzącego za stolikiem, z dużą ilością gotówki przed sobą. Bradford wyglądał na znudzonego grą i towarzystwem otaczających go mężczyzn.

Milford podszedł do przyjaciela i szepnął mu ma ucho kilka słów tak cicho, że na pewno nikt poza nim ich nie usłyszał. Znużenie nagle zniknęło z twarzy Bradforda. Ku zdumieniu obecnych książę wydał z siebie ryk furii i wstał gwałtownie od stołu, wywracając przy tym krzesło. Bez słowa wyjaśnienia i bez chwili wahania zebrał wygraną i wybiegł za Milfordem z sali.

Wysłuchał streszczenia rozmowy z Caroline i powiedział, że natychmiast jedzie się z nią zobaczyć.

- Jest już po północy, Brad. Poczekaj do jutra - próbował przekonać przyjaciela Milford.

- Teraz - potrząsnął głową Bradford. - Podrzucić mnie pod jej dom i jedź do siebie.

Milford już wiedział, że nie warto się z nim spierać. Obiecał, że podeśle potem swój powóz, by zabrał Bradforda do domu.

Deighton w końcu zareagował na natarczywe dobijanie się do drzwi.

- Miło znów widzieć waszą wysokość - powiedział kłaniając się bardzo oficjalnie.

- Powiedz Caroline, że muszę z nią rozmawiać. - Bradford nie tracił czasu.

Deighton chciał zaprotestować, że lady Caroline na pewno już śpi, ale spojrzawszy na twarz Bradforda, od razu zmienił zdanie. Kiwnął głową i szybko poszedł na górę.

Caroline co prawda jeszcze nie spała, ale już leżała w łóżku. Gdy Deighton powiedział, kto czeka na nią na dole, od razu wszystkiego się domyśliła. Milford! Na pewno poszedł prosto do Bradforda i powtórzył mu całą ich rozmowę.

- Powiadom jego wysokość, że nie mam ochoty z nim rozmawiać. Deighton, czy ojciec już wrócił?

- Tak - padła odpowiedź. - Położył się ponad godzinę temu. Czy mam go obudzić?

- Dobry Boże, nie! - powiedziała Caroline. - Bez względu na to, co się dzieje, nie można ojcu przeszkadzać.

Deighton przytaknął i poszedł na dół.

Caroline zamknęła drzwi i podeszła do okna. Dębowa podłoga ziębiła jej boscie stopy. Wiedziała, że Deighton będzie miał problemy z wyproszeniem Bradforda, i spodziewała się, że lokaj niedługo znowu się zjawi na górze.

Toteż nie zdziwiła się, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Powiedz mu, żeby sobie poszedł, Deighton! Drzwi się otworzyły i stanął w nich Bradford.

- Nigdzie nie pójdę!

Stał tam tak niesamowicie przystojny, iż Caroline poczuła, jak drżą jej nogi. Nie mogła złapać tchu i oczy wypełniły się jej łzami, ale wmówiła sobie, że to ze zmęczenia.

Bradford stał i podziwiał jej urodę, walcząc z pokusą, by zatrzaskać drzwi i porwać ją w ramiona.

Caroline wreszcie odzyskała głos.

- Nie powinienesz być tu wchodzić. Tak nie wypada - szepnęła ochryple.

- Będziesz musiała się przyzwyczaić, że nigdy nie zachowuję się tak, jak wypada - uśmiechnął się Bradford. Jego głos brzmiał jak pieszczota i zahipnotyzował dziewczynę na równi ze spojrzeniem, którym po niej wodził.

Bradford wszedł powoli do pokoju. Zamknął za sobą drzwi i Caroline usłyszała odgłos przekręcanego klucza. Poczowała, jak serce jej zamiera, i usiłowała zgromadzić w sobie jak najwięcej wściekłości i oburzenia. Nie udało jej się, więc tylko stała przy oknie i czekała na jego kolejny ruch.

- Albo to jakiś koszmar, albo postradałeś zmysły - powiedziała w końcu. - Otwórz drzwi i idź sobie, Bradford!

- Jeszcze nie, moja kochana. - W jego głosie słyhać było czułość. Ruszył w jej stronę, a Caroline natychmiast zaczęła się wycofywać. Bradford obserwował ją, jak łapie szlafrok leżący na łóżku i szybko go na siebie narzuca.

Był właściwie zdziwiony, że dziewczyna nie krzyczy. Potraktował ją niepięknie i choć jego motywy były słuszne, to ona nie mogła ich znać. Publicznie ją ośmieszył. Dlaczego jeszcze nie rzucała w niego czym popadnie?

Caroline nadal tylko na niego patrzyła. Tysiące myśli przebiegało jej przez głowę. Po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co powiedzieć.

Bradford zatrzymał się tuż przed nią. Wyciągnął dłoń i delikatnie dotknął jej policzka.

- Nie rób tego. - W jej głosie słyhać było ból. Bradford zauważył, że ręka, którą wyciągał w stronę Caroline, drży, i szybko ją opuścił.

Dziewczyna cofnęła się jeszcze krok do tyłu, a on rozpaczliwie się zastanawiał, co może powiedzieć, by wreszcie przestała się go bać.

- Tęskniłem za tobą, Caroline.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Potrząsnęła głową i nagle się rozplakała. Bradford objął ją i przytulił.

- Przepraszam, kochanie. O Boże, tak bardzo cię przepraszam! - szeptał raz za razem w jej włosy. Gładził ją i pieścił, a Caroline płakała przytulona do niego, przyjmując pocieszenie, które ofiarowywał.

Bradford uniósł jej podbródek i otarł chusteczką łzy z twarzy.

- Mnie też nie było łatwo - przyznał szeptem. Całował delikatnie jej czoło, nos, policzki, a w końcu usta.

Caroline wreszcie zebrała siły i odsunęła się od niego.

- A niby dlaczego było ci tak ciężko? - zapytała. Westchnął i pomyślał, o ile łatwiej byłoby ją nadal po prostu całować, a nie tłumaczyć wszystko od początku. W rogu pokoju zobaczył bujany fotel i pociągnął tam Caroline. Usiadłszy na nim wygodnie, z dziewczyną na kolanach, uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Obiecuj, że mi nie przerwiesz, dopóki nie skończę.

Caroline przytaknęła.

- Myślałem, że ktoś chce mnie dopaść. Gdy zdarzył się ten wypadek z powozem, wiedziałem, że ktokolwiek to jest, nie obchodzi go, kogo oprócz mnie jeszcze zabije. Dlatego zdecydowałem...

- Dlaczego myślałeś, że ktoś chce cię dopaść? - przerwała mu Caroline.

- Obiecałaś, że nie będziesz mi przerywać - przypomniał jej Bradford. - To przy moim powozie ktoś majstrował i to mój woźnica został ogłuszony. Doszedłem tylko do tego, co wydawało się najlogiczniejszym wnioskiem.

- Raczej najegoistyczniejszym - wtrąciła. Wzruszał ramionami myśląc, że zapewne miała rację.

- W każdym razie postanowiłem udawać, iż nasza znajomość się

skończyła, i tym sposobem - podniósł głos, widząc, że dziewczyna ma zamiar mu przerwać - zdobyć pewność, że nic ci nie grozi.

- Ale dlaczego nic mi nie powiedziałeś? - W głosie Caroline zaczęły pobrzmiwać pierwsze tony rodzącej się złości. Samo myślenie o tym, ile przez niego wycierpiała, wywoływało w niej furję.

Bradford zauważył od razu zmianę w zachowaniu Caroline i przygotował się na odparcie jej gniewu.

- Wcale nie musisz odpowiadać na to pytanie - szepnęła ze złością Caroline. - Doskonale wiem, dlaczego tak postąpiłeś. Bo mi nie ufałeś. - Podniosła się z jego kolan i stanęła przed nim. - Przyznaj się, Bradford.

- Caroline, ja tylko nie chciałem, żeby spotkała cię krzywda. Gdybym ci powiedział, mogłabyś to komuś powtórzyć i wpakować się w sam środek zamieszania. - Wydawało mu się, że mówi bardzo logicznie. W każdym razie według niego ta argumentacja nie mogła budzić jakichkolwiek wątpliwości.

Jednak Caroline miała na ten temat inne zdanie. Rozejrzała się po pokoju i Bradford przez chwilę się zastanawiał, czy nie szuka przypadkiem broni przeciw niemu.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że zachowałamby te informacje dla siebie? - zapytała.

- Nie - przyznał Bradford. - Nawet gdybym ci w tej kwestii zaufał, to i tak prawda wyszłaby na jaw. Masz na twarzy wypisane wszystkie uczucia i nikt ani na chwilę by nie uwierzył, że zostałam porzucona. - Usiłował przyciągnąć ją z powrotem do siebie, ale mu uciekła. - Caroline, ja naprawdę chciałem dla ciebie jak najlepiej.

- Nie rozumiesz nawet mojego gniewu - oznajmiła lodowatym głosem. - Kiedy wreszcie się nauczysz, że nie jestem podobna do innych kobiet? I kiedy wreszcie zdecydujesz, że możesz mi zaufać? Nie można budować żadnego związku bez zaufania - Stała przed nim z wyrazem niesmaku na twarzy. - Kiedy wreszcie przestaniesz mnie traktować jak wszystkie inne kobiety z twojej

przeszłości? Naprawdę mam już tego serdecznie dość!

- Kochanie, ty krzyczysz - spokojny ton Bradforda jeszcze bardziej ją rozwścieczył. - Caroline, jeżeli obudzisz swoimi krzykami ojca, przyjdzie tu i zmusi mnie, bym natychmiast się z tobą ożenił. - Dziewczyna gwałtownie wciągnęła powietrze, a on się uśmiechnął. - Dobrze. Bo nie mam zamiaru jutro się żenić. Myślę, że sobota będzie wystarczająco wczesnym terminem, prawda? Chyba do tego czasu wszystkie przygotowania będą zakończone?

Caroline nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

- Czyżbyś nie słyszał, co przed chwilą mówiłam?

- Ależ słyszałem - zapewnił ją. - Mam wrażenie, że wszyscy w tym domu także cię słyszeli. A teraz bądź grzeczna i daj mi ten list. Łóżko jest zbyt blisko, a ty wyglądasz zbyt kusząco.

- Boże, a ja ufałam Milfordowi - wyszeptała z furią Caroline. - Powinnam była wiedzieć lepiej. Jeżeli on uważa się za twojego przyjaciela, to najwyraźniej nie jest lepszy od ciebie.

- Daj mi list, Caroline - nalegał Bradford. Wstał, przeciągnął się i ruszył w jej stronę. - Daj mi go i pozwól zdecydować, co robić.

- Nie będziesz o niczym decydował - oznajmiła Caroline. - I nie mam zamiaru poślubić cię w tę sobotę, ani w żadną inną. Nawet nie wiesz, co to jest miłość! Gdybyś wiedział, to może wziąłbyś pod uwagę moje uczucia. I może nawet zaufałybyś mi.

- Caroline, nie wspominaj przy mnie o zaufaniu, albo cię uduszę.

Dziki wyraz jego oczu mówił, że byłby do tego zdolny. Znowu zaczęła się przed nim cofać.

- Proszę, idź już sobie. Powiedzieliśmy sobie już wystarczająco dużo.

- Zgadzam się - rzekł Bradford. Zmarszczył brwi i przez moment wydawało się, że naprawdę ma zamiar wyjść. Dopóki nie usiadł na łóżku i nie zaczął powoli zdejmować surduta, a potem butów.

- Co ty wyprawiasz? - dopytywała się Caroline. Podbiegła do niego i

usiłowała go powstrzymać przed zdjęciem skarpetek. - Musisz już iść!

- Skończyłem już z mówieniem - oświadczył. Rzucił na podłogę drugi but i przyciągnął ją do siebie. Nagle znalazła się pod nim. - Tak bardzo tęskniłem za twoimi pocałunkami - wyszeptał.

A potem jego usta odnalazły jej wargi i zaczęły je rozchyłać, z łatwością pokonując opór. Caroline usiłowała go powstrzymać; walczyła z coraz większą determinacją, czując jego biodra na swoich i jego twarde ciało napierające na nią.

Bradford cały czas ją całował, wysysając z niej resztki oporu. Była taka miękka w dotyku. Jego dłoń odnalazła pierś pod cienkim materiałem i mężczyzna westchnął z czystej rozkoszy.

Caroline nawet nie wiedziała, jak to się stało. Nagle się zorientowała, że nie ma na sobie szlafroka, guziki jej nocnej koszuli są poodpinane i już nie miała siły, by się przed nim bronić.

Wypchnęła biodra na jego spotkanie i usłyszała jęk. Zrozumiała, że dostarcza mu przyjemności. Bradford unieruchomił jej nogi swoimi potężnymi biodrami i zaczął powoli całować po szyi.

Jeszcze przez chwilę usiłowała z nim walczyć, ale on nie zwracał na to uwagi. Całował ją nadal bardzo delikatnie, lecz ze wzrastającą natarczywością. Gdy dotarł do jej piersi, ani przez chwilę się nie wahał, tylko od razu wziął do ust wyprężony sutek.

Caroline znowu poruszyła biodrami, lecz był to odruch, z którego nawet nie zdawała sobie sprawy. Jęknęła poddając mu się całkowicie i wygięła plecy w łuk.

Jego usta nadal obejmowały sutek, podczas gdy dłoń pieściła drugą pierś.

- Bradford!

Była tak pochłonięta falą doznań, które wzbudzał, że prawie nie mogła mówić. Jej nocna koszula zwinęła się wokół kolan, lecz on podciągnął ją jeszcze wyżej, cały czas pieszcząc delikatną skórę ud. Gdy dłoń mężczyzny wsunęła się

między jej nogi, Caroline odruchowo usiłowała powstrzymać jego zapędy. Jednak on łatwo poradził sobie z oporem dziewczyny, przytrzymując kolanem jej nogi, a protesty uciszając namiętnym pocałunkiem.

Wtedy jego palce odnalazły ją i Caroline pomyślała, że chyba umrze z niewysłowionej rozkoszy. Jego oddech był chrapliwy.

- Nigdy nie będę mógł o tobie zapomnieć, Caroline! Kocha nie, czuję, że drżysz! - Całował ją, podczas gdy jego palce gładziły wilgotną miękkość, która go przyzywała.

Chciał jedynie sprawić jej przyjemność i dać odrobinę z tego, co stanie się ich udziałem w przyszłości. Wiedział, że musi się powstrzymać. Zaczynał tracić panowanie nad sobą.

Westchnął i przekręcił się na plecy. Założył ręce za głowę, wziął kilka głębokich oddechów i starał się nie myśleć o rozpalonym ciele, które leżało obok.

- Pobierzemy się w sobotę - powiedział gniewnym głosem. Nie mógł opanować jego brzmienia, choć zły był tylko na siebie.

Caroline czuła się tak, jakby zapadała się w śnieżną zaspę. Chciała jedynie objąć ramionami szyję Bradforda i błagać go, by nie przestawał. Wiedziała, że musi jakoś zwalczyć pokusę, więc szybko zeskoczyła z łóżka. Nogi jej drżały i dla odzyskania równowagi złapała się kolumny w rogu łóżka.

- Nie rozumiem, co ty ze mną robisz - przyznała, a w jej głosie odbiła się niepewność.

Bradford dostrzegł to i uśmiechnął się.

- Twoja namiętność jest równa mojej - powiedział łagodnym głosem. - A nie potrafisz jej kontrolować ani używać przeciwko mnie.

- Jak inne twoje kobiety?

Głos dziewczyny był niebezpiecznie spokojny, Bradford jednak nie dał się oszukać. Widział ogień płonący w jej oczach. Znowu chce mnie zamordować - pomyślał z rezygnacją. Usiadł na łóżku w samą porę, by złapać

but, którym w niego rzuciła. Raz jeszcze usiłował ją uspokoić, lecz nie miało to sensu. Znów była wściekła.

- Nie było żadnych innych - powiedział Bradford. Chciał mówić dalej, chciał jej powiedzieć, że nie miał żadnej kobiety od czasu ich pierwszego spotkania na pustym gościńcu. Jednak Caroline odwróciła się do niego plecami i nałożyła szlafrok.

- Daj mi, proszę, ten list - poprosił ją raz jeszcze. Podeszła do szafy i wyjęła ze skrytki kopertę. Potem powoli podeszła do Bradforda i podała mu ją.

I wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Oczy Caroline rozszerzyły się.

- Zejdź z mojego łóżka - szepnęła z paniką w głosie. Odgarnęła włosy z twarzy i podbiegła do drzwi. Miała kłopoty z otwarciem zamka, gdyż palce zbyt jej się trzęsły. Za drzwiami stał ojciec, ubrany tylko w piżamę, szlafrok i kapcie. Spoglądał na córkę z niedowierzaniem.

- Papo! Czyżbyśmy cię obudzili? - Głos Caroline drżał. Pomyślała, że zaraz zemdleje ze wstydu. Odwróciła się i tuż za swymi plecami zobaczyła Bradforda. Surdut i buty miał z powrotem na sobie i Caroline cicho podziękowała za to Bogu.

- Dobry wieczór - powiedział Bradford do hrabiego. Wyraz jego twarzy był nieprzenikniony i dziewczyna zdała sobie sprawę, że ani trochę nie jest zawstydzony sytuacją, w której się znalazł. Ze wzbierającą furią myślała, że musiał się już do tego przyzwyczać.

- Dobry wieczór? - powtórzyła zaskoczona. - Czy tylko tyle jesteś w stanie powiedzieć?! - Odwróciła się do ojca. - Papo, to wcale nie tak, jak ci się wydaje... Ja nie chciałam zejść na dół... a on był tak uparty...

Bradford przerwał jej. Przyciągnął ją za rękę do swego boku i powiedział aroganckim tonem:

- Ja się tym zajmę!

Caroline patrzyła to na niego, to na ojca. Biedny papa! Jego twarz ujawniała, jak zmienne uczucia nim targały. Teraz wściekłość ustąpiła miejsce

zdziwieniu.

- Chciałbym z panem przez chwilę porozmawiać, sir - rzekł Bradford - jeżeli nie jest to zbyt niedogodne ze względu na porę.

- Dobrze - zgodził się hrabia. - Jak tylko się ubiorę, spotkam się z panem na dole.

- Bardzo mnie to cieszy, sir - odpowiedział Bradford. Delikatnie ściskając ramię Caroline, dawał jej do zrozumienia, że ma zachować milczenie.

Gdy hrabia odszedł do swoich pokojów, zamknął drzwi. Caroline wiedziała, że zawiodła ojca. Wyczytała to z jego oczu. Zaczęło jej się zbierać na płacz.

- Bradford! - wydobyło się z jej gardła coś na kształt ptasiego krzyku.

- Co, do diabła, zrobiłaś z włosami? - zapytał książę biorąc ją w ramiona i całując.

- O, nie, co to, to nie! - krzyknęła odpychając go. - Znowu wyprowadzasz mnie z równowagi, a dłużej tego nie zniosę.

Nawet niczego jeszcze nie ustaliliśmy! Nie powiedziałam ci jeszcze, jaki jesteś nieznośny! Zupełnie do siebie nie pasujemy. Jesteś...

Pocałował ją znowu, nic sobie nie robiąc z jej protestów. Jednak gdy dziewczyna nie przestawała się szarpać, zwolnił uchwyt.

- Caroline, wyglądasz okropnie. Czy ty w ogóle nie sypiasz? Natychmiast wskakuj do łóżka. Potrzebujesz dużo snu.

- Niedoczekanie twoje - odparła. - Idę z tobą na dół - wyszeptała w klapy jego surduta. - Bóg jeden wie, czym chcesz zdenerwować papę. Muszę mieć możliwość obrony.

W odpowiedzi Bradford wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Położył ją na środku i przykrył.

- Zajmę się wszystkim - powiedział, a w jego oczach zamigotały iskierki, gdy dodał: - Zaufaj mi.

Pocałował ją znowu, jednak tym razem skromnie w policzek, i poszedł w

kierunku drzwi.

- Bradford, to jeszcze nie koniec - zawołała za nim. Otworzył drzwi. Był odwrócony do niej plecami, lecz dziewczyna wyraźnie słyszała śmiech w jego głosie.

- Wiem, kochanie. I już najwyższy czas, abyś ty także to zrozumiała.

Caroline zeskoczyła z łóżka i dopadła go, zanim zdążył zamknąć drzwi.

- Nie powiesz mu nic o liście, prawda? Jeżeli mu powiesz, to na pewno odeśle mnie z powrotem do Bostonu. Nie chcę, żeby się zamartwiał!

Bradford potrząsnął głową okazując po raz pierwszy zniecierpliwienie. Ruszył w stronę schodów, lecz w tym samym momencie potworna myśl przyszła Caroline do głowy. Złapała go za ramię.

- Jeżeli zażąda pojedynku, nie zgodzisz się, prawda? Bradford nie odpowiedział, nadal spokojnie szedł przed siebie.

Do dziewczyny w końcu dotarło, że cały czas trzyma się kurczowo jego surduta, i rozluźniła uchwyt. Zaczynała się zachowywać jak idiotka. Pomyślała, że stanowczo musi wziąć się garść.

- I co ja mam zrobić? - zapytała.

Myślała o liście i gniewie ojca, ale jakoś nie potrafiła precyzyjnej tego sformułować.

Bradford zbiegał po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

- Możesz zacząć zapuszczać włosy! - zawołał przez ramię. Caroline usiadła na najwyższym stopniu i oparła głowę na rękach. Co się z nią działo, na Boga? Powiedziała sobie, że musi uporządkować własne życie. Wracając do swego pokoju obiecywała sobie, że raz na zawsze skończy z tym bałaganem.

Więc on znowu się pojawił - pomyślała z westchnieniem. Nie wiadomo, czy było to przekleństwo, czy błogosławieństwo. Z całego serca ją to cieszyło, a jednak umysł podpowiadał, że nieporozumienia między nimi wcale się nie skończyły. Jeżeli go nie przekona, że może jej ufać wystarczająco, by ją pokochać, to przyszłość wcale nie będzie wesoła.

Miała wrażenie, że dla Bradforda jest tylko piękną zdobyczą. Jak długo pozostanie dla niego atrakcyjna? Jak długo to potrwa, zanim się nią znudzi i zwróci do kogoś innego? Mówił, że to gra, i Caroline zaczynała wierzyć jego słowom.

Nie mogła go jeszcze poślubić. Chciała poślubić kogoś, kto kochałby ją nawet wtedy, gdy się już zestarzeje, przestanie być piękna i jej twarz pokryją zmarszczki.

To nie był nieziszczalny sen. Wuj Henry i ciotka Mary kochali się coraz mocniej wraz z upływem lat. A Charity i Paul Bleachley? Czyż Bradford nie był pewny, iż ona odwróci się od Paula, kiedy zobaczy, że już nie jest przystojny?

Nie wiedziała, czy potrafi go zmienić. Został wychowany w bardzo snobistycznym środowisku, gdzie przede wszystkim liczył się wygląd zewnętrzny.

Jak wyglądałoby ich małżeństwo? Czy miałyby zacząć się stroić i martwić o figurę? Czy wszystko, co do tej pory uważała za istotne, zesłoby na dalszy plan? Boże, czyżby miało dojść do tego, że chichotałaby z byle głupstwa albo mdała jak lady Tillman?

Potrząsnęła głową, starając się zagłuszyć bezsensowne myśli. Położyła się do łóżka i usiłowała zasnąć. Przynajmniej miała siłę powiedzieć mu, że nie wyjdzie za niego za mąż - pocieszyła się z pewną satysfakcją.

- Dopóki nie zmądrzeje - wyszeptała w otaczające ją ciemności. Długo płakała, zanim wreszcie zasnęła.

10

To był piękny ślub. Tak przynajmniej słyszała Caroline od znajomych składających życzenia młodej parze. Ona sama stała trochę oszołomiona u boku swego nowo poślubionego męża, którego dopiero co przysięgła czcić i miłować aż do śmierci.

Była szczęśliwa, gdy uroczystość wreszcie się skończyła. Przestała walczyć z przeznaczeniem zaledwie dzień wcześniej, gdy razem z ojcem i

Charity jechała do Bradford Hills. Zgodnie z tradycją tam właśnie miał się odbyć ślub. Ojciec Bradforda, jego dziadek i pradziadek też wstępowali w związki małżeńskie w tej posiadłości.

Bradford zajął się wszystkimi przygotowaniem, podczas gdy hrabia i Charity rozesłali zawiadomienia i zaproszenia. Teraz, rozglądając się po pięknej sali balowej, Caroline dziwiła się, że poszło to tak gładko. Wszyscy wyglądali na bardzo szczęśliwych. Wszyscy, tylko nie ona. Wciąż bowiem miała zamęt w głowie.

W tamtą fatalną noc Bradford wyjaśnił hrabiemu, jak się sprawy mają. Nazajutrz rano Caroline dowiedziała się od ojca, jak bardzo jest szczęśliwy z powodu ich zaręczyn. Usiłowała mu wytłumaczyć, że nie będzie żadnych zaręczyn, ale on nawet nie chciał słuchać. Popęłniła błąd, gdy odpowiedziała szczerze na jego pytanie, czy kocha Bradforda, bo to właśnie uczyniło go głuchym na wszelkie argumenty.

Madame Newcott, wspomagana przez dwie rozgadane dziewczyny, w trzy dni uszyła suknię ślubną, a Bradford zatrudnił dwóch przerażająco wyglądających mężczyzn, aby czuwali nad bezpieczeństwem jego ukochanej. Ojciec tego nie komentował, lecz była ciekawa, co sobie myśli. Ona sama nie miała pewności, czy zadaniem owych dżentelmenów była jej ochrona. Wiedziała, że równie dobrze Bradford mógł im polecić, by pilnowali, żeby nie uciekła. Wiedziała, że byłby do tego zdolny. Prawdę mówiąc wiele razy myślała o ucieczce do Bostonu. Tam życie było o wiele mniej skomplikowane.

Matkę Bradforda poznała dopiero po przybyciu do Bradford Hills. Właśnie przebierała się do obiadu, gdy cło jej pokoju weszła dystygowana matrona. Była wyższa od Caroline, bardzo elegancka i dumnie wyprostowana.

Caroline pospiesznie narzuciła na siebie szlafrok i ukloniła się księżnej, podczas gdy ta uważnie ją obserwowała.

- Czy nosisz jego dziecko? - Pytanie zostało zadane z taką natarczywością, że dziewczyna aż się wzdrygnęła.

- Nie! - odparła może trochę nieuprzejmie, ale skoro matka Bradforda powitała ją tak niemiło, to ona nie miała zamiaru pozostać jej dłużna.

Przez długą chwilę dwie kobiety mierzyły się wzrokiem. Caroline zauważyła, że oczy starszej damy miały ten sam kolor co oczy Bradforda, a zmarszczki wokół nich powiedziały dziewczynie, że księżna musi często się uśmiechać.

- Nie daj mu się zastraszyć - powiedziała w końcu księżna. Usiadła w jednym z foteli i wskazała Caroline drugi.

- Nikt mnie jeszcze nigdy nie zastraszył - odparła dziewczyna. - I nie wiem, czy komukolwiek to się uda.

- On zawsze był niecierpliwy. Gdy już czegoś chciał, nie spoczął, dopóki tego nie dostał.

Caroline przytaknęła. Natarczywość w głosie starszej kobiety już jej nie raziła. Uśmiechnęła się.

- On jest nie tylko niecierpliwy, ale również arogancki i nieznośny. Chciałabym, aby pani wiedziała, że nie pasujemy do siebie.

Księżna uśmiechnęła się, najwyraźniej niewzruszona szczerością dziewczyny.

- Czyżbyś nie chciała go poślubić?

- On mnie nie kocha - powiedziała bardzo spokojnie Caroline. - I nie ufa mi. To smutny początek, prawda? Może gdyby pani z nim porozmawiała, to jeszcze raz by to przemyślał.

- Nonsens, dziecko. Najwyraźniej on ciebie pragnie, w przeciwnym razie nie chciałby cię poślubić. Mój syn nigdy nie robi nic, na co nie ma ochoty. To od ciebie zależy, czy on cię pokocha. Chociaż to wcale nie jest konieczne.

- Miłość nie jest konieczna? - W głosie Caroline zabrzmiało zdziwienie.

- To dobre małżeństwo jest ważne - odparła księżna i podniosła się z fotela. Idąc do drzwi powiedziała jeszcze: - Myślę, że mój syn dobrze wybrał. - I wyszła z pokoju.

- Caroline! Czyżbyś zapomniała o bożym świecie w dzień swojego wesela? - Charity ciągnęła ją za ramię, by zwrócić na siebie uwagę. - Pomyśl tylko, jesteś już księżną Bradford.

Caroline nie zdawała sobie sprawy, że Bradford oderwał się od rozmowy, gdy usłyszał radosną uwagę Charity. Potrząsnęła głową i powiedziała:

- Nie, jestem przede wszystkim jego żoną. A tego i tak jest aż nadto.

Bradford uśmiechnął się, słysząc jej odpowiedź. Pojawił się Milford i złożywszy ukłon przed Caroline, ujął jej dłoń. Pierścień z szafirem lśnił w świetle świec na palcu dziewczyny i przyciągał uwagę Bradforda. Poczł, jak ogarnia go fala satysfakcji. Pierścień był dowodem, że ona naprawdę do niego należała.

Gdy Milford skończył już składanie oficjalnych życzeń, zapytał:

- Czy wybaczysz mi złamanie danego ci słowa? Caroline potrząsnęła głową:

- Nie wybaczę. To było podłe z twojej strony i zobacz, do czego mnie doprowadziło!

Milford wcale się nie przejął tym oświadczeniem.

- Powiedz, co tak cię rozbawiło w chwili, gdy wymawiałaś słowa przysięgi małżeńskiej?

- Jeśli chodzi ci o to, że moja żona śmiała się podczas całej ceremonii, to wiedz, że po prostu jest szczęśliwa - wyjaśnił Bradford.

Caroline przyjęła tę wypowiedź z cierpkim uśmiechem.

- Mam radosne usposobienie - odparła Milfordowi, a odwracając się do męża, dodała: - Chyba że jestem zmuszana do czegoś, na co nie mam ochoty. Wtedy staję się sekutnicą.

Bradford udał, że nie słyszy. Po prostu wziął ją za rękę i poprowadził na środek sali balowej. Nadszedł czas na tańce.

Reszty wieczoru Caroline nigdy nie mogła sobie przypomnieć. Cały czas marzyła tylko o tym, by choć na moment zostać sama i móc wszystko

przemyśleć. Jednak Bradford nie opuszczał jej ani na chwilę. A potem był już czas, aby iść na górę.

Charity dotrzymała jej towarzystwa. Nareszcie przestała mówić i Caroline była jej za to wdzięczna. Już po kąpieli, gdy ubrała się w przejrzystą białą nocną koszulę, Charity zadała dręczące ją od dłuższego czasu pytanie.

- Chyba wiesz, co się teraz stanie? Czy mama ci mówiła, co mąż i żona robią razem?

- Mama zemdlałaby przy pierwszym słowie. - Caroline potrząsnęła głową, a Charity wyglądała na zawiedzioną.

- Więc będę musiała poczekać do następnego spotkania z tobą i wtedy...

- Charity! Wystarczy, że sama się denerwuję. Och, dlaczego tu właśnie muszę spędzić tę noc?! - jęknęła. Pomyślała o tym, co już niedługo miało się wypełnić. I jak jutro spojrzy w oczy gościom! - Wszyscy będą wiedzieli - szepnęła.

- Nie denerwuj się - powiedziała Charity. - Jeżeli zaczniesz się nerwowo śmiać, to tylko pogorszy sprawę. No i Bradford może się zirytować. - Zanim Caroline zdążyła odpowiedzieć, kuzynka szybko ją przytuliła i odeszła. Zamykając za sobą drzwi, szepnęła jeszcze na pożegnanie: - Będę się za ciebie modlić.

Caroline stała na środku sypialni i czekała. Przez chwilę miała ochotę wskoczyć do łóżka, ale wiedziała, że chowanie się pod kołdrą nic nie da. Jeszcze zaczęłyby się z niej śmiać, a wtedy chyba umarłaby ze wstydu.

Drzwi łączące ich sypialnie otworzyły się i wszedł Bradford. Oparł się o framugę i obserwował żonę. Była tak niezwykle piękna, że zaparło mu dech w piersi. Koszula nocna, którą miała na sobie, pozostawiała niewiele pola dla wyobraźni i Bradford przez długą chwilę podziwiał zgrabne nogi dziewczyny, jej szczupłe biodra i pełne piersi.

Caroline spokojnie odpowiadała na spojrzenie męża. Zdjął już żakiet i krawat, a włosy opadające mu na czoło łagodziły trochę dzikie rysy jego twarzy.

Caroline pomyślała, że wygląda zarazem przystojnie i groźnie. Już nie była zdenerwowana, tylko przerażona. Teraz wolałaby, żeby jej włosy były tak długie jak niegdyś, bo może zakryłyby choć częściowo jej piersi. Czy wyglądałoby zbyt dziecinnie, gdyby złapała teraz narzutę z łóżka i okryła się nią?

Zadrzała. Nie wiedziała tylko, czy z zimna, czy pod wpływem badawczego spojrzenia Bradforda.

- Charity obiecała modlić się za mnie - usłyszała swój własny szept.

Wiedziała, że był bardzo cichy, on jednak musiał go usłyszeć, gdyż podniósł brwi i uśmiechnął się. Wtedy Caroline przestała się bać. Odwróciła się, usiłując sobie przypomnieć, gdzie zostawiła szlafrok, gdy Bradford wreszcie się odezwał.

- Nie bój się, Caroline - powiedział i podszedł do niej. W jego oczach widać było czułość.

- Nie boję się, tylko jest mi zimno - odparła. Próbowała się uśmiechnąć, rozcierając sobie ramiona. Nie mogła powstrzymać drżenia.

Bradford objął ją i przytulił do siebie.

- Tak lepiej? - zapytał zduszonym głosem. Przytaknęła.

- Masz piękny dom, Bradford, ale potwornie zimny. Przeciągi hulają tu, jak chcą - powiedziała, a on w odpowiedzi wziął ją na ręce i ruszył w stronę swojego pokoju. - Nawet kominiek nie daje dość ciepła. - O Boże, dlaczego nie mogła się powstrzymać od paplaniny? Co się z nią działo? Zacisnęła usta obiecując sobie, że nie powie już ani słowa.

Bradford zatrzasnął za nimi drzwi, zamknął je na klucz i zaniósł ją do ogromnego łóża. Kołdra była odchylona. Położył dziewczynę na samym środku. Gdy tylko wypuścił ją z ramion, znowu zaczęła drżeć.

- Za chwilę będzie ci ciepło, kochanie - obiecał.

W jego głosie i oczach czaił się śmiech i Caroline pomyślała z niezadowoleniem, że pewno myśli, iż ona drży przed tym, co miało za chwilę

nastąpić. Obdarzyła go wyniosłym spojrzeniem. W każdym razie miała nadzieję, że było wyniosłe. Z całą pewnością Bradford dostał to, czego chciał, i Caroline poczuła się nagle bezradna. Patrząc, jak zdejmuje buty i koszulę, pomyślała, że jeżeli tylko oderwie od niego wzrok choć na moment, może uda jej się odzyskać panowanie nad sobą. Siedział teraz na brzegu łóżka i Caroline zapragnęła go dotknąć.

Przypomniała sobie, jak jego pocałunki rozpalały ją w przeszłości i jak nie chciała, by przestawał jej dotykać. To częściowo uwolniło ją od strachu.

Bradford wstał i zaczął zdejmować spodnie, lecz zawahał się. Odwrócił się, pokazując Caroline swoją potężną pierś, pokrytą gęstymi czarnymi włosami. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że nie powinna mu się tak przyglądać, nie była jednak w stanie się powstrzymać.

- Przypominasz mi spartańskiego wojownika, wiesz? - powiedziała nagle. Zauważyła bliznę tuż powyżej pasa i zapytała: - Czy to po jakiejś bitwie?

- Bójce - poprawił ją. Uśmiechnął się i usiadł z powrotem na łóżku. Postanowił na razie zostać w spodniach. Jego nowo poślubiona żona była płochliwa jak młode źrebię i nie chciał jej przerażać bardziej. - Milford ma taką samą bliznę, tyle że po lewej stronie. To pamiątki po naszej pierwszej wyprawie na drugą stronę miasta.

- Będę musiała go kiedyś poprosić, by mi pokazał swoją - powiedziała Caroline z błyskiem w oczach. Powoli przestawała się denerwować. Bradford zachowywał się tak, jakby mieli przed sobą bezmiar czasu, i panika z wolna opuszczała dziewczynę. Nieomal czuła, że panuje nad sytuacją.

- Nie zrobisz tego - mruknął gardłowo Bradford. - Najlepszy przyjaciel czy nie, z pewnością na jedno twoje słowo zdarłby z siebie całe ubranie.

- Nie ufasz Milfordowi? - Caroline nie wierzyła własnym uszom.

Bradford nie odpowiedział. I tak z trudem mógł się skupić na rozmowie. Dokuczały mu wszystkie mięśnie i myślał jedynie o tym, by wreszcie wziąć ją w ramiona.

- Myślę, że powinnam cię uprzedzić, Bradford... - zaczęła Caroline. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy i spuściła wzrok. Zmarszczył brwi słysząc poważny ton w jej głosie. Ujął jej twarz w obie dłonie i zmusił, by spojrzała mu w oczy. - Nie bardzo wiem, co robić... nie jestem pewna, czy...

Bradford z całej mocy starał się zachować spokój.

- Nie spodziewałem się, że będziesz doświadczona - powie dział uspokajającym tonem.

Caroline nadal patrzyła na niego z poważnym wyrazem twarzy, lecz zauważył, że powrócił ten szczególny błysk w jej oczach.

- Zakładam, że ty wiesz, co robić. - Bradford powoli przytaknął, z uśmiechem czającym się w kącikach ust - Tak myślałam, ale widzę, że siedzisz cały czas w spodniach, podczas gdy nawet ja wiem, że powinieneś je zdjąć.

W odpowiedzi chwycił ją w ramiona. Legł w łóżku, pociągając ją ze sobą. Położył dłonie na jej biodrach i przysunął ją do siebie.

- Chciałem zostać w spodniach, mając na uwadze niewinność mojej żony.

- Myślę, że nic z tego nie wyjdzie - szepnęła Caroline przytulona do niego.

Bradford zaczął gładzić ją po plecach. Odchylił jej głowę do tyłu i całował delikatnie po szyi.

- Z czego nic nie wyjdzie? Z mojej uwagi, czy ze spodni? Caroline chciała mu odpowiedzieć, ale gorący oddech w okolicy jej ucha sprawił, że nie mogła pozbierać myśli.

- Już robi mi się ciepło - szepnęła.

- To mi nie wystarcza - odparł Bradford. Przekręcił ją na plecy i przykrył własnym ciałem. - Chcę, byś była rozpalona, Caroline. Tak rozpalona, by twoje ciało błyszczało z gorąca.

Jego usta dotknęły jej warg w pocałunku obiecującym spełnienie. Westchnęła pod wpływem zmysłowej rozkoszy, którą w niej budził, i zaczęła wolno gładzić jego ramiona. Jego skóra wydawała się tak twarda, tak ciepła!

Nie przestawał jej całować i dziewczyna nie była w stanie pozbiierać myśli. Poddała się zmysłowym falom rozkoszy obejmującym jej ciało i zaprotestowała jękiem, gdy odsunął się od niej. Podniósł się i szybko zdjął z siebie resztę ubrania. Obserwując go Caroline pomyślała, że jej mąż jest najpiękniejszym mężczyzną na świecie. Był tak naturalny, tak swobodny w swojej nagości, że Caroline nie czuła się nawet w połowie tak skrępowana, jak się spodziewała. Oczywiście nie potrafiła się zmusić, by spojrzeć tam, i zatrzymała wzrok na jego muskularnych udach.

Bradford stał nadal obok łóżka i czekał, aż Caroline spojrzy mu w twarz. Wiedziała, że zaczerwieniła się na całym ciele, i chciała mieć choć trochę więcej doświadczenia, by móc reagować swobodniej. W końcu wychowała się na farmie i wiedziała, że taka jest naturalna kolej rzeczy. Przecież miała czterech kuzynów, którzy nigdy zbytnio się nie przejmowali ubraniami, i nie hamowali się w komentarzach... gdy myśleli, że nikt ich nie słyszy. Ale to nigdy jej się nie przydarzyło. I na tym polega różnica - myślała patrząc na mężczyznę, któremu miała ofiarować dziewictwo.

- Kochanie, spójrz na mnie. - Choć wypowiedział tę prośbę łagodnie, zabrzmiała jak rozkaz.

Caroline przez chwilę chciała odrzec, że przecież patrzy na niego, lecz szybko zrozumiała, o co mu chodzi. Nie mówiąc ani słowa, powoli opuszczała wzrok wzdłuż szlaku znaczonego czarnymi włoskami, na jego pierś i płaski brzuch. Tu zatrzymała się przez moment, a potem powędrowała spojrzeniem jeszcze niżej, dopóki przed oczami nie miała wyraźnego dowodu jego pożądania. Znowu poczuła, jak ogarnia ją przerażenie. Myślała, że niemożliwe jest, by to małżeństwo zostało skonsumowane... przecież... no cóż... nie pasowali do siebie...

Bradford zobaczył strach w jej oczach i westchnął z ledwo hamowanym pożądaniem. Szybko znalazł się z powrotem obok niej i przyciągnął ją do siebie. Caroline bardzo pragnęła jego ciepła. Przez cienki materiał nocnej koszuli czuła

zar jego podniecenia. Chciała się choć trochę odsunąć, ale nie pozwolił jej na to. Szepcząc czule słowa do ucha, zaczął powoli zdejmować z niej koszulę.

Caroline wiedziała, że powinna ją zdjąć, że to też było zapewne konieczne, a jednak usiłowała powstrzymać jego ręce. Cienki materiał nie wytrzymał naporu ich czulej walki i rozdarł się z szelestem. Bradford dopiął celu i w okamgnieniu Caroline była naga.

- Dostałam tę koszulę od Charity. - Nabrała gwałtownie powietrza. - Jeżeli dowie się, że ją zniszczyłeś...

Przetoczył się na nią i Caroline znowu musiała zaczerpnąć powietrza, nawet nie tyle z powodu jego ciężaru, co bliskości jego ciała i wyrazu pożądania w oczach. Zdała sobie sprawę, że musiał podeprzeć się łokciami, żeby jej nie zgnieść.

- Nic jej nie powiemy, kochanie - szepnął. Jego głos był jak delikatna pieśczoła łagodząca strach.

Wiedział, że dziewczyna nie jest jeszcze gotowa, i z wysiłkiem starał się opanować. Jego ciało wołało o zmiłowanie i czuł, jak pot występuje mu na czoło. Pocałował ją znowu, lecz tym razem był to prawdziwie namiętny pocałunek, wręcz brutalnie szczery. Caroline wyczuła zmianę w jego zachowaniu, dotyk zaczął się wzmagać. Przygotowała się na przyjęcie bólu, lecz Bradford jeszcze nie rozchyłał jej ud. Opuścił tylko głowę i dotknął wargami jej szyi, a potem przesunął usta w dolinę między jej piersiami. Caroline westchnęła z rozkoszy i poczuła się tak, jakby do jej żył przeniknęło słońce.

Bradford drażnił jej piersi okrążając sutki, dopóki nie zaczęła wyprężyć się ku niemu. Gdy wreszcie wziął jeden do ust i zaczął go ssać, jęknęła z satysfakcją i rosnącym pożądaniem. Jego dłoń pieściła jej udo, a im bardziej zbliżała się do jedwabistego trójkąta, tym bardziej Caroline była podniecona. Wydawało się, że nie może oddychać, a jej biodra unosiły się niecierpliwymi ruchami. Gdy wreszcie zaczął gładzić wilgotne gorąco między jej nogami, zamruczała z rozkoszy.

Była gotowa. Jej miękkie i wilgotne płatki, miarowy, zmysłowy ruch bioder - doprowadzały go do szaleństwa. Powoli natarł na nią palcami i napotkał ciasny opór. Usłyszał, jak wyjęczała jego imię, i wiedział, że już nie może czekać ani chwili dłużej.

Popatrzył jej w oczy i nie odrywając wzroku, powoli się przesunął między jej nogi.

- Nie zrobię ci krzywdy - powiedział. - Ale nie mogę już dłużej czekać. - Ujął ją w biodrach, przytrzymał przy sobie i pochyliwszy się, szepnął: - Obejmij mnie!

Przycisnął wargi do jej ust i wszedł w nią jednym potężnym ruchem. Caroline wyprężyła się i jęknęła z bólu. Chciała oderwać się od niego, ale nie pozwolił jej na to. Ciężarem swego ciała uczynił z niej więźnia. Kłujący ból zaraz minął, lecz pozostało nieprzyjemne odczucie. Caroline oderwała usta od jego warg i raz jeszcze usiłowała odepchnąć go od siebie.

- Nie ruszaj się, Caroline. Jeszcze nie. Daj nam trochę czasu, by...

Nie dokończył. Zaczął ją całować. Jego dłonie puściły jej biodra i objęły mokrą od łez twarz. Otoczywszy go ramionami Caroline poczuła, że on też drży, i pomyślała, że ból wcale nie jest taki straszny. Ale gdy Bradford zaczął się poruszać, z początku powoli i cierpliwie, ból znowu nią zawładnął.

Nie przestawał jej całować i wkrótce dziewczyna znowu poczuła, że brak jej tchu. Szybko zapomniała o bólu. Ogarniająca całe ciało rozkosz wzięła górę. Czowała, jak układa jej nogi na swoich biodrach, a potem odrywa wargi od jej ust. Patrzył na nią, a ona wyciągnęła dłoń i przesunęła palcem po linii jego szczęki. Potem obrysowała kontur jego warg. Przekręcił głowę i wsunął jej palec do ust. Delikatnie gładził go językiem dopóki znowu nie zaczęła się prężyć. Ujęła jego twarz w obie dłonie i przyciągnęła go do siebie. To była ostatnia rzecz, którą potem pamiętała.

Bradford stracił kontrolę nad sobą i pozwolił namiętności płynąć między nimi. Pierwotna rozkosz zawładnęła dziewczyną, pociągając ją ku słońcu.

Przywarła do Bradforda, instynktownie ufając, że przy nim będzie bezpieczna, i dała się ponieść fali gorąca.

Oddech Bradforda stał się urywany, a jego ruchy przestały być delikatne. Pchnięcia stawały się coraz głębsze i mocniejsze, a rozkosz narastała. Gdy Caroline wygięła plecy i zawołała jego imię przerażonym szeptem wiedział, że za chwilę znajdzie ujście dla słodkiej tortury, którą razem przeżywali.

Dziewczyna wyprężyła się z ogromną siłą i spazmy ogarnęły Bradforda sięgając jego duszy. Chciał ją pocieszyć, powiedzieć, że wszystko jest dobrze, ale był tak wyczerpany, że mógł tylko ją przytulić.

Kilka minut zajęło mu uspokojenie dziko walącego serca i urywanego oddechu. Był taki szczęśliwy, taki zaspokojony! Nadal w niej pozostając, oparł się na łokciu i spojrzał w jej senne oczy przepełnione błogim zadowoleniem. Kociątko - stwierdził nagle z uśmiechem - fioletoookie kociątko. Jego kociątko.

Caroline usiłowała uspokoić puls. Była zaskoczona tym, co się jej właśnie przydarzyło. Wargi miała nabrzmiące od jego pocałunków i wciąż drżała z niewysłowionej rozkoszy. Nie pozwolił jej uciec ani wycofać się w połowie, a na myśl o tym, jak skwapliwie go przyjęła, zaczerwieniła się po uszy.

Bradford uśmiechnął się, dostrzegłszy zakłopotanie i nieśmiałość w oczach żony. Całował jej twarz, wzruszony tą nagle przebudzoną bojaźliwością. Dopiero co zachowywała się jak tygrysica w jego ramionach. Czuł jeszcze jej paznokcie wbijające się w jego plecy i słyszał w uszach błagania, by nie przestawał.

- Bradford, zaraz mnie zgnieciesz - powiedziała między jednym pocałunkiem a drugim.

Westchnął i niechętnie przekręcił się na bok. Ich rozłąka nie trwała jednak długo, bo natychmiast pociągnął ją w ramiona i przytulił do siebie. Czule odsunął wilgotny kosmyk włosów z jej czoła.

- Czy bardzo cię bolało, kochanie?

Caroline, wtulona w jego szyję, przytaknęła. Bradford starał się odchylić jej głowę na tyle, by móc spojrzeć jej w oczy.

- Na początku. Potem już nie bolało - przyznała. Jej głos był stłumiony, ale Bradford dosłyszał w nim nieśmiałość i objął ją mocniej.

Caroline zastanawiała się nad czymś.

- Czy często będziesz chciał to robić? - zapytała nieśmiało.

- To? - drażnił się z nią, ale nie odpowiedziała na jego zaczepkę.

Usłyszała bulgot w jego piersi, zanim na dobre wybuchnął śmiechem. A w chwilę później już była pod nim uwięziona i patrzyła w jego brązowe oczy z migoczącymi złotymi iskierkami.

- Bardzo często - zamruczał, a ona uśmiechnęła się, zadowolona z siebie. Oczy rozszerzyły się jej w zdumieniu, gdy poczuła, że znowu jest podniecony.

- Bradford, czy możemy...

- Oczywiście.

Jego usta zawładnęły jej wargami, tłumiąc resztę pytania. Objęła go ramionami i przyciągnęła do siebie, myśląc, jak przyjemnie jest czuć jego twardość tuż przy swojej miękkości. Ale nagle niespokojna myśl zakłóciła jej zmysłowe doznania. Oderwała się od niego.

- Czy znowu będzie bolało? - zapytała z niepokojem.

- Prawdopodobnie - odpowiedział. Podniósł się na łokciu i uważnie na nią popatrzył. Wiedział, że przerwie, jeżeli tylko da mu do zrozumienia, że zbyt ją boli. - Czy bardzo będzie ci to przeszkadzało?

- Prawdopodobnie - rzekła. Potem przyciągnęła go do siebie i pocałowała, a wszystkie obawy szybko odeszły w zapomnienie.

Długi czas po tym, jak zasnął, Caroline leżała jeszcze rozbudzona. Nie była przyzwyczajona spać z kimkolwiek i uznała to za wystarczające usprawiedliwienie swego ożywienia. Zresztą czuła się nadal zarówno obolała, jak i zaskoczona tym, co się stało.

Słońce właśnie zaczynało wędrówkę po niebie, gdy wreszcie podniosła

się i udała do przyległego pomieszczenia. Umyła się od stóp do głowy i włożyła ciepły wełniany szlafrok. Zapach róż unosił się wokół niej, gdy wróciła do pokoju Bradforda. Była już zupełnie rozbudzona i zastanawiała się, jak długo jej mąż zamierza jeszcze spać. Weszła na łóżko i zdjęła szlafrok.

Na dworze padał śnieg i Caroline przez parę minut obserwowała lecące płatki. Usiadła wyprostowana, myśląc o Benjaminie i o tym, czy mu nie zimno w drodze do Bostonu. Martwiła się o niego i szybko zmówiła za niego modlitwę. Wtedy poczuła dłoń Bradforda przesuwającą się po jej plecach.

- Obudziłam cię? - zapytała z niepokojem. Poczowała się niepewnie pod jego spojrzeniem. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego policzka, czując pod palcami krótki zarost, który wyrósł przez noc.

- O czym myślałaś? - zapytał Bradford. Przeciągnął się, ziewnął i założył ręce za głowę. Poczucie niepewności opuściło dziewczynę; pomyślała, że jej mąż wygląda jak ogromny niedźwiedź.

- O Benjaminie. Pewno teraz marznie gdzieś w drodze do Bostonu.

- Pomijając inne niedogodności - odparł Bradford. - On chciał tam wrócić, Caroline. Był potrzebny, a jego zadanie tu było już skończone.

- Skąd o tym wiesz?

- Odbyłem długą rozmowę z twoim obrońcą, zanim wyjechał - powiedział, a Caroline uśmiechnęła się na to określenie.

- Zawsze pomagaliśmy sobie nawzajem. Jest moim przyjacielem.

- Opowiedział mi o tym, jak się poznaliście - przyznał Bradford z grymasem, który zawsze łapał ją za serce.

- Benjamin nie lubi opowiadać o sobie. I na pewno nie wybrałby ciebie na swego powiernika. - Caroline zmarszczyła brwi, zastanawiając się, jak namówił Benjamin na rozmowę.

- Powiedziałem mu, że zamierzam cię poślubić i odtąd dbać o twoje bezpieczeństwo - odpowiedział Bradford, jakby czytał w jej myślach.

- To było bardzo aroganckie z twojej strony.

Ani trochę się tym nie przejął. Obrócił się na bok, odepchnął kołdrę i zaczął dotykać zębami biodra żony.

Caroline podskoczyła i usiłowała odepchnąć jego głowę. Zaśmiała się mówiąc, że zachowuje się niestosownie, ale uśmiech zamarł na jej wargach, gdy zobaczyła, że znowu jest podniecony.

- Bradford, mnie nadal tam boli. Będziesz musiał...

- Kochać się z tobą inaczej - dokończył za nią.

Caroline przekręciła się i uklękła przed nim. Zmarszczyła brwi. Jego wzrok był płonący i pełen pożądania. Patrzył na nią bardzo długo, podziwiając krągłe piersi, z sutkami sterczącymi w nieświadomym oczekiwaniu, drobną talię i szczupłe biodra, kryjące w sobie wiele obietnic.

Potrząsnęła głową, gdy on pokiwał na nią palcem i powiedział:

- Chodź tu, Caroline. Tym razem nie będzie bolało. Obiecuję.

- To samo mówiłeś ostatnim razem - odrzekła, kiedy przyciągnął ją do siebie. - Bradford, mnie naprawdę boli...

W jej głosie czaił się prawdziwy strach i Bradford pospieszył ją uspokoić.

- Jest nieskończenie wiele sposobów, na które możemy się kochać, Caroline. Nie denerwuj się - szeptał gładząc jej plecy.

Nie bardzo wiedziała, o czym on mówi. Wyciągnęła się i posłała mu nieufne spojrzenie. Dopiero gdy zaczął ją delikatnie całować, wreszcie przestała się bać.

Powolne pocałunki szybko przestały im wystarczać i namiętność przerodziła się wkrótce w niepohamowaną żądzę. Usta Bradforda ani na chwilę nie przestawały jej pieścić. Popchnął ją na poduszki i pochylił głowę nad jej piersiami.

Palce dziewczyny błędziły po jego miękkich, jedwabistych włosach. Usiłowała zbliżyć się do niego jeszcze bardziej, ale nie pozwalał na to. W końcu zaczął przesuwać się coraz niżej, znacząc ścieżkę gorącymi, wilgotnymi pocałunkami.

Nie zdawała sobie sprawy z jego zamiarów, dopóki nie rozchylił jej ud i nie przytrzymał. Jego palce wsunęły się w jej delikatne płatki, pieszcząc i gładząc je tak długo, aż stały się wilgotne z podniecenia. W końcu jego usta zastąpiły palce i pozostał już głuchy na wszelkie prośby.

Rozkosz, którą czuła, była nie do zniesienia. Biodra Caroline zaczęły się poruszać powolnym, miarowym ruchem. Ścisnęła prześcieradło dłońmi, a jej głowa na poduszce poruszała się w tym samym rytmie co biodra.

Gdy już czuła, że nie zniesie tego dłużej, gorąco w niej eksplodowało tysiącem iskier. Wyprężyła się i usłyszała własny głos wykrzykujący jego imię.

Jedynym zamiarem Bradforda było dać jej jak najwięcej przyjemności, pokazać wyżyny rozkoszy, na które może się z nim wznieść, lecz teraz ledwo powstrzymywał chęć, aby wbić się w jej kuszące ciepło. Była taka gorąca, taka wilgotna i tak namiętnie odpowiadała na jego pieszczoty!

Wziął głęboki oddech, uspokajając drżące ciało, i z trudem się od niej oderwał. Starał się nie myśleć o tej zmysłowej istocie spoczywającej obok. Z głuchym pomrukiem obiecał sobie, że nie posiadzie jej tym razem.

Caroline usiadła, ze wzrokiem nadal zasnutym pożądaniem. Gładziła udo Bradforda kolistymi ruchami i była zaskoczona, gdy gwałtownie złapał jej dłoń i zatrzymał na miejscu.

- Daj mi chwilę, żebym się opanował, bo inaczej złamię obietnicę i przez tydzień nie będziesz mogła chodzić - powiedział.

- Przez tydzień, Bradford? Na pewno przesadzasz. - Uśmiechnęła się, uwolniła dłoń z jego uścisku i powiodła nią po jego piersi. - Wyglądasz, jakby cię coś bolało, mężu - powiedziała gorącym szeptem. Jej dłoń zawahała się, jakby nie mogąc zdecydować, jaki wybrać kierunek. Caroline zauważyła, że Bradford nie może swobodnie oddychać. Nagle poczuła się bardzo potężna i uwodzicielska. Jej dłoń nie przestała się zsuwać, dopóki nie dotknęła jego męskości.

Bradford aż podskoczył i jęknął mimo woli. Caroline uśmiechnęła się i

szepnęła:

- Właśnie dałeś mi rozkosz. Czy jest jakiś sposób, abym mogła ci się zrewanżować?

- Caroline, moja mała, niewinna... - Reszta ugrzęzła mu w gardle, gdy Caroline pochyliła głowę i zaczęła delikatnie całować jego brzuch.

- Będziesz mi musiał powiedzieć, co mam robić - szepnęła. Księżę Bradford nie tracił ani chwili.

11

Obawa Caroline, że nie będzie mogła spojrzeć w twarz swoim gościom, okazała się płonna. Do niedzielnego popołudnia, gdy wreszcie wraz z mężem wyszła z sypialni, wszyscy uczestnicy wesela już odjechali.

- Byliśmy okropnie nieuprzejmi - powiedziała Caroline przy kolacji. Jej szelmowski uśmiech zdradził aż nadto wyraźnie, że wcale nie jest tym zmartwiona, i Bradford też się roześmiał.

Udali się w podróż poślubną, ale i tak nigdy nie wychodzili z pokoiów hotelowych w ciągu tych wypełnionych szaleństwem dni i nocy.

Gdy już wrócili, Caroline bardzo szybko dostosowała się do nowych obowiązków i z łatwością objęła rolę pani ogromnego domu. Bardzo jej w tym pomogli Henderson, służący Bradforda, i pani Lindenbowe, gospodyni.

Ale z Bradfordem nie poszło jej tak lekko. Przy wielu okazjach uświadamiała sobie, że kochać go wcale nie jest łatwo. Jego temperament można by porównać do Wezuwiusza, lecz gwałtowne wybuchy złości nigdy nie trwały długo. Caroline zawsze stawiała z nim do walki, odpłacając pięknym za nadobne, i szybko pogodziła się z faktem, że ich związek zawsze będzie pełen napięć.

Z rosnącą niecierpliwością czekała na moment, w którym mąż powie, że ją kocha. Wierzyła, że mur, który ustawił wokół swego serca, z czasem runie.

Z pewnością był najbardziej upartym człowiekiem pod słońcem. Caroline nauczyła się w bardzo krótkim czasie, że istnieją tematy, na które nie ma ochoty

rozmawiać. Pierwsze miejsce na tej liście zajmowała jego rodzina.

Caroline nigdy w życiu nie była cierpliwa i podjęła się tego wysiłku z myślą o nagrodzie, która na nią czekała. W końcu Bradford odda jej swoje serce.

Zmartwiła się, kiedy musieli wracać do Londynu. Powodem był ślub Charity i mimo że bardzo chciała na nim być, odczuła powrót do miasta jako koniec miodowego miesiąca. Właśnie tak powiedziała Bradfordowi, gdy jechali wygodnym powozem do Londynu, a on zaśmiał się i przytulił ją.

- W Londynie też będziemy mogli się kochać. Mam wrażenie, że zrobiłaś się przy mnie bardzo swawolna.

- Czyżbyś tego żałował? - zapytała z uśmiechem.

W odpowiedzi posadził ją sobie na kolanach i pokazał, jak bardzo żałuje.

Caroline nigdy nie widziała miejskiego domu Bradforda i od razu jej się spodobał. Był przestronny i wygodny, wypełniony staroświeckimi, pokrytymi skórą meblami. Wszystko w nim wskazywało, że było to terytorium mężczyzny.

Ogromne łóże Bradforda miało nawet baldachim i kotary, które były na dzień odsuwane. Caroline wypróbowała materac, podczas gdy Bradford szykował się do obiadu. Obserwował ją kątem oka, gdy zasuwiała kotary. Kiedy już była całkiem zasłonięta, jej głośny, gardłowy śmiech mówił mu, że doskonale się bawi.

- Będzie nam tu miło! - zawołała w jego stronę. - Ciepło i miło!

Bradford podszedł do łóżka i odsunął jedną zasłonę. Jego nagi tors lśnił po kąpieli. Caroline uśmiechnęła się do niego i wyciągnęła na łóżku, zakładając ręce za głowę. Dokładnie w taki sam sposób, jak on miał w zwyczaju. Potem spojrzała na niego przeciągle i uśmiechnęła się uwodzicielsko.

- Czy kiedykolwiek było ci zimno w moim łóżku? - zapytał Bradford. Rozbawienie brzmiące w jego głosie przeczyło surowemu włazowi twarzy.

Caroline miała na sobie tylko szlafrok i spomiędzy rozchylonych pół widać było udo. Wzrok Bradforda powoli błędził po ciele żony i gdy już obejrzał ją sobie od czubka głowy do koniuszków palców, uśmiech jego zniknął.

- Podniecasz mnie, Caroline. - W głosie męża usłyszała dobrze znany ton.

- Czy mamy wystarczająco dużo czasu? - zapytała, nie mogąc złapać tchu pod jego spojrzeniem. Powoli rozwiązała pasek od szlafroka i wyswobodziła się z okrycia z prowokującym uśmiechem, który tylko spotęgował podniecenie Bradforda. Z uśmiechem na ustach wyciągnęła dłoń do męża.

Ten nie odrzucił zaproszenia. Zdjął pospiesznie spodnie, które dopiero co włożył, i wyciągnął się obok żony. Caroline czekała, aż weźmie ją w ramiona, i po chwili zdała sobie sprawę, że to on czeka na nią. Wybuchnęła radosnym, nieskrępowanym śmiechem, który wywołał uśmiech na twarzy Bradforda, i znalazłszy się na nim, zaczęła go pieścić. Już po chwili jej czar zaczął działać i zdyscyplinowany książę zamienił się w dzikiego wojownika.

Pozwalał jej robić ze sobą wszystko, dopóki nie poczuł, że zaraz eksploduje. Jego głos zrobił się ochryply, gdy żądał, by już skończyła słodką torturę. Caroline zignorowała to i nadal doprowadzała go do szaleństwa.

Bradford ryknął dziko i nagle znalazła się na plecach.

- Nie będę miał dla ciebie litości!

I tym razem to znów ona błagała go, by już przestał. Uśmiechnął się z satysfakcją i usadziwszy ją z powrotem na sobie, wszedł w nią, kończąc tym samym wszelkie przekomarzania.

Caroline odrzuciła głowę do tyłu i wydała przeciągły jęk, na który odpowiedział kolejnym mocnym pchnięciem i kolejnym, i kolejnym... Oboje znaleźli spełnienie w tej samej chwili.

Czuła się tak, jakby unosiła się z nim w powietrzu, a on pilnował, by nic złego jej nie spotkało. Z wolna wróciła do rzeczywistości, z błogim uśmiechem na ustach.

Położyła mu głowę na piersi i słuchała bicia jego serca tuż przy swoim. Poczekala, aż zaczął spokojniej oddychać, i wyszeptała:

- Kocham cię.

To już było rytuałem. Zawsze, gdy tylko skończyli miłosne uniesienie,

mówiła, że go kocha, i zawsze czekała na jego odpowiedź. Wiedziała, że prawdopodobnie mogłaby go zmusić, by to powiedział, ale chciała usłyszeć, jak mówi to z własnej woli.

Przytulił ją i westchnął z satysfakcją. Był to jedyny dowód, że w ogóle usłyszał jej słowa. Po raz kolejny Caroline musiała pogodzić się z faktem, że jeszcze nie jest gotowy.

Starając nie okazywać po sobie smutku podparła się na łokciu i spojrzała mu w oczy.

- Zostańmy tu już do końca wieczora.

- Bardzo kusząca propozycja. - Bradford uśmiechnął się w odpowiedzi. - Ale twoja rodzina zapewne będzie chciała usłyszeć jakieś wyjaśnienia. Ty to zrobisz czy ja mam im wytłumaczyć powód naszej nieobecności?

Caroline zaczerwieniła się.

- Dżentelmen nie powiedziałby czegoś takiego. Chyba już lepiej zacznę się ubierać. - Próbowwała odsunąć się od niego, ale przytrzymał ją.

- Zaczekaj, Caroline. Myślę, że powinniśmy wszystko jeszcze raz powtórzyć.

Dziewczyna przewróciła oczami i westchnęła zniecierpliwiona.

- Znam już wszystko na pamięć. Wiem, że mam nie opuszczać cię ani na krok podczas balu, nigdzie nie uciekać z Charity, a jeżeli będziesz musiał gdzieś odejść, będę przygwożdżona do Milforda aż do twojego powrotu. - Bradford z poważną miną kiwnął głową. Caroline pogładziła go po twarzy. - Proszę, nie martw się. Ludzie, których wynajęłaś, niczego nie znaleźli. Ani cienia podejrzenia czy dowodu. Poza tym to z pewnością była jakaś kobieta, która chciała cię dla siebie, i miała nadzieję, że w ten sposób mnie odstraszy.

Teraz to Bradford okazał zniecierpliwienie.

- I to ta nieznajoma dama zepchnęła cię ze schodów, rozkręciła koło w moim powozie i napisała do ciebie list? Czy tak to sobie wyobrażasz?

- Nie dama. Bradford, ale jakaś kobieta. To spora różnica. Mogła wynająć

kogoś, by rozkręcił koło przy twoim powozie.

Bradford zatrzymał swoje myśli dla siebie. Jego żona była tak niewinna, że nie chciał jej przerażać informacjami, które zebrał. Jego obowiązkiem było ją chronić i prosił tylko, by zachowała ostrożność. Dopóki nie zastawi pułapki i nie zgromadzi wszystkich dowodów, Caroline nie odejdzie od niego ani na krok. Teraz należała do niego i ktokolwiek położy na niej choć jeden palec, nie dożyje chwili, w której mógłby się tym pochwalić.

Ubierali się w milczeniu. Caroline ciągle wchodziła mu w drogę, aż w końcu zdenerwował się i powiedział, że jej sypialnia jest zaraz za drzwiami i że równie dobrze mogłaby się tam ubierać. Żonie wyraźnie się to nie spodobało i szybko mu odpaliła, że pomysł z dwiema sypialniami uważa za bezsensowny.

- Nie pozwolę, by Henderson tu wchodził i mi pomagał, jeżeli ty będziesz paradować nie ubrana - mruknął Bradford gniewnie.

Caroline stała przed owalnym lustrem, czesząc włosy i zupełnie się nim nie przejmując.

- Nie jesteś już małym chłopcem, Bradford. Możesz się sam ubierać. Ja ubieram się sama od lat.

- A twoja pokojówka na to narzeka.

- Mary Margaret i tak ma dużo obowiązków. Nie musi ciągle za mną łązić.

Bradford darował sobie dalszą dyskusję i zszedł na dół, aby tam poczekać. Przechadzał się po salonie z kieliszkiem koniaku w dłoni i rozmyślał o nadchodzącym wieczorze. O mało nie odrzucił zaproszenia do Clavenhurst, rezydencji markiza Aimsmonda; zdawał sobie bowiem sprawę, jak trudno będzie zapewnić Caroline bezpieczeństwo w takim tłumie. Nie mógł jednak odmówić markizowi, gdyż z pewnością bardzo zraniłby tym staruszką.

Bał był poświęcony Charity i Paulowi, którzy za dwa dni mieli wziąć ślub. Ale zamierzano także uroczyście powitać księcia i księżną Bradford po ich powrocie do Londynu.

Caroline weszła wreszcie do pokoju, ubrana w jasnoniebieską lśniąca suknię wieczorową, i zastała męża opartego o gzyms nad kominkiem. Powaga natychmiast ustąpiła z jego twarzy.

Ukloniła się ceremonialnie, a iskiereki zapalające się w jej oczach przybrały kolor sukni. Uśmiechnęła się, gdy Bradford uniósł kieliszek w geście pozdrowienia.

- Jeszcze przed chwilą byłeś zasępiony, a teraz wyglądasz na bardzo zadowolonego z siebie - zauważyła. I na bardzo przystojnego, dodała w myślach. Miał na sobie wytworne ubranie w przepisowej czarni i gdy tylko odszedł od kominka, wydał jej się niezwykle rosły. Caroline zastanawiała się, kiedy jego widok przestanie ją przyprawiać o przyspieszone bicie serca? Wystarczyło raz na niego spojrzeć, a już pragnęła, by zaraz wziął ją w ramiona.

Caroline nigdy nie potrafiła ukryć swoich uczuć i Bradford wiedział doskonale, o czym teraz myśli.

- Jeżeli będziesz tak na mnie patrzyła, to nigdzie nie pójdzie my - powiedział.

Odstawił kieliszek na gzyms i podszedł do żony. Czuł, jak krew zaczyna mu szybciej krążyć, a kołnierzyk koszuli staje się niemożliwie ciasny. Nie mógł oprzeć się pokusie i wzięwszy Caroline w ramiona, pocałował ją namiętnie.

Pomógł jej włożyć płaszcz i kazał podstawić powóz. I tak się spóźnią, a im szybciej ten wieczór się skończy, tym szybciej będzie mógł ją przytulić.

Hrabia Braxton powitał ich tuż przy wejściu do domu markiza i uściskał córkę, zanim jeszcze zdążyła zdjąć okrycie.

- Tęskniłem za tobą, córeczko! - Odciągnął ją na bok i zapytał szeptem na tyle głośnym, żeby Bradford go dosłyszał: - Czy jesteś szczęśliwa, Caroline? Czy on dobrze cię traktuje?

- Jestem bardzo szczęśliwa, ojcze - uśmiechnęła się Caroline. Nie mówiła nic więcej, gdyż wiedziała, że Bradford słucha każdego słowa. Gdyby powiedziała ojcu, jak jest zadowolona z nowego życia, mąż stałby się nie do

wytrzymania. Skromność bowiem nie należała do jego zalet.

Przywitawszy się serdecznie z Charity i Paulem oraz wymieniwszy uprzejmości z wujem Franklinem i jego żoną, księżę i księżna Bradford, wzbudzając ogólne poruszenie, wkroczyli do sali balowej i od razu podeszli do gospodarza. Wuj Milo siedział nie opodal wejścia i Caroline zauważyła, że był już zmęczony. Gdy zobaczył siostrzenicę, zaczął wstawać, lecz ona potrząsnęła głową i szybko usiadła obok niego.

Bradford zostawił żonę z wujem, lecz odchodząc obdarzył ją jeszcze surowym spojrzeniem, które Caroline odczytała jako polecenie, by nigdzie nie odchodziła. Markiz powiedział, że owszem, jest zmęczony, ale tylko z powodu zamieszania. Mrugnął figlarnie do siostrzenicy i przyznał się, że nie pomagał ani trochę w przygotowaniach do przyjęcia. Franklin i Loretta sami wszystkim się zajęli.

Caroline pozostała przy wuju przez resztę wieczoru. Trzymając go za rękę, słuchała nowinek z ostatnich tygodni. Była zadowolona i wiedziała, że sprawia mu dużą przyjemność. Dlatego też odrzuciła kilka zaproszeń do tańca.

Wuj Milo z właściwą sobie bezceremonialnością zapytał, kiedy zamierzają powiększyć rodzinę, i Caroline roześmiała się głośno.

- Jeszcze o rym nie rozmawialiśmy - powiedziała, po czym dodała ze śmiechem: - Nawet nie wiem, ile on chciałby mieć dzieci.

- Chciałbym dożyć chwili, w której będę mógł potrzymać na rękach twojego pierworodnego - westchnął markiz.

- Chciałabym, żebyś żył wiecznie - szepnęła Caroline. To oświadczenie sprawiło ogromną przyjemność wujowi i z wdzięcznością ścisnął jej dłoń.

Po drugiej stronie pokoju Bradford rozmawiał z Milfordem, nie mogąc oderwać wzroku od żony. Przyjaciel usiłował poruszać różne tematy, lecz nie mógł utrzymać uwagi Bradforda dłużej niż przez chwilę i w końcu się zdenerwował.

- Król rozwodzi się z królową i wyprowadza się do Francji - oznajmił, a

Bradford tylko mu przytaknął i nadal patrzył na Caroline. - Ona nie zniknie, Brad. Na miłość boską, człowieku, weź się w garść. - Milford zaczął się śmiać i klepnął przyjaciela po plecach, w końcu wyrywając go z zamyślenia.

- Ona nie ma na sobie żadnych klejnotów.

To zaskoczyło Milforda. Odwrócił się, by spojrzeć na Caroline.

- Nosi twój pierścień - zauważył.

- Jego nigdy nie zdejmuję.

Ta uwaga rozśmieszyła Milforda.

- Brad, dlaczego rozmawiamy o biżuterii?

Bradford wzruszył ramionami i w końcu poświęcił przyjacielowi całą swoją uwagę.

- Czy dowiedziałeś się czegoś? - Miał na myśli niebezpieczeństwo grożące Caroline, ale wokół było zbyt wiele osób, by mógł mówić otwarcie.

- Owszem. Dowiedziałem się czegoś, co może się okazać bardzo ważne.

- Porozmawiamy o tym po kolacji. - Powściągliwe skinienie głową było całym podziękowaniem, na jakie Milford mógł liczyć.

Caroline pomogła wujowi wstać i podała mu laskę. Spędziła z nim ponad godzinę, czym sprawiła staruszkowi ogromną przyjemność. Pocałował ją w policzek na pożegnanie, kiedy już po trzykroć obiecała, że odwiedzi go nazajutrz po południu.

- Czy dasz radę zasnąć przy takim hałasie? - spytała odprowadzając markiza do hallu.

- Ostatnio śpiam jak dziecko - odparł pogodnie. - Idź, moja droga, i baw się dobrze. Odpocznę i jutro będę cię oczekiwał.

Caroline postąpiła jeszcze chwilę, obserwując, jak wuj powoli wchodzi po schodach. Gdy już zniknął jej z oczu, odwróciła się, by podążyć do Bradforda, lecz natychmiast zatrzymała się jak wryta. Rachel Tillman i Nigel Crestwall zastąpili jej drogę.

Rachel zachowała się bardzo agresywnie, łapiąc Caroline za ramię tak

mocno, że aż zabolalo.

- Jesteś zapewne szalenie z siebie zadowolona? - wysyczała. Caroline była tak zaskoczona nienawiścią w głosie dziewczyny i bólem w ramieniu, że tylko patrzyła na nią nic nie rozumiejąc.

- I jeszcze udaje niewiniątko!

- Rachel, o czym ty mówisz? - zapytała Caroline, wyrywając ramię z bolesnego uścisku. W panice rozejrzała się za mężem.

Rachel źle zrozumiała jej reakcję.

- Nie martw się. Nie zamierzam popsuć twojego przyjęcia. To taki zaszczyt, że zostałam zaproszona! Chcę tylko, żebyś wiedziała, że nie dałam się nabrać. Wiem, że to ty wszystko popsulaś! Wszystko! - Rachel znowu złapała Caroline za ramię, wbijając paznokcie w jej ciało. - Zapłacisz mi za to, ty suko! Poczekaj, przekonasz się!

- Chyba jeszcze nigdy dotąd nie uderzyłem kobiety, prawda, Milford? - zapytał spokojnie Bradford. Stał za plecami Rachel, nie widział więc wyrazu dzikiej nienawiści w jej twarzy. - Ale jeżeli nie puści pani mojej żony w tej chwili, panno Tillman, to mam wrażenie, że będzie pani pierwszą kobietą, którą uderzę.

Rachel puściła Caroline z taką złością, że dziewczyna cofnęła się o krok. Potem spojrzała oskarżycielsko na Nigela, jakby to on był winny, że Bradford ją zaskoczył. Odwróciła się i weszła do sali balowej, a Nigel musiał biec, by za nią nadążyć.

Caroline obserwowała ich odwrót ze wzrastającym gniewem. Milford uśmiechnął się do niej i zaczął rozcierać czerwone ślady na jej ramieniu, pozostawione przez paznokcie Rachel Tillman.

- Powinnaś reagować w trakcie konfrontacji, a nie już po niej - skomentował.

Caroline patrzyła to na uśmiechniętego Milforda, to na marszczącego brwi męża.

- Bradford! Rachel mnie nienawidzi! Powiedziała, że wszystko jest moją winą!

- Co jest twoją winą? - zapytał Milford.

- Nie mam pojęcia - wzruszyła ramionami. Dostrzegła zdziwione spojrzenia gości i powściągnęła gniew.

- Wracamy do domu - oznajmił Bradford. - Milford, przypilnuj jej, a ja zawołam nasz powóz.

- Nie wracamy jeszcze do domu - zaprotestowała Caroline. - Nie mam zamiaru uciekać przed kimś takim jak Rachel Tillman. Poza tym obiecałam się spotkać z...

- Z nikim się nie spotkasz.

Głos Bradforda zabrzmiał zbyt władczo i Caroline poczuła, że wszystko się w niej buntuje. Nie chciała wychodzić. Jej ojciec byłby bardzo zawiedziony, bo nie zdążyła jeszcze z nim porozmawiać. Poza tym obiecała Charity szczerą rozmowę po kolacji. Jednak nie wspomniała o tym mężowi. Stać ją było tylko na cichy szept:

- Nawet jeszcze ze mną nie zatańczyłeś...

- To prawda, Brad - wtrącił się Milford i zarówno księżę, jak i księżna obdarzyli go niezadowolonymi spojrzeniami.

- Świetnie! Zatańczymy, a potem wrócimy do domu. - Bradford ujął łokieć Caroline i pociągnął ją ku sali balowej.

Uśmiechnęła się. Zrozumiała, że właśnie wygrała.

- Dziękuję ci, mężu - powiedziała cicho.

- Jeden taniec - powtórzył, gdy stanęli na parkiecie.

- Dobrze, Bradford.

Jej łagodność ani na chwilę go nie zwiodła. Gdy tylko ten taniec dobiegł końca, zjawił się przy nich Milford i poprosił Caroline o kolejny.

Bradford zgodził się niechętnie. Jego nastrój się poprawił, gdy zobaczył, że Rachel i Nigel wychodzą. Nie miał ochoty na kolejną kłótnię tego wieczoru.

Jutro będzie musiał odbyć krótką rozmowę z tą furiatką i wyciągnąć z niej parę odpowiedzi na dręczące go pytania.

Caroline przetańczyła tę noc z połową mężczyzn Londynu i zanim skończyły się tańce i zaczęła kolacja, była już mocno zmęczona. Bradford z zadowoleniem obserwował żonę. Uśmiechał się nawet od czasu do czasu, dostrzegając wrażenie, jakie wywierała jej uroda. Nosiła się dumnie i pewnie, co bardzo mu się podobało. A jeszcze bardziej go cieszyło, że gdy się tego najmniej spodziewał, odwracała się od swoich partnerów i uśmiechała do niego.

Bradford zauważył, że Terrence St. James zawsze był blisko jego żony, podobnie jak młody byczek o imieniu Stanton. Panował jednak nad sobą i tylko wciągnął obu młodzieńców na listę fircyków, z którymi zamierzał sobie porozmawiać.

- Znowu się zasepiasz, Brad. Czyżbyś nadal myślał o Rachel? Bradford potrząsnął głową.

- Po prostu obserwuję drabów śliniących się na widok mojej żony. Zanim ta noc się skończy, będę musiał sobie z niektórymi porozmawiać. - W jego głosie słyhać było tylko znudzenie, lecz błysk w oczach powiedział Milfordowi, że przyjaciel jest już mocno zirytowany.

- Musiałbyś porozmawiać z każdym obecnym tu mężczyzną - powiedział.
- Spójrz, Caroline idzie teraz zatańczyć z ojcem. Przez kilka minut na pewno nic jej się nie stanie. Może teraz znajdziesz chwilę czasu, by ze mną porozmawiać?

Bradford przytaknął i wyszedł za przyjacielem z pokoju. Przystanął na moment w drzwiach i popatrzył na Stantona wzrokiem bazyliuszka. Był przekonany, że to, o czym chce mu powiedzieć Milford, jest czymś więcej niż tylko kolejnym fałszywym tropem. Znalazłszy się w gabinecie markiza, wypłoszyli stamtąd jakąś parę i zamknęli drzwi na klucz.

Caroline właśnie skończyła taniec z ojcem, gdy podeszła do niej Charity, nie mogąc złapać tchu.

- Wuju, wybaczysz nam? Chciałybyśmy zamienić słówko na osobności.

Caroline potulnie poszła za kuzynką.

- Myślę, że w tej alkwie nikt nam nie będzie przeszkadzał - powiedziała Charity siadając i nakładając okulary. - Z początku myślałam, że porozmawiamy na balkonie, ale w taką pogodę byśmy tam zamarzyły.

Caroline poklepała ją po ręce z uśmiechem.

- Nie martw się tak, Charity. Za dwa dni poślubisz człowieka, który cię kocha, i wszystko cudownie się ułoży.

- Czy naprawdę wszystko jest cudowne? - wyszeptała Charity. - Tak bardzo bym chciała, żeby mama tu była! Bardzo się boję... no, przecież wiesz czego...

- Charity, wszystko będzie dobrze. - Caroline wydała się sobie bardzo oświecona, a potem przypomniała sobie, jak okropnie się bała w swoją noc poślubną. - Paul wcale nie oczekuje od ciebie doświadczenia. Poza tym to naprawdę jest mile. - Caroline czuła rosnące skrępowanie.

- Lubię, jak Paul mnie całuje - przyznała Charity z nieśmiałym uśmiechem. - I wiem, że ty byś mnie nie okłamała. Jeżeli mówisz, że to jest cudowne, to ja ci wierzę.

Caroline obawiała się, że kuzynka będzie się domagała szczegółowych odpowiedzi, i poczuła ulgę, gdy Charity zdjęła okulary i wstała.

- Dzięki tobie czuję się o wiele lepiej - powiedziała na odchodnym i szeleszcząc różowym jedwabiem, pobiegła na poszukiwanie ukochanego.

Caroline też wstała, ale w tym samym momencie zjawił się wysoki i chudy Terrence St. James, i poprosił ją o chwilę rozmowy na osobności. Dziewczyna odmówiła mu, alkowa bowiem skrywała ich przed tłumem, co było bardzo nieodpowiednie. Ponadto zupełnie nie miała ochoty na rozmowę z tym fircykiem. Mężczyzna wcale nie usiłował ukryć swoich uczuć, co bardzo ją irytowało. Przecież była mężatką!

- Chciałem jedynie prosić panią o zgodę na odwiedzenie jej w Londynie. Teraz, gdy jest już pani mężatką, mała odmiana... - nie dokończył zdania,

wzruszając ramionami.

Caroline nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała.

- Tym razem zignoruję pańskie nieodpowiednie zachowanie - powiedziała. Jej ton był równie gniewny jak spojrzenie. Przecisnęła się obok niego z dreszczem obrzydzenia.

- Ależ pani mnie nie zrozumiała - wyszeptał Terrence za jej plecami.

Caroline udała, że go nie słyszy, i ujrawszy w grupie gości ojca, podeszła do niego. Opanowała gniew, myśląc, że aż za dobrze rozumiała intencje tego obrzydliwego Anglika. Postanowiła, że porozmawia z Bradfordem o okropnych manierach niektórych z jego znajomych, a potem zapomni o całej sprawie.

Parę minut bezowocnie poszukiwała Bradforda, a gdy tańczyła z Paulem, ten zasugerował jej, że być może znajdzie go w bibliotece. Poszła w tym kierunku, oznajmiwszy przedtem ojcu, że jest zmęczona i niedługo uda się do domu. Pozostało jej jeszcze tylko odnaleźć męża. Zarówno Rachel Tillman, jak i Terrence St. James wprowadzili ją w zły humor i pragnęła teraz uciec jak najdalej od tego tłoku i hałasu. A przede wszystkim chciała, by Bradford ją przytulił.

Nie wiedziała, że szedł za nią Terrence St. James.

Zapukała do drzwi biblioteki i zajrzała do środka. Pokój był pusty i Caroline już się odwracała, by zawrócić do sali balowej, gdy Terrence wepchnął ją do biblioteki i zamknął drzwi.

- Zejdź mi z drogi - zażądała. Była wystarczająco wściekła, by zwalić go z nóg.

- Jestem niezwykle bogaty. - Potrząsnął głową. - Mógłbym ci dać...

Tu cierpliwość Caroline się wyczerpała. Odepchnęła go i ruszyła w stronę drzwi.

Głos Terrence'a zrobił się nagle bardzo nieprzyjemny.

- Tak naprawdę to wcale nie jestem bogaty. Zapłacono mi sporo pieniędzy, bym cię skompromitował. Twój mąż jest bardzo zazdrosny.

- To prawda. I wystarczająco szalony, żeby cię zabić. Wycofywała się, cały czas obmyślając, jak dojść do biurka i chwycić świecznik, który mógłby jej posłużyć za broń.

- Nie zrobi tego w obecności tylu świadków.

- Dlaczego? - zapytała. - Dlaczego to robisz?

- Dla pieniędzy. A niby z jakiego innego powodu? - Terrence wzruszył ramionami. - Rachel ma mi jutro zapłacić. Naprawdę jest na ciebie wściekła, moja droga.

Caroline dotarła do biurka i złapała świecznik. Nie była jednak wystarczająco szybka. Terrence St. James dopadł jej i przycisnął do pulpitu tak, że nie mogła się ruszyć. Trzymał ją mocno i nie mogło być wątpliwości co do jego zamiarów.

- Nie mam nic przeciwko całowaniu. Jesteś nawet ładna. Może nawet warta tych kilku siniaków, które nabije mi twój zazdrosny małżonek.

Caroline wyprostowała się w jego ramionach. Przestała się szarpać. Czekala tylko sposobnej chwili. Terrence stał w rozkroku, co bardzo ją ucieszyło. Wiedziała, że przy najbliższej okazji wykorzysta nauki Caimena.

- Mój mąż uwierzy w to, co ja mu powiem - stwierdziła dumnie.

Terrence przesunął się nieco i Caroline od razu postawiła stopę między jego nogami. W tej samej chwili usłyszeli odgłos kroków. Caroline otworzyła usta do krzyku, a Terrence pochylił się, by uciszyć ją pocałunkiem.

Drzwi otworzyły się w momencie, gdy właśnie miała zamiar poderwać kolano i ugodzić napastnika.

Nie miała nawet szansy. Wściekłość dodała Bradfordowi skrzydeł. Terrence James został oderwany od niej z ogromną siłą i przeleciał przez biurko z szybkością błyskawicy. Caroline ledwo udało się uchylić. Nie widziała twarzy męża, gdyż stał do niej tyłem, obserwując podnoszącego się Jamesa. Odwróciła się do drzwi i ujrzała Milforda, który bronił dostępu niepożądanym świadkom.

St. James wstał, lecz tylko na chwilę, gdyż zaraz znowu został posłany na

ziemię jednym potężnym uderzeniem w brzuch.

Caroline podbiegła do Bradforda i dopiero wtedy zobaczyła jego oblicze. Mieszanina wściekłości, pogardy i odrazy przyprawiła ją o dreszcz.

- O czym ty myślisz? - zapytała szeptem.

- Milcz!

Chłód w głosie męża przeraził ją. Była tak zaskoczona, że rozplakała się. Dobry Boże, czyżby on naprawdę uważał, że mogła z radością powitać zaloty tego okropnego człowieka?

St. James okazał się nie tylko chciwy, ale i głupi. Raz jeszcze próbował wstać. Bradford złapał go za gardło i rąbnął nim o szafę z książkami. Terrence dyndał nogami w powietrzu jak kukielka, a jego twarz powoli nabierała krwistoczerwonej barwy. Caroline usiłowała rozewrzeć uchwyt męża, ale na próżno. Odwróciła się do Milforda, błagając o pomoc.

- Nie pozwól mu go zabić!

Milford wzruszył tylko ramionami. Caroline otarła łzy z oczu i jeszcze raz zwróciła się do męża.

- Bradford, powieszą cię, jeżeli go zabijesz. Nawet nie wiesz, co się tu dzieło!

- Dobrze wiem, co się dzieło! - ryknął w odpowiedzi.

- On nie jest wart zachodu, Brad. Potraktuj go jak śmieć, wyrzuć i już - wtrącił się Milford.

- A cóż takiego się dzieło, co, Bradford? - zapytała Caroline. - No powiedz. Powiedz, o czym teraz myślisz.

Dziki wyraz twarzy Bradforda zaczął się powoli zmieniać.

W końcu stał się nieomal znudzony. Puścił swoją ofiarę i patrzył, jak pada na podłogę.

St. James nie był jednak martwy. Caroline słyszała, jak usiłuje nabrać powietrza w płuca. Czekwała na odpowiedź męża.

- Brad, posłuchaj swojej żony. Caroline, wytłumacz, co tu się stało. -

Milford dobrowolnie wziął na siebie rolę mediatora.

- Nie będę niczego wyjaśniać. - Głos Caroline pozbawiony był wszelkiej emocji. Tylko zaciśnięte w pięści dłonie świadczyły o jej wściekłości. - Widziałeś, co się stało. Wyciągnij własne wnioski. Mój mąż już znalazł odpowiedzi na wszelkie pytania. Prawda, Bradford? - Zaczęła iść w stronę drzwi, lecz Bradford złapał ją za ramię i zatrzymał.

- Wierzę, że byłaś tu niewinną ofiarą - powiedział wreszcie, ale jego głos nadal był nienaturalny i zimny. - Zostań tu, dopóki nie przygotujemy się do odjazdu. Milford! Sprowadź, proszę, powóz.

- Sam go sprowadź - odparł Milford. Nie miał zamiaru zostawić Bradforda samego z St. Jamesem. Jedno spojrzenie w twarz przyjaciela powiedziało mu, że furia jeszcze nie minęła.

Bradford wyszedł z pokoju mrużąc pod nosem przekleństwo. Milford podszedł do Terrence'a i szturchnął go butem.

- Uważam, że byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś się stąd wyczołgał, zanim wróci Bradford.

Caroline stała pośrodku pokoju ze spuszczoną głową i St. James musiał nadłożyć sporo drogi, by ją ominąć.

Milford obserwował go, a potem podszedł do Caroline. Położył jej dłoń na ramieniu, chcąc ją pocieszyć, i zmarszczył brwi, kiedy się wyszarpnęła.

- Opowiedz mi, co tu się stało - poprosił. Jego głos był bardzo łagodny.

- Tylko byś opowiedział wszystko Bradfordowi - potrząsnęła głową.

- A czy to takie straszne?

W jego głosie było tyle współczucia i czułości, że Caroline nieomal się poddała. Zadrzała i zacisnęła dłonie, mając nadzieję, że to pomoże jej się opanować. Nie chciała przyjmować pocieszenia od Milforda, gdyż wiedziała, że jakikolwiek czuły gest mógłby doprowadzić ją do łez.

- Chciałabym tylko wrócić już do domu - powiedziała. Odsunęła się o krok, gdy Milford znów wyciągnął dłoń w jej stronę.

Zawstydził go ból w jej głosie. Była wyprostowana i panowała nad swoją twarzą, lecz nie potrafiła ukryć cierpienia.

- Bradford zaraz wróci - rzekł Milford. - Caroline, przecież on już powiedział, że wierzy w twoją niewinność. Jest tylko wściekły na St. Jamesa.

Caroline potrząsnęła głową.

- Ale z początku nie uwierzył. On wierzy we wszystko, co najgorsze...

- Ale kiedy już się uspokoi...

- Nie chcę wracać do domu z Bradfordem - przerwała znowu dziewczyna.

- No to czeka cię straszliwe rozczarowanie - nadeszła szorstka odpowiedź od drzwi, w których stał książę Bradford.

Caroline nawet nie raczyła spojrzeć na niego. Poczula, jak narzuca jej płaszcz na ramiona, a potem sadza obok siebie w powozie.

Podczas jazdy do domu nie zamienili ani słowa. Caroline nieco się uspokoiła. Czula na sobie spojrzenie Bradforda, ale nadal nie chciała na niego patrzeć.

Miała złamane serce i nie mogła za to obarczyć winą nikogo oprócz siebie. Myślała, jaka okazała się głupia. Nie byłby w stanie tak jej zranić, gdyby go nie kochała. Zawierzyła mu z całego serca i dlatego teraz tak cierpiała. Jego niezrozumiała zazdrość i nieufność nie miały jakiegokolwiek podstawy i Caroline zupełnie nie wiedziała, jak ma sobie z nimi poradzić. Jak się przed nimi bronić? Pamiętała, z jaką furią zwrócił się do niej na przyjęciu u ojca, gdy Crestwall skradł jej pocałunek. Gniew Bradforda skierowany był tak samo na nią, jak na winowajcę. Dziś zobaczyła w jego oczach identyczny wyraz. Wściekłość była zwrócona przeciwko niej.

Gdy dojechali do domu, Caroline pragnęła tylko zamknąć się w pokoju i wypłakać. Czula się jak ranne zwierzątko poszukujące schronienia.

Bradford patrzył, jak idzie do schodów wiodących na piętro, i zażądał, by poszła z nim do biblioteki i wyjaśniła, co zaszło.

Caroline jednak nie posłuchała. Dotarła już do drzwi swojej sypialni,

kiedy ją dogonił.

- Nie słyszałaś mnie? Do biblioteki!

- Nie. - Odwróciła się i weszła do pokoju, zamykając zdumionemu mężowi drzwi przed nosem.

Bradford nieomal wyrwał drzwi z zawiasów, wpadając jak burza do sypialni. Caroline siedziała na brzegu łóżka, z dłońmi zaciśniętymi na sukni.

Stanął naprzeciw niej na szeroko rozstawionych nogach i podparł się w biodrach. Popatrzyła mu w twarz i widząc jego wściekłość, dała wreszcie upust własnej furii.

- Po tym, co stało się dziś wieczorem, zapewne już w ogóle się do ciebie nie odezwę!

Gwałtowność w jej głosie doprowadziła go znowu do wściekłości.

- Powiesz mi, co robiłaś ze St. Jamesem w bibliotece, albo zmuszę cię do tego pięścią.

- Nie tkniesz mnie nawet palcem. - Cicha pewność w jej głosie zaskoczyła go.

- A niby skąd możesz to wiedzieć? - zapytał, nieco ściszywszy głos.

- Nie musisz używać pięści, jeżeli same twoje myśli i podejrzenia mogą sprawić mi o wiele więcej bólu. Poza tym nigdy nie uderzyłyś kobiety; to nie w twoim stylu.

Bradford musiał przyznać, że miała rację. Czcze groźby nic mu nie dadzą. Postanowił, że będzie rozsądny.

- Powiedz mi, co się tam stało.

- Jeżeli wcześniej odpowiesz na jedno moje pytanie, ja opowiem ci wszystko. Już i tak znam na nie odpowiedź, ale chcę, byś sam to przyznał. - Podniosła się, by spojrzeć mężowi w twarz. - Gdy zobaczyłeś mnie z St. Jamesem, najpierw pomyślałeś, że cię zdradziłam, prawda?

- Wiem, że nie było w tym twojej winy...

- Nie o to cię pytałam - przerwała Caroline. - Odpowiedz mi. Chcę, byś

powiedział prawdę, Bradford!

- To była naturalna konkluzja. - Wzruszył ramionami. - Tak, przez sekundę lub dwie myślałem, że mnie zdradziłaś. Wcześniej tego wieczoru powiedziałaś, że chcesz się z kimś spotkać. Wiem, że przesadziłem, i zdaję sobie sprawę, że jesteś niewinna.

- Miałam się spotkać z Charity. - Caroline potrząsnęła głową. - Obiecałam jej, że dziś porozmawiamy. A teraz powiem ci, co się stało. Paul powiedział, że możesz być w bibliotece, więc poszłam tam. Terrence St. James zakradł się za mną. Rachel obiecała, że mu zapłaci, jeżeli mnie skompromituje. Widzisz, każdy wie, jak jesteś zazdrosny. Każdy, tylko nie twoja głupia żona! St. James potrzebował pieniędzy. A ja, głupia, jeszcze mu powiedziałam, że uwierzysz w moje słowa, a nie w to, co zobaczysz! Widać się myliłam. - Ostatnie zdanie było zakończone chlipnięciem.

- Nie odwracaj teraz wszystkiego! - mruknął Bradford. - Obiecywałaś, że nie odejdiesz ode mnie dziś wieczorem ani na krok. A gdy tylko spuściłem cię z oka, ty...

- Usiłowałam cię znaleźć - broniła się. - Popełniłam błąd.

- Co do tego masz rację!

- Popełniłam błąd wychodząc za ciebie za mąż. Popełniłam błąd ufając ci. A największy błąd popełniłam zakochując się w tobie. Miłość i nienawiść to bliźniaczo podobne uczucia i w tej chwili chyba bardziej cię nienawidzę, niż kocham. I to wszystko jest twoją winą. Powoli zmuszasz mnie, żebym przestała cię kochać.

Odwróciła się do niego plecami i starając się zapomnieć, że on nadal tam stoi, zaczęła zdejmować suknię.

Rozebrała się do gorsetu i usiłowała ominąć Bradforda, by pójść do jego sypialni po swój szlafrok. On jednak nie chciał jej przepuścić.

- Dlaczego jesteś taki zasepiony, Bradford? Powinieneś teraz skakać ze szczęścia - skomentowała zimnym głosem. - Przecież od dnia naszego spotkania

tylko czekałeś na to, bym cię zdradziła. Byłeś święcie przekonany, że nie jestem lepsza od wszystkich kobiet, jakie znałeś, a ja właśnie udowodniłam, że masz rację. Nie jestem lepsza od kurtyzany, prawda?

- O czym ty mówisz?

- Uważasz za swój obowiązek chronić mnie przede mną. My, kobiety, jesteśmy bardzo słabe i żadna z nas nie wie, co to są zasady moralne. Nie potrafimy się powstrzymać, aby nie wskoczyć do łóżka pierwszemu lepszemu mężczyźnie, który stanie na naszej drodze, prawda? Powiedz mi jedno, Bradford. Jak, twoim zdaniem, udało mi się pozostać dziewicą do dnia naszego ślubu?

- Do diabła, to, co mówisz, nie ma sensu! - Nie miał zamiaru na nią wrzeszczeć, ale zbliżała się niebezpiecznie do prawdy.

- Anglia to potworne miejsce - szepnęła Caroline. - W Bostonie tylko raz zostałam wplątana w takie świństwo. Było to trzech pijanych marynarzy, a ja znalazłam się w niewłaściwej dzielnicy. A tu, gdziekolwiek bym się zwróciła, jestem obrażana, grożą mi... i to, na Boga, nie tylko nieznajomi. Mój własny mąż obraża mnie swoimi podejrzeniami. Chcę wrócić do domu! Chcę wrócić do Bostonu! Rozpłakała się.

- Caroline, nigdy przed tobą nie ukrywałem, że jestem porywczy.

- Nie ma sensu krzyczeć na głuchego ani domagać się od ślepego, by cokolwiek zobaczył. Dzisiaj w nocy zdałam sobie sprawę, że twoje przekonania są tak mocno zakorzenione, iż nic nie jest w stanie ich zmienić. Ty nawet nie chcesz mi zaufać. Nawet nie wiesz jak. Nigdy nie powinnam była wychodzić za ciebie za mąż - powtórzyła.

- Nie mieliśmy wyboru - przypomniał jej Bradford. Poczł, jak pod wpływem jej ostrych słów ogarnia go wściekłość. Jak ona śmie tak do niego mówić!

Obserwował ją, jak wchodzi do łóżka i przykrywa się kołdrą. Położyła się na boku, jak najdalej od niego.

- Bądź tak miły i wyjdź z mojej sypialni - powiedziała. Drżała z zimna i rozpaczy, doskonale zdając sobie sprawę, że już niedługo przestanie nad sobą panować i zacznie rozpaczliwie łkać. Chciała pozostać sam na sam ze swoim smutkiem. Dopiero gdy się wypłacze, będzie w stanie pomyśleć spokojnie, co ma robić dalej.

- Pokręciłaś to, żono. Pokręciłaś, ale ty zawsze wszystko rozumiesz na opak - mruczał Bradford. - Nie masz powodu, by się na mnie wściekać. To ja zastałem cię w bibliotece z tym łajdakiem. I to po tym, jak dałaś mi słowo, że nie odejdiesz ode mnie na krok. Jesteś zbyt ufna, Caroline. To dlatego zawsze wpadasz po uszy w kłopoty, z którymi nie potrafisz sobie później poradzić.

- Nic nie pokręciłam. - Caroline odwróciła się na łóżku i wpatrywała się teraz w jego plecy. - Nareszcie wszystko zrozumiałam. To ty chciałeś, żebyśmy mieli osobne sypialnie. A to jest mój pokój, więc się z niego wynoś. Nie chcę, byś spał koło mnie. Nie pozwolę na to.

- Nie pozwolisz?! Ty mi nie pozwolisz?! - Jego ryk uciszył Caroline. Odwrócił się do niej, pokazując wreszcie całą swoją wściekłość, lecz jej to już nic nie obchodziło. - Nikt nigdy nie śmiał odezwać się tak do mnie! Nikt, rozumiesz, Caroline? To ja jestem tym, który na cokolwiek pozwala w tym związku! Nie ty!

Podszedł do łóżka zdejmując po drodze koszulę. Caroline przekręciła się i leżała teraz na brzuchu. Czowała, jak odsunął kołdrę, i usłyszała, jak łóżko skrzypi pod jego ciężarem, gdy ułożył się obok. Ściągnął z niej koszulkę. Najpierw obsunął ją z ramion, potem z bioder, a na koniec zsunął z jej nóg. Caroline nie poruszyła się i tylko drobne napięcie mięśni tuż pod skórą świadczyło, że cokolwiek poczuła.

Wstrzymując oddech w piersi czekała na atak, który nie nadszedł. Zamiast tego poczuła wargi Bradforda delikatnie muskające jej kark.

- Nie życzę sobie, żebyś mnie dotykał - szepnęła w poduszkę.

- Nic z tego, żono. To, czego ty sobie życzysz, jest bez znaczenia. - Głos

Bradforda zabrzmiał bardzo stanowczo.

Caroline przekręciła się na łóżku z taką siłą, że odepchnęła go na bok. Jej twarz znajdowała się zaledwie parę centymetrów od jego twarzy. Patrzyli sobie nawzajem w oczy przez długą chwilę, pozwalając swobodnie płynąć nagromadzonej w nich wściekłości. Caroline odezwała się pierwsza, zmuszając się do zachowania spokoju.

- Być może dla księcia Bradford to, czego ja sobie życzę, jest bez znaczenia, ale w tym łożu małżeńskim twoja władza i twoje pieniądze nic nie znaczą. W tym łożku jesteś moim mężem. Cały świat może być pod władzą księcia Bradford, ale ja nigdy nie będę pod władzą mojego męża. Nigdy! Naucz się oddzielać człowieka od tytułu, bo przysięgam, że to jedyny sposób, by to małżeństwo przetrwało. - Widząc zdziwione spojrzenie Bradforda, miała ochotę wykrzyknąć mu to, byleby tylko zrozumiał. - Zostaw za drzwiami zazdrość i złość wraz ze swoją arogancją. Przyjdź do mnie jako Jered Marcus Benton.

Ostatnie życzenie wypowiedziała szeptem i znowu odwróciła się do niego plecami. Wiedziała, że on nadal nie rozumie, o co jej chodzi, i serce pękało jej z żalu.

Bradford pomyślał, że to, o co go prosi, jest niemożliwe. Mówiła do niego zagadkami, a on nie miał cierpliwości, by je rozwiązywać. On był księciem Bradford! Nie można oddzielić tytułu od człowieka. Do diabła! Czyżby ona nie zdawała sobie sprawy, że tytuł to jego druga skóra? Czyżby chciała pozbawić go wszystkiego, co składało się na jego wartość?

Niepokojąca niepewność zaczęła wkradać się do jego umysłu. A może ona chciała go pozbawić poczucia bezpieczeństwa wobec świata? A jeżeli jej się to uda? Co wtedy mu pozostanie?

Żądała od niego zbyt wiele. Sama nie wiedziała, czego chce. Odrzucała jego władzę, majątek i pozycję, a przecież właśnie dla nich go poślubiła. Czy może jednak nie? Może jednak kochała Jereda Marcusa Bentona, człowieka?

Bradford potrząsnął głową, starając się pozbyć natrętnych myśli. Boże,

przez nią w jego głowie huczało jak w ulu! Po raz pierwszy od śmierci ojca i brata poczuł się bezradny. Nie podobało mu się to.

To ona wywołała zamęt w jego głowie, a on nie był jeszcze gotowy na uporanie się z wyzwaniem, które mu rzuciła, i ze zmianami, o które prosiła. Wiedział tylko, że jej pragnie, teraz, w tej chwili. Ale pragnął jej chętniej... kochającej... i równie rozamiętnionej.

Caroline zacisnęła powieki w nieudanej próbie powstrzymania łez. Słyszała, jak Bradford wyciąga się obok, i poczuła jego muskularne uda tuż przy swoich nogach. Ze zdumieniem stwierdziła, że gładzi jej plecy. Był tak delikatny, że sama nie wiedziała już, co czuje. Jego ciepły oddech na plecach wywoływał dreszcz. Jego palce powoli przebiegły po kręgosłupie, aż do miejsca, w którym się kończył. Zawahały się na ułamek sekundy, po czym zaczęły delikatnie gładzić wzbierające między jej udami ciepło.

Dziewczyna wyczuła w nim zmianę. Wiedziała, że uszła już z niego cała złość, i odpowiedziała na pieszczotę. Najpierw miała ochotę walczyć ze zmysłową rozkoszą, którą jej narzucał. Jednak potem musiała przyznać, że on nic jej nie narzuca.

Jego usta znaczyły gorący ślad w dół jej kręgosłupa, podczas gdy palce nadal czarowały, sprawiały, że była coraz bardziej wilgotna i rozpalona z pożądania. Zacisnęła dłonie na prześcieradle, gdy on nie przestawał wzniecać w niej rozkoszy, i potem nie była już w stanie zapanować nad targającymi nią dreszczami.

Jego palce wciąż w nią wchodziły, aż pomyślała, że zaraz postrada zmysły z nadmiaru rozkoszy. Wyprężyła się w jego stronę, usiłując znaleźć spełnienie, i wyjęczała jego imię, prosząc i żądając zarazem.

Bradford przesunął się i uklęknął między jej nogami.

- Chcę, byś mi powiedziała, jak bardzo tego pragniesz - zażądał ochryplym głosem. Chciał usłyszeć, że pragnie go równie mocno, jak on jej.

- Pragnę cię, Jered - szepnęła Caroline. - Proszę, teraz!

- A ja pragnę ciebie, Caroline - mruknął. Jego dłonie trzymały jej biodra i wszedł w nią jednym potężnym pchnięciem.

Zawołał do niej w zawierusze namiętności. Przyzywał ją łagodnymi, czuлыми słowami, jakimi kochankowie zwracają się do siebie. Błagał, by przyjęła to, co on jej dawał. Czekał na jej całkowite poddanie się, a gdy ponownie wykrzyknęła jego imię, podążył za nią w żar słońca, odnajdując spełnienie.

Opadł przy niej, tuląc ją do siebie. Jego policzek opierał się o czubek jej głowy, a dłoń gładziła ją po twarzy. Poczul łyzy na palcach i wyszeptał:

- Nie płacz, maleńka. Nie płacz.

Powtarzał to, dopóki się nie uspokoiła. Pozwoliła mu się pocieszać tak długo, aż zebrała dostatecznie dużo sił.

- Zawsze potrafisz sprawić, że cię pragnę - szepnęła. Jej głos brzmiał tak, jakby spowiadała się ze śmiertelnego grzechu.

Bradford nie odpowiedział od razu. Przykrył ich kocem, a potem przytulił ją do siebie z taką czułością, że Caroline znowu zaczęła płakać.

- Caroline, czy chcesz usłyszeć, jak mówię, że jest mi przykro? Kłamałbym - przyznał z westchnieniem. - Nie wziąłem cię siłą. Pragnęłaś mnie równie mocno, jak ja ciebie. - Potrząsnęła głową, zanim jeszcze skończył mówić. - Nie pragnęłaś mnie? - zapytał zaskoczony, że mogłaby mu skłamać. Zawsze była szczera, czasami nawet do granic przyzwoitości.

- To prawda, że cię pragnęłam - powiedziała w końcu dziewczyna. - Ale chciałabym usłyszeć, że jest ci przykro z powodu twojego zachowania na przyjęciu - wyjaśniła. Jej głos dobiegał stłumiony przez poduszkę i Bradford musiał się pochylić, by ją usłyszeć.

Pocałował ją w skroń.

- Przesadzasz - powiedział.

- Przesadzam? - Caroline nie mogła uwierzyć własnym uszom. - Omal nie zabiłeś dziś człowieka i patrzyłeś na mnie z tak potwornym wyrazem twarzy!

Chciałaś wierzyć, że jestem winna, prawda?

- Na miłość boską, znowu przesadzasz! - okazał zniecierpliwienie. Aż się w niej zagotowało. Nawet nie wiedział, jak bardzo ją zranił! Przecież szybko zrozumiałem, że się pomyliłem.

- Nie dość szybko! - warknęła Caroline. Usiadła pospiesznie na łóżku i spojrzała mu w oczy. - Dopóki mi nie zaufasz, to małżeństwo nie ma szans. Oczekuję od ciebie ślepego zaufania. Nawet jeżeli zastaniesz mnie w łóżku z dwoma mężczyznami, przed wydaniem wyroku najpierw zadasz pytania.

- Nie poślubiłaś idioty, Caroline - mruknął Bradford.

- Nie jestem tego taka pewna - odpowiedziała. Widziała złość zapalającą się w oczach męża, lecz mówiła dalej: - Głupiec nie zawraca sobie głowy, by zrozumieć przeciwnika. Ty zbyt pospiesznie mnie osądziłeś, a potem zaatakowałeś to, co cenię sobie najbardziej.

- A cóż to takiego? - Jego głos był przerażająco opanowany.

- Mój honor.

- Czy nasze małżeństwo jest dla ciebie polem bitwy? - zapytał Bradford. - Jesteśmy mężem i żoną, a nie przeciwnikami na wojnie.

- W tej chwili nie widzę różnicy - odparła. - Nasze małżeństwo niewiele będzie się różniło od wojny, dopóki nie przyznasz...

- Niczego nie przyznam. - W głosie Bradforda pojawiła się ostra nuta.

Ta rozmowa zaczynała przekraczać granice jego pojmowania. Coś, co powiedziała wcześniej, zastanowiło go i teraz starał się sobie przypomnieć, co to było. Przypomni to sobie wkrótce - pomyślał ziewając. Teraz chciał jedynie przytulić się do żony i zasnąć. Szukał argumentu, który zakończyłby dyskusję. - To ty będziesz musiała przyznać, że ja mam tutaj władzę. Chyba nie sugerujesz, że powinno być inaczej?

- Celowo udajesz, że mnie nie rozumiesz - powiedziała Caroline. - Dobrze wiesz, o co cię proszę. Albo mi zaufasz, albo...

- Być może z czasem, gdy mi udowodnisz, że jesteś tego warta - odparł

znowu ziewając. Dla niego temat był już wyczerpany i próbował przyciągnąć Caroline do siebie. Ona jednak wyrwała mu się i stanęła obok łóżka. Złapała narzutę i okryła się nią.

- Skończyłam już z udowadnianiem, ile jestem warta. Gdyby miało być tak, jak ty chcesz, drżałabym, gdyby ktokolwiek otworzył do mnie usta, bobym się bała, że znowu będziesz coś podejrzewał. Kiedy już się przekonasz, że nie jestem materialistką, którą obchodzą tylko dobra materialne, ani łajdaczką, która chce usidlić cały Londyn, może wtedy nasze życie zacznie być spokojne. Do tej pory możesz równie dobrze spać sam. I oby twoje przekłete podejrzewania cię ogrzały.

Wyszła z pokoju zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Satysfakcja nie trwała jednak długo i zanim Caroline zdążyła się ułożyć w łóżku Bradforda, znowu trzęsła się z wściekłości. Była przekonana, że zaraz przyjdzie po nią, każąc jej spać obok niego, i zdziwiła się, gdy tego nie uczynił.

Otworzył drzwi między sypialniami i stał patrząc na nią.

- Niech i tak będzie - powiedział zimnym głosem. - To jest moja sypialnia. Pozwalam ci spać w swoim pokoju, żono. A kiedy zdasz sobie sprawę z tego, jak głupio się zachowujesz, chętnie wysłucham twoich przeprosin.

Caroline nie odpowiedziała. Podniosła się z jego łóżka i poszła do swojej sypialni. Położyła się drżąc z zimna i płakała, dopóki nie zasnęła.

Jej ostatnią myślą było, że Bradford jest najbardziej upartym człowiekiem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi.

Bradford słyszał przez drzwi płacz żony. Już wstawał z łóżka, żeby do niej pójść, ale powstrzymał się. To był jej pomysł i to ona będzie musiała przyjść do niego.

Zamknął oczy i starał się o niczym nie myśleć. I właśnie gdy zasypiał, przypomniał sobie, co go gryzło. Zawołała go po imieniu. Gdy się kochali, powiedziała do niego: Jered. Zmarszczył brwi zastanawiając się, dlaczego to takie ważne.

Caroline sama nie wiedziała, jak udało jej się przebrnąć następne dwa dni. Ślub Charity stał się dla niej nie do zniesienia. Kuzynka była tak radosna, tak bardzo zakochana, że Caroline po raz pierwszy w życiu poczuła ukłucie zazdrości. Ukrywała więc swoje odczucia i grała rolę szczęśliwej małżonki, gdy tylko była zmuszona stawać u boku Bradforda.

Ilekcio pomyślała o swojej prawdziwej sytuacji małżeńskiej, czuła niepokonowaną tęsknotę za Bostonem i rodziną, która w nim pozostała. Osaczona w swej miłości do Bradforda, wiele razy myślała o tym, o ile lepiej byłoby dla niej, gdyby nigdy nie pokochała tego łotra.

Uroczystość była piękna i Caroline rozplakała się w trakcie przysięgi małżeńskiej, ku wielkiemu rozdrażnieniu męża. Wcisnął jej do ręki chusteczkę do nosa z tak głośnym sapnięciem, że była przekonana, iż wszyscy obecni w kościele je słyszeli.

Usiłując się pogodzić z faktem, że Bradford jest jej mężem i teraz już nie można na to poradzić, była jednocześnie zirytowana, że on przynajmniej nie próbuje ukryć swojego niezadowolenia. Och, zachowywał się poprawnie, był nawet zabawny i miły w czasie ceremonialnego składania życzeń. Tyle że przez większość czasu zupełnie ją ignorował.

Rachel i jej matka również były obecne na weselu. Zaskoczona tym Caroline powstrzymała się z komentarzem aż do chwili, gdy razem z Milfordem wracali powozem do domu.

- Nie rozumiem, dlaczego Rachel przyjęła zaproszenie na ten ślub - powiedziała. - Nie ukrywała, że mnie nienawidzi, a musiała wiedzieć, że będę dziś obecna.

- Obie, i matka, i córka, były zaproszone - zauważył Milford.

- Ale ona powiedziała mi tyle potworności! - Caroline potrząsnęła głową.

- Tak, ale tylko ty, Bradford, Nigel i ja o tym wiemy - odparł Milford. -

Poza tym jej matka nadal ma nadzieję usidlić twojego ojca.

- Usiłowałam odciągnąć ją na bok, by z nią porozmawiać - powiedziała Caroline. - Ale zachowywała się jak myszka. Za każdym razem, gdy się do niej zbliżałam, wciskała się w najdalszy kąt, by tylko mnie uniknąć.

- Wyglądała też jak myszka. - Milford wyszczerzył zęby. Bradford jednak wcale nie był rozbawiony.

- Nie życzę sobie, byś się zbliżała do tej kobiety - powiedział szorstko.

- Chciałam się tylko dowiedzieć, dlaczego aż tak bardzo mnie nie znosi - wyjaśniła. - Ona powiedziała, że wszystko jest moją winą. Uważam, że mam prawo się dowiedzieć, czym sobie zasłużyłam na taką nienawiść. Mogła mnie zabić spychając ze schodów u Claymere'ów.

- Dlaczego myślisz, że to ona cię zepchnęła? - zapytał Milford. Zadając to pytanie zerknął na przyjaciela, lecz ten nieznacznym ruchem głowy dał mu do zrozumienia, że lepiej nie kontynuować tematu. Milford zmarszczył brwi, po czym powiedział: - Pewno będziesz tęskniła za Charity, gdy wróci do Ameryki? - Było to idiotyczne pytanie, ale nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Co takiego? A, no tak, oczywiście, że będę za nią tęsknić. - Caroline zadumała się, zdziwiona jego pytaniem. - Myślałam, że może ja też odwiedzę rodzinę. Może na wiosnę pojedę tam na krótko.

Popatrzyła na Bradforda, żeby się przekonać, jak na to zareaguje, ale on tylko wyglądał przez okno. Zdawało się, że znowu ją zignoruje, gdy odezwał się niespodziewanie:

- Nigdzie nie pojedziesz!

Jego ton nie dopuszczał sprzeciwu, a Caroline była zbyt zmęczona długim dniem, by teraz się z nim kłócić.

Milford usiłował znaleźć inny, bezpieczniejszy temat. Napięcie w powozie było nieomal namacalne, co bardzo go krępowało.

- A jak czuje się twój wuj? - wypalił nagle. - Słyszałem, że nie za dobrze.

- Na szczęście to tylko przeziębienie - odparła Caroline. - Odwiedziliśmy go wczoraj. Ma czerwony nos i załzawione oczy, ale czuje się całkiem nieźle.

Lekarz powiedział, że wyzdrowieje za parę dni. Wuj bardzo przeżył to, że nie mógł być na ślubie Charity.

Właśnie wtedy zajechali pod dom i Caroline od razu poszła na górę, natomiast Bradford z przyjacielem udali się do biblioteki, by porozmawiać.

Niespokojnym krokiem przemierzała sypialnię przez ponad godzinę, zanim położyła się do łóżka. Nie znosiła nierównego materaca i wyładowała część złości waląc w niego pięściami. Była zrozpaczona rosnącą przepaścią między nią a Bradfordem i zaczynała wierzyć, że ich problemu nie uda się rozwiązać.

Drzwi do sypialni męża były otwarte i Caroline długo w nich stała, patrząc na szerokie, kuszące łóżko. Czy nie miała racji domagając się jego miłości? Czy to ona była zbyt uparta? A może to on miał rację - myślała dziewczyna. Może naprawdę żądała zbyt wiele?

- Nie mogę zadowolić się byle czym - szepnęła do siebie. W głębi serca wiedziała, że Bradford myli się w swoim rozumowaniu. Modląc się o wytrwałość, wróciła do swojego pokoju, zamykając drzwi łączące go z sypialnią męża. Położyła się w swoim zimnym i pustym łóżku i długo płakała, zanim zasnęła.

Nazajutrz rano Bradford oświadczył, że już nadszedł czas, by powrócić do Bradford Hills. Caroline nie sprzeczała się z nim, przyjmując wiadomość równie obojętnie, jak on ją przekazał.

Zaczynała go martwić niezyczliwa cisza panująca w domu. Polubił złośliwe poczucie humoru żony, tak samo jak polubił ich gwałtowne spory. Była światłą kobietą, która śledziła wydarzenia polityczne zarówno w Anglii, jak i w Ameryce, a jemu teraz zaczynało brakować ich gwałtownych dyskusji na temat różnic dzielących oba narody.

Szybko zadomowili się w wiejskiej rezydencji. Bradford był przekonany, że wkrótce samotność na tyle dokuczy dziewczynie, że sama zacznie szukać jego towarzystwa. Brakowało mu również jej fizycznej bliskości i niecierpliwie

czekał, aż poprosi go o wybaczenie i będą mogli powrócić do dawnej intymności.

Jednak z końcem tygodnia musiał przyznać, że nie docenił jej. Caroline nie wydawała się ani trochę samotna, a gdyby Bradford zastanowił się przez chwilę, zrozumiałby, że życie na wsi było dla niej o wiele ciekawsze niż wir spotkań towarzyskich w Londynie.

Ojciec Caroline nalegał, by zostawiła sobie oba araby, i co rano jeździła na jednym z nich, zawsze strzeżona przez dwóch wynajętych osiłków.

Interesy wywołały Bradforda do Londynu i w czasie pobytu w mieście zakupił kilka sztuk biżuterii. Najbardziej podobał mu się naszyjnik z rubinów i diamentów. Wysłał go przez umyślnego do Bradford Hills. Sam miał zamiar wrócić następnego dnia i spodziewał się jej pokornych podziękowań.

Naszyjnik został odwieziony przez tego samego posłańca jeszcze późnym wieczorem. Nie było żadnego listu, lecz zdyszany goniec powiedział, że księżna kazała mu zwrócić mężowi naszyjnik, jak tylko można najszybciej.

Bradford był zaskoczony, że nie chciała przyjąć od niego podarunku, ale pomyślał, że być może jej się nie spodobał. Wziął więc od jubilera kilka wzorów naszyjników, aby sama mogła dokonać wyboru. Zabrał też inne klejnoty, które dla niej kupił, a ponadto rozliczne materiały. Żadna kobieta nie była w stanie oprzeć się nowej sukni i Bradford był przekonany, że Caroline ugnie się pod tak widocznymi przejawami jego hojności.

Pomylił się w swoich rachubach i to rozgniewało go nawet bardziej niż odrzucenie przez żonę prezentów. Nie przyjęła ani jednego, a co więcej, wydawała się nimi obrażona. Te podarunki miały przypieczętować pojednanie, a ona była zbyt uparta, żeby przyjąć to do wiadomości! Każda kobieta z odrobiną oleju w głowie domyśliłaby się jego szczyrych intencji.

Późnym wieczorem doszło między nimi do starcia. Bradford przyznał, że nie rozumie jej zachowania, i wydawało się, że tylko jeszcze bardziej ją to rozwścieczyło.

- Kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie jestem podobna do innych kobiet, które znałeś? - zapytała stojąc do niego plecami i grzejąc sobie dłonie przed kominkiem. - Nie chcę twojej kosztownej biżuterii.

- Czyżby najlepsze rzeczy, jakie można posiadać, nie miały dla ciebie znaczenia? - zapytał Bradford niebezpiecznie spokojnym głosem.

Caroline, nadal odwrócona doń tyłem, nie widziała gniewu zapalającego się w jego oczach.

- Są rzeczy, na których zależy mi o wiele bardziej - odparła. Zawahała się, jak mu powiedzieć, że wolałaby dostać od niego miłość i zaufanie. Wiedziała, że gdy tylko poruszy ten temat, mąż przestanie jej słuchać, miała jednak nadzieję, że może jakoś uda się jej odnaleźć drogę do jego serca.

- Popełniłem duży błąd w postępowaniu z tobą. - Arogancja znów zabrzmiała w jego głosie. - Jutro spakujesz swoje rzeczy i przeprowadzisz się na drugi koniec majątku. Jest tam domek, pierwszy zbudowany przez moich przodków. Mówisz, że luksusy nic dla ciebie nie znaczą - dowiedz tego! Zobaczmy, ile czasu ci zajmie przyjęcie tej prawdy do wiadomości.

Caroline kiwnęła głową, starając się ukryć ból. Jak ma im się udać rozwiązać problemy, jeżeli nie będą nawet mieszkali razem?

- A czy ty zamieszkasz tam ze mną? - zapytała cichym głosem.

Bradford zobaczył strach w jej oczach i prawie się uśmiechnął. Uwierzył, że wreszcie znalazł na nią sposób.

- Nie - odpowiedział. - Ludzie, których wynająłem, by cię pilnowali, pojedą tam z tobą, a ja wrócę do Londynu. W przeciwieństwie do ciebie, moja droga żono, przyznaję, że lubię wygodne życie.

- A czy w czasie, gdy będziesz w Londynie, masz zamiar brać do swego łóżka inne kobiety? - zapytała bardzo spokojnie Caroline. Stała do niego tyłem, więc nie widział wyrazu jej twarzy.

Bradford był zupełnie zaskoczony tym pytaniem. Odkąd ją poznał, nie przyszło mu do głowy, by tknąć inną kobietę, i teraz nawet sama myśl o tym

napawała go odrazą. Zrozumiał, że ma w posiadaniu jeszcze jedną broń. Nie miał jednak serca jej teraz użyć.

- Nie.

Nie powiedział nic więcej i czekał na jej słowa.

- Dziękuję.

Ta spokojna odpowiedź znowu wytrąciła go z równowagi.

- Niby dlaczego? - zapytał. - Czy to dla ciebie takie ważne? Caroline podeszła i stanęła tuż przed nim. Opierał się o krawędź biurka.

- Ważne, bo cię kocham, Jeredzie Marcusie Benton - powiedziała patrząc mu prosto w oczy.

- Masz dziwne metody okazywania miłości - odparł. Ujął jej twarz w obie dłonie i przyciągnął ją do siebie. - Nie wyganiałem cię z mego łóżka, Caroline. Odeszłaś na własne życzenie.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Po prostu cały czas patrzyła mu w oczy, aż nie mógł znieść pokusy ani chwili dłużej. Jego wargi musnęły jej usta, a gdy nie próbowała mu się wyrwać, pocałował ją jeszcze raz, i jeszcze...

Wargi Caroline rozchyliły się pod naporem jego ust, a jej ramiona instynktownie go objęły. Nie hamowała się, dając mu odczuć całą swoją miłość i całą tęsknotę.

Język Bradforda delikatnie gładził słodkie wnętrza, które mu ofiarowywała, i za każdym dotknięciem rozniecał jej pożądanie. Pocałunek nabrał innego wyrazu, nie był już tak łagodny i czuły jak na początku. Szal opadł z jej ramion, gdy Bradford gwałtownie przyciągnął ją do siebie.

Nie chciała, by pocałunek kiedykolwiek się skończył, i gdy Bradford oderwał usta od jej warg i zaczął pieścić jej szyję, westchnęła z mieszaniną rozkoszy i narastającej frustracji.

- Dzisiaj będziesz moja - powiedział. Pocałował ją znowu, długo i namiętnie, tak by zapomniała o wszelkim oporze. Potem chwycił ją w ramiona i zaniósł do sypialni. - Nie masz nic przeciw temu, żono? - zapytał, gdy już

zamknął drzwi i odwrócił się do niej.

Powoli potrząsnęła głową.

Bradford znowu ją całował, rozbierając powoli. Potem sam zdjął ubranie i zdziwił się, gdy Caroline uklękła przed nim, by pomóc mu zdjąć buty.

Zdawała się uprzedzać dziś wszystkie jego życzenia i na chwilę zmarszczył brwi, zdziwiony nagłą zmianą.

Caroline podniosła się i podeszła do łóżka. Bradford obserwując ją myślał, że była najpiękniejszą i najbardziej niewinną w swej zmysłowości kobietą, jaką znał. A potem już przestał myśleć.

Dwie świece paliły się po obu stronach łóżka, ale nie zdmuchnął ich jak zwykle, chcąc widzieć Caroline podczas miłosnych zmaganiań.

Odrzucił kołdrę i usiadł po swojej stronie łóżka. Chciał przedłużyć moment oczekiwania, ale gdy tylko wziął ją w ramiona i poczuł miękkość jej skóry, wiedział, że nie może się już dłużej powstrzymać. Pocałował ją nieomal dziko, ze wzrastającą potrzebą, którą tylko ona mogła zaspokoić.

Nie mógł być delikatny tej nocy; to było ponad jego siły, a i Caroline, której namiętność dorównywała jego, nie chciała długich pieszczot. Wbiła mu paznokcie w plecy, biodra zaś wypchnęła do przodu, domagając się spełnienia.

Bradford wszedł w nią mocno. Wydała stłumiony jęk, a on natychmiast zastygł z bezruchu.

- Caroline, nie chcę cię zranić - szepnął.

Zaczaj się wycofywać, ale ona wygięła się i zatrzymała go w sobie, wbijając paznokcie w jego biodra.

- Nie przerywaj, Bradford, proszę - jęknęła.

Ujął jej twarz w obie dłonie i patrzył, jak wzbiera w niej rozkosz. Jej oczy pociemniały, a gdy przyspieszył rytm, jęknęła głucho. Ten dźwięk wdarł się w jego duszę, porywając go w sam środek burzy.

Znalazł wyzwolenie, poczuwszy, jak ona tężeje pod nim i spełnia się w dzikiej namiętności. Potem opadł na nią, zaspokojony i szczęśliwy.

Caroline, wsłuchana w gwałtowne bicie jego serca, westchnęła z zadowoleniem. Czekwała, aż powie, że ją kocha, jednak z każdą mijającą sekundą jej zadowolenie topniało.

Bradford przekręcił się na bok i wziął ją w ramiona.

- Zdaje się, że to jedyne miejsce, gdzie się nie kłócimy - szepnął.

- Czy w Chatce Bradforda są wygodne łóżka? - Jej spokojne pytanie powiedziało mu, że nic się nie zmieniło.

Nie pozwolił jej zatriumfować.

- Część nie jest w ogóle umeblowana. Boże, Caroline, ależ ty jesteś uparta! Po prostu przyznaj, że należysz do mnie, i będziesz mogła tu zostać.

- Nigdy nie mówiłam, że nie należę do ciebie - powiedziała zaskoczona jego interpretacją. - Dobrze wiesz, dlaczego się kłócimy. Dopóki nie zrozumiesz, że...

- Możesz wziąć z domu, co chcesz - przerwał jej Bradford. Nie miał zamiaru ustąpić ani na krok.

Ta uwaga po raz kolejny uświadomiła Caroline, jaki był nieugięty.

- Dlaczego posyłasz ze mną strażników? - zapytała zmieniając temat. - Przecież wiem, że rozmawiałeś z Rachel.

Chciała się podnieść, by zobaczyć wyraz jego twarzy, on jednak przytulił ją mocno do siebie, nie zwracając uwagi na jej szarpaninę.

- To nie Rachel jest odpowiedzialna za to wszystko. Ona nie wyszła poza groźby.

- Czy jesteś tego pewien? - Caroline udało się mu wyrwać i usiadła teraz wyprostowana.

Bradford patrzył na nią z zachwytem. Gęste, kręcone włosy okalały jej twarz i szczupłą szyję. Czubki jej piersi wystawały kusząco spod kołdry, którą się okryła.

- Bradford, zapytałam, czy jesteś tego pewien? - powtórzyła dziewczyna.

- Jestem pewien. - Z niejakim wysiłkiem skupił się znów na rozmowie.

- Wiesz, myślę, że masz do tego wyjątkowo spokojne podejście - powiedziała z westchnieniem. - Gdyby ktoś usiłował ciebie skrzywdzić, przetrząsnęłabym cały Londyn w jego poszukiwaniu, a ty wydajesz się po prostu znudzony!

- Obiecałem, że zajmę się wszystkim - odparł. - Nie musisz wiedzieć nic więcej. To moje zmartwienie, nie twoje.

- Nie, Bradford, to jest nasze zmartwienie. Westchnął słysząc tę uwagę.

- Rachel uważa, że to ty jesteś odpowiedzialna za namówienie ojca, by nie poślubił jej matki. Miała już plany co do jego pieniędzy, a ty je popsulaś.

- Dlaczego miałyby tak myśleć? - Caroline nie mogła zrozumieć.

Bradford zdecydował się wreszcie powiedzieć prawdę.

- Bo on jej tak powiedział.

- Czemu miałyby to zrobić?

- Caroline, twój ojciec był pod presją i posłużył się tobą jako wymówką. Zbyt trudne dla niego było powiedzieć lady Tillman, że po prostu nie chce jej poślubić. Wybrał więc najprostsze wyjście.

Caroline potrząsnęła głową, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała.

- To by było tchórzostwem z jego strony!

- W większości przypadków, owszem. - Bradford przyciągnął ją do siebie.

- Ale twój ojciec to zupełnie inna sprawa. Żył w swoim własnym światku tak długo...

- Czternaście lat - wtrąciła Caroline.

- Nie bardzo wie, jak się postępuje z ludźmi pokroju Tillmanów. Ona już wyciągała szpony, by go usidlić, więc wybrał jedyną drogę ucieczki, jaka przyszła mu do głowy.

- Bał się być z nią szczery? Czy to właśnie usiłujesz mi powiedzieć? - zapytała.

- On już jest stary - westchnął Bradford. - Ma już swoje wydeptane ścieżki. Myśl raczej, że był zaskoczony, a niewystraszonej.

- Ale był przerażony czternaście lat temu, gdy odesłał mnie do swojego brata do Bostonu. Jestem tego pewna.

- Wtedy dopiero co stracił żonę i nowo narodzonego syna, Caroline. Mógł być załamany.

Ledwo słuchała jego dalszych tłumaczeń. Zdała sobie sprawę, że on broni zachowania papy. Zamiast przyznać otwarcie, że postąpił jak tchórz, upierał się, że było dokładnie na odwrót. Był nie tylko wyrozumiały, ale i współczujący.

Dlaczego więc nie mógł być bardziej wyrozumiały dla niej? Dlaczego nie mógł ugiąć się dla niej choć odrobinę? Na sercu nosił grubą tarczę chroniącą go przed wszystkimi, a ona nie wiedziała, jak się przez nią przebić.

Bradford zamilkł, a jego spokojny, miarowy oddech sugerował, że już zasnął. Próbowwała się od niego odsunąć, lecz jego ramię zacisnęło się na niej.

Zamknęła oczy, ale jeszcze długo nie mogła zasnąć. W jej umyśle kotłowały się pytania i decyzje. Wiedziała, że znaczy dla swojego męża więcej, niż on sam przed sobą przyznawał. Być może tylko kwestią czasu było wyznanie jej miłości? Ale czy razem z miłością przyjdzie też zaufanie?

Caroline naprawdę sama nie wiedziała. Nazwała go swoim przeciwnikiem w walce o wzajemne zrozumienie. Pamiętała, jak mu powiedziała, że w ogóle jej nie zna. Bradford sam to udowodnił, starając się drogimi klejnotami kupić jej wybaczenie. Być może kobietom, które znał w przeszłości, to by wystarczyło, ale nie jej. Ona nadal chciała więcej. Chciała zerwać tę przeklętą tarczę z jego serca. Chciała dostać wszystko albo nic.

Słuchając w zdumieniu jego obrony papy, zrozumiała, że sama też popełniła poważny błąd. Nigdy nie zastanawiała się nad jego charakterem, nad tym, co tkwiło pod warstwą cynizmu. Czyniła mu tylko wyrzuty, że traktuje ją jak wszystkie inne kobiety. A sama też go nie знаła. Nie znała swojego przeciwnika.

Caroline postanowiła jeszcze raz uderzyć w jego tarczę i modliła się gorąco. Być może nie uda się jej rozbić, lecz była pewna, że będzie w stanie

choć trochę ją porysować.

Zanim Bradford się obudził, Caroline już wstała, ubrała się i zaczęła pakować swoje rzeczy. Gdy tylko to zobaczył, wrócił mu gniew.

- Co za bzdura! - mruknął pod nosem.

Caroline skończyła składać koszulę i rzuciła ją na łóżko.

- Zgadzasz się z tobą - podeszła do męża, który stał w drzwiach między ich pokojami, i wspiąwszy się na palce, pocałowała go w policzek. - Nie chcę się stąd wyprowadzać. Jeżeli tylko obiecasz, że będziesz mi bezwzględnie ufał, natychmiast się rozpakuję.

- Caroline, nie rozbudziłem się jeszcze na tyle, by się z tobą kłócić. Moim obowiązkiem jest chronić cię, zarówno przed niebezpieczeństwami z zewnątrz, jak i przed tobą samą. Nie muszę niczego obiecywać, jeżeli widzę, że nie masz możliwości nabroić.

- Znowu mnie obrażasz, Bradford - odrzekła. - Ale tym razem ci wybaczę. Po prostu nie wiesz, co mówisz.

Odwróciła się od niego i znów wzięła się do pakowania, czując piekące łzy pod powiekami.

Bradford miał już dość tego, że wciąż próbowała nim manipulować. Natychmiast kazałby jej się rozpakować, gdyby nie dwa motywy nakazujące mu ją odesłać. Po pierwsze, jej ochrona. Chciał mieć pewność, że gdy zacznie zastawiać pułapkę na wroga, żona będzie bezpieczna. Chatka Bradforda, wbrew niewinnie brzmiącej nazwie, była nieomal fortecą; została zbudowana jeszcze w średniowieczu i nadawała się do obrony o wiele lepiej niż Bradford Hills. Każdy, kto by się zbliżał, byłby widoczny z odległości mili. Pośle z Caroline dwóch strażników. Trzech już od kilku dni urzędowało w fortecy.

Drugim powodem, choć znacznie mniej ważnym, było pokazanie Caroline, kto tu naprawdę rządzi. Miał zamiar dać jej porządną nauczkę. Był pewny, że po tygodniu odosobnienia zapragnie wrócić do luksusów, które jej zapewniał.

Miała jeszcze czelność pocałować go na do widzenia! Zegnali się na marmurowych schodach Bradford Hills. Bradford sądził, że wygląda na bardzo zawziętego, lecz równocześnie zdawał sobie sprawę, że żona ma minę, jakby wybierała się na podbój świata.

Już chciał jej przypomnieć, że ma to być nie przygoda, tylko kara, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Gdy zobaczy Chatkę Bradforda, sama zmieni swoje podejście.

- Caroline, masz tam zostać cały tydzień bez względu na okoliczności. Czy to jasne?

Dziewczyna przytaknęła i odwróciła się, by odejść, ale Bradford powstrzymał ją, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Najpierw dasz mi na to słowo. Nie opuścisz posiadłości przez cały tydzień bez względu na okoliczności, bez względu na...

- Dlaczego?

- Nie muszę ci się tłumaczyć - mruknął Bradford. - Daj mi swoje słowo, Caroline.

Ścisnął jej ramię tak mocno, że była pewna, iż siniaki nie znikną przez najbliższy tydzień.

- Masz moje słowo, Bradford.

- A gdy po tygodniu zdecydujesz się wrócić, by zająć swoje miejsce przy moim boku, będę oczekiwał przeprosin.

Caroline wyrwała ramię z jego uchwytu i poszła w stronę powozu.

- Nie marszcz się tak, Bradford. Przecież dałam ci moje słowo. - Wsiadała już do powozu, lecz nagle odwróciła się. - Oczywiście będziesz musiał zaufać, że go dotrzymam!

Nie mogła się powstrzymać przed tą ostatnią złośliwością i szczerze się uradowała na widok zaskoczonej twarzy męża. Jednak im bardziej zwiększała się odległość między nimi, tym radość była mniejsza. Podróż do Chatki Bradforda zajęła ponad cztery godziny. Licząc mijane wzgórza, Caroline

modliła się, aby jej nowe miejsce zamieszkania okazało się rzeczywiście tymczasowe. Może ta rozłąka będzie warta bólu? Może on zatęskni za nią wystarczająco, by zdać sobie sprawę, że ją kocha?

Próżne nadzieje - pomyślała, gdy w końcu jej oczom ukazała się Chatka Bradforda. Była naprawdę podobna do twierdzy. Wyglądała zimno i przytłaczająco na szczycie nagiego wzgórza. Wokół nie wyrastało ani jednego drzewo i nic nie łagodziło ponurego krajobrazu.

Bliższe spojrzenie na nowy dom wcale nie dodało mu uroku. Potężny, piętrowy budynek został zbudowany z szarego kamienia i prawdopodobnie tylko dlatego jeszcze się nie rozpadł.

- Dobry Boże, brakuje tu tylko fosy i mchu na murach - mruknęła do siebie Caroline.

Mary Margaret szła obok swojej pani w milczeniu aż do frontowych drzwi.

- Nie musisz tu ze mną zostawać - powiedziała do niej Caroline. - Zrozumiem, jeżeli będziesz chciała wrócić do Bradford Hills.

- Mamy W sporo roboty - odparła dziewczyna. Caroline odwróciła się i zobaczyła wesołe dołeczki w jej policzkach. - Nie znam powodów pani wyjazdu, ale bardziej przydam się pani niż jej mężowi. Poza tym obiecałam księciu, że się panią zaopiekuję.

- Cóż, w takim razie zobaczymy, co nas czeka w środku - powiedziała Caroline z westchnieniem.

Drzwi były zamknięte i Huggins niemało się natrudził, zanim je w końcu otworzył. Spaczone przez wilgoć i czas, zaskrzypiały żałośnie.

Hall był bardzo ciemny i ponury, miał kamienną podłogę i otynkowane ściany, pokryte grubą warstwą brudu. Na piętro wiodły kręte schody, ich poręcz jednak była powyginana i odstawała tak bardzo, że wydawało się, iż zaraz odpadnie.

Po prawej stronie była jadalnia. Caroline podeszła do stołu stojącego na

środku ciemnego pokoju i przesunęła palcami po grubej warstwie kurzu. Potem popatrzyła na okna przesłonięte ciężkimi zasłonami w kolorze burgunda, które teraz były zszarzałe od kurzu i starości.

Powoli wróciła do drzwi wejściowych. Naprzeciw jadalni był salon i przez moment Caroline pomyślała, że plan tego domu jest bardzo podobny do planu domu miejskiego jej ojca. Jednak na tym podobieństwo się kończyło.

Salon był oddzielony od korytarza oszklonymi drzwiami, które najwyraźniej wstawiono długo po tym, jak sam dom został wybudowany. Caroline odsunęła je i zeszła na dół po trzech stopniach.

- Staram się sobie wyobrazić, jak to wszystko będzie wyglądało, gdy już zrobimy tu porządek - powiedziała do pokojówki, która cały czas podążała za nią.

Pokój był bardzo przestronny. Na przeciwległej do drzwi ścianie był duży kominek, po prawej stronie dwa ogromne okna i drzwi prowadzące na zewnątrz.

Caroline podeszła do nich, nic jednak nie mogła zobaczyć przez zmatowiałą szybę. Gdy wreszcie udało się jej je otworzyć, zobaczyła kamienną dróżkę.

- Wiosną ten pokój z pewnością wygląda uroczo - zauważyła. - Gdyby zasadzić roślinki w ogrodzie...

- Chyba nie zamierza pani zostać tu aż tak długo? - Mary Margaret nie potrafiła ukryć przerażenia w głosie.

Caroline nie odpowiedziała. Zadrzała z zimna, gdy powiał wiatr, i szybko zamknęła drzwi. Kurz wokół niej zawirował, a gdy już opadł, powoli wróciła do schodków.

Usiadła na nich, a jej ramiona opadły w geście rozpacz. Boże, miesiące zajmie doprowadzenie tego miejsca do stanu używalności! Bradford był tak pewny, że gdy tylko jej tygodniowa kara się skończy, natychmiast wróci do niego! Teraz Caroline nareszcie zrozumiała dlaczego.

- Czy chce już pani wrócić do domu? - W głosie Mary Margaret brzmiała

nadzieja, lecz jej pani potrząsnęła głową.

- Porządki zaczniemy od sypialni. To znaczy, jeżeli się nie pozabijamy na tych schodach.

Drugi ze strażników, olbrzym imieniem Tom, usłyszał uwagę dziewczyny i pospiesznie sprawdził stabilność schodów.

- Są równie dobre jak w dniu, w którym je zbudowano - zapewnił. - Jedynie poręcz potrzebuje paru gwoździ.

To nieomal dodało dziewczynie skrzydeł.

- Bardzo szybko doprowadzimy to miejsce do porządku - powiedziała z entuzjazmem, na co Mary Margaret przewróciła oczami.

- Posprzątanie jednego pokoju będzie trwało kilka tygodni.

- Nie, jeżeli najmiemy kogoś do pomocy, moja droga Mary Margaret. Będziesz musiała pójść do tej wioski, którą mijaliśmy po drodze, i nająć pomocników. I kucharza.

Caroline zrobiła listę niezbędnych rzeczy i posłała pokojówkę do wioski. Mimo to przechwałki, że dom zostanie posprzątany w krótkim czasie, były tylko przechwałkami. Prace trwały cały tydzień, i to od świtu do zmierzchu.

Zmiana wypadła imponująco. Ściany nie były już brudnobrązowego koloru, lecz błyszcząły bielą, a podłogi w pokojach lśniły od pasty.

Meble, zgromadzone na strychu, a teraz zniesione na dół, nadały salonowi przytulny i miły wygląd. Caroline znalazła gdzieś pękaty piecyk na krótkich nóżkach i postawiła go w rogu pokoju; gdy drzwi na korytarz były zamknięte, w salonie robiło się całkiem ciepło.

Lecz z upływem czasu Caroline była coraz bardziej niespokojna. Spodziewała się zobaczyć Bradforda na schodach najpóźniej pod koniec tygodnia, jednak czekała na próżno. On nie przyjeżdżał, a ona cały czas czekała. Musiał minąć kolejny tydzień, by prawda w pełni do niej dotarła.

Co noc przed zaśnięciem długo płakała, przeklinając siebie, Bradforda i niesprawiedliwość losu w szczególności. W końcu postanowiła się poddać.

Powiedziała Mary Margaret, że wróci do Bradford Hills następnego dnia.

Stała przed kominkiem w salonie zastanawiając się, co powie Bradfordowi. Nie miała zamiaru go przeproszać, a wiedziała, że jeżeli wróci i po prostu zajmie swoje miejsce u jego boku, on będzie triumfował. Musi znaleźć jakiś sposób, aby powiedzieć mu, co się działo w jej duszy.

Potrząsnęła głową, zdając sobie sprawę, że on na pewno znowu wyciągnie niewłaściwe wnioski i pomyśli, że wróciła, bo zatęskniła za wygodami, a nie za nim. To ukłuło boleśnie jej dumę i cała aż się sprężyła. Lecz cóż przychodziło jej z ideałów, jeżeli była sama? Cóż znaczyła duma? Tak często powtarzała, że nie zadowoli się niepełnym szczęściem, a teraz zdała sobie sprawę, że lepsze było niepełne niż żadne.

Mary Margaret otworzyła drzwi i oznajmiła, że hrabia Milfordhurst chce się z nią widzieć.

- Wprowadź go! - zawołała z uśmiechem Caroline.

Milford stanął w drzwiach i wyszczerzył zęby. Mary Margaret pomogła mu zdjąć ciężkie zimowe palto, a potem cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Jesteś moim pierwszym gościem, Milford - powiedziała Caroline. Podeszła do niego, uścisnęła jego dłonie i impulsywnie pocałowała go w policzek. - Boże, ależ ty jesteś zimny! Stań przy ogniu i rozgrzej się. Cóż cię tu sprowadza?

- Chciałem się tylko przywitać - skłamał Milford.

- Przejechałeś całą drogę z Londynu aż tu, by się przywitać?

- W głosie Caroline było wyraźne niedowierzenie.

Milford popatrzył na nią, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Ujął jej ręce w swoje, poprowadził ją na kanapę i usiadł obok.

- Straciłaś na wadze - zauważył mimochodem. - Caroline, mam zamiar znowu się wtrącić w twoje sprawy i chcę, żebyś mnie wysłuchała. Brad się nie wycofa. Jego duma zbyt wiele dla niego znaczy i im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej dla was obojga.

- Wiem.

- Wiesz? Więc w takim razie dlaczego... - Jej stwierdzenie wytrąciło go z równowagi. - Cóż, wyjątkowo łatwo mi poszło. Chodź, Caroline. Wróc ze mną jeszcze dziś do Bradford Hills.

- Czy Bradford tam jest? Myślałam, że przebywa w Londynie - zdziwiła się Caroline.

- Nie, w drodze do ciebie zatrzymałem się u niego - wyjaśnił Milford. - Ale ma zamiar wracać jutro do miasta. Nie musisz się pakować, po prostu jedź ze mną.

Caroline uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Milford, czy podoba ci się ten pokój?

Już chciał się z nią kłócić, lecz spokojnie postawione pytanie znowu wytrąciło go z równowagi.

- Co takiego? Pokój? - zapytał oszołomiony. Rozejrzył się wokół. - Tak, podoba mi się. Dlaczego pytasz?

- Chciałabym, żeby Bradford też go zobaczył - wyjaśniła. - Może być dla niego za mały, ale jest miły i przytulny, i... to mój dom. Myślałam, że jeżeli on go zobaczy, to może wtedy...

- Caroline, o czym ty mówisz? Przecież przed chwilą ci wyjaśniłem, że Bradford się nie wycofa!

- Ależ nie będzie musiał - odparła. - Poślę do niego list z prośbą, by przyjechał tu po mnie.

- Caroline, czy ty aby nie usiłujesz wystrychnąć mnie na dudka? Potrząsnęła głową, a on przyglądał się jej uważnie przez długą chwilę, zanim uznał, że mówi prawdę.

- Więc pisz ten swój list - powiedział. - Boże, jaka ty jesteś uparta! Już się nie dziwię, że Brad cię poślubił. Dobraliście się jak w korcu maku! Jesteście bardzo do siebie podobni, wiesz?

- Wcale nie jesteśmy do siebie podobni - odrzekła Caroline. - Ja jestem

cicha i nieśmiała, a mój mąż jest wyjątkowo cyniczny i uparty. Ja jestem bardzo spokojna, a on to niepoprawny pieniacz i krzykacz.

- Więc ty jesteś święta, a on jest grzesznikiem? - zachichotał Milford.

Caroline nie odpowiedziała na zaczepkę. Zamiast tego spytała:

- Czy przenocujesz tu przed powrotem do Londynu? Czy może byłoby to niewłaściwe?

- Byłoby właściwe. - Uśmiechnął się do niej. - Masz wystarczająco wielu strażników chroniących twojej czci.

Zjedli razem kolację i rozmawiali na wiele tematów. Milford opowiedział jej, jak poznał Bradforda. Opowiedział także o paru przeraźliwych żartach, którymi razem gnębili rodziców, i Caroline śmiała się do łez.

- Co go tak zmieniło, Milford? Co zamieniło go w takiego okropnego cynika?

- Obowiązki zmusiły go, by dorósł przedwcześnie - powiedział Milford dolewając sobie wina i pociągając duży łyk. - Gdy żył ojciec Bradforda i jego starszy brat, on sam pozostawał w cieniu. Rodzicom nie starczało miłości dla dwóch synów, więc wszystkie uczucia oddali przyszłemu dziedzicowi majątku i tytułu. Brad był wtedy dziki i nieokiełznany. Zakochał się w kobiecie o imieniu Wiktoria. Wtedy niewiele jeszcze wiedział o kobietach.

- Nigdy o tym mi nie wspominał. - Caroline prawie wypuściła z rąk kieliszek. - Naprawdę był kiedyś zakochany? Kim była Wiktoria? Czy jeszcze żyje? Co się stało? Niech go diabli, że mi nic nie powiedział! - Wyrzuciła to wszystko z siebie z niesamowitą prędkością. Sama myśl, że Bradford, jej Bradford, mógł być zakochany w kimś innym, była nie do zniesienia.

Milford tylko machnął ręką, by ją uciszyć.

- Jak już powiedziałem, Brad był wtedy bardzo młody, a Wiktoria zdawała się czysta jak śnieg. W istocie była najgorszą łajdaczką, jaką można sobie wyobrazić, i wiedzieli o tym wszyscy oprócz niego. Gdy powiedział rodzicom i bratu, że ma zamiar ją poślubić, wywołał burzę! Brat Brada był

równie podstępny jak Wiktoria i pomyślał, że będzie niezłą zabawą dać młodszemu braciszкови lekcję prawdziwego życia. Chciał mu pokazać, jaka w istocie jest Wiktoria. Wziął więc kobietę do swego łóżka, a ponieważ wszystko było ukartowane, Brad wszedł oczywiście w odpowiedniej chwili.

- Dlaczego nie powiedział mu po prostu, że Wiktoria go oszukuje? Dlaczego postąpił tak okrutnie? - zapytała Caroline. Historia zaskoczyła ją i teraz współczucie dla męża ścisnęło jej serce.

- Chciał ośmieszyć Brada - odparł Milford. - Niezłe zapłacił Wiktorii za całe przedstawienie. Caroline, poznałaś matkę Brada. Choć lata samotności ją zmiękczyły, nadal pozostała zimna jak gład, a jego ojciec nie był lepszy. W dwa tygodnie po całej aferze ojciec i brat zginęli w wypadku. Ich powóz się przewrócił. Od tego czasu księżna ma tylko Bradforda za całą rodzinę, ale było już za późno. Sama widziałaś, jak on ją traktuje; jak kogoś obcego. Ale to wyłącznie jej wina. Od tamtej pory jedynymi kobietami, z jakimi Bradford się zadawał, były... profesjonalistki, że się tak wyrażę. A potem poznał fioletowooką niewinną panienkę z Ameryki, która wywróciła jego ustalony świat do góry nogami. - Milford uniósł kieliszek w toaście i uśmiechnął się do niej.

- A co się stało z Wiktoria? - zapytała Caroline.

- Zapewne kona gdzieś na syfilis. Nie bądź taka przerażona, Caroline. Brad nigdy nie wziął jej do łóżka - zachichotał Milford. - Nikt od lat jej nie widział ani o niej nie słyszał.

- Opowiadasz mi to wszystko, bo chcesz, żebym miała do niego cierpliwość - powiedziała spokojnie, co wcale nie zaskoczyło gościa. - Jesteś dobrym przyjacielem, Milford. Wiesz co? Kocham go, ale to wcale nie jest proste. Zresztą powody są nieważne. Co było, to było. Bradford utknął u mego boku, a ja nie zamierzam się poddać.

- Nie zamierzasz się poddać? - powtórzył Milford nic nie rozumiejąc.

- Mam zamiar nadal walczyć z jego cynizmem - odparła Caroline wstając.

- Jest już późno i pewno jesteś zmęczony. Ale jeżeli chcesz, moglibyśmy zagrać w karty.

Milford podążył za nią do wyjścia. Był rzeczywiście bardzo zmęczony, a propozycja wista czy faraona wcale go nie zachwycała, pomyślał jednak, że Caroline była tu sama zbyt długo. Jakoś przeżyje tę grę.

- Co miałaś na myśli? - zapytał.

- Oczywiście, że pokera! - odpowiedziała dziewczyna. - Nic nikomu nie powiem, jeżeli przegrasz. Przez dwa tygodnie usiłowałam nauczyć Mary Margaret grać w pokera, ale zupełnie nam to nie wychodziło. - Usłyszała za plecami chichot Milforda i dodała szybko: - Oczywiście nie będziemy grać na pieniądze, jeżeli ci to nie odpowiada.

Usiadła przy czworokątnym stoliku i zaczęła tasować karty z równą zręcznością i wprawą, jak robiłby to mężczyzna. Milford zaśmiał się głośno i zdjął surdut. Podwinął rękawy koszuli i usiadł naprzeciw Caroline.

- Byłoby mi niezręcznie wyciągać od ciebie pieniądze - powiedział z nadzieją, że mu zaprzeczy.

- Nie martw się - odparła. - Poza tym to pieniądze Bradforda, a nie moje. Gdy przegrasz pierwszych parę partii, być może zmienisz zdanie.

Grali do późna w noc. Gdy Caroline wreszcie przyznała, że jest już zbyt zmęczona na dalszą grę, to on zaprotestował.

- Musisz dać mi szansę odegrania się!

- To było twoim argumentem godzinę temu - powiedziała z uśmiechem, życzyła mu dobrej nocy i poszła do siebie na górę.

Samotność zawsze dokuczała jej najdotkliwiej, gdy musiała wejść do zimnego łóżka. Wtedy brakowało jej Bradforda bardziej niż zwykle. Staroświecki materac był okropnie niewygodny i gdy wierciła się na łóżku, coś uwierało ją w plecy.

Kiedy pomyślała o przeszłości Bradforda, zrobiło się jej wstyd, że nie okazała mu trochę więcej cierpliwości. W końcu udało się jej zasnąć, tuląc do

siebie poduszkę i wyobrażając sobie, że to mąż.

Umyślny, którego Caroline posłała z wiadomością do Bradforda, wrócił w południe i oznajmił, że księżę został wezwany do Londynu dzień wcześniej.

Milford zauważył, że niełatwo będzie teraz go znaleźć. Ponadto obawiał się, że Caroline może zmienić zdanie. W końcu pocałował ją na do widzenia i pojechał z powrotem do miasta.

Caroline także była zawiedziona. Chodziła bez celu po Chatce Bradforda i rozmyślała, jak też ma postępować z mężem, gdy znowu będą razem.

Poszła do sypialni i usiadła na łóżku, zastanawiając się, jaką suknię włoży, gdy on w końcu po nią przyjedzie. Chciałaby tu spędzić choć jedną noc razem z nim, lecz po chwili doszła do wniosku, że Bradford ani minuty nie wyleżałby na tym okropnym materacu. Ta myśl zrodziła następną i następną, aż w końcu Caroline wpadła na najdziwniejszy koncept, jaki kiedykolwiek przyszedł jej do głowy. Roześmiała się szczęśliwa i szybko zbiegła na dół, by wprowadzić swój zamysł w życie.

To będzie ostatnie uderzenie w jego tarczę, postanowiła, gdy już zrobiła, co miała zrobić. Jedyna, ostatnia już zniewaga. Potem pogodzi się ze swoim losem.

13

Bradford był przerażony. Gdy do Bradford Hills przybył posłaniec z wiadomością, że Franklin Kendall wymknął się ludziom, którzy go śledzili, pierwszą myślą księcia było, by natychmiast jechać do żony.

Lecz gdy nieco ochłonął, zdał sobie sprawę, że była całkowicie bezpieczna z pięcioma strażnikami. Zawsze istniała możliwość, że on też był śledzony, i jadąc do Chatki Bradforda, zdradziłby napastnikom miejsce pobytu Caroline, a tym samym sprowadziłby nieszczęście na własną głowę.

Pojechał do Londynu przysięgając sobie, że przetrząśnie całe miasto, jeżeli będzie musiał, ale znajdzie tego łajdaka. Dwa razy zastawiał pułapkę i dwa razy zwierzyna mu się wymykała. Teraz już skończył z pułapkami.

Wiedział z całą pewnością, że winowajcą był młodszy brat markiza, i zamierzał go dopaść, nawet jeżeli miałyby to oznaczać wyzwanie na pojedynek.

Bradford dobrze wiedział, co robi, prosząc Caroline, by nie korespondowała z żadnym członkiem rodziny, i pogodził się z faktem, że przyjęła to jako kolejny dowód złego traktowania. Nie zawracał sobie głowy wyjaśnianiem jej wszystkiego. Nie chciał, by ktokolwiek wiedział, gdzie przebywa jego żona. Zaufał tylko Milfordowi. Był pewny, że przyjaciel dochowa tajemnicy.

Miał wyrzuty sumienia, że wykluczył Caroline z udziału w całej sprawie, ale powtarzał sobie, że im mniej wie, tym lepiej dla niej.

Przybył do miasta dopiero późnym popołudniem. Pod domem czekał na niego jeden z wynajętych detektywów i poinformował, że Franklin znowu się pojawił. Najwyraźniej znalazł sobie nową kochankę i spędził z nią cały tydzień.

Wydawszy nowe polecenia, Bradford wszedł do domu. Właśnie przechadzał się nerwowo po bibliotece, gdy zjawił się hrabia Braxton i zażądał natychmiastowej rozmowy. Wyglądał na bardzo zmęczonego i od razu przeszedł do rzeczy.

- Zaryzykowałem, że cię tu znajdę. Caroline nie przyjechała z tobą, prawda?

- Nie, nie przyjechała - odparł Bradford. Nie powiedział nic więcej, tylko nalał teściowi drinka i usiadł naprzeciw niego.

- Czy wy dwoje przypadkiem się nie pokłóciliście? - spytał hrabia. - Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale markiz się zamartwia. Franklin cały czas coś insynuuje, a Milo się tym dręczy. Caroline nie przyjechała go odwiedzić ani nie napisała do niego już od bardzo dawna i staruszek czuje się opuszczony. Nie wierzy w ani jedno kłamliwe słowo tego swojego nic niewartego brata, ale jest przekonany, że Caroline jest chora, a ty to przed nim ukrywasz, by się nie martwił. Milo zawsze lubił się zbyt przyjmować. Oczywiście nic złego jej się nie stało, prawda?

W jego oczach czaiła się panika i Bradford szybko przytaknął.

- Caroline czuje się bardzo dobrze - powiedział. - Mieliśmy małe spięcie, ale to nic, czym trzeba by się martwić. Cóż takiego mówił Franklin?

- Nie będę tego nawet powtarzał - warknął gniewnie hrabia. - On najwyraźniej chce zhańbić moją niewinną córeczkę. Bardzo jej nie lubi, a ja zupełnie nie wiem dlaczego.

Bradford nie odpowiedział. Zamknął w sobie gniew, wiedząc aż za dobrze, dlaczego Franklin stara się zniszczyć szczęście Caroline.

- Cóż, mój chłopcze, Caroline będzie musiała wrócić choć na chwilę do Londynu i odwiedzić staruszka, zanim zamartwi się na śmierć. Dopilnujesz tego, prawda?

- Przykro mi, ale będę musiał cię rozczarować. W tym momencie to niemożliwe.

- Bradford, choć raz odłóż na bok dumę! Miej trochę serca. Masz przed sobą całe życie na kłótnie z moją córką. Zawrzyjcie pokój choć na chwilę. Milo nie jest już pełnym sił i energii byczkiem. Czekał czternaście lat, by Caroline do niego wróciła. On ją kocha równie mocno jak ja.

Hrabia wyglądał, jakby miał zamiar złapać Bradforda za szyję - i udusić go gołymi rękami, gdyby tylko ktoś mu powiedział, że to pomoże. Bradford przez chwilę nic nie mówił, wytrzymując spokojnie wzrok teścia, a potem podjął decyzję.

- Mamy z Caroline pewne problemy, ale nie to jest powodem jej nieobecności.

Powoli, nie pozwalając sobie przerywać, Bradford opowiedział teściowi, jak ktoś zepchnął Caroline ze schodów u Claymere'ów, ze szczegółami opisał wypadek z powozem, zacytował fragmenty listu z pogrózkami, który Caroline znalazła w domu, a całą opowieść zakończył oświadczeniem, że za wszystkim kryje się Franklin.

- To on najwięcej może na tym zyskać - wyjaśnił. - Z różnych źródeł

dowiedziałem się, że markiz ma zamiar zostawić Caroline w spadku dużą sumę pieniędzy. Tytuł i majątek ziemski przejdą oczywiście na Franklina, ale przy braku pieniędzy przysporzą mu tylko kłopotów. Loretta ma ogromne długi karciane, a jedynym powodem, dla którego wierzyciele jeszcze nie pukają do ich drzwi, jest zastrzeżenie, które uczyniła podpisując czeki: że spłaci wszystko, gdy tylko markiz umrze. Kiedy Caroline wróciła do Londynu, markiz zmienił testament, o czym powiadomił Franklina i Lorette dopiero wówczas, gdy dokumenty zostały już podpisane. - Słuchając opowieści Bradforda, hrabia coraz bardziej zapadał się w fotel, na którym siedział, a na koniec ukrył twarz w dłoniach. - Markiz jest oburzony niekończącymi się miłośkami brata i wie także o nałogach Loretty. - Braxton rozplakał się i Bradford pospieszył go pocieszyć. - To wcale nie jest takie okropne, jak wygląda. Caroline jest dobrze strzeżona, a Franklin nie może wykonać najmniejszego ruchu bez mojej wiedzy. Nie mam wystarczających dowodów jego winy, ale zamierzam wyzwać go na pojedynek i raz na zawsze wszystko załatwić.

Braxton cały czas potrząsał głową.

- Nic nie rozumiesz. Dlaczego ona mi o tym nie powiedziała? Mogłem ją odesłać, zanim cię poślubiła. Mogłem...

- Odesłać ją? Z powrotem do Bostonu? - Bradford ledwo rozumiał urywane słowa teścia. Niejasne przeczucie ukuło go tuż obok serca i poderwał starszego mężczyznę na równe nogi. - Ty coś wiesz! Powiedz mi! Na miłość boską, powiedz mi wszystko, co wiesz!

- To zdarzyło się bardzo dawno temu i czekałem, aż wszyscy umrą, zanim posłałem po nią. Tak dawno temu, a jednak wydaje się, jakby to było wczoraj. Po śmierci żony i synka przeniosłem się razem z Caroline do domu na wsi. Narobiłem sobie w tym czasie wielu wrogów, głównie za sprawą poglądów w kwestii irlandzkiej. Perkins, jeden z moich oponentów w debacie, nie pogodził się z porażką. Był właścicielem ziemi w Irlandii Północnej; miał jej znacznie więcej niż większość szlachty, a ustawa, którą przeforsowałem, dawała

Irlandczykom prawo do nabywania ziemi. Wiedziałem, że Perkins mnie nienawidzi, lecz nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jest podły. W oczach świata był tylko obywatelem broniącym swoich praw.

Hrabia znowu skulił się w fotelu i ukrył twarz w dłoniach. Bradford zmusił się do zachowania spokoju. Nalał teściowi jeszcze jeden kieliszek i podał mu go. Hrabia pociągnął duży łyk i mówił dalej:

- Perkins wysłał ludzi, by uciszyli mnie na zawsze. Ziemie, które posiadał, nie były zagrożone, lecz ustawa wchodziła w paradę jego planom rozwoju. Wierzył, że znajdę jakiś sposób, by mu odebrać dotychczasowy majątek. Tyle że mnie już dawno opuścił zapał do walki. Mój świat legł w gruzach wraz ze śmiercią żony i zależało mi tylko na tym, by żyć w spokoju wraz z moją małą dziewczynką. Caroline miała wtedy tylko cztery lata. Przyszli w nocy. Było ich dwóch. Caroline spała na piętrze, lecz ich głosy musiały ją obudzić, bo zeszła na dół. Jeden z napastników miał pistolet lecz mu go wytrąciłem. Jakimś cudem Caroline go złapała i strzeliła do drania. Zmarł w trzy dni później. - Bradford odchylił się w fotelu, najwyraźniej zaskoczony całą historią. - To był wypadek. Ona tylko próbowała podać mi ten pistolet. Usiłowała mi pomóc. Zaczęła biec w moją stronę, przydeptała nocną koszulkę, przewróciła się i pistolet wypalił.

Bradford zamknął oczy.

- Mój Boże, przecież ona była wtedy dzieckiem. - Potrząsnął głową. - Nigdy nic mi o tym nie powiedziała.

- Ona tego nawet nie pamięta.

Bradford nie słuchał. Próbował sobie wyobrazić, jak taka tragedia mogła wpłynąć na psychikę dziecka. Wreszcie dotarło do niego to, co powiedział teść.

- Dowiedziałem się, że gdy była młodsza, bardzo bała się pistoletów. Zwalczała w sobie ten strach, aż całkiem się go pozbyła. - Bradfordowi głos się łamał, lecz nie był w stanie go kontrolować.

- Tak, to prawda - przytaknął Braxton. - Henry pisał mi o tym. Mój

młodszy brat jedyny w całej rodzinie znał prawdziwy powód, dla którego odesłałem Caroline. Nigdy nie wyjawiał go nawet swojej żonie.

- A co się stało z ludźmi, którzy byli zamieszani w ten napad? Powiedziałeś, że jeden z nich zmarł w trzy dni później...

- Tak, kula trafiła go w brzuch. Nazywał się Dugan.

- Miał jakąś rodzinę?

- Nie, był samotnikiem.

- A pozostali?

- Perkins zmarł w zeszłym roku. Trzeci nazywał się McDonald. Nie miał żadnej rodziny, a w Londynie był zaledwie parę miesięcy. Przyznał się, że Perkins mu zapłacił, lecz odmówiłby zeznań, gdybym wniósł oficjalną skargę. Tak jakbym mógł zrobić coś podobnego! Narazić moje dziecko na publiczny skandal! Poza tym nie wiedziałem, czy Perkins nie naśle na mnie innych. Nie mogłem mu ufać, przecież sam to rozumiesz! Spakowałem więc Caroline i odesłałem do Ameryki wraz z dwoma najbardziej zaufanymi przyjaciółmi; sam ruszyłem za Perkinsem.

- Jak to „ruszyłeś za nim”? - zapytał Bradford. Zdał sobie sprawę, że zaciska dłonie na poręczach fotela, i zmusił się do zachowania spokoju.

- Poszedłem do niego do domu z własnym rewolwerem. Miał dwóch synów i gdy wreszcie dopadłem go sam na sam, powiedziałem, że już wynajęłem ludzi, którzy zabiją jego i chłopców, jeżeli cokolwiek stanie się mnie lub Caroline. Myślę, że zrozumiał. Wiedział, że nie żartowałem. Byłem przekonany, że to już koniec, a jednak nie mogłem ryzykować. Caroline była dla mnie wszystkim! Odsunąłem się od polityki i przysiągłem sobie, że Caroline nie wróci do Anglii, dopóki oni wszyscy nie pomrą.

Nagle zachowanie Bradforda bardzo się zmieniło. Bezpieczeństwo żony było dla niego najważniejsze i postanowił oddzielić od tego wszystkie inne emocje. Pora na współczucie przyjdzie później, kiedy już opowie o wszystkim Caroline.

- No, dobrze. Więc Perkins i ludzie, których kiedyś wynajęłeś, nie żyją. - Pocierał dłonią podbródek i bardzo zamyślony wpatrywał się w ogień. Dźwięk zegara wybijającego godzinę rozległ się w pokoju, podczas gdy obaj mężczyźni zastanawiali się nad rozwiązaniem łamigłówki. - Czy możesz ręczyć, że nikt więcej nie znał prawdy? Może Perkins wszystko komuś opowiedział?

- Nie ośmieliłby się. - Braxton potrząsnął głową. - A ja nie mówiłem nikomu z wyjątkiem brata.

Bradford wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytał hrabia. Nerwowo zaciskał dłonie i Bradford pomyślał, że wygląda równie staro i krucho jak markiz.

- Jeszcze nie wiem. - Ale teraz rozumiał, o co chodziło w tym Uście. Ktokolwiek go napisał, obiecywał zemstę, a było w nim tyle nienawiści i oszczerstw...

- O mój Boże! Ona nadal jest w niebezpieczeństwie! Ona...

- Nic jej się nie stanie - przerwał Bradford teściowi z niezamierzoną szorstkością, której nie potrafił ukryć. - Do diabła, dopiero teraz zdałem sobie sprawę, ile ona dla mnie znaczy! Nie dopuszczę do tego, by ktokolwiek ją tknął! Ja...

- Tak? - zapytał łagodnie hrabia, gdy Bradford nagle urwał.

- Ja ją kocham - westchnął głośno Bradford. - Nie mogę jej teraz stracić. Postaraj się zbytnio nie martwić. Powiedz markizowi, że Caroline się przeziębila albo coś w tym rodzaju. Przekonaj go, że już wstała z łóżka i zamierza do niego napisać. To powinno go uspokoić, a mnie dać czas na ułożenie planu działania.

Hrabia miał wrażenie, że ciężar, który dźwigał od wieków, właśnie został zdjęty z jego barków. Przytaknął i mszył w stronę drzwi.

- Nie powtórzysz Caroline tego, co ci powiedziałem? Nie ma powodu, dla którego musiałyby to wiedzieć. Moje dziecko było tu tylko niewinną ofiarą.

Bradford kiwnął głową.

- Nic teraz nie powiem, ale gdy to wszystko się skończy, będę musiał

wyznać jej prawdę. - Odprowadził teścia do drzwi i powiedział mu na pożegnanie: - Caroline nic ci nie powiedziała o groźbach, bo nie chciała, byś się martwił. A ja ukryłem przed nią podejrzenia dotyczące jej wroga, bo nie chciałem, by ona się martwiła. Tak bardzo chcieliśmy się nawzajem ochraniać, że sami się w tym pogubiliśmy. Zawsze żądałem ślepego zaufania... -

Potrząsnął głową. - Ślepego zaufania. Dokładnie tego, czego ona zawsze żądała ode mnie...

- Co takiego? - zapytał hrabia Braxton.

- Ona dała mi swoją miłość i zaufanie - wyjaśnił Bradford. Zabrzmiało to sucho, lecz tylko w ten sposób mógł opanować drżenie głosu. - Czy wiesz, że ona czasami nazywa mnie Jered?

Teść zakasłał i pokręcił głową, najwyraźniej oszołomiony tokiem rozmowy.

- Idź już do domu, odpocznij, a ja będę cię na bieżąco informował. - Hrabia już prawie zszedł ze schodów, gdy Bradford zawołał za nim: - Kiedy to się stało?

- Co takiego?

- Kiedy dokładnie przyszli do waszego domu ci mężczyźni?

- Prawie piętnaście lat temu - odparł hrabia.

- Nie. Mam na myśli dokładną datę. Dzień, miesiąc... czy sobie przypominasz?

- W lutym. Nocą dwudziestego lutego 1788 roku. Czy to ważne?

Bradford zapanował nad emocjami.

- Możliwe, że tak. O wszystkim będę ci donosił - obiecał. Jednak gdy tylko drzwi się zamknęły, na jego twarzy zagościło zmartwienie. Modlił się, by nie miał racji. Jeżeli jednak się nie mylił, to pozostało mu już tak niewiele czasu! Tylko sześć dni, by znaleźć łotra! Za sześć dni będzie dwudziesty lutego.

Położył się spać bardzo późno, na krótko przed świtem. Jutro, gdy tylko wcieli swój plan w życie, natychmiast pojedzie do żony. Ta myśl go uspokoiła.

Zdał sobie sprawę, że czeka na chwilę, w której wyzna jej miłość i będzie błagał o wybaczenie. Przyjdzie do niej zarówno jako księżę Bradford, jak i Jered Marcus Benton. Wiedział, że Caroline też go kocha i że nawet gdyby stracił tytuły i bogactwa, ona by z nim pozostała.

Myśląc o jutrzejszym dniu i o tym, że znowu będzie trzymał żonę w ramionach, czuł się szczęśliwy i pogodzony sam ze sobą. Rozpamiętywał wszystkie sposoby, na które będzie mógł się z nią kochać, i zasnął z uśmiechem na ustach.

Gdy właśnie zbierał się do wyjazdu, Milford zastukał do jego drzwi.

Bradford szybko powiedział przyjacielowi, że ktokolwiek chce dopaść Caroline, zrobi to już za sześć dni, nie wyjaśnił mu jednak powodów, dla których tak uważał. Czuł, że najpierw powinien wszystko opowiedzieć żonie i dopiero ona zadecyduje, czy można jeszcze przed kimś odkryć prawdę.

- Chciałbym, żebyś pojechał ze mną do Chatki Bradforda. Twoja pomoc może mi się bardzo przydać. Im więcej ludzi godnych zaufania będzie w pobliżu Caroline, tym lepiej dla niej.

- Mój Boże, wszystkie kości mnie bolą po wczorajszej jeździe, ale wiesz przecież, że pojedę z tobą - odparł Milford. - Nie tylko z chęcią ci pomogę, ale bardzo chciałbym też usłyszeć, które z was pierwsze przeprosi. - Zaśmiał się ujrzawszy zniecierpliwienie na twarzy przyjaciela.

- A niby dlaczego sądzisz, że to ja przeproszę? - zapytał Bradford szczerząc zęby w uśmiechu.

- Bo chociaż jesteś okropnie uparty, mój przyjacielu, nie jesteś jednak głupcem - odparł Milford, a tamten zaskoczył go kiwając głową. - Czyżbyś naprawdę miał zamiar ją przeprosić?

- Nawet na kolanach, jeżeli okaże się to konieczne. - Bradford zaśmiał się na widok zaskoczonej miny przyjaciela. - O co chodzi? Myślałem, że do tej pory znudzi ci się rola rozjemcy. Przecież po to pojechałeś do Caroline. Chciałeś ją poprosić, by okazała mi więcej wyrozumiałości.

- Przyznaję się do winy. - Milford miał wyjątkowo niemądry wyraz twarzy. - Ale, Brad, nie możesz też przesadzać. Jeśli raz padniesz przed nią na kolana, pozostaniesz na klęczkach do końca życia. Poza tym ona też chce do ciebie wrócić. Dobry Boże, wiesz przecież, jak bardzo ją kocham, ale...

- Ja też - przerwał mu Bradford.

- Co?

- Ja też ją kocham - wyjaśnił.

- Nie musisz mi tego mówić, stary. Powiedz to jej.

- Powiedziałbym, gdybyś się tak nie guzdrał. - Bradford potrząsnął głową.

Prawie wcale się do siebie nie odzywali w drodze z Londynu do Bradford Hills. Jechali na skróty, oszczędzając ponad godzinę, a z każdą przebytą milą humor Bradforda się poprawiał.

Wszedł do salonu wołając na Hendersona, po czym nalał sobie sporą porcję brandy. Gdy już pociągnął potężny łyk, usiadł na chwilę w fotelu. Musiał zadowolić się zwykłym, obitym skórą krzesłem, gdyż jego ulubionego fotela nie było w salonie. Kiedy już opróżnił kielich, chciał go postawić na trójnożnym stoliku, który zawsze stał obok kominka. Lecz okazało się, że i stolika nie ma na miejscu, o czym Bradford przekonał się, o mało nie upuszczając kielicha na podłogę.

Zmarszczył brwi, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi, gdy do pokoju wszedł Milford.

- Brad, czy byłeś już w bibliotece? - zapytał.

Bradford potrząsnął głową. Cały czas myślał wyłącznie o żonie. Jak ma jej powiedzieć, że był głupcem, aby nie zabrzmiało to jak kajanie się głupca? Robił się coraz bardziej nerwowy i zdał sobie sprawę, że nie wie, czy będzie umiał wyznać miłość kobiecie, którą kocha. Zupełnie nie wiedział, jak się do tego zabrać. Nie miał w tych sprawach doświadczenia.

Milford nie dał mu się skupić na własnych myślach i nalegał, aby Bradford natychmiast poszedł z nim do biblioteki.

- Mam wrażenie, że jest tam wiadomość dla ciebie, ale nie bardzo potrafię ją odczytać - mruknął.

Bradford zmarszczył brwi i poszedł za przyjacielem.

- Co u licha? Henderson!

„tylko echo odpowiedziało na jego krzyk.

Powoli wszedł do swego sanktuarium i rozejrzał się z niedowierzaniem. Pokój był ogołocony. Brakowało wszystkiego - biurka, foteli, książek, dokumentów, nawet zasłon.

Odwrócił się do przyjaciela i potrząsnął głową w absolutnym zdumieniu.

- Henderson zapewne gdzieś się tu ukrywa - powiedział głośno Milford. - O co w tym wszystkim chodzi?

- Nad tym będę się musiał zastanowić później. Jedyne, na czym mi teraz zależy, to się przebrać i jechać do Chatki Bradforda. - Ruszył po schodach na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Przez ramię zawołał: - Jeżeli też chcesz się przebrać, to możesz włożyć jedną z moich koszul!

Na chwilę zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi do pokoju Caroline. Powodowany impulsem otworzył je i zobaczył, że tu niczego nie brakuje. Zmarszczył brwi i poszedł do swojego pokoju. Gdy tylko otworzył drzwi, zaczął się śmiać. Sypialnia, podobnie jak biblioteka, była ogołocona.

Na korytarzu pojawił się Henderson, najwyraźniej przywleczony przez Milforda.

- Obawiam się, że nie będzie się mógł pan przebrać, wasza wysokość - powiedział stary służący z taką godnością, na jaką było go jeszcze stać. Jego twarz była ciemnoczerwona, jak gdyby cały ranek przestał na mrozie.

- A to niby dlaczego? - zapytał Bradford, nadal się zaśmiewając, aż łzy zaczęły mu się zbierać w oczach.

- Żona waszej wysokości zażyczyła sobie, żeby wszystkie pańskie rzeczy przenieść. Myślałem, że to było za pańskim poleceniem.

- Ależ oczywiście, Henderson - powiedział Bradford, po czym odwrócił

się do przyjaciela, który nadal stał w progu nic nie rozumiejąc. - Caroline zabrała wszystkie moje rzeczy. No jasne, że to wiadomość dla mnie, i to wcale nie subtelna.

- Ale jaka wiadomość? - Milford nie mógł się oprzeć zaraźliwemu śmiechowi Bradforda i też zaczął chichotać, choć nie miał pojęcia dlaczego.

- Wszystkie moje rzeczy zostały przeniesione do Chatki Bradforda - zniecierpliwiał się książę. - Nawet idiota by to zrozumiał. Ona chce mi przez to powiedzieć, że tam jest moje miejsce. - Klepnął przyjaciela po plecach i zaczął schodzić na dół. - Jak, u diabła, udało im się znieść moje łóżko, Henderson? Przecież potrzebowali do tego ze czterech ludzi!

Hendersonowi spadł kamień z serca. Szczęście, że pan był w dobrym humorze.

- Właściwie to pięciu - odparł, a potem odkaszlnął i dodał: - Próbowali zabrać i mnie, ale się nie dałem. Wstyd mi się przyznać, wasza wysokość, ale byłem zmuszony do schowania się w spiżarni, dopóki nie odjechali.

- Ukrywanie się nic dobrego nam nie przyniesie - powiedział Bradford, gdy już się opanował. - Ona i tak cię dopadnie, wcześniej czy później. Jeżeli postanowiła, że ściągnie cię do Chatki Bradforda, to im szybciej się z tym pogodzisz, tym lepiej.

- A gdzie będzie wasza wysokość, jeśli wolno zapytać? - rzekł Henderson.

- Razem z moją żoną - uśmiechnął się Bradford. Wyruszyli natychmiast do Chatki Bradforda, z Bradford Hills biorąc jedynie świeże konie. Mimo to nie dotarli zbyt wcześnie na miejsce, gdyż droga wiodła przez wzgórza, co uniemożliwiało wszelkie skróty.

Zbliżała się pora obiadu, gdy weszli do ponuro wyglądającej fortecy. Tyle że wewnątrz to już nie była forteca. Wewnątrz był dom.

Bradford stanął jak wryty na środku hallu.

- Zamieniła bestię w królewicza.

- Mówisz o sobie czy o naszym domu? - dobiegło z góry pytanie i

Bradford spojrział ku szczytowi schodów.

Stała tam jego żona, czekając na odpowiedź. Jakoś zabrakło mu powietrza w płucach i nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Caroline niczego bardziej nie pragnęła, niż zbiec po schodach i rzucić się w jego ramiona. Jednak wolała poczekać i sprawdzić, czy był na nią zły, czy też może raczej... Ale on tylko patrzył na nią i im dłużej to trwało, tym niezręczniejsię czuła. Dopiero co przebrała się w prostą żółtą sukienkę, która nadawała cerze niezdrowy odcień. Zbesztiała się, że powinna raczej włożyć tę niebieską. Gdyby tylko wiedziała, że on dziś przyjedzie! Nawet nie uczesała się porządnie!

- Trochę czasu ci zajęło dotarcie tutaj! - zawołała. Cóż, jeśli wyglądała okropnie, to tylko i wyłącznie z jego winy.

Zeszła po schodach i stanęła tuż przed mężem. Miał bardzo poważny wyraz twarzy, ale w jego oczach błyskały znajome iskierki. Pomyślała, że chyba nie zajrzał po drodze z Londynu do Bradford Hills. Inaczej już by z pewnością na nią wrzeszczał.

Caroline dygnęła przed mężem i uśmiechnęła się do niego.

- Witaj w domu!

Nie ośmieliła się go dotknąć. Wiedziała, że gdy tylko znajdzie się w jego ramionach, zapomni całe przemówienie, które tak starannie ułożyła na jego powitanie. A to musiała załatwić; im szybciej, tym lepiej.

Cały czas patrzyła na męża, nawet gdy pozdrawiała Milforda.

- Czy przywiozłeś pieniądze, które jesteś mi winien? - zapytała.

Bradford nie rozumiał, o co jej chodzi. Na niczym nie potrafił się skupić, kiedy stała tak blisko. Była taka piękna! Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że trochę się denerwowała. Zastanawiał się, co też znowu chodzi po tej cudownej główce.

Nie musiał długo czekać na odpowiedź.

- Przyjeżdżacie prosto z Londynu? Nie zatrzymaliście się w Bradford Hills? - zapytała wpatrując się w guzik jego surduta.

- Zatrzymaliśmy się.

- Doprawdy? I nie jesteś na mnie zły? - Z miejsca zdała sobie sprawę z idiotyzmu tego pytania. Oczywiście, że nie był na nią zły! Przecież właśnie się do niej uśmiechał! Wywnioskowała z tego, że nie był dostatecznie długo w Bradford Hills, by się zorientować, co za porządki tam zaprowadziła. No cóż, zorientuje się i tak wystarczająco prędko - zaśmiała się nerwowo. I wtedy dopiero się zaczęło!

Najlepiej będzie palnąć Bradfordowi całą mowę, zanim pójdą na górę - postanowiła.

- Bradford, muszę z tobą porozmawiać.

- Powiedz dobranoc Milfordowi, kochanie!

- Co takiego? Ale przecież dopiero co tu przyjechaliście! On chyba jeszcze nie wyjeżdża?

- Nie, Milford nie wyjeżdża - przyznał Bradford.

- Nie wyjeżdża?

Gość znacznie szybciej niż Caroline zrozumiał, do czego prowadzi ta dziwna rozmowa i co Bradford chce właściwie powiedzieć swojej żonie. Rzucił więc płaszcz na krzesło stojące w hallu i poszedł do kuchni, by znaleźć coś do jedzenia. Po drodze gwizdał pod nosem jakąś wesołą melodię.

- Czas iść do łóżka, Caroline.

- Ale ja nie jestem zmęczona.

- To bardzo dobrze.

- Jest jeszcze dzień, Bradford. Nie będę mogła zasnąć.

- Mam nadzieję.

Caroline splonęła rumieńcem, gdy Bradford wziął ją na ręce i wszedł na schody. Wreszcie zrozumiała jego intencje.

- Nie możemy! - zaprotestowała. - Milford będzie wiedział! Bradford doszedł już do szczytu schodów i zapytał:

- Twoja sypialnia czy moja?

- Nasza - poprawiła go Caroline. Wskazała pierwsze drzwi na prawo i w tym samym momencie przypomniała sobie o meblach. - Muszę ci coś powiedzieć o tym pokoju.

Bradford nie zwrócił na to uwagi i otworzył drzwi. Meble z jego sypialni były ustawione dokładnie tak, jak się tego spodziewał, i dużo wysiłku kosztowało go zachowanie obojętnego wyrazu twarzy. Zatrzasnął drzwi za sobą.

Caroline spodziewała się jakiegoś komentarza, lecz on wydawał się zupełnie szczęśliwy, opierając się o drzwi i trzymając ją w ramionach.

Gdy dojrzał wannę w rogu pokoju, przypomniał sobie, że po podróży pokrywa go gruba warstwa kurzu. Niechętnie wypuścił Caroline z objęć i tylko pocałował ją w czubek głowy. Wiedział, że jeżeli pocałuje ją tak, jak ma na to ochotę, bardzo szybko zapomni o kąpielu.

- Najpierw to, co najważniejsze, kochanie - westchnął. Otworzył drzwi i zawołał głośno, by przyniesiono gorącą wodę.

- Bradford, proszę, poświęć mi uwagę choć przez chwilę - poprosiła Caroline. Podeszła do łóżka i usiadła na brzegu. - Czy zauważyłeś cokolwiek?

- Zauważyłem wszystko - zapewnił ją. - Masz rozczochrane włosy i paskudną sukienkę, w której wyglądasz, jakbyś wczoraj umarła. Masz ją zdjąć, gdy tylko kąpiel będzie gotowa.

Caroline wcale nie była oburzona jego komentarzami; wiedziała, że ma rację. Uśmiechał się do niej i od razu lepiej się poczuła. On jej pragnął.

- Już od bardzo dawna nie widziałam cię w tak dobrym humorze - szepnęła. - Myślałam, że będziesz się złościł z powodu mebli, a ty nawet nie zauważyłeś. Tak przy okazji, biblioteka jest na dole.

- Zauważyłem - zachichotał Bradford. - W całej Anglii jest tylko jedno łóżko takich rozmiarów.

- Bradford, bądź przez chwilę poważny! Jest coś, co muszę z tobą omówić, a to, że się tak do mnie szczerzysz, pogarsza tylko sprawę.

Przerwało jej pukanie do drzwi. Bradford otworzył je i zobaczywszy

dwóch strażników z wiadrami wody, wpuścił ich do środka. Wyciągnął wannę z kąta pokoju i ustawił ją przed kominkiem. Rozpalił na nim ogień, podczas gdy strażnicy napełniali wannę wodą.

To trwało całą wieczność, przynajmniej dla Carolione. Chciała już mieć swoje przemówienie za sobą, ale jak to się stało, że Bradford nieomal promieniał ze szczęścia? I wtedy wszystko zrozumiała. Milford! Musiał powiedzieć Bradfordowi, że ona zamierza wrócić z nim do Bradford Hills. To musiał być powód dobrego humoru męża.

- Co Milford ci powiedział? Gdy mnie odwiedził...

Nie była w stanie dokończyć zdania, kiedy Bradford się rozbierał. Właśnie zdjął koszulę przez głowę i podszedł do miski z wodą. Caroline obserwowała go zaskoczona.

- Myjesz się, zanim wejdiesz do wanny? Czy to aby nie przesada?

Uśmiechnął się. Zbliżył się do żony i usiadł obok niej na łóżku.

- Na kolana, kobieto! - mruknął, co zupełnie ją zaskoczyło.

- Chcesz mnie zobaczyć na kolanach? - Czują, jak wzbiera w niej bunt. - Słuchaj, Bradford, nie mam pojęcia, co Milford ci naopowiadał...

- Pomóż mi zdjąć buty, kochanie!

- Och! - Caroline była wyraźnie zaskoczona. Pomogła mężowi bez słowa protestu, po czym podniosła się i stanęła przed nim, opierając dłonie na biodrach. - Czy ty mnie wreszcie wysłuchasz?

- Po naszej kąpieli.

- Naszej?!

Bradford zaśmiał się na widok jej rumieńca. Powoli rozebrał ją, a Caroline zauważyła, że dłonie mu się trzęsą, co było jedyną oznaką jakiegokolwiek emocji, bo twarz miał jak zwykle spokojną.

Podniósł ją i walcząc ze wzrastającym pożądaniem usiadł w wannie, z nią na kolanach.

- Czerwienisz się jak panienka, żono - powiedział, jeszcze bardziej ją

pesząc. - Umyj mnie - zakomenderował podając jej mydło.

Caroline zaczęła mydlić jego pierś.

Żadne z nich nie powiedziało ani słowa podczas następnych, zapierających dech w piersiach minut. Caroline zgubiła mydło, gdy zaczęła spłukiwać mydliny z piersi męża. Nie mogła się na niczym skupić. Usłyszała własny głos mówiący, że powinien wstać, aby mogła umyć mu nogi; brzmiał równie ostro jak wiatr wyjący za oknem.

- Nie wydaje mi się, bym mógł wstać - powiedział Bradford. Żona nadal wpatrywała się w jego pierś i w końcu zmusił ją, by spojrzała na niego. - Wiesz, że znowu mi to robisz? - zapytał ochrypłym głosem.

- Co robię? - wyszeptała nieśmiało Caroline.

- Sprawiasz, że jestem nieprzytomny z pożądania. Tym razem chciałem być delikatny, opóźnić moment, w którym cię dotknę...

- Jeżeli zaraz mnie nie pocałujesz, chyba postradam zmysły - szepnęła. Objęła go za szyję ramionami i przyciągnęła jego głowę do siebie.

Bradford obdarzył ją drażniącym, powierzchownym pocałunkiem, ale Caroline była zbyt niecierpliwa. Przygryzła jego dolną wargę i on też już stracił ochotę, by się z nią drażnić. Całował ją mocno, a ona odpowiadała mu z równą pasją i pożądaniem.

Ich języki złączyły się, a on obracał ją tak długo, aż usiadła obejmując udami jego biodra. Jej piersi doprowadzały go do szaleństwa, cały czas ocierając się o niego. Nie potrafił się powstrzymać przed całowaniem, dotykaniem jej.

Caroline przywarła do niego, zagubiona w pożądaniu, które między nimi wybuchło. Ona też nie mogła nacieszyć się jego bliskością i cały czas tuliła się, usiłując zaspokoić potrzebę, która w niej płonęła.

Szeptał jej do ucha słowa miłości i namiętności, lecz ona potrafiła się skupić tylko na płonącym w niej ogniu. Pożądanie było już zbyt silne, zbyt pochłaniające, aż wykrzyknęła w ogarniającym ją szale:

- Jered!

To było żądanie.

Bradford wchodził w nią raz za razem, a Caroline wyprężyła się znajdując spełnienie w tej samej chwili.

Opadła na niego, wyczerpana jego niecierpliwą namiętnością i swoją niecierpliwą odpowiedzią.

Jego serce waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi, i Caroline poczekała, dopóki szalony rytm nie uspokoił się trochę.

- Zapomniałam, że cały czas jesteśmy w wannie. - Zaśmiała się nerwowo. Potem westchnęła i położyła mu głowę na piersi, zamykając oczy. - Kocham cię, Bradford.

- Nigdy mi się nie znudzi słuchać tego - szepnął w odpowiedzi. Caroline tylko przytaknęła. A potem rozplakała się, i to, dobry Boże, równie głośno, jak zwykle Charity.

Bradford pozwolił się jej wyplakać, gładząc ją po plecach, a gdy już spazmy ucichły, powiedział:

- Caroline, posłuchaj mnie.

- Nie - odparła dziewczyna - to ty mnie najpierw wysłuchaj. Rozumiem, że jeszcze nie jesteś w stanie mnie pokochać. Wiem, że byłam zbyt wymagająca i niecierpliwa - mówiła dalej ze wzrastającym szlochem w głosie. - Nie miałeś jeszcze czasu się przekonać, że istnieją także uczciwe kobiety; chciałam, żebyś dokonał niemożliwego. Mam zamiar dać ci już spokój i zaakceptować cię takiego, jaki jesteś.

Miała nadzieję, że jej przemowa uspokoi Bradforda, ale ze zdziwieniem zobaczyła, że mąż coraz bardziej marszczy brwi.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony, żono. Czyżbyś się poddawała?

Caroline dostrzegła rozbawienie w jego oczach.

- Co takiego? Nie, Bradford, tylko postanowiłam cię zaakceptować.

- A jak długo masz zamiar być cierpliwa, kochanie? - zapytał z uśmiechem.

- Nie wiem, o co ci chodzi, Bradford - odparła. - Myślałam, że spodoba ci się moja decyzja, a ty się tymczasem ze mnie śmiejesz. Co ja mam o tym wszystkim myśleć, co? - Podniosła się i wyszła z wanny, używając jego brzucha jako stopnia. Z satysfakcją usłyszała jęk protestu. - I dobrze ci tak, masz nauczkę, żeby na przyszłość nie być tak aroganckim. Milford powiedział ci, że zamierzam wrócić do domu, prawda? To dlatego jesteś taki szczęśliwy? - W jej głosie brzmiało coraz większe zniecierpliwienie.

- Jestem szczęśliwy, bo dopiero co kochałem się z moją posłuszną żoną - powiedział z szelmowskim uśmiechem.

- W moim ciele nie ma nawet jednej kosteczki, która by wiedziała, co to jest posłuszeństwo. - Caroline wyłowiła mydło z wody i zaczęła znowu myć Bradforda. - Oczywiście, chyba że dałam moje słowo. Wtedy jestem posłuszną nakazowi, aby go dotrzymać. Myślisz pewno, że wygrałeś, co?

Bradford nie był pewien, czy ona zdawała sobie sprawę z tego, co robi. Najwidoczniej myślała go zupełnie odruchowo, będąc myślami gdzie indziej.

- Myślę, że moja skóra jest już wystarczająco wygarbowana - zauważył. - I nie bądź taka przerażona, kochanie. Czy już skończyłaś mnie przeproszać, czy też jeszcze coś chowasz w zanadrzu?

- Nie przeproszałam cię i nie mam zamiaru tego robić. Kiedy wreszcie wbijesz to sobie do głowy?

- W takim razie myślę, że nadeszła moja kolej - powiedział Bradford. - Przepraszam, Caroline. Wiem, że nie było ci łatwo mnie kochać i że sprawiłem ci dużo bólu. Moim jedynym wytłumaczeniem jest to, że kocham cię tak bardzo, iż zachowałem się jak głupiec. Ja...

Caroline wypuściła z rąk mydło i podniosła się.

- Nie śmieję się ze mną drażnić, Bradford! - Łzy zaczęły spływać jej po policzkach i otarła je gniewnym ruchem. - Czy mówisz mi prawdę? Naprawdę mnie kochasz?

Zanim zdążyła się poruszyć, wyskoczył z wanny i porwał ją w ramiona.

- Czy naprawdę już do tego doprowadziłem? - W jego głosie słychać było ból. - Boże, Caroline, kocham cię. Myślę, że zawsze cię kochałem. A kiedy już wreszcie postanowiłem ci to powiedzieć, ty płaczesz! Caroline, nigdy cię nie okłamałem, nigdy!

Dziewczyna płakała przytulona do niego, a on tylko stał czując się zupełnie bezradny. Zalał wodą całą podłogę, a ona zalała go łzami.

- Nie możesz już tego cofnąć. - Jej głos był stłumiony. Musiał poprosić, by powtórzyła to, co przed chwilą powiedziała. Dziewczyna cały czas szlochała, na domiar złego dostała czkawki, ale i tak była w stanie wydobyć z siebie te parę słów. - Powiedziałam, że nie możesz już tego cofnąć.

Bradford roześmiał się i to był z pewnością powód, dla którego i w jego oczach pojawiły się łzy. Zaciągnął drżącą żonę do łóżka i przytulił ją pod kołdrą. Pocałował ją, długo i namiętnie, i jeszcze raz powiedział, jak bardzo ją kocha. Powtarzał to tak długo, aż był pewien, że mu uwierzyła.

- Czekam, aż opowiesz mi resztę - oznajmiła Caroline. Bębniła palcami w jego pierś przez dobrą minutę, nim zdała sobie sprawę, że on nie zamierza mówić jej już nic więcej. Roześmiała się. - Boże, jakież ty jesteś uparty! No, oczywiście, że mnie kochasz. Wiedziałam o tym już od dawna - skłamała. - A teraz przyznaj, że mi ufasz bez względu na okoliczności!

- Lepiej, żeby tak było, bo inaczej się zabiję - powiedział z uśmiechem. Oparł brodę na jej głowie i wdychał jej niezwykły zapach. - Pachniesz jak róża.

- Ty też - odparła Caroline. - Bo umyliśmy się moim mydłem. - Bradford coś zamamrotał do siebie. - Przynajmniej już nie pachniesz jak twój koń. Wiesz co, rozwiązaniem zagadki było jego imię i dopiero teraz zdałam sobie z tego sprawę.

- O czym ty mówisz? - nie zrozumiał Bradford.

- Reliance znaczy „zaufanie”. To jest to, co najbardziej cenisz, a czego do tej pory brakowało w twoim życiu.

- Ufam ci, Caroline - przyznał Bradford. - Ale jeżeli chodzi o zazdrość, to

niczego nie mogę ci obiecać. Mogę tylko powiedzieć, że się postaram.

Powiedział jej znowu, jak bardzo ją kocha, i znowu się z nią kochał. Tym razem rozniecał jej rozkosz powoli i umiejętnie, dokładnie wiedząc, gdzie dotknąć i jak jej dać największą przyjemność, o której marzył przez te wszystkie, spędzone bez niej noce.

Kochał się z nią tak delikatnie i namiętnie zarazem, że znowu się rozpląkała.

- Kocham cię, Caroline - powiedział przytulając ją mocno do siebie.

- Nigdy mi się nie znudzi słuchać tego.

Trochę czasu zajęło Bradfordowi zrozumienie, że te właśnie słowa on sam niedawno jej powiedział. Uśmiechnął się, doceniając żart.

- Kiedy to zrozumiałeś? Kiedy zdałeś sobie sprawę, że mnie kochasz?

- To nie spadło jak grom z jasnego nieba - powiedział. Caroline leżała wyciągnięta na plecach i Bradford podparł się łokciem, by móc ją widzieć. Zaśmiał się na widok jej rozczarowania. - Byłaś raczej jak drzazga pod paznokciem. Stale mi dokuczałaś.

- Aleś ty romantyczny! - zaśmiała się Caroline.

- Tak samo jak i ty. Przypominam sobie, jak mi powiedziałaś, że miłość do mnie podobna jest do bólu brzucha!

- Bradford, byłam wtedy zirytowana! - tłumaczyła się.

- Od samego początku byłem tobą zauroczony - mówił. - Gdybyś się tylko zgodziła, zrobiłbym z ciebie swoją kochankę bez względu na konsekwencje.

- Wiedziałam o tym.

- Ale ty nie byłaś podobna do innych kobiet. W ten wieczór, gdy poszliśmy do Aimsmondów, nie miałaś na sobie żadnej biżuterii.

- A co to ma z czymkolwiek wspólnego?

- Klejnoty nie miały dla ciebie znaczenia - wyjaśnił i zaśmiał się, zdając sobie sprawę, jak głupio musiało to zabrzmieć. - A ja chciałem kupić twoje uczucie podarunkami, prawda?

- Prawda - potwierdziła Caroline, szczęśliwa, że wreszcie to zrozumiał. - I byłeś przy tym całkiem okropny. Czy wiesz, w jakim stanie było to miejsce, gdy mnie tu zesłałeś?

Bradford skrzywił się i przytaknął niechętnie.

- Byłem wtedy wściekły, Caroline. Odrzucałaś wszystko, co miałem ci do zaoferowania - dodał wzruszając ramionami.

- Nie wszystko - szepnęła. Jej głos był teraz poważny. - Chciałam od ciebie tylko miłości i zaufania.

- Teraz to rozumiem - przyznał Bradford. - Czy byłabyś szczęśliwa mieszkając ze mną do końca życia na wsi?

- Mieszkałabym z tobą nawet w samym środku najgorszej londyńskiej nędzy, jeżelibyś tylko mnie kochał. A poza tym lubię życie na wsi! Nie zapominaj, że wychowałam się na farmie.

- Czy myślisz, że kiedykolwiek nauczysz się nazywać Anglię domem?

- Muszę przyznać, że nie będzie to łatwe. W Bostonie było o wiele spokojniej, Bradford. Nikt nie spychał mnie ze schodów ani nie pisał do mnie takich okropnych listów. I nikt chyba nie nienawidził mnie tak bardzo, by pragnąć mojej śmierci. No i poza tym nie wiem, czy zauważyłeś, ale niektórzy panowie tu zupełnie nie wiedzą, co to przyzwoitość! Oczywiście w Ameryce też są różnego rodzaju szumowiny, ale nie ubierają się jak porządni obywatele.

- Wiem, że spotkało cię tu parę nieprzyjemności - powiedział Bradford, a zaraz potem się uśmiechnął. - Ale od tej pory będę się o ciebie troszczył.

- Wiem, że będziesz - odparła Caroline. - Poza tym spotkałam tu też sporo miłych ludzi. Anglia jest już moim domem. W każdym razie na pewno nie jest tu nudno - dodała układając się wygodnie u boku męża.

- Moja miła, dla ciebie życie nigdy nie było nudne - rzekł Bradford. - Benjamin opowiadał mi, jakich kłopotów przysparzałaś mu w Bostonie. Twój ojciec powinien być wdzięczny bratu, że miał na ciebie oko, gdy dorastałaś. Z tego, co wiem, był z ciebie niezły rozrabiaka!

- Nieprawda, zawsze byłam łagodna i nieśmiała - powiedziała z przekonaniem Caroline. Słyszając głośny wybuch śmiechu zdała sobie sprawę, że jej nie uwierzył. - Cóż, w każdym razie usiłowałam być łagodna i nieśmiała. Myślę, że ojciec wolałby, żebym te czternaście lat spędziła wraz z nim.

- Wiem o tym z całą pewnością. - Głos Bradforda zmienił się. - On się dla ciebie poświęcił, Caroline.

- Wiem, nie rozumiem tylko dlaczego. Czy myślisz, że kiedykolwiek mi to powie?

Bradford przypomniał sobie, jak hrabia go błagał, by nic jej nie powtarzał, i jak on sam powiedział, że zapewne opowie jej o wszystkim, gdy niebezpieczeństwo już minie. Teraz zrozumiał, że nie powinien taić przed nią prawdy. Była jego żoną, jego miłością i powinni dzielić ze sobą nie tylko radości, ale i zmartwienia.

- Twój ojciec odwiedził mnie, gdy byłem w Londynie. Opowiedział mi, co się stało prawie piętnaście lat temu. Pewnej nocy kilku mężczyzn przyszło do waszego domu. Ty już spałaś, ale musiały cię obudzić ich głosy, więc zeszłaś na dół. Jeden z napastników usiłował zabić twojego ojca, lecz ty go przypadkowo zastrześliłaś.

- Zastrześliłam? - W głosie Caroline brzmiało niedowierzanie. Bradford przytaknął.

- Nic z tego nie pamiętasz?

- Nie - potrząsnęła głową. - Opowiedz mi o tym. Dlaczego chcieli zabić ojca?

Bradford przekazał jej to, co sam usłyszał. Słuchała wyprostowana, a gdy już skończył, popatrzyła na niego w napięciu.

- Dzięki Bogu, że nie zabili papy - szepnęła w końcu. - Nie mogłam wiedzieć, co robię!

- Byłaś tylko dzieckiem - szybko zgodził się Bradford. Zauważył, że specjalnie się nie przejęła, ale mimo to chciał ją pocieszyć. - To był wypadek,

Caroline.

- Biedny papa. Beż on musiał wycierpieć - powiedziała. - Teraz już wszystko rozumiem. Już wiem, dlaczego papa odesłał mnie do wuja Henry'ego i dlaczego tak długo czekał, nim sprowadził mnie z powrotem do Anglii. Biedny papa! - Łzy współczucia popłynęły po jej policzkach.

Bradford otarł jej oczy. Przytuliła się do niego z wdzięcznością i myślała o tej niezwykłej historii. Nie mogła sobie nic przypomnieć, nawet najmniejszego szczegółu, i w końcu się poddała.

- Jak myślisz, czy kiedykolwiek przypomnę sobie to wszystko? - zapytała.

- Nie wiem, kochanie - odparł Bradford. - Twój ojciec powiedział, że po tym, jak postrzeliłaś tego człowieka, zemdlałaś i nie ocknęłaś się aż dopiero następnego dnia rano. Zachowywałaś się, jakby nic się nie stało. Tak jakby wszystko zostało wymazane z twojej pamięci.

- Zemdlałam! - Caroline wydawała się zaskoczona i trochę urażona, a Bradford nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu.

- Miałaś tylko cztery lata - przypomniał jej.

- Bradford! List! - zawołała. Oderwała się od niego, a oczy rozszerzyły jej się w nagłym olśnieniu. - On ma coś wspólnego z tym, co wydarzyło się przed laty, prawda? Ktoś chce się zemścić! Tak było tam napisane.

Bradford zachmurzył się.

- Domyśliłem się wszystkiego, zanim twój ojciec opowiedział mi o wydarzeniach z przeszłości.

- Czy myślisz, że to jakiś krewny tego mężczyzny, którego postrzeliłam? Czy on miał może syna albo córkę?

Bradford potrząsnął głową.

- Nikogo takiego nie znaleźliśmy. Caroline, jeżeli nie zwodzi mnie intuicja, to zostało nam niewiele czasu.

- Dlaczego? - zapytała, zaniepokojona strachem w głosie męża.

- Za sześć dni będzie rocznica... Piętnaście lat temu, co do dnia, miało

miejsce to zdarzenie, o którym ci opowiedziałem.

- Więc tylko jedno możemy zrobić - powiedziała Caroline. W jej oczach błyszczała determinacja. - Musimy zastawić pułapkę, a ja będę przynętą.

- O, zaczekaj chwilę! Już postanowiłem, że zastawię pułapkę, ale ty nie będziesz w to zamieszana. Czy to jasne? - Jego ton nie dopuszczał dyskusji.

Caroline pocałowała go i przytuliła się znowu do niego. Była tak bardzo szczęśliwa, że nareszcie z nią rozmawia o swoich problemach, że nie chciała wywoływać żadnej kłótni. Poza tym - powiedziała sobie - miała jeszcze sześć dni, by go przekonać. Naprawdę bardzo chciała pomóc w schwytaniu człowieka, który nastawał na jej życie.

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl.

- Bradford, kto wie o tym, co się zdarzyło tamtej nocy?

- Poczekaj - zastanowił się. - Na pewno powiedział wujowi Henry'emu, ale reszta twojej rodziny z Bostonu o niczym nie wie. Powiedział mnie, więc jest nas tylko czworo.

- Nie - odparła prawie bezwiednie. Myślała w tej chwili o wuju Henrym i o tym, jak pomógł jej opanować lęk przed pistoletami. Był taki cierpliwy i wyrozumiały, gdy poszła poprosić go o pomoc. Pamiętała, jak bardzo chciała pojechać na polowanie z Caimenem i Lukiem i że czuła się jak okropny tchórz, bojąc się broni palnej. Prawie rok zajęło jej pozbycie się tego strachu, lecz przy cierpliwej pomocy wuja w końcu jej się udało.

- Jak to nie? - spytał zaskoczony Bradford. - Tylko nas czworo wie, co się zdarzyło, jeżeli pominąć tych trzech mężczyzn, którzy na was napadli. Tamci nie żyją, więc zostajemy ty, ja, twój ojciec i jego brat Henry.

- I wuj Milo - dodała Caroline.

- Nie, kochanie. - Bradford pokręcił głową. - Twój ojciec był bardzo dokładny. Powiedział, że jedynym człowiekiem, któremu cokolwiek powiedział, był jego młodszy brat. Nikt inny. Jestem tego pewien.

- Rozumiem - przytaknęła Caroline. - Nie powiedział nikomu tuż po tym,

jak to wszystko się zdarzyło. Gdy wróciłam do Anglii, pojechał do markiza i opowiedział mu całą historię. Mówił, że jest mu winien wyjaśnienie. Poza tym bał się, by markiz się mnie nie wyparł. Wtedy nie rozumiałam, o co mu chodzi, ale teraz myślę... Bradford, dlaczego tak na mnie patrzysz? Co się stało?

- Dlaczego on nic mi o tym nie powiedział?! - wrzasnął Bradford z furją w głosie, a widząc przerażenie swojej żony, szybko ściszył głos. - W porządku, po prostu właśnie zaczynam wszystko rozumieć. Do diabła, wiedziałem, że to sprawka Franklina!

- Franklina? Bradford, jesteś pewny? - Caroline nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. - To podlec! Wiem, że ciągle kłóci się z bratem i usiłuje go zastraszać, ale nie sądziłam, że jest zdolny do czegoś takiego... Mój własny wuj!

Nagle zabrakło jej słów, poczerwieniała z gniewu.

- Jestem o tym przekonany - stwierdził Bradford. - Ma poważne powody. Przede wszystkim chciwość. Markiz ma zamiar zostawić ci spory majątek. Zmienił testament i dopiero po fakcie poinformował o tym brata. I dzięki Bogu za to. Jeszcze Franklin by go wcześniej zamordował!

- A co z Loretą? - zapytała Caroline. - Czy myślisz, że ona też maczała w tym palce? - Dziewczyna zadrżała na myśl o tej potwornej parze i o tym, jak Loretta bezczelnie flirtowała z Bradfordem na przyjęciu u ojca.

- Loretta ma mnóstwo długów karcianych i desperacko potrzebuje pieniędzy. Wierzyciele mają jej weksle i czekają tylko na śmierć markiza.

- Chcesz powiedzieć, że obiecała im pieniądze wuja Milo? - Caroline była wściekła. - Już odpowiedziałeś na moje pytanie. To oczywiste, że i ona ma w tym swój udział. Ta kobieta w ogóle nie ma poczucia przyzwoitości!

- Franklin musiał podsłuchać rozmowę twojego ojca z markizem i teraz używa zdobytych w ten sposób wiadomości, by zrzucić z siebie odpowiedzialność.

- Nie rozumiem. - Caroline potrząsnęła głową.

- Pokazałaś list mnie i Milfordowi, a twój ojciec żyje i może opowiedzieć

o wydarzeniach sprzed lat. Dlatego ten dzień jest tak ważny. Jeżeli coś ci się stanie dwudziestego. Franklin otrzyma piękny prezent.

Głos Bradforda był bardzo spokojny, lecz w jego oczach widać było furję. Caroline zadrżała i nagle jej ramiona pokryły się gęsią skórką. Zauważył to i przyciągnął ją do siebie.

- Boże, mam nadzieję, że to naprawdę Franklin! Nigdy nie lubiłem tego łajdaka.

- Wkrótce się przekonamy - odparła Caroline.

- Nie bój się, kochanie. Czekałem na ciebie całe życie i nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić.

- Wiem, że mnie obronisz. - Pocałowała go w czubek nosa. - Z tobą zawsze czuję się bezpieczna, oczywiście z wyjątkiem chwil, gdy na mnie krzyczysz.

- Nigdy na ciebie nie krzyczę - powiedział Bradford, doskonale zdając sobie sprawę, że kłamie.

Caroline odwzajemniła jego uśmiech i poczuła, że burczy jej w brzuchu.

- Jestem głodna - powiedziała mężowi.

Bradford udał, że źle zrozumiał. Powiedział, że i on jest głodny, i zaczął ją bardzo dokładnie obcałowywać. Obrócił ją na plecy i począł się z nią kochać. Caroline zamierzała mu wytłumaczyć, że po prostu chce coś zjeść, wkrótce jednak zapomniała o wszystkim. Obiad mógł jeszcze trochę poczekać. Poza tym - powiedziała sobie - zawsze była posłuszną żoną.

14

Bradford bardzo się odmienił przez noc. Stał się nieomal gwałtowny, a w jego głosie raz po raz pobrzmiwały ostre nuty. Caroline zupełnie się tym nie przejmowała, gdyż wiedziała, że myśli wyłącznie o grożącym jej niebezpieczeństwie.

Ani Milford, ani Bradford nie wykluczali jej ze swoich rozmów. Milford był szczerze zdumiony, gdy Caroline opowiedziała mu o wypadku sprzed

piętnastu lat, i podobnie jak Bradford był przekonany, że Franklin będzie usiłował wykorzystać te informacje.

Wszyscy troje siedzieli w salonie omawiając sprawę. Bradford odczekał, aż Milford skończy ze swoimi teoriami, i przedstawił własne argumenty.

- Myślę, że Franklin nic nie wiedział o przeszłości Caroline, gdy spychał ją ze schodów u Claymere'ów. Uważam też, że zepsuł koło w moim powozie, zanim jego pokrętny umysł wpadł na pomysł zbrodni doskonałej.

- Ale jeżeli to prawda, w takim razie to wujek Milo powiedział o wszystkim Franklinowi - wtrąciła Caroline.

- Moja droga, jemu nie wystarczyłoby poniżenie cię w oczach brata. Myślę, że markiz usiłował cię bronić i opowiedział Franklinowi, co się stało. - Bradford wzruszył ramionami, jakby to właściwie nie miało znaczenia. - Spychając cię ze schodów, Franklin wcale nie chciał cię zabić; uważam, że chciał cię tylko wystraszyć. Założył, że opowiesz o wszystkim ojcu. Większość dziewcząt tak by zrobiła, ale ty postąpiłaś inaczej i wtedy zaaranżował wypadek z powozem. Wiedział, że masz jechać z Milfordem i ze mną, pamiętasz?

- Pamiętam - przytaknęła Caroline. - Wujek Milo powiedział nam, że papa postanowił, kto ma z kim jechać, i że Franklin zniknął. Byłam tak wściekła na ciebie, że nie zwróciłam na to uwagi.

- Dlaczego byłaś zła na Brada? - chciał wiedzieć Milford.

- Nigel Crestwall dobierał się do niej i trochę mnie poniosło - wyjaśnił mu cierpliwie Bradford.

- Trochę cię poniosło? - zapytała z niedowierzaniem Caroline. Bradford tylko wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że dla niego temat jest wyczerpany.

- Uważam, że Franklin był przekonany, że jedno z nas opowie wszystko twojemu ojcu. Chciał tylko, abyś została odesłana z powrotem do Bostonu. Jego brat znowu by się na ciebie rozzłościł i skreślił cię z testamentu. Widzisz, jakie to proste?

Milford kiwnął głową, widząc logikę w rozumowaniu przyjaciela.

- Ty byłeś zapewne kolejną przeszkodą na drodze biednego Franklina.

Wszyscy wiedzieli, że zamierzasz zdobyć Caroline.

Bradford już chciał odpowiedzieć przyjacielowi, gdy wtrąciła się Caroline.

- To są wszystko tylko podejrzenia, ale jeżeli to, co mówicie, jest prawdą, wujek Milo też jest w niebezpieczeństwie.

Bradford przytaknął. Już od jakiegoś czasu zastanawiał się, kiedy ta myśl przyjdzie żonie do głowy. Wiedział doskonale, jaki będzie jej następny ruch.

- Musimy wrócić do Londynu - powiedziała.

- To nie jest bezpieczne. - Milford zmarszczył brwi. - Poza tym sądząc z tego, co mówi Brad, markiz musi dożyć chwili, w której ty... - Przerwał zdając sobie sprawę, że nie był zbyt delikatny.

- W której ja, powiedzmy, zejść z tego świata? - Caroline kiwnęła głową. Odwróciła się do męża i powiedziała: - Czy jesteś w stanie zapewnić mi bezpieczeństwo w Londynie?

Była zaskoczona, gdy od razu przytaknął.

- Pełne bezpieczeństwo. Wyruszamy o świcie.

- Brad, zastanów się! Zostały nam tylko cztery dni i bez względu na to, jak bardzo przekonujesz nas o winie Franklina, sam nie jesteś tego do końca pewien.

- Skąd wiesz, że nie jest tego pewien? - zapytała Caroline.

- To bardzo proste - odparł Milford. - Gdyby był pewien. Franklin już by nie żył.

Caroline była zaszokowana tokiem rozumowania Milforda.

- Czy naprawdę wierzysz, że twój mąż pozwoliłby mu żyć?

- Tym razem to Milford był zaskoczony.

- Nie przysparzaj jej więcej zmartwień, niż jest to konieczne - przerwał im Bradford. Objął żonę i pocałował ją w czubek głowy. - Musimy jechać do

Londynu, by zastawić pułapkę.

Gdy tylko Caroline była bezpieczna w domu w Londynie, Bradford wysłał liścik do jej ojca z prośbą o natychmiastową rozmowę.

Caroline, wyczerpana długą podróżą, zasnęła na kanapie w salonie i Bradford zaniósł ją na górę do łóżka. Nie wiedziała, co jej ojciec mu powiedział, aż do następnego rana. Wtedy dowiedziała się, że papa rzeczywiście wyjawiał wujowi Milo prawdziwy powód odesłania jej do Bostonu.

- Czy możemy pojechać do wujka Milo? - zapytała Caroline.

- Jeżeli ci na tym zależy - odparł Bradford. Spostrzegł jej zaskoczenie i uśmiechnął się. - Franklin jest zajęty swoją kochanką, ale będzie tam Loretta. Mam zamiar wspomnieć, że wracamy do Bradford Hills rankiem dwudziestego.

- Skąd wiesz, że Franklin jest ze swoją kochanką, a Loretta...

- Caroline, najwyraźniej mnie nie doceniasz - powiedział z udawanym wyrzutem. - Już od dawna moi ludzie ich śledzą.

- Czy jesteś pewien, że Loretta też maczała w tym palce? - Caroline robiła się coraz bardziej nerwowa.

Bradford powoli pokiwał głową.

- Idź i przygotuj się - powiedział. Caroline wstąpiła na schody, ale on jeszcze ją zatrzymał. - Kochanie, postaraj się nie wyglądać na zbyt zdziwioną, gdy zobaczysz nową służącą swojego wuja.

- A któż to może być? - Caroline wydawała się zaskoczona.

- Była kucharka twojego ojca.

- Marie? Chyba żartujesz? - Caroline nieomal straciła równowagę i musiała złapać się poręczy schodów. Oczy się jej rozszerzyły, gdy zrozumiała, co Bradford sugerował. - Dobry Boże, przecież mogła nas wszystkich potruć! Ciekawe, dlaczego tego nie zrobiła?

- Pewno tak by się to skończyło, gdyby Franklin nie wpadł na swój diabelski pomysł. A tak jedynym jej obowiązkiem było mieć cię na oku i informować go na bieżąco.

- To ona musiała podłożyć ten okropny list! Bradford przytaknął.

Caroline pobiegła do swego pokoju, mamrocząc pod nosem, że od tej pory będzie ufać przeczuciom Mary Margaret.

Wyjazd do markiza został opóźniony, gdy na schodach ich domu pojawili się Charity i Paul.

Caroline była tak uszczęśliwiona wizytą kuzynki, że Bradford nie śmiał przerywać ich radosnej paplaniny. Słuchał jej tak długo, aż wydało się, że jego nerwy dłużej tego nie wytrzymają. Chciał jechać do markiza i mieć już to za sobą. Nie wiedział, kiedy wróci Franklin. Nie żeby się lękał o bezpieczeństwo Caroline, raczej się obawiał, że zadusi drania na oczach jego brata. Miał nadzieję, że uda mu się dopaść Franklina, ale wolałby, żeby się to nie stało na oczach jego żony.

Caroline bardzo się ucieszyła, gdy się dowiedziała, iż Charity i Paul wyjeżdżają do Bostonu dopiero w połowie lata. To dodało jej skrzydeł i w bardzo dobrym humorze pojechała do markiza.

Bradford pouczył żonę, co ma powiedzieć, i uważał, że radzi sobie całkiem nieźle. Nie mrugnęła nawet okiem, gdy zobaczyła Marie, ale wydawała się trochę spięta, ujrawszy Lorette.

Markiz siedział w fotelu przed kominkiem w salonie i wyglądało, że nieźle się trzyma. Caroline usiadła obok niego i ujęła za rękę. Już go powiadomiła, że będą wracać do Bradford Hills dwudziestego. Jako wymówki użyła argumentu, że Bradford ma wiele obowiązków, a ona nie chce go opuszczać.

Wuj Milo drażnił się z nią, że zachowuje się jak typowa młoda mężatka, i Caroline zaczerwieniła się, z czym było jej do twarzy. Kiedy Loretta ich opuściła, również Bradford się podniósł, sugerując, że i oni powinni już iść.

- Wuju Milo, chcę cię poprosić o przysługę - powiedziała Caroline. Ruchem głowy dała znak mężowi, by jeszcze na chwilę usiadł.

Bradford zmarszczył brwi nic nie rozumiejąc, ale ona nie zwróciła na to

uwagi.

- Wiesz, że zrobiłbym dla ciebie wszystko, moja droga - powiedział Milo.

- Martwię się o papę - wyjaśniła Caroline. - Nie czuje się najlepiej, jest bardzo samotny... a nie chce pojechać z nami do Bradford Hills.

- Brax jest chory? - Zaniepokojony markiz złapał dziewczynę za rękę.

- Lekarze mówią, że nic mu nie jest - Caroline pospieszyła uspokoić staruszkę. Spojrzała na męża przez ramię. Patrzył na nią, jakby był święcie przekonany, że zwariowała. - To wszystko sprawa samopoczucia. Papa jest po prostu bardzo samotny. Zastanawiałam się, czy nie mógłbyś się do niego przeprowadzić na jakiś czas. Dopóki znów się nie przyzwyczai do mojej nieobecności.

Markiz wydawał się zachwycony propozycją.

- To doskonały pomysł. Będę szczęśliwy mogąc ci pomóc.

- Bradford pomoże ci przenieść rzeczy - zaproponowała Caroline. Uśmiechnęła się do męża niewinnie. - Nie przestanę się martwić, dopóki nie będziesz razem z nim, wuju Milo. Czy myślisz, że dałbyś radę przeprowadzić się jeszcze dziś?

Bradford nareszcie zrozumiał, o co jej chodziło, i uznał, że to jest naprawdę doskonały sposób zapewnienia starszemu panu bezpieczeństwa. Widząc błysk niecierpliwości w jego oczach, zdał sobie sprawę, jak bardzo samotny musiał czuć się markiz.

A jednak jego żona rozumiała to. Ledwo się powstrzymał, żeby nie porwać jej w ramiona i nie zacałować. Po raz kolejny dotarło do niego, że posiadał najpiękniejszą kobietę świata. A jej uroda płynęła prosto z serca.

Począł, aż znaleźli się sami w powozie, i ucałował ją mocno.

- A to za co? - zapytała Caroline zaskoczona, czując wypełniające ją znajome ciepło.

- Za to, że jesteś piękna - odparł Bradford.

- Cieszę się, że uważasz mnie za piękną. - Uśmiechnęła się. - Ale co

będzie, gdy się zestarzeję i pomarszczę? - W jej głosie zabrzmiał prawdziwy niepokój i z napięciem popatrzyła mężowi w oczy.

- Kocham cię, miła moja, ale nie dlatego, że wyglądasz pięknie. Kocham cię za piękno, które nosisz w sobie, a to nigdy się nie zmieni. Czy myślisz, że tak mało cię cenię, iż mógłbym kochać cię tylko za sam wygląd?

Caroline potrząsnęła głową, a Bradford pocałował ją jeszcze raz. Przytulił do siebie tak, że nie mogła zobaczyć przekornych iskierek w jego oczach, i powiedział:

- Gdyby tak było, zostawiłbym cię, gdy ścięłaś włosy. Caroline nie dała się zwieść, tylko się roześmiała i powiedziała mu natychmiast, że jedynym powodem, dla którego wyszła za niego za męża, były jego pieniądze.

W ciągu następnych dwóch dni nie mieli już czasu żartować.

Ludzie śledzący Franklina donieśli, że znowu zaczął działać.

Rankiem dwudziestego lutego powóz księcia Bradford wyruszył w drogę do Bradford Hills.

Caroline podchodziła dotąd do sprawy bardzo spokojnie, lecz teraz błagała męża, by z nią został. Namawiała go, aby tylko wysłał swoich ludzi, a ci na pewno rozprawią się z Franklinem.

Gdy zrozumiała, że nie pomogą żadne prośby, błagała go już tylko, by bardzo na siebie uważał.

- Nie musisz zostawiać przy mnie tylu strażników - usiłowała go przekonać.

- Zostaniesz w swojej sypialni, dopóki nie wrócę - odparł tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Upewnij się, z iloma przeciwnikami masz do czynienia, zanim rzucisz się do walki - upomniała go Caroline.

- Na miłość boską, kobieto, ależ ty nie masz wiary w możliwości własnego męża! - wrzasnął w końcu zdenerwowany. Pocałował ją dając do zrozumienia, że tak naprawdę wcale nie chciał na nią krzyżeć.

Caroline poszła za nim aż do drzwi sypialni, w których stał Milford, i szepnęła do przyjaciela męża:

- Uważaj na niego.

Bradford usłyszał to i tylko niecierpliwie potrząsnął głową. Szybko ją przytulił i zamknął za sobą drzwi, zostawiając ją chodzącą niespokojnie po pokoju i modlącą się o jego szybki powrót.

Polecił dwóm ludziom powożenie pustym powozem, sam zaś, wraz z Milfordem i kilkoma zaufanymi służącymi pojechał z tyłu. Wyjechawszy z miasta porzucili drogę i popędzili na skróty przez wzgórza.

Według jego oceny w drodze do Bradford Hills było kilka dobrych miejsc na zasadzkę i minęły prawie dwie godziny, zanim zobaczyli wreszcie ludzi Franklina.

Było ich czterech, rozplaszczonych na ziemi, z wyciągniętą bronią. Bradford dostrzegł jeszcze jednego człowieka, obserwującego drogę ze szczytu wzgórza. Nie widział jego twarzy, ale był pewien, że to Franklin.

Wskazał go Milfordowi, lecz przyjaciel też już widział oddaloną od nich postać.

- Franklin?

- Jest mój. - Głos Bradforda był twardy.

Mężczyźni leżący na ziemi nie mieli nawet szansy. Atak nadszedł z zaskoczenia i w chwilę potem było już po wszystkim. Bradford popędził na swoim ogierze w kierunku samotnego obserwatora.

Las był gęsty, lecz śnieg ułatwił mu zadanie. Ślady były na tyle dobrze widoczne, że dopadł przeciwnika przed następnym wzniesieniem. Koń pędził w szalonym tempie i Bradford spadł na Franklina jak drapieźny ptak spada na swoją ofiarę. Przetoczył się po ziemi i wstał. Wróg leżał twarzą do ziemi, nie ruszając się. Nienaturalne ułożenie jego głowy wskazywało, że padając musiał skrócić kark. Bradford był wściekły, że wszystko stało się tak szybko. Nadal pałał chęcią zemsty. Śmierć tego łajdaka była za szybka i zbyt prosta.

Podszedł do ciała i odwrócił je na plecy. Wełniany szalik przykrywał dolną część twarzy niedoszłego zabójcy, ale Bradford i tak go rozpoznał. To Franklin leżał przed nim na ziemi, ze złamanym karkiem, dokładnie tak jak przypuszczał.

Nie przejmował się tym, co dalej będzie z ciałem. Franklin żył bez honoru i tak też zostanie potraktowany po śmierci. Jego zwłoki należały do padlinożerców.

To już był koniec. Loretta i Marie zostały osaczone przez ludzi Bradforda. Sąd rozstrzygnie o ich winie. Bradford obiecał żonie, że pozwoli, aby Loretta żywa opuściła Anglię. Rozumiał motywy, które kierowały Caroline. Wiedział, jakim ciosem dla wuja Milo będzie poznanie całej prawdy.

Niebezpieczeństwo już minęło i Bradford myślał tylko o przyszłości. O przyszłości z kobietą, którą kochał.

Epilog

Księżę Bradford, załatwiwszy interesy w Londynie, wrócił późnym popołudniem do Bradford Hills. Opuścił swoją żonę zaledwie przed trzema dniami, ale zdawało mu się, że minęła cała wieczność, i pragnął jedynie wziąć ją w ramiona.

Zdziwił się, gdy Henderson powiedział mu na powitanie, że jej wysokość jest na górze i zabawia dwóch dżentelmenów.

Zmarszczenie brwi jawnie sugerowało irytację Bradforda. Dom i tak już pękał w szwach od gości Caroline. Wbrew woli męża zaprosiła na kilkudniową wizytę jego matkę, a zaraz potem zjawili się Paul i Charity.

Westchnął ciężko i poszedł na górę z zamiarem powiedzenia jej, że ma już dość gościnności. Śmiech dochodzący zza drzwi jego sypialni zaskoczył go i Bradford przez chwilę zawahał się, zanim wszedł do pokoju.

Widok, jaki ukazał się jego oczom, doprawdy nadwerężył męzowską cierpliwość. W sypialni znajdowało się dwóch mężczyzn. Jeden spał rozwalony na jego ulubionym fotelu, a drugi siedział na łóżku, przyklejony do Caroline.

- Jeżeli nie przestaniesz się wiercić, nie będę w stanie zdjąć ci butów - powiedziała Caroline do nieznajomego.

Bradford zdziwił się, słysząc tę uwagę, a w tym samym momencie Caroline podniosła wzrok i zobaczyła go.

- Przydałaby mi się twoja pomoc! - zawołała.

Nie sprzeciwił się, tylko podszedł do niej powoli i zdjął ramiona nieznajomego z barków żony.

- A cóż ci to chodzi po głowie? - zapytał pogodnym tonem.

Mężczyzna opadł do tyłu, gdy tylko został pozbawiony oparcia. Oczy same mu się zamknęły i ledwo dotknął materaca, zaczął chrapać.

- Myślę, że powinienes mnie pocałować - powiedziała Caroline. Z uśmiechem wspięła się na palce i szybko ucałowała go w policzek: - Witaj w domu!

- To dość chłodne powitanie! - zaprotestował.

- To było powitanie dla księcia Bradford - uświadomiła go Caroline. Przyciągnęła jego głowę do swojej i pocałowała go mocno: - A to jest powitanie dla mojego męża.

- Nauczyłem się, że mówisz do mnie po imieniu tylko wtedy, gdy chcesz, bym cię zabrał do łóżka - szepnął.

- Jakiś ty domyślny - zaśmiała się Caroline. W jej oczach było ciepło i uległość. I cała jej miłość do niego.

Jeden z nieznajomych wymamrotał coś przez sen i Bradford wrócił do nich myślami.

- Kim oni są, Caroline?

Ale ona już odwróciła się do tego, który leżał na jego łóżku, i ściągała mu buty.

- Pomóż mi ich rozebrać! - zakomenderowała.

Bradford wciągnął powietrze głęboko w płuca, a potem ujął żonę za ramiona.

- Kim oni są?

- Henderson ci nie powiedział? - Oczy Caroline nagle się rozszerzyły. Popatrzyła na mężczyznę chrapiącego na łóżku, a potem z powrotem na męża. Wreszcie rzuciła się w jego ramiona, całując go i ściskając, aż prawie przestało go obchodzić, kim są ci ludzie w jego sypialni.

- Co oni robią w naszym pokoju?

- To Caimen i Lukę, moi kuzyni - wyjaśniła z uśmiechem. - Caimen to ten na fotelu. Tak bardzo chciałam, żeby sprawili na tobie dobre wrażenie, ale gdy tylko pojawili się w Londynie, zaczęli świętować i obawiam się, że są potwornie pijani. Nie byłam w stanie doprowadzić ich dalej niż do naszej sypialni - dodała.

- Bradford, czy wiesz, że ty wcale na mnie nie krzyczysz? Nie wyciągnąłeś żadnych pochopnych wniosków!

Bradford udawał, że jest bardzo zniecierpliwiony, ale uśmiechał się sam do siebie. Naprawdę nie pomyślał, że mogło się tu dziać coś zdrożnego.

- Ufam ci - powiedział tylko.

- Zawsze o tym wiedziałam. - W oczach dziewczyny błysnęły łzy i znowu się do niego mocno przytuliła. - Zdaje mi się, że kocham Jereda Marcusa Bentona i zarazem księcia Bradford - szepnęła mu do ucha.

- Zawsze o tym wiedziałem - odparł. Jego głos był bardzo arogancki i... bardzo czuły.

Uniósł żonę w ramionach i skierował się do drzwi, pytając, czy jest w tym domu takie miejsce, gdzie mogliby zostać sami. Caroline pocałowała męża i wyszeptała mu odpowiedź do ucha.